

SPIS TREŚCI

ADAM STEFAN LEWANDOWSKI

Hold dla Błękitnej Armii 2

ZENON BAREJKO – Odnaczony 6

Uhonorowani 8

DR DARIUSZ GRABOWSKI

O ekonomii i nie tylko 13

DR ANDRZEJ ZAPAŁOWSKI

O Ukrainie 26

MAREK MICHALIK

Zbigniew Zakrzewski „Bryła” (szkic biograficzny uzupełniony) 31

PROF. DR HAB. ZBIGNIEW ANUSZ

Działalność „kedywu” Armii Karajowej w Pruszyńcu i Ośrodek Siedlce –
„Sowa” w latach 1939–1945 63

KRZYSZTOF TURKOWSKI rozmawia ze Stefanem Soboniewskim 86

ŁUKASZ PERZYNA I GABIEL JANOWSKI

Widzieć koniec bruzdy 98

KATARZYNA ŚNIADECKA rozmawia z księdzem prałatem Józefem Majem 118

DR ANDRZEJ ANUSZ

Między drugim obiegiem a władzą 128

PIOTR PLEBANEK rozmawia z Wojciechem Gawkowskim 170

MIROSŁAW LEWANDOWSKI

Ważne teksty opozycji niepodległościowej z czasów PRL 174

DR BOHDAN URBANKOWSKI

Rozmowy z wierszami 245

MACIEJ RYSZARD GIELECKI

Wesele 263

Federacyjna rekonstrukcja 327

ADAM STEFAN LEWANDOWSKI

HOŁD DLA BŁĘKITNEJ ARMII

Na chwałę czynu zbrojnego Polonii amerykańskiej w okresie I wojny światowej i jej wkład w dzieło odzyskania niepodległości Polski po 123 latach niewoli pomnik ten ofiaruje narodowi polskiemu Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce i Polonia amerykańska. – taki napis widnieje na cokole Pomnika Czynu Zbrojnego Polonii Amerykańskiej w Warszawie, przy którym 23 lipca 2016 roku zgromadziło się wiele środowisk niepodległościowych.



Spółeczny Komitet Obchodów 100-lecia Polskiego Czynu Niepodległościowego zorganizował uroczystości na Żoliborzu (al. Wojska Polskiego) przy współudziale różnych organizacji patriotycznych, w tym m.in. Fundacji Wal-

czących o Niepodległość, Wyklętych, Pokrzywdzonych, Internowanych, Więzionych; Instytutu Józefa Piłsudskiego w Warszawie; Stowarzyszenia „Solidarność Walcząca”; Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, czy Ministerstwa Obrony Narodowej.

Wartę honorową przy pomniku zaciągnęli wspólnie żołnierze Wojska Polskiego i United States Army. Historyczne wprowadzenie Prezesa Instytut Józefa Piłsudskiego prof. Wiesława Wysockiego rozpoczęło uroczystości przy pl. Grunwaldzkim. Wystąpienie było barwne i żywe co pozwoliło słuchaczom wczuć się w sytuację polonii amerykańskiej i francuskiej, która ochotniczo wstępowała w szeregi armii gen. Hallera, aby bić się o wolność i całość Rzeczypospolitej Polskiej. „Wybuch I wojny światowej rozbudził drzemiące w Polakach pragnienie rozwiązania kwestii polskiej. Wiara we Francję znalazła szczególnie silny wyraz wśród Polaków przebywających w tym kraju, czego świadectwem z chwilą ogłoszenia mobilizacji było spontaniczne wstępowanie młodych Polaków pod sztandary francuskie. Zachęcał do tego Komitet Ochotników Polskich dla Służby w Armii Francuskiej, powstały w pierwszych dniach wojny przede wszystkim z inicjatywy pisarza i członka Sokola Wacława Gąsiorowskiego. Na apel Komitetu już w sierpniu 1914 r. stawilo się przeszło 1500 ochotników, głównie członków Sokola i Strzelca. Ich celem było słuzenie



we własnym oddziale, ale ze względu na negatywne stanowisko rosyjskiego sojusznika Francja nie mogła zgodzić się na powołanie samodzielnej formacji polskiej. Dlatego Polacy mogli jedynie – zgodnie z postanowieniem rządu francuskiego z sierpnia 1914 r. – sformować własny oddział tylko w ramach Legii Cudzoziemskiej” – przypomniał prof. W. Wysocki.

Głos zabrał także m.in. przedstawiciel armii amerykańskiej gen. Richard Hayes z Gwardii Narodowej Illinois. W swoim przemówieniu przywołał znaczenie relacji między Błękitną Armią a Ameryką sprzed prawie stu laty. Porównał ją do obecnego partnerstwa łączącego Gwardię Narodową Illinois i Wojsko Polskie, którego celem jest wzmacnianie bezpieczeństwa Polski. Wręczył też trojgu zasłużonym polskim kombatantom flagi amerykańskie, które powiewały nad Kongresem Stanów Zjednoczonych. Wyróżnieni zostali Danuta Gałkowska, Wacław Sikorski „Bocian” i przewodniczący Klubu Kawalerów Virtuti Militari Zygmunt Łabędzki „Łoś”. Do zebranych przemówił także poseł Andrzej Melak. Modlitwę poprowadził kapelan środowisk niepodległościowych ks. Józef Maj.

Na uroczystości przybyli reprezentanci najwyższych władz państwowych i samorządowych, posłowie oraz liczne środowiska patriotyczne. W imieniu Premier Beaty Szydło udział wzięła sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i pełnomocnik prezesa Rady Ministrów do spraw dialogu międzynarodowego Anna Maria Anders. Obecni byli również: Jan Dziedziczak, Sekretarz Stanu ds. parlamentarnych, Polonii, konsularnych i dyplomacji publicznej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych; Paweł Lisiecki, poseł na Sejm VIII kadencji; Bogusław Nizieński, kawaler Orderu Orła Białego, Hanna Szczepanowska, Powstaniec Warszawski i córka żołnierza I Kompanii Kadrowej Marszałka Piłsudskiego; przedstawiciele m.in. Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej; Ambasady i Konsulatu USA w Polsce; Związku Piłsudczyków RP; Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”; Związku Strzeleckiego „Strzelec”, Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego czy stowarzyszenia Pokolenia Niepokornych. Na zakończenie złożono przy pomniku kwiaty.

Celem organizatorów tegorocznych uroczystości było wykazanie pozytywnego efektu współpracy Polski ze Stanami Zjednoczonymi, Francją i innymi państwami sojusznymi. Historyczny przykład Błękitnej Armii udowadnia nam, że są w polityce możliwości realnego wsparcia zaprzyjaźnionego kraju. To ważki czynnik i wskazówka na przyszłość, w której na pewno ten element militarny będzie aktualny tak, jak ponad 100 lat temu. Jestem jednak pewny, iż przy tej okazji nie zapominamy o przesłaniu, jakie pozostawił nam Józef Piłsudski, który zawsze podkreślał, że trzeba budować własną siłę militarną i dążyć do pełnej samodzielności obronnej.



ZENON BAREJKO – ODZNACZONY

W Centrum Edukacyjnym Instytutu Pamięci Narodowej im. Janusza Kurtyki w Warszawie w dniu 14 lipca 2016 roku, w imieniu Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy, Prezes IPN dr Łukasz Kamiński wręczył Krzyż Wolności i Solidarności naszemu działaczowi niepodległościowemu i struktur podziemnych Solidarności Zenonowi Barejce.



Zenon Barejko ps. Konrad, Witold, Mikrob odznaczany za działalność antykomunistyczną w latach 80-tych przez Prezydenta RP Krzyżem Oficerskim Odrodzenia Polski. Wnuk Teofila Zapałowskiego- policjanta zamordowanego 1940 roku w Miednoje przez Rosjan, syn Powstańca Warszawskiego Zofii Ba-

rejko z domu Zapałowskiej więźnia niemieckich obozów koncentracyjnych. Rozpoczął swoją działalność antykomunistyczną w sierpniu 1980 r od organizowania strajków w PPPolmożbyt – W-wa. Po wprowadzeniu stanu wojennego działał w podziemiu solidarnościowym. Podczas demonstracji w 3maja1983 r. skatowany przez ZOMO otrzymał wyrok 3 miesięcy aresztu. Członek Grup Oporu Solidarni w sekcji transportów które sprowadzały zaopatrzenie w sprzęt ze Szwecji dla podziemnych struktur a także przetrzymywanie wydrukowanych w Polsce gazet i wydawnictw drugiego obiegu do Paryża . Organizator struktur poligraficznych. Grupa „Konrada” podjęła współpracę z Międzyzakładowym Porozumieniem Solidarności „Unia”. Po rozbiciu przez Służbę Bezpieczeństwa „Unii” „Konrad” podjął współpracę z wydawnictwem „Nowa” która trwała do czasu wyjścia z podziemia.

Gdy wyszedł na wolność „Misiek” Michał Janiszewski powstała Grupa Polityczna Niezawisłość w skład której wszedł Zenon Barejko. W 1987 roku GP Niezawisłość weszła w skład Konfederacji Polski Niepodległej a grupa kierowana przez Z. Barejko drukowała dla Wydawnictwa Polskiego KPN.

W 1993 r. Zenon Brejko wszedł w skład władz KPN: został członkiem Centralnego Kierownictwa Akcji Bieżącej KPN oraz Rady Politycznej KPN. Ponadto kierował strukturami konfederackimi w Obszarze Centralnym [województwa podwarszawskie] oraz koordynował Obszar Białostocki.

UHONOROWANI

W dniu 20 września 2016 roku p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk, odznaczył **dr Bohdana Urban-kowskiego** Medalem „Pro Patria”.

Nadał też status działacza opozycji antykomunistycznej: **dr Bohdanowi Urbankowskiemu Andrzejowi Chyłkowi, Robertowi Nowickiemu, Zbigniewowi Adamczykowi, Krzysztofowi Mętrakowi i Andrzejowi Sondejowi.**

Była to miła utrzymana w rodzinnej atmosferze uroczystość i okazja do wspomnień. Za to należy gorąco podziękować kierownictwu urzędu a Panu Ministrowi przede wszystkim.

Biogramy uhonorowanych osób publikowaliśmy we wcześniejszych numerach „Opinii”.





POLSKA WSPÓŁCZESNA

O EKONOMII I NIE TYLKO...

O programie „500 zł na dziecko”

Gdy zadam pytanie – czy Polska potrzebuje długookresowej strategii gospodarczej? Usłyszę z pewnością odpowiedź – tak.

Gdy zadam pytanie – czy Polska potrzebuje długookresowej strategii społecznej? Usłyszę z pewnością odpowiedź – tak.

Czy program – 500 złotych na dziecko jest elementem jednej, drugiej bądź obu strategii? Odpowiedzi na tak postawione pytanie nie udzieli nikt, gdyż do chwili obecnej o istnieniu strategii nic nie wiemy. Jest to więc oderwany pomysł, nie wkomponowany w żaden zbiór działań – co w polityce gospodarczej i społecznej nie wróży niczego dobrego. **Ale może okazać się (obym się mylił), że program „500 złotych na dziecko” jest jedynym znaczącym pomysłem rządu i ma zastąpić zarówno strategię ekonomiczną, jak i społeczną. Twierdzę, że gdyby tak się stało, to rozwiązanie „zamiast” byłoby dla nas najgorszym.**

Zastanówmy się nad szacunkiem efektu programu „500 złotych na dziecko”. Jeśli podejmujemy decyzję o wydatkowaniu dużej, ogromnej kwoty pieniędzy, co więcej, jeśli decydujemy się wydatkować tę kwotę corocznie, to należy, powtórzę z naciskiem, należy odpowiedzieć na pytanie – jakich efektów oczekujemy. **Do dzisiaj nikt z rządu nie przedstawił żadnych liczb, choćby tylko szacunków dotyczących efektu demograficznego poniesionych nakładów. Nikt nie próbował podać nawet orientacyjnych danych – ile dodatkowych dzieci urodzić się powinno dzięki programowi 500 złotych.**

To błąd – polityka ekonomiczna i społeczna tak działać nie powinna. To tu

przede wszystkim obowiązuje rachunek nakładów i wyników oraz personalna odpowiedzialność polityków, którzy decyzje podejmują.

Tym głośniejszemu upominam się o szacunek efektów prokreacyjnych, gdyż Główny Urząd Statystyczny – instytucja poważna i naukowa – opublikował prognozę demograficzną dla Polski do roku 2050. Wynika z niej, że dzieci będzie się rodzić coraz mniej, liczba ludności w roku 2050 wyniesie 35 milionów, a przyrost naturalny spadnie do poziomu 277 tysięcy dzieci rocznie czyli o ponad 20% mniej niż w chwili obecnej.

A teraz zadajmy kolejne pytanie – jeśli chcemy przez dodatkowe pieniądze przekazywane rodzinom stymulować prokreację, to która grupa rodzin wydaje się być najlepszym adresatem: ta, która nie ma dzieci, ma jedno dziecko, ma więcej niż jedno dziecko. **Program rządu adresowany jest do rodzin z więcej niż jednym dzieckiem, tymczasem moim zdaniem bardziej skłonne do powiększenia rodziny będą małżeństwa bezdzietne i z jednym dzieckiem. Co więcej, uważam za niezgodne z Konstytucją uznanie, że jednym dzieciom pomoc z funduszu 500 się należy, a innym, nawet w tej samej rodzinie – się nie należy. Dzielenie dzieci na lepsze i gorsze to pierwszy grzech złych rodziców.**

Rozpatrzmy, jak kwota 500 złotych zostanie odebrana przez rodziny o różnym poziomie dochodów.

Dla rodzin najzamożniejszych, których jest około 10% będzie to niewielki dodatkowy fundusz nie mający żadnego wpływu na wydatki, poziom życia i decyzje prokreacyjne. **Niewiele ryzykuję mówiąc, że ponad 2-3 miliardy złotych, które trafią z budżetu do zamożnych rodzin, z punktu widzenia prokreacji, zostaną zmarnowane.**

Dla rodzin o przeciętnych dochodach będzie to kwota znacząca w ich wydatkach. Wypada jednak zapytać, jaka część z tych rodzin to rodzice w wieku 35-40 lat i więcej, którzy na powiększenie rodziny na pewno się nie zdecydują.

Dla rodzin o niskich dochodach kwota 500 złotych na dziecko, tym bardziej jeśli dzieci jest kilkoro – to radykalna poprawa zamożności. Pytanie, które w tym wypadku należy zadać brzmi: ile rodzin dodatkowe pieniądze przeznaczy na wydatki dając pierwszeństwo dzieciom, a ile otrzymane pieniądze wydatkuje niezgodnie z intencją autorów projektu ustawy, a ile po prostu przepi-

je. Odsetek rodzin patologicznych rośnie i kto wie, czy dodatkowe pieniądze, miast polepszyć dolę dzieci jej nie pogorszą, szybciej deprawując.

Czasami pada propozycja dawania rodzinom zamiast pieniędzy bonów. Pomysł ten uznaję za tyle słuszny co do intencji, co skomplikowany i prowadzący do rozbudowy biurokracji, zbędnej sprawozdawczości i krętaństwa.

Ważne pytanie, które powinniśmy sobie zadać brzmi: jak na 500-złotowe dopłaty do dzieci patrzeć od strony etyki. Czy jest to kwota, która jak mówią niektórzy „pozwoli godnie żyć”? Czy przeciwnie, jest to jałmużna i upokorzenie dla przyjmujących, którzy świadomi swych zbyt niskich dochodów przyjmując jałmużnę, godności się wyrzekają?

Sprawa nie jest błaha. Potwierdza ona fakt, że **system ekonomiczny w Polsce nie pozwala większości obywateli, którzy chcą bądź pracują zarabiać płacę godziwą, mieć dochody z własności tak, by w sumie wystarczyło na utrzymanie wielodzietnej rodziny. Jeśli system zmusza ludzi do przyjmowania jałmużny to on równocześnie trwale ich deprawuje. Przyzwyczajają do życia z darowanych pieniędzy, uczy że tak być powinno i „to im się należy”. Taki system to patologia, która rozrywa związek między pracą a wysokością wynagrodzenia za pracę. Taki system obniża presję na wzrost płac. Płaca traci treść podstawowego źródła dochodu rodziny, a to oznacza, że pojawia się brak motywacji do pracy i demoralizacja. Z drugiej strony państwo nie przeciwdziałając temu stanowi rzeczy, przeciwnie, brnąc w rozdawnictwo, zrzeka się fundamentalnego obowiązku prowadzenia skutecznej polityki gospodarczej i społecznej i współodpowiedzialności za tworzenie miejsc pracy i poziom wynagrodzeń.**

Postawmy pytanie: czym z punktu widzenia budżetu państwa jest fundusz 500 złotych na dziecko. Odpowiedź brzmi: będzie to strumień pieniędzy wypłacanych co miesiąc rodzinom za pośrednictwem samorządów przez wiele lat. Rodzi się zatem następne pytanie – co będzie źródłem zasilającym ten strumień? Według danych przedstawionych przez rząd w roku 2016 mają to być wpływy z podatku od banków, handlu, uszczelnienia ściągalskości VAT i sprzedaż częstotliwości telekomunikacyjnej. Sprzedaż częstotliwości to dochód jednorazowy, w następnych latach powtórzyć go nie będzie można. Rodzi się zatem wątpliwość, jakim sposobem w kolejnych latach rząd zamierza uży-

skąć niezbędne fundusze na kontynuowanie programu 500 złotych na dziecko. Przestrzegam przed sięganiem po przykład koalicji AWS-UW z lat 1997–2001, która by realizować szaleńczy program emerytalny wyprzedzała większość majątku narodowego. Po czym, po 10 latach z programu OFE trzeba było się wycofać – ale wyprzedanego majątku już nie odzyskano.

Postawmy pytanie czy istnieje alternatywa dla programu 500 złotych. Ekonomia zna pojęcie kosztu alternatywnego. To mówiąc w uproszczeniu analiza, czy dane środki można wydatkować efektywniej od przyjętego rozwiązania i osiągnąć lepszy rezultat. I my powinniśmy zadać to pytanie. Czy nawet jeśli nie zmarnujemy ogromnych, corocznie wypłacanych świadczeń czy nie można ich wydać lepiej?

Podam przykład, który uważam za bardzo bliski realiów. W gminie, gdzie z dopłat korzystać będzie tysiąc dzieci roczny fundusz na wypłaty wyniesie 6 milionów złotych. Tymczasem za 3-5 milionów złotych można wybudować przedszkole, w którym przebywać może około 200 dzieci, spędzać tam cały dzień pod fachową opieką, otrzymywać wyżywienie itd. Koszt budowy przedszkola jest jednorazowy. Późniejszy koszt utrzymania go – płace personelu, wyżywienie dzieci to wydatek znikomy w porównaniu z kwotą 6 milionów corocznie.

Część zwolenników pomysłu 500 złotych na dziecko podnosi argument, że otrzymane przez rodziny pieniądze przeznaczone zostaną na zakupy, trafią na rynek, zwiększą popyt i ożywią gospodarkę. Czyli nawet jeśli efekt prokreacyjny okaże się być znikomy, to efekt ekonomiczny w postaci nakręcenia koniunktury uzasadnia realizację pomysłu. Moim zdaniem kłania się w tym miejscu autorom ekonomiczny elementarz. Podstawowe pytanie brzmi: czy i kiedy należy nakręcać koniunkturę przez stymulowanie konsumpcji, a czy i kiedy przez inwestycje. Większość ekonomistów zdecydowanie odpowie, że szczególnie w sytuacji kraju zapóźnionego gospodarczo, jakim jest Polska, uzasadnione jest wspieranie inwestycji, gdyż daje to efekt długookresowy. Ja mogę dodać, że w obecnej sytuacji Polski zwiększenie konsumpcji, gdy w znacznej części towary **nabywane przez rodziny pochodzą z importu nie ma co liczyć na przyspieszenie wzrostu gospodarczego, zatrudnienia, co najwyżej wpływ ten będzie niewielki.**

Ale jest też inny, bardzo poważny zarzut. **Kwota ponad 20 miliardów złotych rocznie przeznaczona na dopłaty jeśli zabraknie wpływów podatkowych będzie musiała być uzupełniona o pożyczki zaciągnięte przez budżet państwa. To z kolei spowoduje wzrost kosztów obsługi zadłużenia co w prosty sposób prowadzi do podniesienia podatków, utraty konkurencyjności przedsiębiorstw, spadku inwestycji i spowolnienia gospodarczego.**

Sumując. Polityka ekonomiczna i społeczna to nie jest działanie w myśl zasady chcieć to móc bądź jak mówią niektórzy „trącić sroczkę w ogonek, a wyskoczy złoty pierścione”. Uważam, że obowiązkiem moim jest zwrócić rządzącym uwagę na zagrożenia, powiem więcej, długookresowe negatywne konsekwencje wprowadzenia programu 500 złotych na dziecko nie powiązanego z innymi działaniami ekonomicznymi i społecznymi.

JAK Z POMOCĄ RZĄDU PIENIĄDZ GORSZY WYPIERA PIENIĄDZ LEPSZY

Od 1 stycznia 2017 roku płatności gotówkowe między przedsiębiorcami nie będą mogły przekraczać 15 tysięcy złotych. Płatność gotówkowa powyżej tej kwoty – z mocy ustawy uchwalonej przez większość sejmową nie będzie mogła być zaliczona w koszty, czyli nie pomniejszy dochodu przedsiębiorcy, a w konsekwencji zmusi go do zapłacenia wyższego podatku dochodowego. Dodajmy, że do chwili obecnej ograniczenie obrotu gotówkowego jest do kwoty 15 tysięcy euro. W uzasadnieniu ustawy czytamy: „...będzie miało pozytywny wpływ na zwiększenie transparentności dokonywanych transakcji, wzrost uczciwej konkurencji między przedsiębiorcami, zmniejszenie szarej strefy, zwiększy dochody budżetu państwa”.

Szef komisji finansów sejm, poseł Andrzej Jaworski (z wykształcenia etnolog, z zawodu... menedżer) dowodzi, że „...przedsiębiorcy prowadzący legalne interesy jest wszystko jedno, czy dokonuje płatności gotówką, czy elektronicznie”. A wiceminister finansów Leszek Skiba szacuje wzrost wpływów do budżetu z tego tytułu na 2 miliardy złotych rocznie. Pan wiceminister dodaje, że idziemy za przykładem takich krajów jak Portugalia, Hiszpania, Bułgaria, Grecja, które wprowadziły podobne ograniczenia, ale zapomina dodać, że żadnych

ograniczeń w obrocie gotówkowym nie znają: Niemcy, Norwegowie, Szwedzi, Duńczycy, Anglicy.

Dokonajmy analizy argumentów autorów ustawy. Czy nowe prawo „zwiększy transparentność transakcji”? Wypada zapytać o co chodzi? Czym się różni transakcja opisana na fakturze opłaconej gotówką od opłaconej elektronicznie za pośrednictwem banku? Tym tylko, że treść faktury pozna osoba trzecia – pracownik banku. Czy zatem zdaniem ustawodawcy transparentność oznacza fakt, że o wszystkim co robimy należy poinformować i powinien wiedzieć bank? Wypada zapytać – czy wiedza, którą posiadzie nie zostanie przez niego wykorzystana dla własnych celów?

Druga kwestia. Czy nowa ustawa przyczyni się do wzrostu uczciwej konkurencji między przedsiębiorstwami. Należy rozumieć, że bank posiadającą wiedzę o transakcji między przedsiębiorcami upowszechni tę informację „uprzejmie donosząc wszem i wobec”, że przedsiębiorca Jaś udzielił upustu przedsiębiorcy Zdzisiowi, ale nie udzielił upustu Kaziowi, nawet dopisując na jaką kwotę. A wiemy przecież, że mocą modnego dziś pojęcia „świętej tajemnicy bankowej” taki fakt nie będzie mógł mieć miejsca. A może bank zostanie upoważniony do wystawiania certyfikatów „uczciwego konkurenta”.

Czy nowe prawo ograniczy szarą strefę, jak twierdzi ustawodawca. O, słodka naiwności! Szara strefa zaczyna się w momencie nie dokumentowania działalności i obrotu gospodarczego. Zatem wystawienie faktury bez względu na formę płatności gotówkową bądź elektroniczną jest działaniem w sferze legalnej. Bardzo bym prosił Pana wiceministra finansów o przedstawienie mi algorytmu, który umożliwił mu oszacowanie dodatkowych wpływów podatkowych z tytułu nowej ustawy.

A teraz spróbujmy wypunktować nasze argumenty przeciw nowemu prawu.

Rząd, który deklaruje, że rozumie powagę sytuacji gospodarczej w Polsce oraz uznaje działania w interesie polskich przedsiębiorców za klucz do rozwiązania problemów wystąpił z projektem, który przedsiębiorcy w zdecydowanej większości oceniają jako szkodliwy i wymierzony przeciwko nim. Ale rząd decyzji nie zmienił, choć jej z przedsiębiorcami nie konsultował w myśl obowiązującej od czasów komuny zasady „władza wie lepiej”.

Nowe prawo, trzeba to powiedzieć stanowczo i wyraźnie, ogranicza swobodę działalności gospodarczej, ogranicza wolność przedsiębiorcy.

Rząd, który w kwestiach gospodarczych jeszcze nie wystartował zdaje się dostawać zadyszki i by zachować pozory aktywności dobiera się do skóry małym i średnim polskim firmom, dodajmy najczęściej słabym i niskodochodowym – bo z nimi wie, że sobie poradzi. A jednocześnie ten sam rząd nie podejmuje próby ograniczenia nadużyć podatkowych dokonywanych przez wielkie sieci handlowe i koncerny zagraniczne. Czyli tu gdzie rząd deklaruje pomoc działania temu przeczą. Tu, gdzie deklaruje „walecznym słowem” bój z wielkimi oszustami tak naprawdę wywiesza białą flagę.

To, co szczególnie boli to fakt całkowitej nieznajomości „prozy życia” małego polskiego przedsiębiorcy, na przykład handlowca. Jeśli prowadzi on jednoosobowo sklep osiągający obroty kilkudziesięciotysięczne dziennie w gotówce, przez telefon zamawia u hurtownika towar za który płaci przy odbiorze właśnie gotówką to po wprowadzeniu nowego prawa nasz handlowiec będzie musiał w ciągu dnia zamknąć sklep, zanieść pieniądze do banku, wpłacić w kasie (bank swoją prowizję naliczy), wypisać przelew (bank swoją prowizję naliczy), telefonicznie błagać hurtownika o zaliczkową dostawę, bo przecież przelew zostanie dokonany po jednym bądź dwóch dniach, a w weekendy i święta po kilku dniach. A dodajmy do tego mitręgę dokumentacyjną w banku ze zwrotami, reklamacjami, przeceną przeterminowanych dostaw. Oto, jakie będą skutki nowej ustawy dla setek tysięcy małych handlowców. A co dopiero, gdybyśmy „zajrzeli” do budownictwa, gdzie wiele operacji to gotówkowe zaliczki, roboty, których wycena jest korygowana po wykonaniu. Sumując: nowa ustawa budżetowi da tyle, co kot napłakał, ale małym przedsiębiorcom napsuje żółci i uzmysłowi, że nic się nie zmieniło, władza jest przeciw nim.

Przymus rozliczeń via bank utrudni transakcje barterowe i clearingowe. Utrudni także wprowadzenie do obrotu tak zwanego pieniądza lokalnego, o co apeluje wielu ekonomistów i autor niniejszych rozważań. Skomplikuje możliwości tworzenia przedsiębiorstw klastrowych i spółek dorazowych, dla których do chwili obecnej brak odpowiednich regulacji prawnych – choć tak są potrzebne.

Natomiast co uważam za szczególnie ważne, to podkreślenie, że rozliczenia gotówkowe w Polsce, ich skala są ze strony przedsiębiorców próbą ratowania się przed zbyt małą emisją pieniądza dokonywaną przez NBP i banki. Wymienione wyżej instytucje prowadzą politykę deflacyjną, trudnego pieniądza, spadku cen, co jest całkiem sprzeczne z interesem **polskich przedsiębiorców i państwa**. Przykładem niech będzie wysokość nominału największego polskiego banknotu wynosząca 200 złotych. Każdy student wie, że nominal ten powinien wynosić co najmniej 500 złotych, gdyż wynika to ze skali obrotów gospodarczych i poziomu średniej płacy. Dla porównania przywołajmy banknot 500 euro w Unii Europejskiej. Dlaczego do chwili obecnej NBP nie wyemitował banknotu 500-złotowego? Odpowiedź jest prosta. Nie chcą tego banki zagraniczne dominujące w Polsce, a Narodowy Bank Polski (czy choć jedno słowo do niego przystaje?) usłudze wykonuje ich polecenia.

Na koniec wypada zapytać, **kto korzysta na nowej ustawie ograniczającej obrót gotówkowy**.

Odpowiedź jest jednoznaczna – banki. To one lobbują, lobbowały za jej przyjęciem. Wiedzą, bo zakładają, że więcej gotówki przepłynie przez ich sejfy, a zatem już z tytułu opłat manipulacyjnych, przetrzymywania pieniędzy, grania nimi w tak zwanym „międzyczasie” – zarobią.

Ale jest też drugie, gorsze dno. Dziś **dostęp do informacji to najcenniejszy kapitał, a dzięki wymuszeniu operacji elektronicznych, które do chwili obecnej dokonywane były w gotówce banki powezmą wiedzę dodatkową o klientach, którymi są przedsiębiorcy i o rynku, na którym działają**. Ponieważ bitwa o wielki handel w Polsce już się zakończyła triumfem zagranicznych sieci, to teraz rozpocznie się proces dobijania rynków lokalnych i małych, prowincjonalnych polskich handlowców. Wiedza, którą zdobędzie bank i którą podzieli się z zaprzyjaźnioną firmą zagraniczną zostanie wykorzystana – tu właśnie chciałbym zapytać ustawodawcę – czyżby „w celu zwiększenia uczciwej konkurencji między przedsiębiorcami”.

Nie mogę tu nie dodać, że już sama ustawa 500+ była prezentem ze strony rządu złożonym bankom. Przecież kwota ponad 20 miliardów złotych, które rocznie mają trafić do rodzin wielodzietnych przepłynie przez konta banko-

we. To będzie dla banków „gotowy grosz”. Pytam nieśmiało, choć odpowiedź znam, czy ktoś z rządu zwrócił na to uwagę? Czy ktoś wystąpił o dodatkowe upusty i korzyści, których banki powinny udzielić budżetowi państwa z tytułu wpłat na konta klientów ponad 20 miliardów złotych rocznie?

Na koniec jak mantra powtórzę – **przedsiębiorcy polscy powinni powiedzieć dość. Stworzyć własny samorząd gospodarczy, by realnie stanowić o swoim losie.**

BITWA O HANDEL

Jesteśmy świadkami, ale też uczestnikami – z czego mało kto zdaje sobie sprawę – trzeciej w naszej historii bitwy o handel.

Pierwsza bitwa miała miejsce w latach 30-tych ubiegłego wieku. Z jednej strony pod hasłem „Kupuj u Polaka” stanęli spadkobiercy Wokulskiego, początkujący polscy kapitaliści - handlowcy wspierani przez patriotyczne warstwy społeczeństwa mając przeciw sobie dominujący wtedy w handlu kapitał żydowski i niemiecki. Powstawały spółdzielnie handlowe, powstało „Społem”, polski żywioł gospodarczy chwycił wiatr w żagle. Wojna zniszczyła wszystko.

Druża bitwa o handel to lata 1947-1949. To wtedy Hilary Minc – rasowy komunista podatkami, domiarami, wyrokami stronnich sądów, decyzjami administracyjnymi praktycznie zlikwidował odradzający się po wojnie polski handel prywatny. A w rok później dobił gospodarkę rynkową nie ekwiwalentną wymianą pieniędzy.

Trzecia bitwa o handel trwa. Jej dwie rundy przegraliśmy z kretelem. Pierwszą była zadekretowana przez Leszka Balcerowicza runda handlu „łózkowego” i bazarowego, która z bezrobotnych miała zrobić kapitalistów. A jednocześnie likwidowano pozostałości handlu spółdzielczego. Druga runda, także przegrana, to oddanie w ręce kapitału zagranicznego praktycznie całego handlu wielkopowierzchniowego. Rundę trzecią zapowiedział rząd chcący podatkami ograniczyć uprzywilejowanie zagranicznych sieci handlowych.

Powiedzmy kilka słów – czym jest handel dla gospodarki kraju, takiego jak Polska.

Handel w gospodarce kapitalistycznej to sprawa poważna. Zajmują się nim

najtęższe głowy. Dlaczego? Bo fundamentalnym problemem gospodarki kapitalistycznej, co podkreślają ekonomiści, jest problem realizacji – czyli zamiany towaru w pieniądź. Uznaje się, że kupno czyli zamiana pieniądza w towar jest prostsza, nie wymagająca znacznych kosztów, podczas gdy zamiana towaru w pieniądź sprawia problemy i wymaga nakładów. Dlatego powstały i rozwinęły się takie dziedziny jak reklama, marketing, których wpływ na decyzje Polaków jest przeogromny.

Ale jest też cecha handlu szczególnie widoczna a w Polsce o ogromnej wadze. **Wielkie zagraniczne sieci handlowe dzięki swej sile kapitałowej, dominacji na rynku stopniowo przejmują władzę nad sferą wytwórczą z jednej strony a zachowaniami konsumentów z drugiej.** Chcący sprzedać swoje wyroby muszą pogodzić się z dyktatem cenowym sklepów wielko powierzchniowych czyli oddawać swoje wyroby po kosztach bądź z symboliczną marżą zysku, akceptować kilkumiesięczne terminy płatności oraz szereg dodatkowych warunków przerzucających koszty na producentów. Jednocześnie wielkie sieci wykorzystując swą oligopolistyczną pozycję potrafią narzucić klientom zawyżone ceny przy zaniżonej jakości produktów posługując się „trikami handlowymi”. W efekcie klienci płacą więcej za gorszy produkt. I trzecia składowa tej układanki to przysłowiowy już wyzysk pracowników zatrudnionych w wielkich sieciach. Ciężka praca jest wynagradzana skrajnie nisko, a o godnym traktowaniu ludzi trudno marzyć.

Sumując: sieci wielko powierzchniowe dzięki swej sile i przewadze kapitałowej przechwytyują część nadwyżki wytworzonej w sferze produkcji, przechwytyują część dochodów konsumentów, by na koniec wykorzystywać własnych pracowników. W ostatecznym rozrachunku, o dziwo, wielkie sieci handlowe wykazują stratę bądź niewielki zysk bilansowy i nie płacą podatków. Należy dodać, że ukryte „w księgowych piruetach” kolosalne zyski są transferowane za granicę. Ten scenariusz realizowany jest od lat. To jest scenariusz eksploatacji Polski

Dlatego nie dziwi, że takie sieci jak Lidl, Kaufland otrzymują kilkusetmilionowe kredyty w euro na ekspansję w Polsce. Dodajmy – kredyty, których nigdy nie będą musiały spłacić, bo najprawdopodobniej zostaną zamienione na udziały banków. I tak **oto realizowana jest polityka: przejmowania pol-**

skiego rynku, eliminowania słabszych polskich handlowców, dociskania do ściany polskich producentów, których nie stać na inwestycje i rozwój, przechwytywania części dochodów klientów a wreszcie wywozu kapitału z Polski w majestacie prawa. Widać wyraźnie, że weszliśmy w decydującą rozgrywkę – być albo nie być polskiej gospodarki w polskich rękach.

Dlatego uważam, że bitwa o polonizację handlu jest obowiązkiem: państwa, polskich producentów, polskich konsumentów, polskich handlowców.

Zdumiewa mnie jednak, że po głośnych deklaracjach i buńczucznych zapowiedziach rządu projekt ustawy opodatkowującej wielki handel może okazać się bardziej dokuczliwy dla polskich handlowców niż zagranicznych. Nasuwa to podejrzenie, że lobbyści dobrze opłacani przez zagraniczny kapitał „skutecznie” dotarli do piszących ustawę urzędników i polityków. Obym się mylił.

Co mogę doradzić rządzącym? Przede wszystkim podjęcie promocji polskiego handlu, znalezienie sojuszników do długookresowej kampanii „Kupuj polskie produkty w polskich sklepach”. **Rozważyłbym też likwidację podatku dochodowego w handlu i zastąpienie go podatkiem obrotowym o wysokości od 1 do 3%.** Likwidacja podatku dochodowego zostawiłaby trochę pieniędzy w portfelach polskich handlowców, którzy do tej pory ten podatek musieli płacić. Jednocześnie, i to uważam za szczególnie ważne, **część z wpływów z podatku obrotowego od wielkich zagranicznych sieci handlowych przeznaczyłbym na wniesienie do utworzonego Banku Polskiego Handlowca. Bank ten miałby za zadanie kredytować polski handel i udzielać pożyczek na wykup udziałów przez polskich kupców w zagranicznych sieciach handlowych, by je tą drogą polonizować.**

Kochani, bitwa o handel, o polski handel to dziś najważniejszy front bitwy o polską gospodarkę. A zatem – kupujmy polskie produkty w polskich sklepach.

BOGATY PO POLSKU

Kto to jest zamożny Polak? Według badań socjologicznych i statystycznych osób o majątku przekraczającym jeden milion dolarów, na który składają się nieruchomości, akcje, papiery skarbowe, oszczędności jest w Polsce około

50 tysięcy. Zaś Polaków o majątku przekraczającym 5 milionów dolarów – około 4 tysiące. Według danych urzędów skarbowych ponad 20 tysięcy złotych miesięcznie zarabiają 2-3 promile pracujących Polaków, a zatem około 30 tysięcy osób.

Jak dochodzili w Polsce najzamożniejsi do majątku? Część skorzystała na procederze nazwanym „uwłaszczeniem nomenklatury” czyli przejęciu przez partyjnych funkcjonariuszy przedsiębiorstw, nieruchomości, pieniędzy w latach 1984-1990. Inni, również ci o solidarnościowym rodowodzie, często podając dłoń swym dawnym komunistycznym prześladowcom wykorzystali okazję jaką była rabunkowa prywatyzacja w latach 90-tych. Jeśli przejętego majątku nie przetracili, a potrafili pomnożyć, mądrze zainwestować to dziś są bogaci.

Grupą przed którą wypada pochylić czoła, nazwijmy ich grupą bogatych dorobkiewiczów są ci, którzy zaczynając bez mała od zera, dzięki własnej wiedzy, pomysłom, pracowitości, szczęściu potrafili dojść do fortuny. Możemy i powinniśmy sobie życzyć, by grono takich Polaków rosło szybko i coraz wyraźniej odciskało swe piętno na naszym życiu publicznym.

Co sądzić o tych danych, jak je interpretować?

Po pierwsze – uderza niski poziom od którego w Polsce uznaje się osobę za zamożną. Największy polski bank tak definiuje kogoś, kto miesięcznie otrzymuje na konto ponad 7.500 złotych. Przydaje wtedy tytuł VIP – Very Important Person. Ten sam tytuł otrzymuje osoba mająca na koncie ponad 50 tysięcy złotych, a takich klientów bank ma około 500 tysięcy. Moim zdaniem **tak niski pułap zamożności, który uznaje się za przepustkę do bogactwa oznacza, że ciągle w naszej świadomości, świadomości społecznej dominuje postawa czyniąca z biedy cnotę**, zgodnie z którą nawet niewielkie wybiecie się ponad biedę to już przejaw bogactwa. Idzie za tym pogląd ubogiej większości, że „ci bogatsi są obcy”, podejrzani a nawet źli. Zaś ze strony zamożnych pojawia się odruch obawy, izolowania się, ukrywania stanu posiadania i niestety czasami poszukiwania partnerów i sojuszników za granicą bądź wśród snobujących się na zagranicę rodzimych, pozał się Boże, celebrytów.

Drugim wnioskiem, który wyprowadzić należy z danych statystycznych przytoczonych powyżej jest ten który mówi, że 50 tysięcy zamożnych Polaków

to raptem jedna tysięczna procenta całej ludności. Nawet w odniesieniu do 2 milionów polskich przedsiębiorców owa liczba bogatych to margines. Dla porównania we Francji, gdzie żyje o połowę więcej ludzi niż w Polsce milione-rów jest ponad dwa miliony. Zgoda, że Francja nie została tak doświadczona wojnami jak Polska, ani nie przeszła gehenny epoki komunizmu, ale skala róż-nicy zamożności jest zbyt rażąca.

Moim zdaniem tak znikomy udział zamożnych Polaków w całym spo-łeczeństwie to prawdziwy akt oskarżenia przeciw rządowi i politykom, którzy sprawowali władzę przez ostatnie 27 lat.

Mam nadzieję, że pokazna szara strefa istniejąca w polskiej gospodarce znacznie poprawia kiepskie dane o zamożności Polaków, a to jest kolejny akt oskarżenia wobec odpowiedzialnych za makroekonomiczne decyzje w Polsce.

Ostatnim wnioskiem, który uważam, że trzeba postawić jest ten mówiący, że **im więcej Polaków dorobi się w Polsce, tym większe będzie zbiorowe poczucie szacunku i obowiązku w myśl zasady – skoro coś mam, to o to dbam. A jeśli dbam to chcę, by państwo, jego instytucje i służby działały sprawnie i praworządnie.** Można zaryzykować twierdzenie, że także ci, którzy dorobili się na wpół legalnie, od teraz zechcą zarabiać uczciwie, by również ich dzieci bogaciły się nie żyjąc w strachu. Wraz ze wzrostem bogactwa powinien rosnąć obowiązek i poczucie odpowiedzialności za dobro wspólne i za pań-stwo. Uważam, że dwie grupy społeczne mają szczególny obowiązek i powiem górnolotnie – misję do wykonania. To inteligencja i przedsiębiorcy. Byłoby dobrze, gdyby fakt ten uznali.

Na koniec **wniosek i postulat pod adresem rządu. Można i trzeba doce-nić troskę i starania o poprawienie doli najuboższych Polaków, ale już naj-wyższy czas, by podobną troskę, a przede wszystkim determinację w dzia-łaniu okazał rząd względem polskich przedsiębiorców oraz wszystkich tych, którzy swoje pomysły i energię chcą przekuć na uczciwie zarobione, duże pieniądze.** To oni są naszym największym potencjałem.

PIERWSZA W XXI WIEKU W POLSCE KLĘSKA ODWOŁUJĄCYCH SIĘ DO NAZIZMU UKRAIŃSKICH NACJONALISTÓW

Jak podkreślał ks. Isakowicz-Zaleski uchwały w Sejmie i Senacie RP to wielki, aczkolwiek nie pełny sukces wszystkich środowisk kresowych. Do pełnego załatwienia tej sprawy ze strony Polski brakuje ścigania zbrodniarzy, gdyż ludobójstwo się nie przedawnia a jego ustawowy zakaz propagowania w polskiej i europejskiej przestrzeni publicznej, zwłaszcza symboliki OUN i UPA jest niezbędny. Tą sprawę trzeba dokończyć, choćby to miało trwać jeszcze kilka lat.

Dla nacjonalistów ukraińskich w Polsce i na Ukrainie teraz poza dziesiątkami działaczy kresowych nazywanych „agentami Moskwy” doszło teraz jeszcze większe grono agentów, a mianowicie większość polskiego Sejmu i Senatu, nie mówiąc o wielu przedstawicielach rządu! Pokazując i dokumentując perfidię i zakłamanie wielu „przyjaciół Ukrainy” w Polsce, a tak naprawdę „przyjaciół banderyzmu i ukraińskiego nazizmu” wielu z nas stało się obiektami bezpardonowych ataków. Teraz po przyjęciu uchwał w polskim parlamencie ciekawy jestem jak będą wyglądały następne ataki. Przecież nie będzie już wypadało szkalować polskich działaczy społecznych za krytykę ludobójców z OUN i UPA oraz ich kontynuatorów w Polsce i na Ukrainie. Trzeba wymyśleć nowe treści i obszary ataków.

Jeszcze wielu z nas nie zdaje sobie sprawy jak ważne jest to, że parlament RP podjął wspomniane uchwały, gdyż w innym świetle stawia się od tego momentu nielegalne pomniki UPA w Polsce, demonstrowanie określonej symboliki, propagowanie ideologii banderowskiej w „Naszym Słowie” itd. W zupełnie innej pozycji przed Europą staje także kwestia propagowania banderyzmu na Ukrainie, gdyż będzie to odczytywane jako propagowanie nazizmu którego konsekwencją było ludobójstwo.

Do pełnego zwycięstwa jeszcze daleko. Dla nas wszystkich jest ważne abyśmy pomogli Ukraińcom pozbyć się tego „wrzodu” na swoim narodzie. Trzeba sprawę doprowadzić do końca, tzn. polska przestrzeń publiczna musi być wolna od jakiejkolwiek symboliki związanej z propagowaniem sprawców ludobójstwa, a na Ukrainie trzeba wspierać środowiska które także widzą to państwo bez tej ideologii w przestrzeni publicznej. Dla Polski jest ważna ta część społeczeństwa ukraińskiego która odrzuca tradycję ludobójców. Czy będzie to łatwe? I tak i nie. Na Ukrainie mieszka obecnie zdecydowana większość społeczeństwa, która nic nie miała rodzinnie wspólnego z patologią ukraińskiego nazizmu. Wielu Ukraińców nie zna prawdziwej historii, a uchwała polskiego parlamentu pozwoli im poszukać dłaczego „strategiczny partner Ukrainy” poczynił takie kroki w sprawie ich „bohaterów”. Polski przeciętny członek Sejmu i Senatu RP nie zdaje sobie sprawy za jak ważną kwestią głosował, i to nie tylko w kwestii pamięci narodowej ale przede wszystkim w zakresie udzielenia realnej pomocy Ukrainie wyrwania się z kleszczy intelektualnego i społecznego terroru środowisk banderowskich.

Pokonaliśmy wspólnie mur poprawności politycznej w sprawie nazwania ludobójstwa po imieniu. Walka trwała kilka dekad. W samym polskim parlamencie od czasu ukazania się książki Ewy i Władysława Siemaszków w 2000 roku o ludobójstwie na Wołyniu w tytule. Wspomniana pozycja w tej kwestii stała się pierwszym istotnym przełomem w naszej przestrzeni publicznej. Drugim takim przełomem będzie film Wojciecha Smarzowskiego „Wołyń” który zupełnie zmieni w powszechnym postrzeganiu podejście do banderyzmu i jego dziedzictwa. To wszystko świadczy o jednym. Polski rząd musi szybko zmienić podejście do pewnych procesów na Ukrainie i zacząć wspierać środowiska, które widzą Ukrainę nie jako państwo o ustroju z XIX wieku ale jako kraj europejski.

HISTORIA NN

ZBIGNIEW ZAKRZEWSKI „BRYŁA” (SZKIC BIOGRAFICZNY UZUPEŁNIONY)



1. Zdjęcie Zbigniewa Zakrzewskiego
z 31.08.1939 roku.

„Informator o nielegalnych antypaństwowych organizacjach i bandach zbrojnych działających w Polsce Ludowej w latach 1944–1947” podaje skład ścisłego kierownictwa (zarządu) Okręgu Łódzkiego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość: Kazimierz Grenda ps. „Gruda” (prezes), Zbigniew Zakrzewski ps. „Bryła” (z-ca prezesa), Gustaw Brandszteter ps. „Janeczek”, „S-2” (szef wydziału organizacyjnego i propagandowego) oraz Paweł Lewandowski. W Okręgu Łódzkim WiN funkcjonowały obwody: Pabianice, Łowicz, Koluszki, Radomsko, którymi kierowali prezesi obwodów. Miały zostać stworzone także

obwody Piotrków Trybunalski, Zduńska Wola, Częstochowa i Tomaszów Mazowiecki¹.

¹ Zmarły w 1998 r. Gustaw Brandszteter po wojnie Gustaw Grabowski (1919–1998) nie współpracował bezpośrednio ze Zbigniewem Zakrzewskim lecz z Kazimierzem Grendą. G. Grabowski ujawnił swą działalność w czasie odwilży po stalinowskiej, korzystając z ogłoszenia kolejnej amnestii, Notatki z rozmów przeprowadzonych przez autora z G. Grabowskim w Łodzi w dniach 20.10.1993 i 10.01.1994, [dalej – Not. Rozm. G. Grabowski]. Szerzej o G. Grabowskim: R. Rabiega, Gustaw Eligiusz Grabowski (1918–1998) [w:] Konspiracja i opór społeczny w Polsce 1944–1956. Słownik biograficzny, Kraków, Warszawa, Wrocław

Niektóre z przedstawionych danych zostały już pozytywnie zweryfikowane. Jednakże część tych opracowań budzi poważne wątpliwości, które trudno jest jednoznacznie wyjaśnić z powodu braku materiałów źródłowych. W oczekiwaniu na pełną monografię łódzkiego Zrzeszenia WiN, sprawą niezwykle potrzebną i wskazaną wydaje się ukazanie sylwetek animatorów łódzkiego Zrzeszenia, co – zdaniem autora – będzie niezwykle pomocne w pisaniu szerszych opracowań i monografi².

Obok prezesa łódzkiego WiN Kazimierza Grendy, znaczącą niewątpliwie postacią był Zbigniew Zakrzewski, według wspomnianego „Informatora...”, szef wywiadu WiN w Okręgu Łódzkim od marca 1946 r. Dalece prawdopodobne jest jednakże, iż funkcje organizacyjne i wywiadowcze pełnił już znacznie wcześniej³.

Zbigniew Zakrzewski urodził się 26 XII 1911 r. w Semenówce w województwie kijowskim w pow. żytomierskim. Był synem Mikołaja⁴ i Emilii

2010, t. IV, s. (195–200). Dane personalne prezesów rejonów WiN okręgu łódzkiego patrz: Informator o nielegalnych antypaństwowych organizacjach i bandach zbrojnych działających w Polsce Ludowej w latach 1944–1956, / wyd. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych – Biuro „C”/, Warszawa 1964, s. 111. J. Żelazko, Łódzki Okręg Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, „Ziemia Łódzka”, lipiec 2011, nr 6/7 (119), s. 18–19.

² Niniejsza publikacja jest poprawioną i uzupełnioną wersją przygotowaną na potrzeby konferencji naukowej o łódzkim Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość organizowanej przez łódzki Instytut Pamięci Narodowej w Zduńskiej Woli w dniu 28.09.2015 roku. Pierwszy artykuł naukowy o Z. Zakrzewskim patrz: M. Michalik, Zbigniew Zakrzewski „Bryła”, „Zeszyty Historyczne WiN-u”, 1995, nr 7, s. 41–57. Po ukończeniu prac z uzupełnionym artykułem mogę z przyjemnością zakomunikować czytelnikowi, że pracę którą wykonałem przy pierwszym artykule o Zakrzewskim 20 lat temu wytrzymała próbę czasu a materiał historyczny i tezy w niej zawarte dobrze bronią się do dziś (wrzesień 2015).

³ Według „Informatora...” do marca 1946 roku szefem łódzkiego wywiadu był Paweł Lewandowski, Informator, op.cit., s. 111. Nazwisko to nie pojawia się więcej w żadnych publikacjach, dokumentach i relacjach prasowych. Akt oskarżenia i uzasadnienie wyroku działaczy łódzkiego Zrzeszenia WiN a także relacje prasowe zawierają informację, że Z. Zakrzewski pełnił funkcję szefa wywiadu od sierpnia 1945 r. Niektóre publikacje podają, że Z. Zakrzewski już od maja 1945 r. pełnił w Łodzi funkcję dowódcy organizacji „NIE”, „Niepodległość”, patrz: Atlas Polskiego Podziemia Niepodległościowego 1944–1956, Warszawa – Lublin 2007, s. 390.

⁴ Akt uznania obywatelstwa (kserokopia z 1932 r.), przekazany autorowi przez Marcina Zakrzewskiego wnuka Romualda (brata Zbigniewa Zakrzewskiego). W niektórych zachowanych dokumentach procesowych np. Postanowieniu Najwyższego Sądu Wojskowego w Warszawie

z domu Sławek (rodzonej siostry Walerego Sławka, jednego z najbliższych współpracowników i towarzyszy Józefa Piłsudskiego). Ze wspomnień samego Zakrzewskiego dowiadujemy się o atmosferze i wychowaniu w ich domu, które miało charakter patriotyczny, pielęgnowany przez matkę⁵.

Z. Zakrzewski ukończył siedmioklasowe gimnazjum. Służbę państwową dla Zbigniewa (wojsko, potem poczta polska) i Romualda (leśnictwo) inspirował sam Walery Sławek, dla którego byli to jednak bardzo bliscy krewni choć wyraźnie nie angażował się bezpośrednio i nigdy nie interweniował wprost. W latach 1932–1934 służył w wojsku w stopniu plutonowego. Według niektórych relacji ustnych, wcześniej uczył się też w szkole kadetów. Zapewne młodzieńczy wiek, jak i koligacje rodzinne sprawiły, iż czuł się tam zbyt pewnie, przez co przysparzał swym przełożonym i dowódcom nieustannych kłopotów. Wychowawcy jednak niepotrzebnie obawiali się siostrzeńca premiera Walerego Sławka⁶. Młody Z. Zakrzewski, urażony do żywego uwagami wuja,

z dn. 28.02.1947 roku w sprawie skazanych członków łódzkiego WiN podane jest imię Michał dla ojca Z. Zakrzewskiego. Właściwym jest jednak imię Mikołaj. Nie udało się znaleźć o ojcu Zbigniewa żadnych informacji. Wieść rodzinna niesie, że Zakrzewscy, a więc i Zbigniew byli potomkami sławnego Ignacego Wyssogoty Zakrzewskiego, pierwszego konstytucyjnego prezydenta Warszawy w 1792 roku. W monografii prezydenta nie udało się odnaleźć informacji o jego potomkach. Wiadomo jedynie, że syn Ignacego miał na imię Tadeusz, por.: A. Zahorski, Ignacy Wyssogota Zakrzewski, Warszawa 1979, s. 285. Najnowsze ustalenia jakie udało się poczynić dzięki Marcinowi Zakrzewskiemu wnukowi brata Zbigniewa Romualda Zakrzewskiego pokazują, że Zakrzewscy w końcu XIX w. byli określani mianem „dworanie”, a więc szlachta, której przynależność rodowa pozostawała nieznana, M. Zakrzewski, Uzupełnienie informacji rodzinnych, wrzesień 2015.

⁵ Emilia z domu Sławek była wdową po Kazimierzu Kossowskim z którego to małżeństwa posiadała trójkę dzieci. Zbigniew (1911) i Romuald (1912) byli kolejnymi dziećmi Mikołaja i Emilii Zakrzewskich. Mikołaj Zakrzewski w stopniu porucznika zginął podczas I wojny światowej. Trzy lata później umiera także matka Emilia chora na grypę hiszpankę. Sierotami zajęła się dalsza rodzina, na początku lat 20. już poza terenem Ukrainy w Polsce centralnej. Najwierniejszą opiekunką braci Zakrzewskich była ciocia Janina Zakrzewska, nauczycielka w podwarszawskim Powsinie, M. Zakrzewski, Uzupełnienie..

⁶ M. Zakrzewski, Uzupełnienie... Notatki z rozmów przeprowadzonych przez autora z Zygmuntem Olczykiem w Łodzi w dn. 15.01 i 16.03.1994 r. [dalej – Not. Rozm. Z. Olczyk]. Z. Olczyk, żołnierz wojny polskiej 1939 roku. W obronie Warszawy ranny, w wyniku czego amputowano mu dłoń. Przyjaciół Z. Zakrzewskiego z okresu rembertowskiego i łódzkiego. W. Sławek w nielicznych wspomnieniach nie wymienił ani razu imienia Zbigniewa. Napisał natomiast o swej siostrze Emilii i jej synu Romualdzie, patrz: J. M. Nowakowski, Walery Sławek.

który przywoływał go do porządku i chciał pozbawić protekcji, miał wreszcie powiedzieć, że o nic Walerego Sławka prosić nie będzie, a zgłosi się do niego wtedy, gdy sam do czegoś dojdzie. Od tej chwili (koniec lat 20-tych) rodzinne kontakty Z. Zakrzewskiego i W. Sławka znacznie się ochłodziły i były okazjonalne. Potwierdzenie tego faktu znajdujemy także w innych relacjach i wspomnieniach⁷.

W okresie międzywojennym (od 1934 r.) Z. Zakrzewski pracował jako urzędnik pocztowy. Ponad wszelką wątpliwość można stwierdzić, że był zatrudniony w Mińsku Mazowieckim, a później przez dłuższy czas w Rembertowie, gdzie pełnił funkcję zastępcy naczelnika. Po tragicznej śmierci W. Sławka (2 IV 1939 r.) Z. Zakrzewski był jednym z jego spadkobierców. Wiadomo, iż odziedziczył po nim dworek w Raławicach, część księgozbioru, kolekcję białej broni, a także wyposażenie mieszkania. Z. Zakrzewski niewiele z tych rzeczy pozostawił sobie, przekazując zarówno dworek jak i część księgozbioru i broni białej do mającego powstać muzeum im. W. Sławka. Według relacji osób znających Z. Zakrzewskiego w tym okresie, z dość bogatego spadku pozostawił sobie wyposażenie sypialni, nieco książek i białej broni, 13 karykatur Zdzisława

Zarys biografii politycznej, Warszawa 1988, s.131. Według Stefani Krzyżak-Olczyk, siostry żony Z. Zakrzewskiego, Romuald Zakrzewski w okresie międzywojennym był leśniczym w okolicach Warszawy (Powsin). Zbigniew nie utrzymywał kontaktów z bratem, choć nie wszystko w kwestii częstotliwości kontaktów jest jasne, Notatka z rozmowy przeprowadzonej przez autora ze Stefanią Krzyżak – Olczyk w dn. 2.02.1994 r. w Warszawie, [dalej – Not. rozm. S. Olczyk]. M. Zakrzewski, Uzupełnienia...

⁷ Wspomnienia Zbigniewa Zakrzewskiego z 1939 roku, artykuł złożony do druku w piśmie „Opinia”, 2015, nr 7, wydawanego przez Instytut Historyczny Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja – Owsianego. Materiał został przygotowany w oparciu o kserokopię rękopisu Zbigniewa Zakrzewskiego znajdującą się w posiadaniu autora. Rękopis zawiera 32 strony A4 będącymi opisem przeżyć wojny polskiej 1939 roku. Autor starał się obiektywizować zdarzenia, jednakże dokument zawiera wiele bardzo emocjonalnych uwag i spostrzeżeń osobistych o przebiegu walk wrześniowych. Wspomnienia zawierają także sporo informacji o samym Zbigniewie i jego rodzinie; Not. rozm. S. Olczyk; Notatka z rozmów z Markiem Zakrzewskim zamieszkującym na stałe w Kanadzie, synem Zbigniewa, przeprowadzonych 26.09.1994 oraz kolejnych w latach 90. i pierwszej dekadzie XXI wieku, [dalej – Not. rozm. M. Zakrzewski]. Konflikt Zbigniewa z W. Sławkiem nie zmienił jego nastawienia do sławnego piłsudczyka. Po jego śmierci w 1939 r. projektował realizację muzeum Sławka w Janowiczkach koło Raławic w willi, w której towarzysz Piłsudskiego spędził ostatnie lata, M. Zakrzewski, Uzupełnienia... S. Koper, Życie prywatne elit Drugiej Rzeczypospolitej, Warszawa 2009, s. 307. Tenże (zdjęcie z pogrzebu W. Sławka), kserokopia w posiadaniu autora.

Czermańskiego oraz trudne do określenia zasoby pieniężne. W swych wspomnieniach Z. Zakrzewski napisał, że te ostatnie pozwoliły mu dokończyć edukację, założyć rodzinę, a także wspomóc rodzinę jego żony⁸.

Po wybuchu II wojny światowej Z. Zakrzewski, podobnie jak tysiące innych urzędników państwowych, otrzymał rozkaz ewakuacji na wschodnie krańce Polski. Z tego okresu zachowały się jego wspomnienia w formie rękopisu. Treść owego pamiętnika, momentami napisanego bardzo emocjonalnie, jest przesycona głęboką goryczą doznanych klęsk, niemocą w obliczu wroga i konstatacją smutnego faktu osamotnienia Polski we wrześniu 1939 r. Najwięcej jednak krytycznych uwag autor skierował pod adresem dowódców polskich kierujących działaniami wojennymi. W sposób bardzo ostry napiętnował postawę polskich oficerów-rezerwistów. Podczas ewakuacji we wrześniu 1939 r., Z. Zakrzewski dojechał wraz z innymi pracownikami poczty rembertowskiej do miasta Kowel. Nie mając dalszych rozkazów, zdecydowali się wszyscy powrócić do Warszawy⁹. Po zakończeniu wojny polskiej 1939 roku, Z. Zakrzewski wykonywał różne prace, np. zimą tegoż roku wywoził gruz z Warszawy na pożyczonej furmance. Podobnie jak miliony Polaków w tym czasie, starał się zdobywać żywność. W tym trudnym okresie, 26 XII 1939 r. poślubił Jadwigę Krzyżak, poznaną w 1938 roku.

Brak jest pewnych i niepodważalnych informacji co do ówczesnego przydziału organizacyjnego Z. Zakrzewskiego w tworzącym się spontanicznie podziemiu antyhitlerowskim. Na podstawie relacji można przyjąć, że Z. Zakrzewski już od pierwszych okupacyjnych dni zajmował się wywiadem, początkowo zbierając materiały i informacje dla podziemia. Już wówczas wykorzystywał do pracy wywiadowczej posiadany aparat fotograficzny i umiejętności nabyte jeszcze przed wojną. Wiadomo, że utrwalił na zdjęciach akcję rozbiórki pomnika Fryderyka Chopina w Warszawie i egzekucję na polskich zakładnikach wykonaną przez Niemców w Rembertowie. Z. Zakrzewski w początkowym okresie okupacji pracował nadal na rembertowskiej poczcie dokonując niejednokrotnie przeglądu korespondencji, organizując przerzut przesyłek i paczek dla polskiego podziemia antyniemieckiego¹⁰.

⁸ Wspomnienia Z. Zakrzewskiego...; Not. rozm. S. Olczyk.

⁹ Tamże; Not. rozm. Z. Olczyk.

¹⁰ Not. rozm. S. Olczyk; Świadek ślubu (kserokopia w posiadaniu autora).

W 1944 r. Niemcy przeprowadzili rewizję w domu Z. Zakrzewskiego w Rembertowie. Najprawdopodobniej bezpośrednim powodem najścia Niemców był dość demonstracyjny pobyt w tym mieszkaniu znajomego Z. Zakrzewskiego – „Jurka” (imię i nazwisko nie znane), przebranego w mundur oficera niemieckiego. Podczas rewizji gestapo znalazło ukrytą pod stołem broń, do posiadania której przyznał się „Jurek”. Niemcy znaleźli także meldunki z nasłuchu radiowego, które na skutek wyjaśnień Z. Zakrzewskiego poczytali za jego notatki ekonomiczne. „Jurek” został aresztowany przez gestapo, natomiast Z. Zakrzewskiego osadzono w rembertowskiej fabryce „Pocisk”, która spełniała również rolę obozu pracy.

Wspomniane meldunki radiowe trafiły do właściwego adresata, którego Zakrzewski wskazał siostrze swojej żony¹¹.

Okres powstania warszawskiego zastał Z. Zakrzewskiego w Rembertowie, na co złożyło się wiele przyczyn. Obiegowe informacje krążące wśród żołnierzy podziemia nie wykluczały, że przyszły zryw powstańczy obejmie swym zasięgiem także okolice Rembertowa. Znacznie późniejsze wyjaśnienia Z. Zakrzewskiego wskazują, iż miał on świadomość wagi wykonywanej przez siebie pracy (misji) w Rembertowie. Nie można wykluczyć także i takiej wersji, że Z. Zakrzewski wykonywał po prostu rozkaz przełożonych nakazujących mu dalsze wykonywanie działań wywiadowczych w okolicach Rembertowa¹².

Po wejściu Armii Czerwonej do Warszawy i jej przejściu dalej na zachód, rozpoczął się dla Z. Zakrzewskiego okres szczególnie aktywnej pracy w strukturach podziemia. Opinia taka jest być może nie do końca precyzyjna, gdyż zaciążył na niej i ten fakt, że okres po wkroczeniu wojsk radzieckich jest znacznie lepiej udokumentowany jeśli chodzi o działalność Z. Zakrzewskiego. W początkach 1945 r., zimą, Z. Zakrzewski został aresztowany przez NKWD. Brak jest pewnych informacji o przyczynach i czasie trwania jego zatrzymania. Niemniej udało mu się z tej opresji wyjść bez żadnych strat¹³.

¹¹ Not. rozm. S. Olczyk; Not. rozm. Z. Olczyk.

¹² Tamże; Notatka z rozmowy przeprowadzonej przez autora z Januszem Paszko w dn. 2.02.1994 r. w Ryńu k. Warszawy, [dalej – Not. rozm. J. Paszko]. J. Paszko – żołnierz września 1939 r., uczestnik Powstania Warszawskiego, drugi mąż Jadwigi Zakrzewskiej.

¹³ Not. rozm. S. Olczyk. Trudno jest to zdarzenie jednoznacznie zinterpretować. Moim

Zbigniew Zakrzewski większość działań związanych z konspiracją prowadził poza miejscem zamieszkania, chroniąc w ten sposób żonę i jedynego syna Marka, który urodził się 25 IX 1941 r. Małżeństwo z Jadwigą, młodszą od niego o 10 lat nie ułożyło się dobrze. Z. Zakrzewski rozstał się z żoną bez konfliktów, zachowując dla niej niezmiennie uczucie miłości. Jadwiga odwzajemniała się byłemu mężowi dużym szacunkiem, który mógł każdorazowo odczuć przy okazji wizyt i spotkań z synem¹⁴.

Chcąc przybliżyć postać Zakrzewskiego należy przedstawić jego sylwetkę. W 1945 r. Z. Zakrzewski miał 34 lata. Był szczupłym szatynem noszącym włosy zaczesane do góry lub ścięte na krótkiego jeża. Miał około 176 cm wzrostu, nosił okulary. Osoby żyjące do dziś [do niedawna – dop. M. M.], a pamiętające Z. Zakrzewskiego twierdzą, iż był on człowiekiem bardzo rodzinnym, skromnym i uczynnym, o dużym poczuciu humoru i niezwykle łatwym w nawiązywaniu kontaktów towarzyskich. Był zrównoważony i przyjaźnie nastawiony do ludzi. Mimo braku wykształcenia wyższego, był wszechstronnie odczytany, potrafił udowadniać swoje racje w fachowych dyskusjach. Perfekcyjne posługiwanie się językiem rosyjskim było jego ogromnym atutem w działalności konspiracyjnej lat 1945–1946. Z. Zakrzewski potrafił grać na gitarze i chętnie śpiewał na spotkaniach towarzyskich „dumki” ukraińskie. Miał wielostronne zainteresowania: interesował się czynnie sportem motorowym, fotografowaniem, obdarzony był również zdolnościami malarskimi. Jak sam siebie określił – „był życiowym optymistą”¹⁵.

Jeszcze w okresie rembertowskim (1945) rozegrały się dość tajemnicze wydarzenia, z których Z. Zakrzewski wyszedł szczęśliwie obronną ręką. Zakrzewski współpracował w konspiracji w Rembertowie z Mirosławą Łukomską zamiesz-

zdanem, Zakrzewski wykorzystywał świetną znajomość języka rosyjskiego i przedstawiał się w sytuacjach niebezpiecznych jako agent tzn. dla potrzeb Rosjan jako ten, który ma za zadanie rozpracowywać wrogie podziemie zbrojne. Być może ciąg dalszy owego zdarzenia i potwierdzenia tej interpretacji stanowi opis zrelacjonowany w latach 90. przez Bronisławę Borowską – Zwiewka. Opis dotyczył relacji Z. Zakrzewskiego prawdopodobnie o tym samym zdarzeniu, List Bronisławy Borowskiej – Zwiewka do autora z dn. 12.09.1994., [dalej – List B. Borowskiej]. Szerzej patrz w dalszej części tekstu.

¹⁴ Not. rozm. Z. Olczyk; Not. rozm. S. Olczyk.

¹⁵ Tamże; Not. rozm. M. Zakrzewski; Wspomnienia Z. Zakrzewskiego...

kałą przy ulicy Obrońców 11. W innym rembertowskim mieszkaniu, u pani Danusi (nazwisko nieznane), znajdowała się skrzynka kontaktowa podziemia, którą namierzyło NKWD, zakładając tzw. kocioł. Niezależnie od założonego przez bezpiekę radziecką „kotła”, w mieszkaniu owym był czasowo zakwaterowany radziecki pułkownik NKWD. Żołnierze NKWD o punkcie kontaktowym podziemia nic nie znaleźli. Mieszkanie było chwilowo czyste, ale gospodyni było wiadomo, iż wkrótce ma się zjawić u niej osoba o pseudonimie „Dźordż” i zostawić przesyłkę. Przybyła do punktu kontaktowego nieco za wcześniej M. Łukomską, NKWD aresztowało. Zatrzymano także panią Danusię, która jednak dość szybko została zwolniona i przebywała w mieszkaniu wraz z funkcjonariuszami NKWD. Następnego dnia, po zwolnieniu pani Danusi, do mieszkania przyszedł Z. Zakrzewski i nie reagując na jej ostrzeżenia w drzwiach, wszedł prosto do pokoju gdzie zamieszkiwał pułkownik NKWD (pozostali enkawudziści przebywali w głębi mieszkania). Konsternacja gospodyni domu była jeszcze większa, gdy po 15 minutach rozmowy w pokoju, obaj panowie wyszli z domu i udali się wspólnie w nieznanym kierunku¹⁶. Pewne światło na to zagadkowe wydarzenie rzuca być może relacja innego świadka, który współpracował z Z. Zakrzewskim. Według niej Zakrzewski został aresztowany przez NKWD. Zgodził się dostarczyć adres tajnej radiostacji i na tej podstawie został zwolniony z aresztu. Po wyjściu z więzienia szybko zorientował się, że jest obserwowany przez tajniaków. Idąc ulicami miasta podchodził do kiosków i sklepów pytając, gdzie mieści się tajna radiostacja. Śledzący go szybko rozszyfrowali jego postępowanie i już wkrótce oznajmiono mu, „że nie chcą z nim współpracować, bo tylko psuje robotę”. Nie można wykluczyć, że relacje te, zasłyszane od samego Z. Zakrzewskiego dotyczą dwóch różnych zdarzeń¹⁷.

Okręg Łódzki WiN był jedną ze składowych Obszaru Centralnego Zrzeszenia, którego pierwszym prezesem był ppłk Józef Rybicki ps. „Andrzej”. On to właśnie zdecydował o mianowaniu prezesem łódzkiego WiN Kazimierza Grendę ps. „Gruda”, zasłużonego działacza Szarych Szeregów z okresu okupacji niemieckiej. Rola Z. Zakrzewskiego w zarządzie łódzkiego WiN nie była do końca

¹⁶ Not. rozm. Z. Olczyk.

¹⁷ Not. rozm. S. Olczyk.



2. Marek Michalik (z fotografią Broni Rubinowicz Piotrowskiej) i syn Marek Zakrzewski z Krzyżem Komandorskim przyznanym pośmiertnie przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego. W tle siedziba UBP w Łodzi, gdzie został rozstrzelany Zbigniew Zakrzewski.

jasna¹⁸. Podobnie jak K. Grenda został on przysłany do Łodzi z Warszawy, prawdopodobnie przez J. Rybickiego. Sentencja wyroku stwierdza, iż Z. Zakrzewski podlegał bezpośrednio „szefowi wywiadu” Obszaru Centralnego i z nim współpracował na stałe. Kim był jego bezpośredni zwierzchnik w Obszarze Centralnym w pierwszym okresie działalności w Łodzi, nie sposób ustalić. Być może w tym pierwszym etapie, na przełomie 1945 i 1946, Z. Zakrzewski był związany i współpracował z komórką informacyjną „Liceum”, kierowaną przez Barbarę Sadowską ps. „Barbara”. Sieć wywiadowcza przekazywała informacje i raporty do II Korpusu gen. W. Andersa. Bolesław Zieleniewski, jeden z oskarżonych w procesie „Liceum” toczącym się w lipcu 1947 r. zeznał, że po areszto-

¹⁸ List B. Borowskiej; K. Grenda został przysłany do Łodzi w sierpniu 1945 roku, patrz; J. Żelazko, Proces prof. Stanisława Gorzuchowskiego przed WSR w Łodzi, „Pamięć i Sprawiedliwość”, 2002, rr 2, s. 199, M. Michalik, Kazimierz Grenda (1906–1959), [w:] Konspiracja i opór społeczny w Polsce 1944–1956, Słownik biograficzny, t. 1, s.142–145. Należy także pamiętać, iż wg „Atlasu Polskiego Podziemia...”(s. 390), Z. Zakrzewski był d-cą organizacji NIE – Niepodległość na terenie okręgu łódzkiego już od maja 1945 roku a od września (lub sierpnia) tegoż roku jego działania były podporządkowane prezesowi K. Grendzie. Dotychczas nie udało się znaleźć innych potwierdzeń pobytu Z. Zakrzewskiego w Łodzi pomiędzy majem a sierpniem 1945 roku.

waniu „Barbary” otrzymywał jakiś czas rozkazy i instrukcje „od Zakrzewskiego”, którego jednak bezpośrednio nie znał. W żadnym z dostępnych dotychczas dokumentów czy publikacji nie odnaleziono pewnego śladu współpracy Z. Zakrzewskiego z siecią wywiadowczą „Liceum”, a więc owe zeznania na procesie można traktować jedynie jako hipotezę i to niestety dość nikłą¹⁹.

Z. Zakrzewski niewątpliwie współpracował z działaczami struktur podziemnych WiN Obszaru Centralnego. Prasa łódzka komentująca w styczniu 1947 r. proces łódzkich działaczy WiN donosiła, że „Bryła” spotkał się w Łodzi w lokalu konspiracyjnym (Piotrkowska 200) z Kazimierzem Czarnockim ps. „Kazik”, „X-2”, „Kapitan”, który w III Zarządzie Głównym (ZG) WiN, kierowanym przez Wincentego Kwiecińskiego, był drugim zastępcą prezesa ds. polityczno-wychowawczych²⁰. Z. Zakrzewski posiadał także najprawdopodobniej kontakt z Brygadami Wywiadowczymi kierowanymi przez Edwarda Bzymka-Strzałkowskiego w II ZG WiN²¹.

Okres łódzki działalności Z. Zakrzewskiego był etapem niewątpliwie najciekawszym, zarówno z racji dużej aktywności „Bryły” jak i różnorodności form jego działania przeciw systemowi komunistycznemu. Wiedza o tamtych zdarzeniach pochodzi z relacji prasowych, z procesu członków łódzkiego WiN, niektórych dokumentów sądowych oraz spisanych relacji żyjących świadków,

¹⁹ Ludzie z manowców politycznych i moralnych. Pierwszy dzień procesu grupy „Liceum”. Zeznania Barbary Sadowskiej i Zieleniewskiego, „Głos Ludu”, 10.07.1947, nr 187, s. 3. Szerzej na temat Zrzeszenia WiN w ujęciu prasowym patrz: M. Michalik, Zrzeszenie WiN w świetle wybranych tytułów prasy centralnej z lat 1945–1947, praca magisterska napisana pod kierunkiem dr J. Chańko w Katedrze Nauk Pomocniczych Historii Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1993, s. 257–258 oraz Tenże, Wizerunek Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość w wybranych tytułach prasy centralnej w latach 1945–1947. Część I i II, „Zeszyty Historyczne WiN-u”, nr 12, s. 5–42 (cz. I), nr 13, s. 5–62 (cz. II).

²⁰ Według J. Kurtyki, K. Czarnocki pełnił również podobne zadania i funkcje na szczeblu Obszaru Centralnego WiN, J. Kurtyka, na szlaku AK/NIE, DSZ, WiN/, „Zeszyty Historyczne”, 1990, z. 94, s. 41.

²¹ Przekonuje o tym analiza stenogramu procesu krakowskiego WiN i relacji prasowych z tego procesu, R. W.[erfel], Impresje z procesu krakowskiego, „Głos Ludu”, 16.08.1947, nr 224, s. 1; WiN i UPA we wspólnej walce przeciw Polsce Ludowej. Ujawnienie korespondencji WiN z banderowcami, „Głos Ludu”, 16.08.1947, nr 224, s. 1, 3; Proces krakowski. Niepokólczycki, Mierzwa i inni przed sądem Rzeczypospolitej, Warszawa 1947, s. 72.

m.in. rodziny, znajomych i współpracowników. Po 2000 roku powstało też sporo publikacji napisanych przez pracowników IPN.

Wspomniano powyżej, iż w różnego rodzaju publikacjach przypisuje się Z. Zakrzewskiemu, że był zastępcą K. Grendy, a jednocześnie szefem łódzkiego wywiadu WiN. Określenie i przypisanie wprost funkcji – „szef wywiadu” – jest dość zaskakujące, gdyż unikano tego typu określeń ze zrozumiałych powodów (propagandowych, politycznych, a przede wszystkim bezpieczeństwa). Polskie podziemie niepodległościowe, w tym także i Zrzeszenie WiN, starało się w przypadku określenia tego typu funkcji bądź prac, stosować termin – „prezes” czy „informacja”. Wielu skazywanych w procesach działaczy WiN było oskarżanych o prowadzenie wywiadu i szpiegostwo. Za to też w istocie otrzymywali wyroki. Bodaj żaden jednak spośród nich nie miał przy określeniu swej funkcji bądź przydziału organizacyjnego podanej informacji – szef wywiadu. Zapewne w ocenie aparatu komunistycznego, w szczególności zaś funkcjonariuszy UBP, Z. Zakrzewski na to określenie w pełni zasłużył. Rozbudowana przez niego sieć informatorów obejmowała swym zasięgiem szereg strategicznych urzędów i placówek nowej władzy, w pierwszym rządzie – Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego (WUBP) w Łodzi ale także wojewódzką Komendę Milicji Obywatelskiej (WKMO).

Wspomniany już akt oskarżenia wymienia dane trzech osób zatrudnionych w łódzkim WUBP, a przekazujących „Bryle” informacje. Szczególnie cenne pochodziły od zatrudnionego w tym urzędzie referenta – Czesława Stachury. Dostarczał on nie tylko ważnych informacji, ale także wnosił z WUBP teczki dokumentów operacyjnych, instrukcje i zarządzenia UB, akta dochodzeń, dane operacyjne agentów itp., które następnie były fotografowane i w tej formie przekazywane do Obszaru Centralnego WiN. Z. Zakrzewski znał Cz. Stachurę osobiście. Jako pierwsza poznała go Bronisława Borowska – jedna z najbliższych współpracowniczek „Bryły”. Wiadomo ponad wszelką wątpliwość, że Cz. Stachura zakochał się w młodziutkiej i bardzo pięknej B. Borowskiej. Nie ma przekazów o tym, kiedy referent WUBP zdecydował się podjąć współpracę z podziemiem. Według niektórych relacji w 1946 r., kiedy było zbyt mało czasu aby zawiadomić Z. Zakrzewskiego o mających nastąpić

ważnych zdarzeniach i uzyskać od niego rozkaz, Cz. Stachura niejednokrotnie samodzielnie podejmował decyzję i powiadamiał osoby, którym groziło aresztowanie przez bezpiekę. Na jego polecenie podobne zadania wykonywała także B. Borowska²², „Bryła” wysoko oceniał działalność Cz. Stachury. W czasie gdy był już aresztowany, miał powiedzieć swemu więziennemu towarzyszowi, że to dzięki Stachurze „cała działalność UB w Łodzi była nam [Zrzeszeniu WiN – dop. – Marek Michalik] w większości znana. Niestety przypadek, którego trudno uniknąć, zaprowadził Stachurę na śmierć. Drogo zapłacił za słowo honoru Moczała”, Inaczej tę sprawę interpretuje B. Borowska uznając że wypadka nastąpiła na skutek działania wtyczki UB w Zrzeszeniu WiN na szczepku Obszaru²³. Wypowiedź „Bryły” w sposób pośredni sygnalizuje pewien scenariusz zdarzeń. Zostanie on jeszcze omówiony przy okazji opisu okoliczności aresztowania Z. Zakrzewskiego.

Z. Zakrzewski miał także innych współpracowników zatrudnionych w MO i UB. W uzasadnieniu do wyroku w procesie działaczy łódzkiego zarządu WiN stwierdzono, że „Bryła” osobiście zwerbował do współpracy Halinę Piotrowską, pracownicę Wojewódzkiej Komendy Milicji Obywatelskiej (WKMO) w Łodzi. Dostarczała ona wiadomości z terenu komendy, meldunki służbowe z województwa oraz rozkazy Komendy Głównej. H. Piotrowska została

²² O B. Borowskiej patrz szerzej w dalszym ciągu tekstu. Nie wiemy czy uczucie Cz. Stachury było szczerze odwzajemnione. B. Borowska zeznając jako świadek w procesie Cz. Stachury na tak postawione pytanie sędziego miała powiedzieć, że „chyba tak”. Dalej według niej miało wyglądać to tak: „Na to sędzia ostro spytał co to znaczy chyba. Odpowiedziałam głośno i wyraźnie – tak. Wówczas oskarżyciel w ogromnym zdenerwowaniu zaczął wykrzykiwać, że to jest oczywiste, że takiego zdrajcy nie można kochać i prowadził swoje wywody dość długo. Ponieważ mowa jego była w tonie ostrym więc po prostu nie miałam odwagi wystąpić z zaprzeczeniem tych jego wywodów. Tak prawdopodobnie powstała fama, że nie kochałam Stachury”, List B. Borowskiej (2) do autora z 7.02.1995 [dalej – List B. Borowskiej (2)]; T. Lenczewski, Skazany przez swoich, „Karta”, 1992, nr 9, s. 100. B. Borowska poznała Cz. Stachurę w Łodzi przy ulicy Andrzeja 36 (zakład krawiecki), List B. Borowskiej; Akt oskarżenia i wyrok wraz z uzasadnieniem z procesu działaczy łódzkiego Zarządu WiN; Patrz także: T. Telma, Z dziejów walk z podziemiem w województwie łódzkim w latach 1945–1947, maszynopis w zbiorach Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1966, s. 238–244.

²³ T. Lenczewski, op. cit., s. 106. Akta Czesława Stachury zaginęły. W jego sprawie patrz także: Ł. Socha (M. Turlejska), te pokolenia żałobami czarne... Skazani na śmierć i ich sędziowie 1944–1954, wyd. NOW-a, Warszawa 1986, s. 274.

aresztowana po zatrzymaniu działaczy WiN. Informatorem Z. Zakrzewskiego z terenu WKMO w Łodzi miał być także oficer śledczy wydziału specjalnego – chorąży Stanisław Łuczak. Jego nazwisko zostało wymienione jedynie w akcie oskarżenia. Wymienieni współpracownicy związani z UB i MO, dostarczali informacji, których znaczenie trudno byłoby przecenić. Pozwalały one działaczom łódzkiego WiN wyprzedzać wiele posunięć i działań komunistycznych organów ścigania²⁴. Właśnie ten zarzut był stawiany i eksponowany wobec „Bryły” wielokrotnie. Pisano o nim zarówno w akcie oskarżenia, w wyroku jak i w wielu relacjach prasowych z procesu, także w dziennikach centralnych. Tytuły relacji prasowych z procesu łódzkiego WiN w niektórych gazetach centralnych, wysuwały na plan pierwszy fakt, że Zakrzewski był siostrzeńcem Walerego Sławka²⁵.

Jednym ze współpracowników „Bryły”, jednocześnie współoskarżonym w procesie łódzkim, był profesor Stanisław Gorzuchowski, topograf i wykładowca Szkoły Głównej Handlowej w Łodzi. S. Gorzuchowski zeznał w procesie, że kontakt z Zakrzewskim nastąpił za pośrednictwem wspomnianego wcześniej prezesa Obszaru Centralnego J. Rybickiego. W uzasadnieniu do wyroku stwierdzono, że S. Gorzuchowski ps. „Salwator” bezpośrednio współpracował z szefem wywiadu łódzkiego WiN. Profesor Gorzuchowski jako jedyny oskarżony w procesie łódzkiego WiN, nie przyznał się do winy i zarzucanych mu czynów. Do końca zaprzeczał, iż współpracował z WiN,

²⁴ Halina Piotrowska przekazywała Zakrzewskiemu odpisy telefonogramów, charakterystyki pracowników MO oraz różnego rodzaju rozkazy i instrukcje w większości tajne. B. Borowska siedziała z Piotrowską w celi, według niej wcześniej była sierotą a jej aresztowanie nastąpiło trzy tygodnie po ślubie, List B. Borowskiej. W akcie oskarżenia działaczy łódzkiego zarządu WiN istnieje następujący zapis: „Oskarżony (Zakrzewski) nie tylko przekazywał uzyskane informacje tajne do kierownictwa WiN, lecz w wypadkach pilnych we własnym zakresie bezpośrednio paraliżował akcje władz bezpieczeństwa stosując zastraszanie itp. Jak na przykład gdy władze bezpieczeństwa w Łodzi weszły na trop obcego wywiadu, osk. Zakrzewski dowiedziawszy się o tym przedsięwziął kroki celem ostrzeżenia agenta obcego wywiadu”. Spośród tytułów prasowych tylko „Głos Robotniczy” powieścił tę informację, por.: Najemni oszczercy, szpiegdy i dywersanci. Łódzki sztab WiN-u – współpracujący z PSL-em – stanął przed sądem, „Głos Robotniczy”, 14.01.1947, nr 13, s. 2.

²⁵ Siostrzeniec Walerego Sławka i profesor uniwersytetu łódzkiego w komendzie łódzkiej WiN, „Głos Ludu”, 15.01.1947, nr 14, s. 6.

lecz zarówno prokurator jak i komentująca proces prasa, określiła go mianem „typowego informatora” Zbigniewa Zakrzewskiego, który gdy nie dostarczał materiału, był przez niego przynaglany²⁶. Stanisław Gorzuchowski, być może, nie był zaprzysiężonym członkiem WiN. Z pewnością musiał jednak wiedzieć, że zarówno J. Rybicki, jak i Z. Zakrzewski byli działaczami niepodległościowymi i dla nich właśnie wyraził gotowość przekazywania informacji i pisanie artykułów. Wiadomości te dotyczyły spraw gospodarczych i nastrojów wśród młodzieży na łódzkich wyższych uczelniach. Najważniejszymi informacjami były jednak te, które uzyskiwał jako członek mieszanej Komisji Delimitacyjnej Polsko-Radzieckiej. Chodziło m.in. o rozlokowanie jednostek wojska w pasie przygranicznym (18 Dyw. WP), ich stanu liczebnego i obsady personalnej kadry wojskowej. Według relacji „Dziennika Łódzkiego” przekazał także tego samego typu informacje o polsko-radzieckiej wojskowej kompani ochronnej, która w lecie 1946 r. zabezpieczała w województwie białostockim prace Komisji Delimitacyjnej. Dodatkowo miał również zebrać i przekazać wiadomości o działaniach mjr. „Łupaszki” (Zygmunta Szendzielorza) z tego samego terenu. Profesor Gorzuchowski podczas rozprawy twierdził, że zaprzestał współpracować z „Bryłą” stosunkowo wcześniej. Jednak z niektórych relacji wynika, że kontakty te trwały niemal do chwili aresztowania w listopadzie 1946 r. Potwierdzają to także późniejsze badania historyczne²⁷.

Najbardziej zaufanymi współpracownikami Z. Zakrzewskiego w Łodzi były siostry Helena i Bronisława Borowskie zamieszkałe przy ul. Piotrkowskiej 200. Helena Borowska, odznaczona za pracę konspiracyjną Krzyżem Walecznych

²⁶ Józef Rybicki ps. „Andrzej” został aresztowany 22.12.1945 r. We wspomnieniach „Andrzej” nie odnotował nazwiska (pseudonimu) Zakrzewskiego ani Gorzuchowskiego, J. Rybicki, Rok 1945, „Zeszyty Historyczne”, 1987, z. 82, s. 19–40. Po warszawskiej – łódzka komenda WiN stanęła przed sądem wojskowym, „Dziennik Łódzki”, 9.01.1947, nr 8, s. 4.

²⁷ Propaganda, która pchała do zbrodni. Przywódca łódzkiej komendy WiN-u przed sądem w Łodzi, „Dziennik Łódzki”, 14.01.1947, nr 13, s. 2. J. Paszko stwierdził, że z polecenia „Bryły”, jeszcze wczesną jesienią 1946 roku kontaktował się z osobami zatrudnionymi w Komisji Delimitacyjnej, Not. rozm. J. Paszko. Także Joanna Żelazko z łódzkiego IPN jednoznacznie stwierdza, że St. Gorzuchowski „aktywną działalność konspiracyjną prowadził do 10 listopada 1946 r. tj. do chwili aresztowania”, J. Żelazko, Uczony, którego zabrakło. Stanisław Gorzuchowski (1898 – 1948), maszynopis w posiadaniu autora, s. 5.

i Krzyżem Zasługi, była łączniczką „Bryły” z Obszarem Centralnym. Przewoziła ona do Warszawy comiesięczne raporty Z. Zakrzewskiego, kontaktowała się z łączniczką K. Czarnockiego „Adą” oraz dowoziła do Okręgu Łódzkiego WiN nowe instrukcje, ulotki i prasę konspiracyjną. Bronisława Borowska, wówczas 24-letnia uczennica liceum, pełniła rolę informatorki i łączniczki. Jej niezwykła uroda pomagała nawiązywać liczne kontakty. To właśnie dzięki niej udało się zwerbować sierżanta Czesława Stachurę. Według relacji prasowych z procesu sióstr Borowskich, jak również współczesnych wspomnień B. Borowskiej, w ich mieszkaniu na Piotrkowskiej często przebywał Z. Zakrzewski (według prasy zamieszkiwał tam od lutego do maja 1946 r.)²⁸. W tym właśnie mieszkaniu, w czerwcu 1946 r., doszło do spotkania z zastępcą prezesa Obszaru Centralnego WiN – K. Czarnockim, a także do rozmów nieznanych z nazwisk przywódców lokalnych WiN, Konspiracyjnego Wojska Polskiego (KWP) i Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ), określonych jako komitet porozumiewawczy²⁹.

We wspomnianym procesie sióstr Borowskich oskarżeni byli także Stanisław Pisarski, drogomistrz z wydziału drogowego w Pabianicach (według aktu oskarżenia – informator WiN) oraz Jan Uzwiń (Uzwiń) vel Majewski, kupiec z Warszawy, z pochodzenia Ukrainiec, który według B. Borowskiej

²⁸ Według B. Borowskiej spotkania sióstr Borowskich z Zakrzewskim były „częste, prawie codzienne”, nie było to jednak zamieszkiwanie, List B. Borowskiej.

²⁹ W pierwszej wersji artykułu o Z. Zakrzewskim (Zbigniew Zakrzewski „Bryła”, „Zeszyty Historyczne WiN-u”, 1995, z. 7, s. 41- 57) napisałem o siostrach Borowskich pewnie dla podkreślenia wagi ich działalności, iż były „etatowymi i najbardziej zaufanymi współpracowniczkami Z. Zakrzewskiego w Łodzi”. Już po oddaniu tekstu do druku otrzymałem ostatni list od B. Borowskiej – Zwiewka, że za swoją działalność żadnego wynagrodzenia nie pobierały. Wykreślałam więc słowo „etatowymi” choć już wówczas nie było ono użyte w rozumieniu finansowym, List B. Borowskiej (2). W mieszkaniu Borowskich miał swoją skrzynkę kontaktową także K. Grenda, po aresztowaniu nauczyciela Perzyny, Łączniczka szefa wywiadu WiN Zakrzewskiego przed sądem, „Dziennik Łódzki”, 14.02.1947, nr 45, s. 6. Po warszawskiej łódzka komenda... op. cit, s.4; List B. Borowskiej. Spotkanie „komitetu porozumiewawczego” to prawdopodobnie spotkanie z marca 1946 r. w Łodzi na Piotrkowskiej 200 w mieszkaniu sióstr Borowskich, w którym wziął udział także płk Wincenty Kwieciński w ramach budowy wspólnej reprezentacji podziemia niepodległościowego, A. Gałęzowski, A.K., Kunert, Wincenty Jerzy Kwieciński (1916 -1984), [w:] Konspiracja i Opór Społeczny w Polsce 1944 – 1956, Słownik biograficzny, Kraków-Warszawa-Wrocław 2007, t. III, s. 304.

pracował jako tłumacz w NKWD. Był on oskarżony o przynależność do WiN, kolportaż ulotek od sierpnia do listopada 1946 r. Zarzucano mu również, że otrzymał rozkaz (polecenie) utworzenia dziesięcioosobowej grupy bojowej, mającej za zadanie likwidację działaczy demokratycznych. Sylwetka J. Uzwija, jego rola i dalsze działania były dość tajemnicze i nasuwają dzisiaj wiele wątpliwości w ocenie jego rzeczywistej roli w organizacji, choć wiele jednak wskazuje, że jego rola była pośrednia i przypadkowo znalazł się w samym centrum działań Zrzeszenia WiN w Łodzi³⁰. Brak jest niepodważalnych dowodów, czy wymienione powyżej osoby bezpośrednio współpracowały z „Bryłą”. Niemal z całą pewnością można stwierdzić, że Z. Zakrzewski spotykał się z J. Uzwijem, choć według relacji świadka jednego ze spotkań, nie darzył go zaufaniem. Jest dalece prawdopodobne, że wymienione osoby wchodziły w skład siatki współpracowników „Bryły”. Sam Zakrzewski miał w śledztwie potwierdzić, że Uzwij dostarczał WiN informacji o planowanych aresztowaniach wśród członków podziemia niepodległościowego, ale mogło to wynikać z taktyki przyjętej w śledztwie iż główni oskarżeni przyznawali się tylko do tych spraw które bezpiece były już dobrze znane. Uzwij przyznał się więc jego wersja została przez Zakrzewskiego potwierdzona. Natomiast sam

³⁰ Na imieninach B. Borowskiej w 1946 r. był obecny również nieznany człowiek (świadkowie uważali go za człowieka z wojska milicji lub UB). Jego zaproszenie na uroczystości w gronie dobrych znajomych wynikało z planu Z. Zakrzewskiego. O specjalnym gościu wiemy jedynie tyle, że był to wysoki, szczupły i bardzo przystojny mężczyzna mówiący ze wschodnim akcentem. Przedstawiał się jako „Janusz”. Z. Olczyk widywał później „Bryłę” z owym człowiekiem w kawiarni. Świadkiem takich spotkań była także S. Olczyk. Po aresztowaniu i procesie Z. Zakrzewskiego, „Janusz” miał powiedzieć do Z. Olczyka: „Ładny Zbyszek! Pan major kontrwywiadu angielskiego”, Not. rozm. Z. Olczyk; Not. rozm. S. Olczyk. Według relacji B. Borowskiej nieznaną osobą zaproszoną na imieniny był właśnie Jan Uzwij. Według niej tenże nigdy do organizacji nie należał. Napisała dalej: „Ponieważ w latach 1944–1945 był tłumaczem NKWD więc traktowaliśmy go jak wroga. Wpadł w „kocioł” u nas w mieszkaniu. W śledztwie bito go by się przyznał do przynależności w WiN-ie. Dla uniknięcia bicia stworzył sobie bajeczkę o kontaktach z WiN-em oraz o kolportowaniu prasy winowskiej, a także o zamiarze stworzenia jakiegoś oddziału bojowego w celu likwidacji komunistów. W sądzie na rozprawie wyjaśnił całą historię jaką sam wymyślił”, List B. Borowskiej; List B. Borowskiej (2); J. Żelazko, Proces kierownictwa Okręgu Łódzkiego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Łodzi, [w:] Wojskowy Sąd Rejonowy w Łodzi, red. J. Wróbel, J. Żelazko, Warszawa 2004, s.43.

wyrok jak i informacje B. Borowskiej zdają się świadczyć, iż bardziej prawdopodobna jest wersja przeciwna³¹.

Brak jest wiarygodnych przekazów i dowodów dotyczących czasu i okoliczności przybycia Z. Zakrzewskiego do Łodzi. Wiadomo, że późną jesienią 1945 r. „Bryła” był już w Łodzi. Właśnie wówczas, wraz z żoną Jadwigą, synem Markiem i Januszem Paszko, byli gośćmi na chrzcinach syna Zygmunta Olczyka, prowadzącego w Łodzi restaurację „Ojców” przy ulicy Abramowskiego³². Nie było to z pewnością pierwsze spotkanie Z. Olczyka i Z. Zakrzewskiego po wcześniejszych okupacyjnych kontaktach w Rembertowie. Małżeństwo Zbigniewa i Jadwigi nie układało się najlepiej. Według niektórych informacji żona Zakrzewskiego już w lipcu 1944 r. przeniosła się do Sulejówka. Prawdopodobnie od sierpnia 1945 r. jakiś czas mieszkali jeszcze razem w Łodzi przy ulicy Kościuszki 60 (dom „Czytelnika”). Wspólnie z rodziną Z. Zakrzewskiego mieszkali tam także: Janusz Paszko oraz dziewczynka – Bronia Rubinowicz-Piotrowska – Żydówka, która podczas okupacji uciekła z transportu kolejowego. Z. Zakrzewski zabrał Bronię w 1942 r. z Powsina koło Warszawy od swej kuzynki nauczycielki Zakrzewskiej. Był to wynik zagrożenia aresztowaniem po przypadkowej wizycie niemieckiego oficera w szkole³³. Do końca okupacji Bronia Piotrowska, dzięki pomocy

³¹ „Dziennik Łódzki” w informacjach opublikowanych przed rozpoczęciem procesu sióstr Borowskich, zamieścił nazwisko jeszcze jednego oskarżonego, który jednak później nie był sądzony. Był to Bogumił Wiśniewski vel Zbigniew Ciechanowski, por.: Łączniczka szefa wywiadu WiN – Zakrzewskiego przed sądem, „Dziennik Łódzki”, 10.02.1947, nr 40, s. 7; Według T. Telmy sieć wywiadu kierowana przez „Bryłę” składała się z 10 osób, T. Telma, op.cit., s. 242. W końcu drugiej dekady lutego 1947 r. lokalna prasa łódzka poinformowała, że 18.02.1947 r. WSR w Łodzi zasądził w sprawie współpracowników Z. Zakrzewskiego i K. Grendy następujące wyroki: B. Borowska – 10 lat więzienia, H. Borowska – 8 lat, S. Pisarski – 6 lat, J. Uzwij jeden rok więzienia w zawieszeniu, Współpracownicy szefa wywiadu WiN Zakrzewskiego skazani, „Dziennik Łódzki”, 20.02.1947, nr 49, s. 6; Wyrok na szpiegów z WiN-u. Organizatorzy szpiegostwa otrzymali kary więzienia od 1 do 10 lat, „Głos Robotniczy”, 19.02.1947, nr 50, s. 2.

³² Not. rozm. Z. Olczyk.

³³ Według Marcina Zakrzewskiego Bronka była jedną z sióstr (młodszą), które uciekły z transportu Żydów wysiedlanych z Wyszkowa do Trebłinki. Dziewczynki ukryły się u Wolskich, których znały jako sąsiadów w Wyszкові. Stanisław Wolski był ostatnim burmistrzem Wyszkowa przed wojną. Starsza siostra poszła swoją drogą a młodsza została ulokowana u ciotki Zakrzewskiej w Powsinie; Not. rozm. S. Olczyk. Według B. Borowskiej, która znała Bronię

Z. Zakrzewskiego i jego rodziny, ukrywała się w Rembertowie i Sulejówku. Potem była przy nim do ostatnich dni ³⁴.

Restauracja prowadzona przez Z. Olczyka – „Ojców”, mieściła się obok sztabu wojsk radzieckich w Łodzi, stacjonujących w pałacu Scheiblera. Często przychodzili do niej oficerowie Armii Czerwonej, którzy chcieli się zabawić, pośpiewać i napić wódki. Zbigniew Zakrzewski wielu z owych oficerów znał. Uczestnicząc w tych zabawach, oczywiście uzyskiwał różne informacje o wrogach. Dzięki perfekcyjnej znajomości języka rosyjskiego, umiejętności gry na gitarze, a także naturalnej łatwości zawierania znajomości, „Bryła” zdobywał wiadomości, których w żaden inny bezpieczny sposób zdobyć nie można było. Według naocznego świadka tych „zabaw” – Z. Olczyka, spotkania towarzyskie oficerów radzieckich z udziałem „Bryły” z nieznanych przyczyn urwały się dość raptownie. Z. Olczyk nabył nowy lokal gastronomiczny „Pod Traktorem”, mieszczący się na ulicy Gdańskiej przy skrzyżowaniu z ulicą 6 Sierpnia. Także i w tym lokalu prowadził swą działalność niepodległościową Z. Zakrzewski. Na jego prośbę w restauracji została zatrudniona jego współpracownica, której zadaniem było odbieranie i przekazywanie przesyłek, informacji, rozkazów oraz zbieranie na miejscu różnego typu wiadomości dla podziemia. Krótkie zlecenia od Z. Zakrzewskiego otrzymywał także Z. Olczyk³⁵.

Na zaproszenie Z. Zakrzewskiego, Zygmunt Olczyk przebywał w jego stałym miejscu zamieszkania w Łodzi, przy ulicy 6 Sierpnia 39 m 5a. Według jego relacji, w mieszkaniu na stole leżał pistolet, zapewne ten, który został znaleziony później przez UB w mieszkaniu Borowskich („Czeska Zbrojowka”). Na ścianie w pokoju wisiała szabla z napisem „Honor i Ojczyzna”. W miesz-

z okresu łódzkiego, miała ona być córką krawca, którego aresztowali Niemcy. Bronia miała uciec i znaleźć się u Zakrzewskiego, List B. Borowskiej.

³⁴ Not. rozm. S. Olczyk; Not. rozm. J. Paszko; Not. rozm. M. Zakrzewski; Notatka z rozmowy przeprowadzonej przez autora w Tel-Avivie z Bronią Rubinowicz – Piotrowską (Glass) w 2008 roku [dalej Not. rozm. B. Rubinowicz – Glass].

³⁵ Z. Olczyk z polecenia „Bryły” odebrał w swym lokalu przesyłkę od łączniczki ps. „Basia”, prawdopodobnie z Warszawy, którą następnie zgodnie z instrukcją przekazał nieznanemu z nazwiska lekarzowi ps. „Zygmunt” w Łodzi przy ul. Brzeźnej. Z. Olczyk co najmniej raz użyczył swego mieszkania przy ulicy Skierniewickiej 11 na organizowane przez niego spotkanie konspiracyjne, Not. rozm. Z. Olczyk.

kaniu było wiele pięknie oprawionych książek oraz jakieś srebra, co było zapewne ostatnimi pamiątkami po W. Sławku³⁶. Ostatnie spotkanie Z. Olczyka z Z. Zakrzewskim nastąpiło późnym latem 1946 r. w restauracji „Łodzianka”: „Bryła” przyszedł na spotkanie pobity – jak stwierdził – przez milicję w restauracji „Tabaryn” przy ulicy Narutowicza (w pobliżu kina „Bałtyk”). Powód pobicia, w wyniku którego Z. Zakrzewski stracił kilka zębów, pozostaje wciąż nie do końca jasny³⁷.

W lutym 1946 r. Jadwiga – była żona Z. Zakrzewskiego – wraz z synem i J. Paszko opuścili Łódź i wyjechali na stałe do Olsztyna. Zakrzewski jeździł tam co miesiąc, odwiedzając syna. Przy okazji kontaktował się z pobliską Komisją Delimitacyjną. Informacji z terenu olsztyńskiego dostarczał „Bryle” także J. Paszko³⁸.

16 listopada 1946 r. Z. Zakrzewski przyjechał kolejny raz do Olsztyna. W podróży towarzyszyła mu siostra byłej żony – Stefania Krzyżak-Olczyk. Według jej wspomnień, już w pociągu byli śledzeni i prowadzeni przez bezpiekę. Zbigniew i Stefania mieli następnego dnia zostać rodzicami chrzestnymi niedawno narodzonego syna byłej żony Zakrzewskiego, Jadwigi i Janusza Paszko. 17 listopada 1946 r. o godzinie 1.00 w nocy do otoczonego przez wojsko, milicję i bezpiekę domu weszło kilku funkcjonariuszy. Niektórzy z nich mówili po polsku z silnym akcentem rosyjskim. Nie było wielkiej rewizji i agresywnych zachowań. „Bryła” wiedział, że to po niego. Poprosił kierującego akcją UB-owca, aby nie łączyli rodziny z jego działalnością i za zgodą funkcyj-

³⁶ Not. rozm. Z. Olczyk. Według S. Olczyk w ostatnim okresie działalności mieszkanie Z. Zakrzewskiego przy ul. 6 Sierpnia, a także jego poczynania były obserwowane przez sąsiadów, którzy przekazywali informacje bezpiece, Not. rozm. S. Olczyk; Potwierdza to B. Rubinowicz-Glass opisując założony przez bezpiekę kocioł na 6 Sierpnia po pierwszych aresztowaniach łódzkiego zarządu WiN, Not. rozm. B. Rubinowicz-Glass.

³⁷ Not. rozm. Z. Olczyk. Nieco światła na to zdarzenie rzuciła Bronisława Borowska pisząc do autora: „...według relacji Zakrzewskiego spotkał się on ze swoim kuzynem, który był reporterem, czy dziennikarzem jakiegoś pisma francuskiego. Byli w restauracji przy ulicy Narutowicza. Przy sąsiednim stoliku siedzieli jacyś tajniacy, którzy bardzo starannie starali się słyszeć o czym rozmawia Zakrzewski z kuzynem. Gdy Zakrzewski to spostrzegł zaczął rozmawiać po francusku. Panowie z sąsiedniego stolika słysząc obcą im mowę, rzucili się na Zakrzewskiego bijąc go i wyzywając od szpiegów. W ten sposób stracił zęby, List B. Borowskiej (2).

³⁸ Not. rozm. J. Paszko.



3. Autor artykułu na Rondzie Zbigniewa Zakrzewskiego w Łodzi

nariuszy bezpieki przekazał synowi ostatni prezent – zegarek na rękę. Mimo próśb „Bryły”, zatrzymani zostali wówczas także S. Krzyżak-Olczyk i J. Paszko, zwolniono ich jednak po kilkudziesięciu godzinach z aresztu. Z. Zakrzewski wolności już nie odzyskał³⁹.

Aresztowania działaczy łódzkiego WiN nastąpiły niemal w tym samym czasie, w połowie listopada 1946 r. Okoliczności i przyczyny aresztowań niemal całej struktury WiN w województwie łódzkim nie są do końca jasne. Według niektórych relacji słabym punktem łódzkiego WiN miała być postać Cz. Stachury. Jego praca, polegająca na wynoszeniu z łódzkiej bezpieki ściśle tajnych dokumentów operacyjnych, miała zostać w przypadkowy sposób rozszyfrowana. W czasie, gdy jakieś ważne dokumenty zostały przez Cz. Stachurę wyniesione z urzędu, tej samej nocy były potrzebne innym pracownikom WUBP. W ten sposób podejrzenie padło bezpośrednio na niego. Według tej wersji nie aresztowano go natychmiast, lecz rozpoczęto obserwację jego działań i kontaktów, a dopiero w następstwie tego dokonano aresztowań. Niekiedy do tego scenariusza zdarzeń dopisywane jest nieco inne zakończenie. Według

³⁹ Not. rozm. S. Olczyk; Not. rozm. J. Paszko; Not. rozm. M. Zakrzewski.

niego Cz. Stachurę aresztowano wcześniej. Na skutek przesłuchania prowadzonego przez komendanta WUBP w Łodzi – Mieczysława Moczara, pod wpływem nieokreślonych obietnic, Cz. Stachura miał przekazać wiele kontaktów, adresów konspiracyjnych itp.

Kilka faktów zdecydowanie osłabia przedstawione wersje zdarzeń. Czesław Stachura jako pierwszy spośród aresztowanych winowców został skazany na karę śmierci (16 XII 1946 r.). Już 4 stycznia 1947 r. B. Bierut nie skorzystał w jego sprawie z prawa łaski. Jest mało przekonujące, aby komunistyczny system represji zadziałał tak błyskawicznie i tak bezwzględnie surowo wobec człowieka, który wydał co najmniej kilku ważnych działaczy Zrzeszenia WiN. Kolejna wątpliwość co do takiego scenariusza zdarzeń wynika z innych faktów. Cz. Stachura został doprowadzony na rewizję, przeprowadzoną w listopadzie 1946 r. pod dowództwem M. Moczara w mieszkaniu sióstr Borowskich. Tam właśnie miał w dyskretny sposób powiedzieć B. Borowskiej, że nie on przyczynił się do rewizji i aresztowań⁴⁰. Oprócz przedstawionych wersji wydarzeń i innych mniej wiarygodnych przyczyn okoliczności aresztowań działaczy łódzkiego WiN, na uwagę zasługuje opis zdarzeń przytoczony przez Bronisławę Borowską w dwóch listach do autora: „Mniej więcej w październiku 1946 r. Czesław Stachura zgłosił nam (już wówczas zapoznałam go z Zakrzewskim), że UB otrzymuje informacje z WiN-u od tajnego wywiadowcy o pseudonimie «Kapitan». Siostra moja, Helena, była łączniczką i czasem wysyłała ją do Warszawy. Przy spotkaniu w Warszawie z K. Czarnockim powiedziała mu o tym fakcie. Na to Czarnocki zareagował bardzo nerwowo – aż podskoczył z wrażenia i powiedział siostrze: «Kapitan» to ja, ale nie sądzi pani, bym był szpiclem. Po mniej więcej dwu tygodniach Zakrzewski otrzymał od swojego szefa z Warszawy (najprawdopodobniej od Czarnockiego) polecenie, by przysłać mu dane personalne pracownika UB, od którego otrzymujemy informacje z terenu WUBP, ponieważ Zarząd

⁴⁰ Według T. Telmy przyczyna aresztowań wynikała z działalności Cz. Stachury, por.: T. Telma, op.cit., s.244; Podobną wersję zdarzeń starali się uprawdopodobnić funkcjonariusze UB, List B. Borowskiej; Not. rozm. G. Grabowski; Por. także: Ł. Socha (M. Turlejska), op. cit., s. 274. Najszerszy opis tej wersji znajduje się we wspomnieniach J. Łopiniaka (rozmowa w celu z Cz. Stachurą), T. Lenczewski, op. cit., s. 99–102; List B. Borowskiej (2).

Główny WiN chce temuż pracownikowi nadać odznaczenie. Mnie wydawało się to bardzo dziwne, bo przecież w czasie okupacji otrzymywałam parę razy odznaczenia, ale nigdy nie musiałam podawać swoich danych personalnych. Stachura podał Zakrzewskiemu swoje dane, które zostały wysłane do Warszawy. Po mniej więcej dwu tygodniach nastąpiło aresztowanie Stachury. [Kiedy] razem z Moczarem i grupą pracowników UB przybyli aresztować nas w nocy z 16 na 17 listopada 1946 r. Stachura był już pewnie jako aresztant i kilka razy powtarzał: ja was nie wydałem. W przedpokoju naszego mieszkania leżał telegram przeznaczony dla Zakrzewskiego. Treści jego nie znam. Możliwe, że mógł naprowadzić na ślad Zakrzewskiego. Telegram ten zabrał Moczar i sam go przeczytał”. Nieco krócej opisała to w kolejnym liście po przeczytaniu pierwszej wersji artykułu o Z. Zakrzewskim: „Aresztowanie działaczy łódzkiego WiN nastąpiło wg mojego przekonania na skutek donosu „wtyczki” w WiN-ie, którą był K. Czarnocki. Domysły byłych pracowników UB jakoby aresztowanie nastąpiło na skutek przesłuchania Stachury prowadzonego przez Moczara jest absolutnie błędne. Stachura wyraźnie uprzedzał nas o tym, że w centrali WiN-u jest „wtyczka”, która dokładnie informuje o wszystkim UB. Stachura nie mógł przekazać żadnych adresów konspiracyjnych ani kontaktów, bo po prostu ich nie znał (z wyjątkiem naszego spotkania). Dodatkowo B. Borowska – Zwiewka zwróciła uwagę na jeszcze jeden element: „Dziwi mnie, że nie wymieniono [w sentencji wyroku – dop. M. M.] nazwiska tegoż szefa (tak jakby sądowi zależało na utajnieniu go), a przecież szefem Zakrzewskiego w Obwodzie [winno być Obszarze – dop. M.M.] był K. Czarnocki⁴¹”.

Taką wersję wydarzeń potwierdzają także inni członkowie WiN, m.in. działający wówczas na terenie okręgu łódzkiego i warszawskiego, jak również niektórzy działacze podziemia narodowego. Jest dalece prawdopodobne, że K. Czarnocki był aresztowany dwukrotnie. Wyroku skazującego nigdy nie otrzymał. Po 1947 r. w środowiskach kombatanckich (akowskich i winow-

⁴¹ List B. Borowskiej; List B. Borowskiej (2). Aresztowania i rewizja u sióstr Borowskich w Łodzi były dokładnie w tym samym czasie, kiedy nastąpiło aresztowanie Z. Zakrzewskiego w Olsztynie. Należy więc wykluczyć taką możliwość, iż przejęty przez Moczara telegram, mógł naprowadzić na ślad „Bryły”.

skich) był zupełnie nie znany. Podobną opinię o K. Czarnockim zaprezentował w swej książce o Zrzeszeniu WiN Zygmunt Woźniczka. Czarnocki miał być także odpowiedzialny za aresztowanie Witolda Pileckiego⁴².

Proces aresztowanych winowców odbył się niezwykle szybko, co wynikało z doraźnej polityki i potrzeb komunistów. W owym czasie, od końca grudnia 1946 r. do 19 stycznia 1947 r. (wybory), wytoczono wiele procesów członkom WiN w całej Polsce. Prasa centralna i gazety lokalne informowały bardzo obszernie o przebiegu tych procesów oraz o innych aresztowaniach, ujawniając przy tym wiele szczegółów z działalności Zrzeszenia WiN, co było obliczone przede wszystkim na efekt wyborczy. Szczególnie dużo miejsca poświęcano w prasie komentarzom i relacjom z procesu „Rzepeckiego i towarzyszy”, czyli działaczy I Zarządu Głównego WiN. Proces łódzki i inne lokalne rozprawy przeciw członkom WiN tworzyły odpowiednią, wyższą „temperaturę” dla przebiegu głównego winowskiego procesu Rzepeckiego i towarzyszy. Miały one według planów komunistów – unaocznic demoralizację, zbrodniczość, prowadzenie działań szpiegowskich i wywiadowczych przez Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość. Komunistycznym władzom chodziło również i o to, aby w sposób propagandowy udowodnić rzekomy schyłkowy charakter tej organizacji i jej upadek⁴³.

13 stycznia 1947 r., a więc w dwa miesiące po aresztowaniach, przed Rejonowym Sądem Wojskowym w Łodzi rozpoczął się proces działaczy łódz-

⁴² Not. rozm. G. Grabowski; Notatka z rozmowy przeprowadzonej w dn. 11.11.1994 r. przez autora ze Sławomirem Cieślukowskim [dalej Not. rozm. S. Cieślukowskim]. Był on działaczem WiN, który w 1946 r. pozostawał w dyspozycji Wincentego Kwiecińskiego. Niektórzy znani działacze polskiego podziemia niepodległościowego swoje aresztowania przypisywali bezpośredniej działalności K. Czarnockiego. Byli to m.in.: Tadeusz Maciński i Włodzimierz Marszewski ze Stronnictwa Narodowego oraz W. Kwieciński (WIN), szerzej patrz: T. Marszewski, Włodzimierz Marszewski (1891–1948), „Zeszyty Historyczne” Instytutu Historycznego im. Romana Dmowskiego, 1991, nr 2–3, s. 22 i przypis 45; Z. Woźniczka, Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość, Warszawa 1992, s. 82. Podobne opinie dotyczą okoliczności aresztowania Witolda Pileckiego, T. Łabuszewski, Witold Pilecki nie poszedł na układ z bezpieką, 25.05.2013, fakty.interia.pl/historia/news-tomasz-labuszewski-witold-pilecki-nie-poszedl-na-uklad-z-bez,nId,972979.

⁴³ Szerzej patrz: M. Michalik, Zrzeszenie... op.cit., s. 216–309; Tenże, Wizerunek..., cz. II, s. 10–23.

kiego Zarządu WiN. Wcześniej, bo 31 XII 1946 r., dwie łódzkie gazety poinformowały o aresztowaniach łódzkich przywódców Zrzeszenia. W owych pierwszych doniesieniach prasowych znalazło się wiele błędów literowych w nazwiskach aresztowanych np.: „Żelinowski” zamiast Zakrzewski, „Malinowski” zamiast Markiewicz, „Gręda” zamiast Grenda, Zora ps. „Pan” zamiast Zora ps. „Jan”⁴⁴. Trudno jest jednoznacznie określić powód tylu błędnie wydrukowanych nazwisk. Być może wynikało to z wyjątkowego pośpiechu redakcji dzienników, bądź braku materiału o aresztowaniach w formie pisemnej. Tylko częściowo sprostował swą pomyłkę w dniu 1 stycznia 1947 r. „Dziennik Łódzki” informując, że nazwisko aresztowanego prezesa PSL Łódź-Południe brzmi Kazimierz Markiewicz. 9 stycznia tegoż roku ta sama gazeta wydrukowała obszerne doniesienie, którego treść była oparta na przygotowanym akcie oskarżenia wobec winowców. W artykule tym zapowiedziano rozpoczęcie „sensacyjnego” procesu w dniu 13 stycznia 1947 r.⁴⁵.

Prasa centralna nie komentowała procesu przed jego rozpoczęciem.

Pierwsze relacje z przebiegu procesu łódzkiego przyniosły dzienniki łódzkie 14 I 1947 r. Najbardziej napastliwy był komentarz PPR-owskiego „Głosu Robotniczego”, który umieścił artykuł pod znamienym tytułem: „Najemni oszczercy, szpiedzy i dywersanci. Łódzki sztab WiN-u współpracujący z PSL-em – stanął przed sądem”.

Zbigniew Zakrzewski składał zeznania po K. Grendzie i S. Gorzuchowskim. „Głos Robotniczy” w swym sprawozdaniu eksponował te fragmenty jego zeznań, które dotyczyły m.in.: otrzymywania pieniędzy na prowadzenie dzia-

⁴⁴ Komenda WiN w Łodzi zlikwidowana, „Dziennik Łódzki”, 31.12.1946, nr 359, s.1–2; Łódzki sztab WiN-u zlikwidowany. Wspólnicy zbrodni popełnionej na ś.p. posła Ścibiorka staną przed sądem, „Głos Robotniczy”, 31.12.1946, nr 360, s. 1. Tytuł tego ostatniego doniesienia jest typowym działaniem ówczesnej propagandy komunistycznej, posługującej się świadomie kłamstwem. 4.11.1946 roku rozpoczął się w Warszawie kilkudniowy proces przeciw domniemanym zabójcom posła, ludowca Bolesława Ścibiorka. Żaden z oskarżonych w tym procesie nie miał postawionego zarzutu przynależności do WiN. W bardzo obszernych sprawozdaniach prasowych tylko jeden raz pojawiła się nazwa WiN, a dotyczyła maja 1945 roku (sic!), kiedy to Zrzeszenie WiN jeszcze nie istniało, M.Michalik, Zrzeszenie... op.cit., s. 224; Tenże, Wizerunek..., cz. II, s. 9.

⁴⁵ Sprostowanie, „Dziennik Łódzki”, 1.01.1947, nr 1, s. 2; Po warszawskiej – łódzka komenda WiN stanie przed sądem wojskowym, „Dziennik Łódzki”, 9.01.1947, nr 8, s. 4.

łałości z centrali WiN (60 tys. zł. miesięcznie) oraz te części zeznań, które wyrażały wątpliwość co do skuteczności i sensowności działań podziemia, wobec odczuwalnej potrzeby podejmowania działań politycznych pozytywnych np. konieczność odbudowy kraju. Jeden z ostatnich fragmentów cytowanej relacji brzmiał: „W krzyżowym ogniu pytań szef wywiadu WiN przyznaje się do zamiaru uprzedzenia agenta obcego wywiadu, na ślad którego wpadły władze bezpieczeństwa”. Podczas trwania procesu sprawa ta była owiana tajemnicą. Relacje prasowe i dokumenty sądowe jedynie sygnalizowały, że tego typu zdarzenie mogło mieć miejsce. Nazwisko owego „agenta”, czas zdarzenia i okoliczności nie zostały wyjaśnione. Nieco więcej informacji w tej sprawie przyniosły relacje prasowe z tzw. procesu krakowskiego WiN (sierpień – wrzesień 1947 r.). Oskarżony kierownik Brygad Wywiadowczych Edward Bzymek-Strzałkowski zeznał m.in., iż łódzki WiN podjął działania zmierzające do uprzedzenia osoby, o której wiadano, że jest inwigilowana przez UB z zamiarem aresztowania. Według relacji prasowych oraz stenogramu z procesu krakowskiego, ów „obcy agent”, którego zamierzał ostrzec Z. Zakrzewski i jego współpracownicy, miał się nazywać Radomski⁴⁶.

Bardziej obiektywne relacje z procesu zaprezentowały inne dzienniki lokalne. Łódzki „Kurier Popularny” o zeznaniach Z. Zakrzewskiego napisał m.in.: „Nie ukrywa on swego wrogiego stanowiska wobec dzisiejszej rzeczywistości. Mówi, że zadaniem jego było przygotowanie wyborów w ten sposób, aby WiN zajął w przyszłym rządzie naczelne stanowisko. Pracę miał niełatwą, gdyż jak sam zaznacza – całe społeczeństwo pozytywnie ustosunkowuje się do obecnego rządu”. „Dziennik Łódzki” w swej relacji stwierdzał, iż Z. Zakrzewski „otwarcie przyznał się” do działalności jako szef informacji WiN w okręgu łódzkim. Sprawozdanie z procesu jedynie w tej gazecie, fragmentami miało charakter stenogramu. Wspomniany dziennik zamieścił również relacje z zeznań Zakrzewskiego dotyczących konferencji porozumiewawczej różnych

⁴⁶ Najemni oszczercy, szpiegdy i dywersanci. Łódzki WiN. Łódzki sztab WiN-u – współpracujący z PSL-em – stanął przed sądem, „Głos Robotniczy”, 14.01.1947, nr 13, s. 2; R. W[erfel], Impresje z procesu krakowskiego, „Głos Ludu”, 16.08.1947, nr 224, s. 1; WiN i UPA we wspólnej walce przeciw Polsce Ludowej. Ujawnienie korespondencji WiN z banderowcami, „Głos Ludu”, 16.08.1947, nr 224, s. 1, 3; Proces krakowski..., s. 72.

organizacji podziemnych w mieszkaniu sióstr Borowskich, a także wyraźne oświadczenie „Bryły”, że w województwie łódzkim oddziałów zbrojnych WiN nie było. Dla przypomnienia należy dodać, iż w akcie oskarżenia zarzucano mu, że kontaktował się z winowskimi oddziałami zbrojnymi⁴⁷.

Prasa centralna („Głos Ludu”, „Robotnik” i „Gazeta Ludowa”) zaprezentowała relacje z procesu łódzkiego w dn. 15, 16, 17 I 1947 r. Najobszerniejsze, najbardziej agresywne i napastliwe były sprawozdania PPR-owskiego „Głosu Ludu”. Relacje tej gazety eksponowały jeszcze jeden nowy element (zarzut) z przebiegu rozprawy, dotyczący Z. Zakrzewskiego: zdaniem prokuratora, „Bryle” zostały udowodnione kontakty z gen. Władysławem Andersem. Potwierdzeniem miały być raporty przekazywane do Obszaru Centralnego WiN. Zakrzewski zaprzeczał istnieniu i utrzymywaniu kontaktów ze sztabem Andersa. Eksponowano w tytule element zaciekle zwalczanej przez komunistów sanacji tzn. w tym przypadku fakt iż Zakrzewski był siostrzeńcem Walerego Sławka⁴⁸.

16 stycznia 1947 r. codzienna prasa łódzka poinformowała na swych łamach o wyrokach, które zapadły w procesie działaczy łódzkiego Zrzeszenia WiN. Prasa centralna zrobiła to z jednodniowym opóźnieniem. Dzienniki łódzkie w swych relacjach zaprezentowały skrót sentencji i uzasadnienia wyroku, natomiast w prasie centralnej znalazły się jedynie krótkie notki zawierające informacje o zasądzonych wyrokach. Na uwagę zasługuje fakt, że tylko „Dziennik Łódzki” i w części „Kurier Popularny” wydrukował nazwiska prze-

⁴⁷ Łódzka komenda WiN odpowiadała wczoraj przed sądem okręgowym, „Kurier Popularny”, 14.01.1947, nr 13, s. 3; Propaganda, która pchała do zbrodni. Przywódcy łódzkiej komendy WiN-u przed sądem w Łodzi, „Dziennik Łódzki”, 14.01.1947, nr 13, s. 2; Jeśli chodzi o kategoryczne stwierdzenie „Bryły”, że na terenie województwa łódzkiego nie było zbrojnych oddziałów winowskich podległych łódzkiemu Zrzeszeniu WiN to wymaga to wciąż badań historycznych. Według cytowanego już „Informatora... na terenie woj. łódzkiego operowały grupy zbrojne „Grajewskiego” i „Marchewy”, por.: Informator..., s.111. Inne opracowania z okresu komunistycznego nie potwierdzają tych informacji, T.Telma, op. cit., s. 228. Znacznie więcej informacji na temat poakowskiej działalności zbrojnej w woj. łódzkim patrz: Atlas..., s. 380–412.

⁴⁸ Siostrzeniec Walerego Sławka i profesor uniwersytetu łódzkiego w komendzie łódzkiej organizacji WiN, „Głos Ludu”, 15.01.1947, nr.14, s. 6; Nowy proces WiN w Łodzi. Profesor Uniwersytetu przed Sądem, „Robotnik”, 16.01.1947, nr 13, s. 2.



4. Syn Marek Zakrzewski z winowcami z Łodzi i prezesem Kurtyką

wodniczącego składu sędziowskiego WSR w Łodzi – ppłk Ochnio [Bronisław] i oskarżyciela – mjr Łapiński [Czesław]. Ponadto w składzie sędziowskim WSR zasiadali: por. Wacław Bohatyrowicz (członek sądu), kpt. Anna Landau (ławnik) i chorąży Bolesław Mużdżak (protokolant). Obrońcami oskarżonych byli adwokaci: Jan Moskwa, Józef Litwin (prodziekan wydziału prawa Uniwersytetu Łódzkiego – obrońca Z. Zakrzewskiego), Ignacy Bara i Ludwik Szczerbiński⁴⁹.

Oskarżeni w procesie łódzkim członkowie WiN otrzymali następujące wyroki: K. Grenda i Z. Zakrzewski – kara śmierci, utrata praw publicznych na zawsze oraz przepadek mienia w całości. Walenty Zora (prezes WiN rejonu Pabianice) i Zygmunt Markiewicz – po 10 lat więzienia i utrata praw publicznych na pięć lat. Profesor Stanisław Gorzuchowski został skazany na pięć lat więzienia i dwa lata pozbawienia praw publicznych⁵⁰.

⁴⁹ Wyroki śmierci i długoletniego więzienia zapadły w procesie członków łódzkiej komendy WiN-u. Profesor Gorzuchowski skazany na 5 lat więzienia, „Dziennik Łódzki”, 16.01.1947, nr 16, s. 2; Wyrok w procesie łódzkiej organizacji WiN, „Kurier Popularny”, 16.01.1947, nr 15, s. 6; Wyrok na łódzki sztab WiN-u. Dwa wyroki śmierci, „Głos Robotniczy”, 17.01.1947, nr 16, s. 5; Wyrok w procesie łódzkiej komendy WiN, „Głos Ludu”, 16.01.1947, nr 15, s. 2; Wyroki śmierci w Łodzi, „Robotnik”, 17.01.1947, nr 14, s. 2; 6 orzeczeń sądów doraźnych. 21 wyroków śmierci, „Gazeta Ludowa”, 17.01.1947, nr 16, s. 4; Wyrok w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 15 stycznia 1947 roku Wojskowego Sądu Rejonowego w Łodzi (Nr R. 8/47).

⁵⁰ „Głos Ludu” i „Robotnik” mylnie napisały w doniesieniach o wyrokach w procesie,

Obróńca Z. Zakrzewskiego, adwokat J. Litwin, zaproponował „Bryle”, aby podczas rozprawy użył na swoją obronę tych argumentów, które dotyczą nieudanego małżeństwa i rozvodu. Było to zapewne uzgodnione z byłą żoną oskarżonego. Litwin miał przekonywać Z. Zakrzewskiego o słuszności tych argumentów; nieudane pożycie małżeńskie miało tu stanowić dowód przeżytego szoku i usprawiedliwić działalność w podziemiu, która miała być dla niego swoistą odskocznią. „Bryła” odrzucił tę propozycję w sposób dość niegrzeczny i stwierdził, że jego rodziny nie należy włączać do tej sprawy⁵¹.

Wszyscy skazani w procesie łódzkim działacze wystąpili do Najwyższego Sądu Wojskowego w Warszawie, który 28 lutego 1947 r., pracując w składzie sędziowskim płk Kazimierz Drohomirecki, mjr Roman Kryże, ppłk Jan Hryckowian zmienił wyrok WSR w Łodzi w oparciu o ustawę amnestijną z dn. 22 lutego 1947 r. K. Grendzie został zmniejszony wyrok do 15 lat więzienia i pięciu lat pozbawienia praw publicznych. W. Zora został skazany na pięć lat więzienia. Sentencja NSW w Warszawie stwierdzała, że także wyrok Z. Markiewicza będzie podlegał amnestii. Wyrok wobec Z. Zakrzewskiego nie uległ zmianie⁵², Łódzki skład orzekający (B. Ochnio, W. Bohatyrewicz i A. Landau) rekomendowali Sądowi Najwyższemu ułaskawienie skazanych na śmierć. W przypadku K. Grendy podkreślano, iż jest naukowcem i tego typu osób w ówczesnym czasie w Polsce brakowało, natomiast w przypadku Z. Zakrzewskiego podkreślano, że w czasie okupacji niemieckiej ukrył przed Niemcami i wychowywał aż do czasu aresztowania dziewczynkę narodowości żydowskiej w wieku lat ośmiu⁵³.

„Bryła”, a właściwie jego adwokat, wystąpił jeszcze o akt indywidualnej łaski do prezydenta Bieruta, który w piśmie z 8 III 1947 r. odrzucił taką możliwość i nie skorzystał z prawa łaski. Prośbę do Bieruta napisała także Bronia Rubinowicz

W. Zora i Z. Markiewicz otrzymali kary po 16 lat więzienia. S. Gorzuchowski nie wyszedł już na wolność mimo najkrótszego wyroku. Zmarł w więzieniu 22.03.1948 roku. Szerzej na ten temat patrz: J. Żelazko, *Proces...* s. 206–207.

⁵¹ Not. rozm. S. Olczyk.

⁵² Postanowienie Najwyższego Sądu Wojskowego w Warszawie z dn. 28.02.1947 r. (kserokopia)

⁵³ J. Żelazko, *Losy skazanych na karę śmierci przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Łodzi*, [w:] *Archeologia totalitaryzmu*, pod red. O. Ławrynowicz, J. Żelazko, ... s. 256.

- Piotrowska. W swym liście pisała: „Nazywam się naprawdę Bronia Rubinowicz. Mam czternaście lat. Jestem z pochodzenia Żydówką. Rodzice moi zostali zgładzeni przez Niemców w getcie w Wołominie. Miałam wówczas lat dziesięć, pozostałam sama, bez dachu nad głową i bez kawałka chleba. Zbigniew Zakrzewski zaopiekował się mną, wziął do siebie do Rembertowa, gdzie przebywałam z jego synkiem. Utrzymywał mnie własnym kosztem i opiekował się mną jak najczulszy ojciec. Przybrałam nazwisko »Piotrowska« chodziłam do szkoły. Zwracam się do Obywatela Prezydenta z gorącą, serdeczną i błagalną prośbą o ułaskawienie mego ukochanego opiekuna i pozostawienie go przy życiu, bo po utracie rodziców był on dla mnie więcej niż ojcem. Dzięki niemu żyję i uczę się w wolnej i demokratycznej Polsce. Raz jeszcze serdecznie błagam Obywatela Prezydenta o pozostawienie przy życiu mego opiekuna i Ojca. Słyszałam, że Obywatel Prezydent kocha dzieci i wierzę, że wysłucha mojej prośby⁵⁴.

W więzieniu, w celi śmierci K. Grenda i Z. Zakrzewski przebywali razem. Istnieje wzruszająca relacja Jana Łopianiaka, współwięźnia osadzonego w tejże celi śmierci od 21 /bądź 22/ I do 19 II 1947 r. Według niej Z. Zakrzewski podtrzymywał na duchu swych towarzyszy w celi, m.in. K. Grendę, z którym łączyła go „żywa przyjaźń”. Sam był przekonany, że nie uniknie rychłej śmierci. Według J. Łopianiaka zwykł mawiać – „Ofiary naszego życia przybliżają nam niepodległą Polskę”. Potwierdzenie takiej postawy „Bryły” w więzieniu stanowi pozostawiony opis zaprezentowany przez innego działacza WiN, który krótko z nim przebywał w celi przejściowej. Był nim Aleksander Mielniczek⁵⁵.

⁵⁴ Prośba Bronisławy Rubinowicz – Piotrowskiej do prezydenta Bolesława Bieruta, oprac. T. Lenczewski, „Karta”, 1991, nr 3, s. 102. W rozmowie z autorem Bronia Rubinowicz pamiętała o napisaniu listu. Tekst przygotował jej adwokat. Wspominała także że w okresie do odwoławczym od wyroku i oczekiwaniu na wykonanie wyroku odwiedzała Z. Zakrzewskiego w więzieniu, Not. rozm. B. Rubinowicz – Glass. Zdjęcie listu patrz: Proces kierownictwa..., s. 47.

⁵⁵ T. Lenczewski, op. cit., s. 107. Według B. Borowskiej, Jan Łopiniak [Łopiniak] nie był żołnierzem KWP, lecz dowódcą oddziału UB w Sieradzu, który bardzo gorliwie zwalczał podziemie niepodległościowe i został skutecznie przez ludzi podziemia zadenuncjowany do władz bezpieczeństwa i organów ścigania iż przekazywał materiały i informacje podziemiu zbrojnemu, List B. Borowskiej (2); Notatka z rozmowy przeprowadzonej w styczniu 1994 r. przez autora z Aleksandrem Mielniczkiem ps. „K-M” [dalej – Not. rozm. A. Mielniczek] – prezesem WiN obwodu Koluszki – Brzeziny.

Nazwisko Z. Zakrzewskiego jeszcze raz pojawiło się na łamach łódzkich gazet 30 I 1947 r., a okoliczności tego wydarzenia zasługują na opis. Wielce szacowna instytucja – Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych /PZUW/ zamieścił wówczas w całej łódzkiej prasie, zapewne płatne sprostowanie następującej treści:

„W sprawozdaniu z procesu łódzkiej organizacji WiN, który odbył się 13 stycznia 1947 r. podano m.in. nieścisłą wiadomość, iż skazany na śmierć szef wywiadu WiN Zbigniew Zakrzewski – pseudo »Bryła« urodzony w 1911 r. był pracownikiem Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych. Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych stwierdza, iż Zbigniew Zakrzewski nie był pracownikiem Zakładu, nie wiązał go żaden stosunek służbowy z Zakładem, był jedynie pośrednikiem (agentem) ubezpieczeniowym w pow. łaskim, tzn. stosunek jego z Zakładem był zupełnie luźny; za pozyskane ubezpieczenie otrzymywał przewidzianą prowizję i na tym się kończył jego kontakt z zakładem. Komentować tego stanowiska chyba nie warto. Tekst mówi wszystko⁵⁶.

26 marca 1947 r. o godzinie 6.30 lekarz dr Brzozowski stwierdził zgon rozstrzelanego Z. Zakrzewskiego. Protokół z wykonania kary śmierci informuje ponadto, iż pociechy religijnej Z. Zakrzewskiemu udzielił ks. kpt. Skupień, a wyrok został wykonany przez dowódcę plutonu egzekucyjnego chorążego Juliana Kwaśniaka w obecności prokuratora porucznika Grodzkiego i naczelnika więzienia starszego sierżanta Szyszki. Tak zginął Zbigniew Zakrzewski wywiadowca i oficer AK i DSZ, szef wywiadu łódzkiego WiN, człowiek prawy, odważny – wielki patriota⁵⁷. Był chory, nieuleczalnie chory na miłość do

⁵⁶ Sprostowanie PZUW, „Kurier Popularny”, 30.01.1947, nr 29, s. 8; „Dziennik Łódzki”, 30.01.1947, nr 29, s.7; „Głos Robotniczy”, 30.01.1947, nr 30, s. 7.

⁵⁷ Protokół z wykonania kary śmierci nr Pr. R. 87/47 (kserokopia). Nie ma przekonywujących dowodów co do tego czy Z. Zakrzewski posiadał stopień oficerski. Wątpliwości wyraził T. Lenczewski, op. cit., s. 109 (przyp. 16). We wspomnieniach J. Łopiniaka pojawiło się określenie „pułkownik”, dla określenia jego rangi. W innych relacjach pojawia się określenie „major”, Not. rozm. Z. Olczyk. Żona Z. Zakrzewskiego twierdziła, że był on bezpośrednio związany z Delegaturą Rządu na Kraj i działania wywiadowcze prowadził w ścisłej z nią współpracy. Brak jest danych faktograficznych dokumentujących te opinie poza wymienionym wcześniej „Atlasem Polskiego Podziemia Niepodległościowego...”, Not. rozm. J. Paszko; Not. rozm. Z. Zakrzewski.

Polski. Stalinowscy oprawcy, którzy o sobie mówili, iż są Polakami, zamordowali go na mocy komunistycznego prawa.

Najwłaściwszym zakończeniem tego tekstu będą słowa samego Z. Zakrzewskiego skierowane do wspomnianego już wcześniej J. Łopianiaka w łódzkim więzieniu: „– Siedzis tu osądzony z dekretu o zdradę. Otrzymałeś karę śmierci słusznie czy nie, to nieważne. My też nie poczuwamy się do winy [Z. Zakrzewski i K. Grenda – dop. Marek Michalik], tylko do czynów. Siedzis z ludźmi, którzy Cię rozumieją. To wszystko co obecnie jest w Polsce [1947 rok – dop. M.M] prędzej czy później runie. Historia się odwróci, a cały ten sztuczny twór, jakim jest bolszewia, ten kolos na glinianych nogach, zwali się razem ze zniewolonymi krajami. Powstanie prawdziwa Polska, gdzie prawa będą szanowane. Jeśli przeżyjesz, przekonasz się naocznie, że tak będzie. Czuj się w pełni zrehabilitowany”⁵⁸.

Prawdziwa rehabilitacja przyszła rzeczywiście nierychliwie ale sprawiedliwie – ale też kilkadziesiąt lat za późno. Musiała jednak najpierw upaść komuna. Najpierw został zrehabilitowany sędownie Zbigniew Zakrzewski, potem 22.01.2009 roku otrzymał pośmiertnie nadany przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski Polonia Restituta. Odznaczenie wręczył prezes Instytutu Pamięci Narodowej Janusz Kurtyka⁵⁹. Wreszcie jego bohaterstwo i odwaga zostały też dostrzeżone i uhonorowane przez Yad Vashem. Za uratowanie Broni Rubinowicz – Piotrowskiej (Glass) otrzymał tytuł Sprawiedliwy wśród Narodów Świata⁶⁰. Tym sposobem także w Łodzi zapisał się na trwałe, jako że bez szczególnego rozgłosu, raczej w ramach profesjonalizmu działań urzędniczych, na monumencie i ścianie uwieczniającej nazwiska wszystkich Polaków wyróżnionych tym tytułem (Yad Vashem) w Parku Ocalałych na Pomniku Polaków ratujących Żydów podczas

⁵⁸ T. Lenczewski, op. cit., s. 106.

⁵⁹ W 1991 roku został unieważniony wyrok skazujący Z. Zakrzewskiego w 1947 roku. Krzyż Komandorski odebrał syn Marek Zakrzewski z rąk prezesa IPN Janusza Kurtyki. Miało to miejsce w kwietniu/maju 2009 roku.

⁶⁰ Uroczystość nadania tytułu „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” odbyła się w Kanadzie w Ottawie w ambasadzie polskiej 25.05.2010 roku. Tytuł odbierał syn Marek Zakrzewski. Informacja o przyznaniu medalu dotarła do M. Zakrzewskiego już 28.10.2008 roku, Korespondencja M. Zakrzewskiego z autorem.

II wojny światowej zawisła ok. 2010 roku już jako nowa tabliczka z nazwiskiem Zbigniew Zakrzewski. Pewnie niewiele z osób zwiedzających wie kto zacz. A przecież to tu w Łodzi zginął z wyroku komunistycznego sądu, to tu w Łodzi jest pochowane jego ciało, choć miejsce pochówku wciąż pozostaje nieznane, to tu – wierzymy, że kiedyś na Brusie, czy na Dołach, czy za murem więziennym, czy na terenie samego więzienia na Anstadta lub w jakimkolwiek innym miejscu zostaną znalezione ślady pochówku Zbigniewa Zakrzewskiego⁶¹.

Marzeniem syna Zbigniewa Zakrzewskiego „Bryły” – Marka jest, aby jego ojciec miał choćby symboliczny pochówek na ziemi polskiej „zastępczy grób z tablicą, na której będzie cytaty z jego słów w celi śmierci”⁶².

Historia wciąż się pisze, także dla bohaterskiego Zbigniewa Zakrzewskiego ps. „Bryła”. Jedną z ostatnich moich inicjatyw jako radnego Rady Miejskiej w Łodzi (razem z radnym Marcinem Zalewskim i pozostałymi miejskimi radnymi Prawa i Sprawiedliwości) było zaproponowanie projektu uchwały o nadanie nazwy dwom rondom w Łodzi. Pierwszy projekt dotyczył nazwy „Żołnierzy Wyklętych”, drugi Zbigniewa Zakrzewskiego ps. „Bryła”. Odbiła się gorąca dyskusja, niestety chwilami przykra szczególnie w wydaniu radnych miejskich postkomunistycznego Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Pełny zapis pozostał w protokole z XXVII Sesji Rady Miejskiej w Łodzi w 2016 roku i jak mi nie mam chwały rajcom PO i SLD nie przyda. Ostatecznie obie uchwały zostały przyjęte głosami radnych z PiS (wnioskodawców) i PO. Ważne, że oba rondo już są, mają nie tylko nazwy ale i stosowne tabliczki⁶³, a Łódź dołącza do miast, które honorują tych najdzielniejszych z dzielnych – polskich Żołnierzy Wyklętych.

⁶¹ J. Żelazko, „Ludowa...”, s. 253–257. Badania archeologiczne finansowane przez miasto Łódź odbywają się co roku na terenie dawnego poligonu Brus. Dotychczas znaleziono rozstrzelanych łódzian w wyniku represji niemieckich na początku okupacji (1939–1940). Nadzieja nie gaśnie, że kiedyś odnajdzie się miejsce pochówku nie tylko Zbigniewa Zakrzewskiego ale i Czesława Stachury i skazanych żołnierzy „Warszycy” Stanisława Sojczyńskiego rozstrzelanych na początku 1947 roku. Szerzej patrz także: K. G. Latocha, Doły – ślady sądowych zbrodni. Miejsca pochówku ofiar terroru komunistycznego, „Kronika miasta Łodzi”, 2013, nr 62 (2), s. 214–224.

⁶² Korespondencja M. Zakrzewskiego z autorem.

⁶³ Uchwały Rady Miejskiej w Łodzi druk BRM nr 37/2016 i 38/2016. Protokół z XXVII Sesji Rady Miejskiej w Łodzi z dnia 30.03.2016, s. 174–190, bip.uml.lodz.pl/plik.php?id=44765&PHSESSID=1fd185e5c0bed32e109caae7e90c433

DZIAŁALNOŚĆ „KEDYWU” ARMII KRAJOWEJ W PRUSZYNIE I OŚRODEK SIEDLCE – „SOWA” W LATACH 1939–1945

Przysięga

Przysięgę składałem w połowie lutego 1941 roku. Pamiętam do dziś swoje wzruszenie przeżywane w mroźny, pełen śniegu i księżycowego blasku wieczór i swoją rękę wyciągniętą w stronę dalekich pruszyńskich gwiazd.

Miałem pełną świadomość tego, że uczestniczę w sprawie wielkiej i świętej, że odtąd pasowany zostałem na żołnierza, którego obowiązkiem jest niewzruszona wierność i gotowość do walki.

Przysięga ta stała się dla mnie najbardziej ważnym momentem w całej okupacji, a nawet do chwili obecnej. Zawsze uważałem ją za busolę na całe życie.

Oto jej słowa: „W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny, Królowej Korony Polskiej, kładę swe ręce na ten Święty Krzyż, znak męki i zbawienia i przysięgam być wiernym Ojczyźnie swojej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięcie na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił – aż do ofiary mego życia. Prezydentowi Rzeczypospolitej i rozkazom Naczelnego Wodza oraz wyznaczonemu przezeń Dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało”.

„Przyjmuję Cię w szeregi żołnierzy Armii Polskiej, walczącej z wrogiem w konspiracji o wyzwolenie Ojczyzny. Twym obowiązkiem będzie walczyć z bronią w ręku. Zwycięstwo będzie twoją nagrodą. Zdrada karana jest śmiercią”.

¹ Zbigniew Anusz ur. 31 marca 1925 r. w Warszawie w rodzinie nauczycielskiej. Z zawodu lekarz, prof. dr hab., autor wielu prac naukowych. W okresie okupacji żołnierz Armii Krajowej ps. Topór. Zmarł 28 kwietnia 2011 r. w Warszawie.

Wprowadzenie

Słuszne jest twierdzenie, że w materiałach archiwalnych zawiera się minione życie narodu, a archiwa są „spichlerzem narodu”. Okrutny czas pogardy i nienawiści mamy poza sobą. Na naszych oczach rozpadło się komunistyczne imperium zła. Cenzura nie istnieje. Można pisać o sobie i ludziach swobodnie i prawdziwie, bez ryzyka narażenia kogoś na cierpienia, a nawet śmierć. Pamiętniki i życiorysy ludzi tego okrutnego czasu stanowić będą ważny przyczynek do zrozumienia dziejów Polski. Dlatego należy i warto pokazywać ich jakimi byli, kim stawali się, jacy są naprawdę. Losy ich są ważnym świadectwem czasu pogardy. Niestety, jakże często odtwarzanie dziś wielu życiorysów natrafia na ogromne trudności, staje się niemożliwe lub prawie niemożliwe. Przedstawię zatem tylko te, które zdołałem zgromadzić i odtworzyć.

Działalność i skład osobowy „Kedywu” Armii Krajowej w Pruszyńcu

Lp.	Nazwisko i imię	Pseudonim	Rok urodzenia	Rok przyjęcia do AK	Wykształcenie
1	Nowak Kazimierz (D-ca)	„Zemsta”	1910	1941	szkoła zawodowa
2	Wysokiński Zygmunt (Z-ca)	„Iglica”	1912	1941	szkoła podstawowa
3	Zdunek Mieczysław	„Bruzda”	1921	1941	szkoła zawodowa
4	Komeluk Bolesław	„Brzoza”	1920	1942	szkoła zawodowa
5	Cebrat Feliks	„Sosna”	1922	1942	gimnazjum
6	Jagiełło Mateusz	„Igła”	1908	1942	szkoła podstawowa
7	Nowak Antoni	„Ułan”	1916	1942	szkoła podstawowa

8	Anusz Zbigniew	„Topór”	1925	1941	gimnazjum
9	Zdunek Tadeusz	„Kukułka”	1924	1941	szkoła podstawowa
10	Zdunek Franciszek		1924	1941	szkoła podstawowa
11	Kozioł Marian	„Marynarz”	1911	1942	szkoła podstawowa
12	Turski Zygmunt			1942	szkoła podstawowa
13	Donigiewicz Jakub		1908	1944	średnie
14	Szmidt Zygmunt	„Lotnik”	1923	1943	szkoła zawodowa
15	Organek Wojciech	„Grom”	1925	1943	szkoła zawodowa

Wśród dziewięciu ośrodków Okręgu Siedleckiego znajdowało się 25 placówek. Jedna z nich wchodząca w skład I Ośrodka Siedlce mieściła się we wsi Pruszyń. W okresie od 1 stycznia 1941 do końca lipca 1944 pruszyńskim „Kedywem” Armii Krajowej dowodził plut. Kazimierz Nowak „Zemsta”. Szefem do 1943 roku był sierżant Zdzisław Skowroński „Karaś”. Dowódcą I Ośrodka był por. Wacław Wągrowski „Gałązka”. Na przełomie 1944r dowództwo przejął Czesław Dylewicz „Krukowski”.

W plutonie było nas piętnastu (tabela I), ale szczególnie aktywny udział w akcjach poza dowódcą Kazimierzem Nowakiem „Zemsta” brali: Zygmunt Wysokiński „Iglica”, Bolesław Komeluk „Brzoza”, Mieczysław Zdunek „Bruzda”, Mateusz Jagiełło „Igła”, Feliks Cebart „Sosna”, Antoni Nowak „Ułan”. Całością dowodził zwykle Zdzisław Skowroński „Karaś” lub Wacław Wągrowski „Gałązka”. Jak wynika z tabeli I na 15 żołnierzy 12 pochodziło ze wsi, do gimnazjum uczęszczało przed wojną 3, do szkoły zawodowej 5, szkołę powszechną ukończyło 6.

W naszych akcjach brali również udział żołnierze „Kedywu” siedleckiego. Szczególnie często oddelegowywany do współpracy z nami był Witold Skorupka „Orzeł”, bohaterski żołnierz, zasłużony szczególnie w likwidacji szpicli oraz Zygmunt Wróblewski „Kulas”. Współpracowali z nami również inni nasi koledzy i kuzyni z sąsiednich ośrodków, jak: Edward Matłacz „Setka”, Stanisław Ławecki „Julek” i inni, głównie z punktu kontaktowego „Olejarnia”.

Uzbrojenie plutonu na 50% stanu stanowiło: 8 karabinów (6 mauzerów, 1 francuski, 1 rosyjski) oraz 1 ciężki karabin maszynowy. W przygotowaniu do akcji „Burza” w magazynie znajdowało się 32 kbk, w tym 1 polski CKM z dwoma taśmami, pepesza rosyjska z 250 sztukami naboju + 2 bębny, pistolet kal.7 z 2 magazynkami, 500 szt amunicji do k.b., spłonki do lontu piorunującego, trotyl 20dkg sztuk 15. Drugi magazyn dostępny w każdej chwili pod opieką Zbigniewa Anusza „Topora” (1 karabin i bagnety, naboje, kostki trotylu, lornetka) na terenie szkoły powszechnej.

Pluton był dobrze zakonspirowany. Nigdy nie doszło do wpadki. Żołnierze byli bardzo zdyscyplinowani i dyskretni. Wiek żołnierzy w plutonie wahał się w granicach od 16 do 31 roku życia.

Warto prześledzić losy poszczególnych żołnierzy pruszyńskiego „Kedywu”. Ich losy są także częścią historii narodu, historii, która jest podobno nauczycielką życia. Szczególnie aktywną działalność przejawiał pruszyński „Kedyw” w roku 1943, w którym przeprowadzono następujące akcje: 15 kwietnia 1943 r. Akcja sabotażowa – cięcie drutów telefonicznych na linii Siedlce–Mordy w okolicach Pieńki – Pruszyń, początek lasu Stok Lacki. Udział brali: d-ca Kazimierz Nowak „Zemsta”, Mieczysław Zdunek „Bruzda”, Feliks Cebrat „Sosna” i dokoptowany z oddziału siedleckiego Witold Skorupka „Orzeł”.

maj 1943 r. Akcja przeprowadzona wspólnie z oddziałem dywersyjnym z Siedlec – zniszczenie akt i wykazów kontyngentowych w gm. Stara Wieś. Akcja trwała 1 godz. i 50 minut. Całością dowodził W. Wągrowski „Gałązka”. Dowódcą ubezpieczenia był K. Nowak „Zemsta”.

maj 1943 r. Akcja w nocy na gm. Czuryły.

maj 1943 r. Zniszczenie akt i wykazów kontyngentowych w gm. Tarcze. W akcji tej z Pruszyń brał udział K. Nowak „Zemsta”, który był dowódcą

ubezpieczenia. Całością akcji dowodził Z. Skowroński „Karaś”. 26 maja 1943 r. Cięcie drutów telefonicznych na linii Siedlce – Mordy przy szosie i kolei w okolicach Pieńki Wyczółskie (Zabadałówka). Na linii kolejowej druty były grube i trudne do przecięcia, w związku z tym zerżnięto kilka słupów telefonicznych. Udział brali: d-ca Kazimierz Nowak „Zemsta”, Mieczysław Zdunek „Bruzda”, Feliks Cebrat „Sosna”, Marian Koziół „Marynarz”, Bolesław Korneluk „Brzoza” i Witold Skorupka „Orzeł”. W czasie odwrotu nastąpiła wymiana ognia ze złodziejami trzody chlewnej. 7 czerwca 1943 r. Zniszczenie akt i wykazów kontyngentowych w gm. Krześlin. Sekretarz gminy, który miał zwyczaj witać Niemców podniesieniem ręki do góry został ukarany cieleśnie (pasem zbito rękę oraz miejsce, gdzie plecy swą szlachetną nazwę tracą). W akcji udział wzięli: Zygmunt Wysokiński „Iglica”, Mieczysław Zdunek „Bruzda”, Feliks Cebrat „Sosna” oraz 5 członków z dywersyjnego oddziału siedleckiego. Całością akcji dowodził Zdzisław Skowroński „Karaś”, dowódcą ubezpieczenia był K. Nowak „Zemsta”.

Czerwiec 1943r. Transport do Pruszyzna skrzynek z amunicją furmanką w okolicy linii kolejowej Stok Lacki, budynki Króla. Zrzucaną przez kolejarzy amunicję do kbk z transportu kolejowego idącego na wschód przewiózł „Zemsta”. Dowództwo z Siedlec przydzieliło „Zemście” eskortę w osobie Edwarda Matłacza „Setka” – transport szczęśliwie dotarł do Pruszyzna. 18 maja 1944 r. Wielka akcja na stacji kolejowej Mordy, przy linii kolejowej i szosie na odcinku Wyczółki – Mordy. W akcji brało udział do 100 osób oraz liczne furmanki. Akcja miała na celu zdobycie pociągu z bronią i amunicją którą miano przeładować na furmanki, a pociąg podpalić. Koncentracja „Kedywu” nastąpiła w Pieńkach Mordskich w lasach w pobliżu stacji. Dym z podpalonego pociągu miał być sygnałem do podpalenia benzyną mostu w Wyczółkach na Liwcu. „Kedyw” pruszyński z CKM, który obsługiwał „Zemsta” (ten sam, który „zdo byłem” wraz z kolegami w 1939 r. miał za zadanie ubezpieczyć prawą stronę Liwca i w razie przybycia Niemców ostrzelać ich z ckm-u i kbk. Dziwnym zrządzeniem losu ckm został ustawiony w miejscu o 60m., z którego go zabrałem w 1939 r. Niestety akcja nie udała się, bo pociąg niespodziewanie odszedł, co zapewne ocaliło okoliczną ludność. Całością akcji dowodził „Krukowski”

Cz.Dylewicz. W akcji brali udział: „Zemsta”, „Bruzda”, „Igła”, „Ułan”. Amunicje i broń do punktu zbornego dostarczył swoja furmanką Konstanty Sobiczewski, akowiec z Bydgoszczy, do Łastowieckiego z kol. Wyczółki.

Niezależnie od powyższych akcji „Kedyw” pruszyński przez cały okres okupacji prowadził szereg drobniejszych akcji, jak przerzut broni i amunicji do dowództwa w Siedlcach, kolportaż prasy itp.

W omawianym okresie miejscem konspiracyjnych spotkań była prowadzona przez W. Wągrowskiego „Gałązka” olejarnia w Siedlcach przy ul. Kochanowskiego. Olejarnia stanowiła główny punkt kontaktowy naszego d-cy Kazimierza Nowaka „Zemsta” z innymi akowcami, z którymi pruszyński „Kedyw” brał udział w wielu akcjach. Oto ich nazwiska: Zdzisław Skowroński „Karaś”, Czesław Dylewski „Krukowski”, Witalis Skorupka „Orzeł”, Zygmunt Wróblewski „Kulis”, Józef Ponikowski „Czort”, Mieczysław Krawczak „Kobra”, Stanisław Dawiziuk „Szwarc”, Tadeusz Byczyński „Fakir”, Tadeusz Kręglewski „Pik”, Jan Olduchowski „Oliwa”, Kazimierz Olduchowski „Bulwa”, Józef Solnica „Żuk”, Zygmunt Wereszczuk „Wrzos”, Waldemar Żukowski „Czapla”, Stanisław Ławecki „Julek”, Edward Matłacz „Setka”. Spośród 15 członków pruszyńskiego „Kedywu” okupację przeżyli wszyscy. Zginął tylko bezpośredni szef (do 1943 r.) por. Zdzisław Skowroński „Karaś” w akcji bojowej przeprowadzonej 30 czerwca 1944r na stacji Żabinki (obwód Mińsk Mazowiecki).

Ppor. Zdzisław Skowroński „Karaś”

Zdzisław Skowroński urodził się w 1917 r. w Kutnie z ojca Jakuba i matki Zofii. Do szkoły uczęszczał w Kutnie. W 1939 r. walczy w kampanii wrześniowej. W czerwcu 1940 r. rodzice Zdzisława wraz z synem Januszem i córką zostają wysiedleni z Kutna i zamieszkują we wsi Przygody pow.Siedlce, prowadząc mały sklepik. Brat Janusz zostaje członkiem ZWZ AK w III ośrodku placówki „Klin”, drużyna „Przystań” – pracuje w młynie Rzewnickiego jako mechanik i motorniczy.

W 1940 r. „Karaś” ucieka z niewoli niemieckiej w Prusach Wsch. i dociera do rodziny mieszkającej w Przygodzie. Podejmuje pracę na PKP w Podnieśniu, następnie zostaje przeniesiony do Siedlec. W tym okresie aktywnie współdziała z „Gałązką” i „Zemstą”. W 1943 r. bierze udział we wszystkich akcjach

pruszyńskiego „Kedywu” Armii Krajowej, ukrywając się w domu K.Nowaka w Pruszyńcu. Dzięki swej energii i niezwyklej odwadze zdobywa przyjaźń i zaufanie środowiska akowskiego w okręgu Siedlce. Dowodzi kilkoma udanymi akcjami Borki-Kosy (luty 1944 r.), Mordy (15 czerwca 1944), Platerów (12 grudnia 1943) – uwieńczona zdobyciem dużej ilości broni i amunicji, druga to akcja pod... (2 lutego 1944) uwieńczona sukcesem wysadzenia pociągu z transportem broni na wschód. Bierze udział w akcjach pod Szaniawą. W 1944 roku zostaje Referentem czyli dowódcą „Kedywu” kolejowego. Zginął śmiercią bohaterską 30 czerwca 1944 r. w ataku na stację Zabieźki. Akcją tą kierował dowódca Obwodu Mińskiego „Mewa”, „Kamień” por. Lubicz. Błąd popełnił terenowy kontrwywiad. Niemcy wiedzieli o tej akcji obstawiając budynki tego przystanku.

Akcja w Zabieżkach została wystawiona przez „Gałązkę”, nie została do końca wyjaśniona...

Sierż. Kazimierz Nowak „Zemsta”

Kazimierz Nowak urodził się w Pruszyńcu 4.03.1910 r. Tam spędził swe lata dziecińne i szkolne. W 1924 roku ukończył szkołę w Pruszyńcu, a w 1927 r. 3-letnią szkołę państwową rzemieślniczo – przemysłową Staszica w Siedlcach. W 1927 r. rozpoczął naukę w cywilnej szkole mechaników lotniczych w Bydgoszczy, którą po trzech miesiącach przerwał z powodu choroby. Od 1929 roku do 1933 pracował jako stolarz w Warszawie. W czasie od 1.11.1933 r. do września 1935 r. odbył czynną służbę wojskową w 6 batalionie saperów w Brześciu n/Bugiem. Po ukończeniu 12 miesięcznej szkoły podoficerskiej został przydzielony do Korpusu Ochrony Pogranicza w Stołpcach (kompania saperów). Po ukończeniu służby wojskowej w 1935 r. do 1939 r. prowadził samodzielnie warsztat stolarski w Warszawie. W sierpniu 1936 r. bierze udział w 6-tygodniowych ćwiczeniach rezerwy w 1 batalionie saperów w Modlinie.

Od 1.09.1939 r. zmobilizowany w 2 Baterii saperów w Legionowie, był zastępcą dowódcy drużyny cieśli.

Walczył w regionie Kutna, a następnie przebijając się do Warszawy dnia 15.09.1939 r. dostał się w Henrykowie do niewoli. Przebywał w Stalagu IA,

z którego uciekł 18.06.1940 r. Ponieważ mieszkanie w Warszawie zostało spalone, wrócił do Pruszyña, gdzie pracował jako stolarz aż do zakończenia okupacji.

Od 1.01.1941 r. był organizatorem i dowódcą „Kedywu”, 15 osobowej grupy dywersyjnej Armii Krajowej w Pruszyñie. W okresie od 1 stycznia 1941 r. do końca lipca 1944 r. (rozwiązanie oddziału) kierował bojowymi i sabotażowymi akcjami (cięcie drzew, niszczenie akt i wykazów kontyngentowych, transport amunicji, przerzut broni i amunicji, kolportaż prasy).

Po rozwiązaniu „Kedywu” w lipcu 1944r wyjechał ze względu na swe bezpieczeństwo do Słupska, gdzie prowadził warsztat stolarski do 1952 r. W 1952 r. wrócił do Pruszyña pracując jako stolarz do 1975 r. Wyszkolił 8 uczniów w zawodzie stolarskim. Pasją jego życia było pszczelarstwo. Posiadał 100 pniową pasiekę. W Związku Pszczelarskim pełnił funkcję przewodniczącego komisji rewizyjnej. Otrzymał dyplomy: 1) za wzorowe prowadzenie pasieki 1975 r. Wojewódzki Związek Pszczelarski w Warszawie, 2) za długoletnią ofiarną pracę społeczną dla dobra pszczelarstwa woj. Siedleckiego 1982 r. Wojewódzki Związek Pszczelarski Siedlce, 3) Polski Związek Pszczelarzy medal: Krąg Zasłużonych Pszczelarzy jako wyraz uznania i szacunku 1990 r. Zgromadził bogaty księgozbiór, którego nie powstydziliby się profesjonalista – intelektualista. Był również zastępcą przewodniczącego społecznego komitetu budowy ośrodka zdrowia w Pruszyñie. Bezpartyjny, żonaty, ma 3 synów i 2 córki, wszyscy z wyższym wykształceniem.

Jest człowiekiem wszechstronnie uzdolnionym, pracowitym, o szerokich zainteresowaniach, spokojnym, wyrozumiałym, bezinteresownym.

Lubią i cenią Go wszyscy, którzy się z Nim zetknęli Sprawdził się zarówno w życiu prywatnym, jak i społecznym. Nie załamał się nigdy, przez całe życie przeszedł z rękami spracowanymi i czystymi.

Niewielu wśród nas jest ludzi tej klasy i tej miary. Kazimierz Nowak „Zemsta” dobrze zasłużył się Ojczyźnie, wsi i rodzinie. Stanowi wzorzec godny naśladowania. Wzór moralny.

Otrzymał odznaczenia: Medal za udział w wojnie obronnej 1939r, Krzyż Partyzancki, Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Medal Za Długoletnie Pożycie

Przedstawiony poniżej biogram nie zawiera mego subiektywnego spojrzenia na Kazika „Zemstę”, mimo że wśród moich przyjaciół zajmuje miejsce szczególne. Jest ode mnie starszy o 15 lat, ale z czasem ten znaczny początkowo dystans lat zatarł się zupełnie.

W naszych oczach 16–18 letnich chłopców był uosobieniem odwagi, rozumu i męstwa. Imponował nam swym zaangażowaniem, ale także spokojem, kulturą i odczytaniem. Był lubiany bez wyjątku przez wszystkich. Poznał się na nim także ks. K. Tomaszewski, który obdarzał Go przyjaźnią i cenił bardzo wysoko.

W czasach okupacji mieliśmy tylko niekiedy żale do p. Kazimierza, że nas młodych traktował z pewnym dystansem i rezerwą. Do akcji bojowych i sabotażowych dobierał sobie spośród 15 osobowego plutonu głównie starszych kolegów (byłych żołnierzy i kolegów po 20-tce). Uważał, że 16–18latki, jak mówił „harcerze”, mają jeszcze czas na bojowe wypadki. Kontakty z nami ograniczał do minimum, głównie za pośrednictwem starszych kolegów. Pamiętam swój żal do „Zemsty” za brak zgody na mój udział w wyprawie 7.06.1943 r. na gminę Krześlin. Argumentacja jego była wręcz obraźliwa „nie daj Boże złapią cię Niemcy, dostaniesz w d-pę, nie wytrzymasz, wielu starszych nie wytrzymało i stracimy magazyn broni...”.

Zabolała mnie ta odmowa, ponieważ bardzo pragnąłem mieć swój udział w konkretnym działaniu z bronią w rękę. Odczułem to jako brak zaufania do mej osoby. Przechowywanie, odbieranie, czyszczenie i wydawanie broni przestało mi wystarczać. Marzył mi się żołnierski czyn...

Dziś w przeszło 50 lat od tamtych dni na decyzję dowódcy „Zemsty” patrzę inaczej. Widzę w niej wielką mądrość Kazika. Może tylko szkoda, że wtedy tak mądrych ludzi jak „Zemsta” było raczej mało. O ileż mniej byłoby niepotrzebnych ofiar, tych „kamieni rzuconych na szaniec...”.

Zygmunt Wysokiński „Iglica”

Z-ca dowódcy „Kedywu” pruszyńskiego Armii Krajowej. Urodził się 8 czerwca 1913 r. we wsi Krzymosze, pow. Siedlce, gdzie jego ojciec Ludwik był lokajem na dworze w majątku Krzymosze. Po ukończeniu szkoły powszechnej w Pruszyńcu, podjął naukę w Siedlcach, a następnie zaocznie w Warszawie.

Służbę wojskową odbył jako ochotnik w Brześciu n/Bugiem w łączności. Pracował jako listonosz w Siedlcach, dojeżdżając każdego dnia rowerem z Pruszyzna. Zmobilizowany do wojska w 1939 r. walczył w Lasach Tucholskich, a pod Koronowem dostał się do niewoli niemieckiej. W 1941 r. wraca z niewoli z powodu złego stanu zdrowia i wstępuje do Armii Krajowej.

Zawiera związek małżeński, ma 4 córki. Po skończeniu wojny podejmuje pracę w PZU Siedlce. Jednocześnie bardzo aktywnie pracuje społecznie – jest organizatorem budowy świetlicy i ruchomego kina, komendantem Ochotniczej Straży Pożarnej, sekretarzem komitetu rodzicielskiego przy Szkole Podstawowej w Pruszyń, przez dwa lata pracuje w miejscowym kółku rolniczym. Zmarł 17 lipca 1981 roku.

Bolesław Korneluk „Brzoza”

Urodził się 25 kwietnia 1920 r. z ojca Michała i matki Bronisławy. W 1936 r. zaczął naukę w Podlaskim Instytucie Muzycznym – klasa organowa w Siedlcach. Ożenił się w 1940 r., w 1942 r. wstąpił do Armii Krajowej. Pracował w Pruszyń jako organista, a następnie na poczcie i we własnym gospodarstwie. Pełnił jeszcze także funkcje społeczne, jak: 1) prezes koła rolniczego, prezes KMC PSL, przewodniczący rady sołeckiej, przewodniczący społecznego komitetu budowy sali gimnastycznej, v-ce prezes gminnego związku kółek i organizacji rolniczych.

Mieczysław Zdunek „Bruzda”

Urodził się 8 grudnia 1921 r. w Pruszyń z ojca Rafała i matki Stefanii z Parapurów. W 1934 r. ukończył szkołę powszechną w Pruszyń. W latach 1934–1936 ukończył dwuletnią Szkołę Mechaniczną im. Konarskiego w Siedlcach, w latach 1936–1938 Kolejowe Gimnazjum Mechaniczne w Warszawie. W 1941 r. wstąpił do Armii Krajowej. W latach 1944–1945 wstąpił do wojska i brał udział w walkach na froncie w Dywizjonie lotniczym w składzie 6 Armii Lotniczej. W latach 1945–1947 ukończył Techniczną Oficerską Szkołę Wojsk Lotniczych. W latach 1947–1951 służył w jednostce wojsk lotniczych w Radomiu (st. technik eskadry). Żonaty, ma syna. W 1951 r. przeniesiony w stan spoczynku w stopniu porucznika, podjął pracę w Wytwórni Sprzętu

Komunikacyjnego w Warszawie – Okęciu, a od 1952 r. w Ministerstwie Przemysłu Ciężkiego w Departamencie Wojskowym. W latach 1964–1970 ukończył studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. W 1970 r. otrzymał nominację na stopień kapitana. Na emeryturę przeszedł w 1981 r. Zmarł 23 września 1983 r. Odznaczenia: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1970). W moich wspomnieniach jego imię przewija się wielokrotnie. Był jednym z najbliższych mi kolegów, był tym, który wprowadził mnie do Armii Krajowej. Był również głównym dostarczycielem materiałów wybuchowych do magazynu, którym się opiekowałem. Był człowiekiem dzielny, bardzo odważnym, koleżeńskim.

Feliks Cebrat „Sosna”

Urodził się 2 kwietnia 1922 r. w Gilowicach, woj. bielskie, po ukończeniu szkoły powszechnej rozpoczął naukę w Miejskim Koedukacyjnym Gimnazjum Kupieckim w Żywcu. W 1940 r. został wysiedlony, wraz z rodziną z Gliwic do byłej generalnej Guberni. Zamieszkał we wsi Pruszyń, woj. siedleckie. W 1942 r. wstąpił do Armii Krajowej. Pracował w miejscowej zlewni mleka. W 1945 r. po zdaniu matury w Liceum Handlowym w Siedlcach rozpoczął studia w SGH w Warszawie, którą ukończył w 1948 r. Ożenił się w 1948 r., ma dwóch synów.

Antoni Nowak „Ułan”

Urodził się 4 lutego 1916 r. w Pruszyńcu, woj. siedleckie. Szkołę podstawową ukończył w Pruszyńcu. Z zawodu jest stolarzem. W 1937 r. został powołany do wojska. W 1939 r. brał udział w bitwach w Prusach Wschodnich. Do Armii Krajowej wstąpił w 1942 r. Od 1981 r. przebywa na emeryturze. Jest żonaty, ma czworo dzieci.

Zbigniew Karol Anusz „Topór”

Urodził się w Warszawie jako syn Karola i Marii z Godlewskich w rodzinie nauczycielskiej. W 1938 r. ukończył 7 klas szkoły powszechnej w Pruszyńcu, w tym roku zdał do gimnazjum w Siedlcach. W lutym 1941 r. został zaprzysiężony jako żołnierz Armii Krajowej. W czasie okupacji ukończył 4 klasy gimnazjum, uczony przez siostrę. Świadectwo dojrzałości otrzymał w 1945 r.,

w tym samym roku ukończył kurs nauczycielski dla maturzystów. W 1945 r. wstąpił na Wydział Weterynaryjny UMCS w Lublinie. W 1947 r. przeniósł się na Wydział Weterynaryjny Uniwersytetu Warszawskiego. Dyplom lekarza weterynarii otrzymał w 1952 r. W latach 1950–1955 pracował jako asystent w Zakładzie Epizootiologii i Klinice Chorób Zakaźnych Wydziału Weterynarii UW.

W roku 1954 podjął studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Warszawie. Dyplom lekarza otrzymał w 1959 r. roku. Ożenił się w 1956 r., ma dwóch synów.

Od roku 1955 do 1965 pracował w II Klinice Chorób Zakaźnych AM i Ośrodku Badań Klinicznych PZH. W 1965r uzyskał tytuł doktora nauk medycznych. Od roku 1964 do czerwca roku 1991 pracował w Zakładzie Epidemiologii PZH. W 1977 roku uzyskał stopień doktora habilitowanego nauk medycznych w zakresie epidemiologii. Od 1984 r. do 1994 był kierownikiem Katedry Epizootiologii z – Kliniką Chorób Zakaźnych Wydz. Lek. Wet. ART. w Olsztynie. W roku 1986 uzyskał; tytuł profesora. Opublikował łącznie ponad 500 prac, w tym 18 podręczników i skryptów.

Zygmunt Szmidt-Szmitkowski „Lotnik”

Urodził się 2 grudnia 1923 roku w Siedlcach jako syn Romana i Heleny. Ukończył Szkołę Rzemieślniczą Przemysłu Metalowego w Siedlcach oraz Szkołę Wawelberga w Warszawie. Od 1943 r. należał do pruszyńskiego „Kedywu” Armii Krajowej. W 1944 r. wstąpił do oficerskiej szkoły lotniczej. Ukończył Wyższą Szkołę Lotniczą w Modlinie. W stopniu majora przeszedł do rezerwy. Ukończył Wydział Germanistyczny Uniwersytetu Humboldta w Berlinie.

Wojciech Organek „Grom”

Urodził się 27 maja 1927 r. w Pruszyńcu z ojca Wacława i matki Lucyny. W czasie okupacji mieszkał wraz z rodzicami w Siedlcach, gdzie w 1941 r. ukończył szkołę powszechną a w 1943 r. Szkołę Rzemieślniczą Przemysłu Metalowego. Do Armii Krajowej wstąpił jesienią 1943 r. We wrześniu 1944 r. wyjechał do Lublina i wstąpił do Liceum Technicznego. W czerwcu 1945 r.

został aresztowany w tzw. „kotle”; zwolniony w lipcu. W 1947 r. ukończył Liceum Techniczne w Lublinie. Od 1948 r. do chwili obecnej mieszka w Gdańsku. Związek małżeński zawarł w 1952 r. W 1956 r. ukończył studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Gdańskiej. Od grudnia 1990 r. jest na emeryturze.

Zdunek Tadeusz „Kukułka”

Urodził się 22 września 1924 r. w Pruszyńcu jako syn Władysława i Józefy z Jagiełłów. Szkołę podstawową ukończył w Pruszyńcu. Od czerwca 1942 r. do końca lipca 1944 r. należał do pruszyńskiego „Kedywu” Armii Krajowej. W czasie pobytu w szkole podoficerskiej w „Jata” w lesie koło Łukowa od maja 1944 r. do lipca 1944 brał udział w akcjach dywersyjnych. Obecnie mieszka w Gdańsku. Pracował jako elektromonter. Ma czworo dzieci. Do żadnej partii politycznej nie należał.

Nie mogę pominąć jeszcze dwóch biogramów aktywnych członków Armii Krajowej ściśle związanych z Pruszyńcem, mimo iż nie wchodzili w skład pruszyńskiego „Kedywu”. Byli to: Witold Skorupka „Orzeł” i Stanisław Ławecki „Julek”.

Witold Skorupka „Orzeł”

Urodził się 16 lutego 1923 r. w Sokółce woj. białostockie z ojca Aleksandra i matki Zofii Nawrockiej. Do szkoły podstawowej i gimnazjum uczęszczał w Białymstoku. Do wybuchu wojny ukończył 4 klasy gimnazjum.

Konspirację rozpoczął w organizacji KOP, a następnie w Szarych Szeregach. W 1941 roku zamieszkał w Stoku Lackim, gdzie brał aktywny udział w konspiracji ZWZ-AK. Jego dowódcami byli: Wacław Wągrowski „Gałązka”, Zdzisław Skowroński „Karaś”, Czesław Dylewicz „Krukowski”. Aktywnie działał również w pruszyńskim „Kedywie”. Za swą działalność został dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych i awansowany do stopnia starszego sierżanta. Między innymi brał udział w zlikwidowaniu 2 gestapowców (akcja „Rolnik”) – szefa KRiPO i jego kierowcy. Uczestniczył w likwidacji konfidentów, wysadzeniu pociągu w miejscowości Borki-Kosy, wysadzeniu studni artezyjskiej w Siedlcach, odbiciu ludzi złapanych przez Niemców na terenie Arbeitsamtu

w Siedlcach. Brał aktywny udział w czasie akcji „Burza” w lipcu 1944 r.

W sierpniu 1945 r. Skorupka został aresztowany za udział w akcji przeciwko systemowi komunistycznemu. Warszawski Okręgowy Sąd Wojskowy skazał go na karę śmierci, którą zamieniono mu na 10 lat więzienia. Odbывał ją w więzieniach: Warszawa-Praga (śledztwo), Wronki, Potulice i Bydgoszcz. Wolność odzyskał w 1952 r. Do 1969 r. mieszkał w Gdańsku, a następnie w Warszawie.

W tym czasie zajmował się zbieraniem materiałów historycznych oraz wykonywaniem tablic pamiątkowych ku czci poległych i pomordowanych dowódców i kolegów. Od 1993 r. pracuje społecznie w Zarządzie Głównym Związku Więźniów Politycznych skazanych na karę śmierci w okresie reżimu komunistycznego. Jest członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Otrzymał odznaczenia: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Krzyż Walecznych, Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Partyzanta, Medal Wojska Polskiego, Odznakę Weterana Walk o Niepodległość.

Był prezesem Związku Więźniów Politycznych Skazanych na Karę Śmierci.

Ławecki Stanisław „Julek”

Urodził się 1 października 1926 r. we wsi Borki Siedleckie z ojca Bronisława i matki z domu Kucharzewska. Ojciec piłsudczyk zatrudniony był na PKP i pracował w gospodarstwie. Do szkoły powszechnej uczęszczał w Borkach Siedleckich, a następnie w Suchożebach. Brat stryjeczny, akowiec, uczestnik wojny 1939 r., uciekł z niewoli niemieckiej, w 1947 r. aresztowany jako łącznik „Młota”, skazany na karę śmierci. Przysięgę AK składał w budce kolejowej w Małej Strzale. Ożenił się w 1947 r. z Leokadią Bryńczak, ma córkę (urodz. 1948 r.) i syna (urodz. 1958 r.).

Stanisław Ławecki ujawnił się 26 sierpnia 1945 r. na dziedzińcu kurii diecezjalnej w Siedlcach. W 1945 r. powołany został przez komisję wojskową do karnej kompanii. W 1945 r. aresztowany przez UB w Siedlcach i przez 3 dni męczony w kazamatach ubeckich. W tym czasie w więzieniu siedleckim siedział również dr L. Wajszczuk. W czasie okupacji mieszkał blisko kolei, pracował w firmie kolejowej „Stankiewicz”, która budowała drugi tor Małkinia – Siedlce. W lutym 1943 r. został wysłany na 3-tygodniowy kurs sanitarny do Szpitala Dzieciątka Jezus, który prowadził prof. Venulet, którego dowód-

cą był St. Łętowski „Mechanik”. W kursie (poświęconym łączności, zrutom, skokom spadochronowym, plastykowi) brało udział 6 osób z Siedlec. Bezpośrednim zwierzchnikiem tej grupy był kpt. Sasin „Kopka”. Była to kompania specjalna „Beruta”, dowódcą jej był por. A. Frankowski „Ocer”. Mieli pełne rozeznanie zawartości wagonów kolejowych. W Podnieśniu otwierano wagony podczas biegu pociągu, a obok jechały furmanki, które zbierały wyrzuconą z pociągu broń (kbk). I tak np. w 1943 r. odczepiono wagon z pociągu sanitarnego na przystanku Borki Siedleckie, z którego zabrano środki opatrunkowe i rozwieszono do „Jaty” i Krześlina. D-cą był Laskowski „Vit”, przy współpracy placówki „Niwski” – d-ca W. Talacha.

Aresztowany w Siedlcach 13 maja 1948 r. więziony był do 1 sierpnia 1957 r. Łącznie przesiedział 9 lat i 3 miesiące, W Siedlcach w UB przebywał 3 tygodnie, w Lublinie na ul. Szopena 2 tygodnie. 16 lipca 1948 r. został skazany na karę śmierci w trybie doraźnym. Znalazł się wśród 16 akowców, z których trzech zostało skazanych na karę śmierci: 1) Sawiak Marian „Tor” plut. Fińskiej floty, 2) Gontarz Henryk rozstrzelany 13.08.1948 r. razem z 3) Pałka Bronisław „Zbinio” ppor. d-ca placówki Paprotnia – Krześlina. Skazanych na karę śmierci przebierano w ubrania SS-mańskie, buty, furażerki z gapą SS-wiking.

Z więzienia w Rawiczu, w którym panowała bezwzględna dyscyplina, został przeniesiony jako ciężko chory do szpitala we Wronkach. Komendantem szpitala więziennego był lekarz wojskowy kpt. Sikora Tadeusz, człowiek przyzwoity, który wyleczył go z owrzodzenia żołądka i opuszki dwunastnicy. Przez 2 1/2 lat pracował na oddziale gruźliczym.

Od 1.08.1957 r. do 1964 r. pracował w charakterze kontrolera sanitarnego.

Otrzymane odznaczenia: Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Wojska Polskiego, Krzyż Walecznych, Krzyż Partyzantów, Krzyż WIN (KS).

Stasio Ławecki, mimo że nie należał do pruszyńskiego „Kedywu” Armii Krajowej był bardzo blisko powiązany z naszym oddziałem, przebywając często u naszego dowódcy K. Nowaka „Zemsty”, którego był krewnym. Dlatego „honorowo” włączyłem go do naszego oddziału.

Karol Anusz

Przedstawiając sylwetki pruszyńskich działaczy okresu wojny i okupacji nie mogę nie wymienić swego ojca, Karola Anusza. Działalność jego, jak i nauczycieli w Pruszyńnię upamiętniła Aniela Zawadzka wymieniając nazwiska prowadzących tajne nauczanie w swej znanej książce p.t. „Szkoła siedlecka w okresie okupacji hitlerowskiej 1939–1944”. Ówczesne nauczycielstwo, wychowane na „Siłaczce” S. Żeromskiego, poświęcenie dla spraw narodu uważało za swój naturalny obowiązek. Nic więc dziwnego, że ojciec mój współpracował ściśle z Czesławem Dylewiczem „Krukowski”, Stanisławem Gunią „Siwy”, Tomaszem Hardejewskim „Grab”, Aleksandrem Wadasem „Sęk”. Pamiętam odwiedziny w Pruszyńnię „Krukowskiego”. Przyjeżdżał rowerem i obaj z ojcem zamykali się na długie rozmowy. Wtedy nie wiedziałem nic o roli pana Dylewicza w działalności siedleckiej Armii Krajowej. Do dziś pamiętam te nazwiska. Szczególnie bliskie kontakty łączyły ojca z jego młodszym kolegą A. Wadasem, kierownikiem szkoły w Golicach.

Ojciec mój pochodził z chłopskiej rodziny o patriotycznych tradycjach. W domu wspomniano o jego stryjkach, zwłaszcza o Antonim, który za swą działalność skazany został na 10 lat katorgi na Syberii. Nic więc dziwnego, że ojciec mój należał do POW w okresie I wojny światowej.

Urodził się 4 listopada 1895r w Latowiczu. Do gimnazjum uczęszczał w Mińsku Maz. i Siedlcach. Prace nauczycielską rozpoczął w 1915 r. we wsi Mień, pow. Brańsk, woj. Białostockie. W roku 1916/17 miejscem pracy stała się Oleśnica pow. Siedlce i pozostała nim na 4 lata. W roku 1920 przenosi się do Skórcza, w 1922 r. do Stoku Ruskiego, w 1931 do Pruszyń (gdzie pracuje jako kierownik szkoły podstawowej) do 1946r, w 1946 r. do Żeliszewa, w 1956r do Mrozów. Po przejściu na emeryturę pracował do 1968 r., był zawsze czynny, życzliwy dla wszystkich.

Pamiętam, że ojciec mój już w Stoku Ruskim bardzo dużo czasu poświęcał pracy społecznej, rozmowom z mieszkańcami wsi, zainicjował budowę remizy strażackiej. Podobnie było i w Pruszyńnię. Początkowo mieszkaliśmy w budynku szkolnym, którego połowę stanowiła sala lekcyjna, a drugą mieszkaniem kierownika. Staraniom mego ojca zawdzięcza Pruszyń nową dużą szkołę, drewnianą wprawdzie, ale jak na owe czasy rozległą i wygodną. Pamiętam, że

ojciec mój w budowę wkładał całe serce, a następnie zabiegał o wyposażenie pracowni w sprzęty i pomoce naukowe, takie jak warsztaty stolarskie, maszyna do szycia itp. Dążył stale do pogłębiania swej wiedzy. Ukończył szereg kursów wakacyjnych, między innymi ogrodniczy w Ursynowie. Zaowocowało to podniesieniem estetyki nie tylko obrzeża szkoły, która tonęła w kwiatach, ale i całej wsi, bowiem zachęcał dzieci do dbałości o ogrody przydomowe i rozdawał im nasiona i bulwy ukochanych dali.

Myślę, że napis na jego nagrobku „Uczył żyć dobrze i pięknie” zawiera głęboką prawdę, że sam tak żył. Był odważny, odmówił ściągnięcia flagi z masztu w dniu 3 maja 1943 r., nie zawahał się pojechać w nocy po węgiel dla szkoły, co spowodowało jego aresztowanie przez Niemców, przechowywał bibliotekę szkolną. Był człowiekiem konkretnego czynu. Rozmówiony w pracy społecznej, w działalności oświatowej, nie tylko wśród dzieci, ale i ich rodziców, pracował bezinteresownie i ofiarnie bez rozgłosu i chęci błyszczenia. Gdy w 1916r zgłosił się do pracy odradzano mu objęcie posady nauczyciela na wsi. Posiadanie szkoły średniej wtedy umożliwiało otrzymanie lepiej płatnej pracy w mieście i stąd pytanie „czy nie szkoda pana na wieś”. Ojciec jednak poszedł za głosem serca

Zmarł nagle 15 sierpnia 1968 r. z powodu zawału serca. Spoczywa na cmentarzu w Mrozach.

Wanda Anusz – Rudka „Marzena”

Urodzona 8 czerwca 1920r w Warszawie, w rodzinie nauczycielskiej. Szkołę powszechną ukończyła w Pruszyńcu, pow. Siedlce, następnie Gimnazjum im. Królowej Jadwigi w Siedlcach. W 1938 roku rozpoczęła studia (filologia polska) na Uniwersytecie Warszawskim.

Od listopada 1939r do 1 lipca 1944 r należała do Szarych Szeregów, a w latach 1943 – 44 do ZWZ AK obwód „Sowa”. Współdziałała z grupą AK prowadzoną przez Antoniego Wadasa „Sęk”, który po przeniesieniu się z Pruszyńca do Golic, razem z Z.Zajchowską „Halina” odebrał od niej przysięgę. Zajmowała się zbieraniem prowiantu dla więźniów, opiekowała się jeńcem z ołtagu Baltazarem Zdańkowskim. Zgromadziła materiały opatrunkowe i sprzęt sanitarny. Należała do grupy bardzo aktywnie działających harcerek. Jej koleżanki

to Wiesława Lodwichówna, Janina Wierchowska, Anna Zalechówna, Halina Chejło.

W latach 1939–1943 prowadziła komplety tajnego nauczania w Pruszyńcu. Na wiadomość o poszukiwaniu jej przez Niemców wyjechała w 1943 r. do Latowicza, dokąd przyjechał jej brat Zbigniew, wypuszczony przez Niemców z więzienia za okupem. W Latowiczu „Marzena” pracowała przez dwa lata jako nauczycielka na kompletach tajnego nauczania.

Po przejściu frontu ukończyła kurs nauczycielski dla maturzystów w Siedlcach. Tytuł magistra filologii uzyskała w 1951 roku na studiach dziennych, dojeżdżając z Mrozów.

Ma dwóch synów. W 1975 roku przeszła na emeryturę, pracowała jednak w Liceum Ogólnokształcącym im. A. Mickiewicza w Mrozach do 1998 r. włącznie.

Antoni Wadas „Sęk”

Urodzony 29 maja 1904 roku w Szaniawce z ojca Józefa i matki Bronisławy z Lechów. Pracował jako nauczyciel w Seroczyniu, Skórcu, Suchożebach, Olszyc Szlachecki, od 1928 r. do 1940 r. w Pruszyńcu, do 1957 r. kierownik szkoły w Golicach, od 1970 r. w Borkach-Kosach gm. Zbuczyn. Od 1970 r. na emeryturze. Ukończył Studium Nauczycielskie – filologię polską oraz wiele kursów wakacyjnych. Ma dwie córki Halinę i Teresę

Od 1928 r. do wojny prowadził POW z młodzieżą starszą harcerstwo, kółka sportowe. W czasie okupacji brał udział w tajnym nauczaniu szkoły powszechnej. Należał od listopada 1939 r. do SZP, ZWZ, potem AK oraz tajnej organizacji nauczycielskiej, przechowywał broń i amunicję. Był wierny tradycjom rodzinnym, ponieważ jego matka należała do rodziny, która w 1863 r. za udział w powstaniu utraciła swój majątek (Grochówka k/Krzeska). Kolportował prasę konspiracyjną. Od 1944 r. ścigany przez Gestapo. Był komendantem placówki Stara Wieś, kontynuując dzieło ppor. Wiktora Stańskiego „Iskry”. Był człowiekiem o wielkim sercu. Zmarł 7 stycznia 1993 r. w Warszawie. Spoczywa na Cmentarzu Komunalnym Północnym w kwaterze żołnierzy Armii Krajowej (aleja W 19).

Aleksander Kozioł „Zbyszek”

Aleksander Kozioł „Zbyszek” urodził się 10 października 1895r w Pruszyńcu. Ukończył 4 klasy carskiej szkoły powszechnej w Pruszyńcu. W latach 1929–1945 był wójtem gminy Stara Wieś Był inspiratorem powstania Ochotniczej Straży Pożarnej w Pruszyńcu oraz aktywnym członkiem „Strzelca”. Odegrał ważną rolę w organizowaniu budowy szkoły powszechnej i ośrodka zdrowia w Pruszyńcu. Już 1 listopada 1939 r. wstąpił do Służby Zwycięstwa Polski. Przez 2 lata ukrywał skutecznie w budynku gminy Stara Wieś dowódcę Okręgu Siedleckiego AK mjr Mariana Zawarczyńskiego „Ziemowita”. W sierpniu 1944 r. w poszukiwaniu „Ziemowita” zjawił się u niego pułkownik NKWD. Wizyty ponawiał kilkakrotnie i zażądał meldowania się w NKWD grożąc mu zastrzeleniem, jeśli nie wskaże miejsca pobytu „Ziemowita”. W tej sytuacji podjął decyzję ucieczki. Ścigany następnie przez NKWD i UB ukrywał się w latach 1945–1949 pod nazwiskiem Kłos Stanisław. Ukrywał się w budynku szkoły powszechnej w Pruszyńcu, w domu pana Kazimierza Nowaka oraz we wsi Bali; nieustannie tropiony przez UB. Dobrze pamiętam pana Aleksandra. Był wyśmienitym mówcą i organizatorem. Jego zasługą było wyciągnięcie mojego ojca z rąk niemieckich. Należał do ludzi traktujących pracę społeczną jako ważne, bardzo ważne uzupełnienie pracy zawodowej. Wójt A. Kozioł zasłużył się swej wsi i ojczyźnie. Zmarł w 1984 r. w Warszawie. Nie będzie przesadą jeśli powiem, że miał w sobie coś z W. Witosa, chłopskiego przywódcy

Zakończenie

Z pewnością nawet skromne wspomnienia zwykłych ludzi staną się w przyszłości materiałami, źródłami wiedzy dla przyszłości i upamiętnienia rzeczywistości tego skrawka ziemi, na której wyrastałem. Wspomnienia te zawarłem w książce „Pruszyń, Pruszyń, Pruszyń” (2) wychodząc z założenia, że „na mozaikę życia narodu składają się nie tylko wielkie czyny niezwykłych jednostek, ale i codzienność zwykłych, szczerych ludzi i w tej codzienności, w tej małości, jak w kropli wody odbija się tęczę cały świat”.

Czas zakończyć swe wspomnienia. Znów jak kiedyś przed laty zapachniała mi łąka, ziemia, zaszumiały pruszyńskie „krzaki”, poczułem zapach i smak wody Liwca. Wróciłem do domu... Te powroty w „kraj lat dziecinnych”, to

tęsknota, do tamtych marzeń i tamtych nadziei, w których dobry świat stał jeszcze otworem, był w zasięgu ręki. To czas odwagi, tożsamości, tradycji, naiwności, pierwszej przyjaźni z ludźmi i zwierzętami, drzewami, z ziemią pełną naszych śladów. Teraz już wiem – był to powrót do źródeł... bo każdy ma swoją dolinę Issy..., swoją małą ojczyznę. Bo nasza rodzina i polska siła tkwi w tradycji, bez której nie ma sukcesów. Każdy z nas jest tworem przeszłości. Dlatego warto każdy dobry ślad o swoich najbliższych ocalić od zapomnienia.

Kończąc swe wspomnienie posłużę się słowami gen. Wojciecha Borzobohatego, które znalazłem w książce „Jodła” otrzymanej przez mnie z jego dedykacją „Pracę tę składałam w hołdzie poległym żołnierzom Armii Krajowej. Niech ona będzie również wyrazem uznania dla tych, którzy przeżyli okupację”.

Bóg, Honor, Ojczyzna

Minęło już przeszło pół wieku, gdy jako młodzi ludzie za jedyną drogę do utrzymania dziedzictwa przodków musieliśmy uznać walkę. Wielu w niej zginęło, wielu przeżyło nieopisane męczarnie, by ta „co nie zginęła, wyrosła z naszej krwi”. Nie byliśmy w swoich dążeniach osamotnieni. Pamięć narodu przekazała nam wypowiedziane w odległym czasie mickiewiczowskie słowa: „Ja i Ojczyzna to jedno” i każdy z nas za J. Słowackim chciał o sobie powiedzieć „żem dla Ojczyzny sterał moje lata młode”.

Minęły lata krwi, cierpień, ofiar. I oto w tej chwili oglądamy się za siebie jak strudzeni żniwiarze i myślimy nad tym jak wzbogacić dorobek naszego życia, jak podzielić się swymi doświadczeniami i przemyśleniami z pokoleniami, które dopiero wchodzą w okres tworzenia nowej rzeczywistości.

Jak przekazać następcom zdobyte wartości? Jak ocalić je od zapomnienia? Jak pomóc młodym, aby umieli ustrzec się błędów ojców, skorzystać z ich dorobku, uchronić od zagrożeń, abyśmy byli mądrzy „przed szkodą”, a nie po niej? Pytania te można mnożyć, bo życie ludzkie nigdy nie jest w pełni szczęśliwe i bezpieczne i zawsze niesie zagrożenia i niepokoje. Walka dobra i zła jest nieśmiertelna i nie możemy się jej biernie przyglądać, ale do końca zachować wierność swoim ideałom, tak jak żołnierze, którzy ginąc na polach bitew wołali „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Obecnie słyszymy wiele o zaniku patriotyzmu, o zagrożeniach, jakie niosą

nam nowe czasy, o upadku moralności, o „szarganiu narodowych świętości”, jak to kiedyś określił St. Wyspiański. Na czym więc powinniśmy skoncentrować naszą działalność, aby nie stracili potomkowie niczego z dawnej tradycji narodowej, ale lepiej przygotowali się do nowych lotów i nowych osiągnięć. Myślę, że właśnie jednym z tych sposobów jest upamiętnienie przeszłości, zarówno jej blasków i cieni, ukazywanie roli woli narodu pozwalającej na zwycięstwo w najtrudniejszych warunkach. Nie możemy patrzeć obojętnie na bierność, lekceważenie dorobku przeszłości, gnuśność i lenistwo duchowe. Wnukowie nasi muszą mieć przynajmniej te wartości, których nam nie brakowało. I dlatego ukazujemy wzory postępowania, nie lekceważymy żadnej tablicy pamiątkowej, potrzeby hołdu dla zasłużonych w jakiegokolwiek dziedzinie życia narodu. Musimy utrwalić w młodzieży przekonanie, że praca dla ojczyzny jest obowiązkiem, że prawdę głoszą słowa St. Konarskiego: „Nie masz zasług. To co my zowiemy zasługi, są tylko dla Ojczyzny wypłacone długi”.

Z przekonania, że jesteśmy wszyscy dłużnikami Ojczyzny płynąć będą czyny dobre i piękne, a także własna skromność i rzetelność, przy jednoczesnym szacunku dla minionych pokoleń, z których pracy czerpiemy soki dla obecnego życia.

Nie możemy tracić swojej czujności. Niektórzy uspokajają że obecnie, gdy jesteśmy w NATO, możemy czuć się bezpiecznie. Czy istotnie? Wprawdzie rzeczywiście cieszy nas ten fakt, jednocześnie jednak nikt i nic nie pozwala nam na zdjęcie ciężaru z ramion, tak potrzebnego dla zapewnienia suwerenności naszemu państwu. Musimy nadal dźwigać swoje obowiązki, nie szczędzić wysiłku dla rozwoju kraju w każdej dziedzinie, bo tylko własna siła, wiara w siebie, troska o dobro kraju mogą być rękojmią naszego trwania i egzystencji wśród wolnych narodów. „Pozostańcie wierni tradycjom waszych praojców” – woła Jan Paweł II.

Nie jesteśmy już młodzi i nie mamy wiele sił. Możemy jednak otoczyć opieką nasze wnuki, ostrzec ich przed naszymi narodowymi wadami, jak słomiane ognie, kunktatorstwo, bierność, ale i utrzymywać takie wartości, jak wierność szlachetnym sprawom, choćby przegranym, Ojczyźnie, Honorowi. Musimy czuwać, aby nasza młodzież nie ulegała modzie narkotyków, alkoholu, rozwiązłości seksualnej, nie wyżywała się w niszczeniu wartości, które winna szanować.

I tutaj nie brakuje nam pola do działania, o którym mówił już Jan Kochanowski: „A niedorośli wnukowie, chyląc się ku starszej głowie, wykną przestać na małe (małym), wstyd i cnoty chować w cale (w całości)”.

Przydać się możemy także niejednemu dorosłemu, który ucieka od obywatelskich obowiązków, poczucia odpowiedzialności i nie korzysta nawet ze swojego przywileju ustosunkowania się do sposobu rządzenia krajem.

Doczekaliśmy się czasów, w których kraj nasz rozkwita. Nie wszystko jeszcze nas zadowala (1/3 społeczeństwa żyje jeszcze w biedzie) i każdy znaleźć może dla siebie pole działania, które po żołniersku powinien pełnić „Ku chwale Ojczyzny”.

Przepraszam, że nie usłyszeli Państwo słów bardziej krzepiących, pragnąłem jednak, aby doszły do głosu myśli, które na pewno towarzyszą nam wszystkim, całemu naszemu pokoleniu i będą mogły zaowocować w obecnej naszej codzienności w „naszym małym budowaniu” jakby powiedział poeta (K.I. Gałczyński).

idź wyprostowany wśród tych co na kolanach
wśród odwróconych plecami i obalonych w proch
ocalałeś nie po to aby żyć
masz mało czasu trzeba dać świadectwo
bądź odważny gdy rozum zawodzi bądź odważny
w ostatecznym rachunku jedynie to się liczy
Przesłanie pana Cogito (Zbigniew Herbert)

Ziemio ojczysta, ziemio jasna, nie będę powalonym drzewem. Codziennie mocniej w ciebie wrastam radością smutkiem, dumą gniewem. Nie będę jak zerwana nić.

Odrzucam pusto brzmiące słowa. Można nie kochać cię – i żyć, ale nie można owocować.

Gawęda o miłości ziemi ojczystej (Wisława Szymborska)

Piśmiennictwo

Anusz Z.: Rodzina Anuszków. Warszawa, 1982, rękopis.

Anusz Z.: Pruszyń, Pruszyń, Pruszyń. Wyd. Akces, Warszawa, 1991.

Nowak K.: Skład osobowy „Kedywu” Armii Krajowej w Pruszyń, Archiwum Pruszyń, 1991.

Prosnak J.: Siedem wieków pieśni polskiej. Warszawa Wyd. Szkol. Ped. 1979.

Twardowski J.: Nie przyszedłem pana nawracać – wiersze 1937–1985, Wyd. Archidiecezji Warszawy, Warszawa, 1986.

Zawadzka A.: Szkoła siedlecka w okresie okupacji hitlerowskiej 1939–1944. Warszawa, PWN, 1986.

KRZYSZTOF TURKOWSKI ROZMAWIA ZE STEFANEM SOBONIEWSKIM¹

**Udało się Panu wyjść prawie z pułapki pod koniec września 1939 roku.
Udał się Pan w kierunku Słanica. Co było dalej?**

Dojechałem do Słanica, gdzie w czasie krótkiego tam pobytu dowiedziałem się, że rząd polski tam jest. Wszyscy byli bardzo zatroskani, jakby się zatracili. Zgubieni ludzie. Nie bardzo orientowali się co się dzieje. Kompletny chaos. Byłem tam około tygodnia. Zorientowałem się natychmiast, że trzeba stamtąd wyjeżdżać. Wiem, że się odbywały zebrania, takie posiedzenia Rady Ministrów.

Pożegnałem się bardzo serdecznie ze Sławojem Składkowskim i pojechałem do Bukaresztu i tam spotkałem swojego ostatniego wojewodę – Ludwika Bocińskiego. Spotkałem go przypadkowo w hotelu, kiedy szukałem miejsca noclegowego. Przebywałem w Bukareszcie przez miesiąc. Natychmiast nawiązałem kontakt z ambasadą i zorientowałem się, że bardzo trudno do Paryża dostać się starszym wojskowym.

Mnie udało się przywieźć do Rumunii papiery urzędowe z napisem Starosta Kaliski i miałem pieczęć starościńską / mam ją do dzisiaj / Dzięki temu wydałem około stu świadectw na swoim urzędowym papierze. Chodziło o to, że pod fałszywymi zaświadczeniami ludzie mogli dalej jechać, gdyż wszystkie dokumenty były antydatowane.

Dzięki temu byli wojskowi mogli legitymować się dokumentami leśników czy lekarzy, a nie zawodowych wojskowych.

¹ Stefan Soboniewski – ur. 7 grudnia 1906 w Kamyku, zm. 7 maja 1998 w Londynie – polski prawnik, ostatni przed wrześniem 1939 starosta kaliski, pułkownik broni pancernej, działacz społeczny emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii.

Jeden z moich przyjaciół, zresztą z tego samego gimnazjum Zygmunta Augusta, ale tego młodszego z Wilna miał maszynę do pisania. Bardzo ta maszyna nam pomogła w wydaniu „lewych” dokumentów.

Ambasadorem w Rumunii był Roger Raczyński, brat Edwarda a w sekretariacie, był Jerzy Giedroyc. Znałem go zresztą z Polski bo był ze mną w Sejmie, tylko on reprezentował wtedy Ministerstwo Rolnictwa, w czasach Ministra Niezabytowskiego.

Mój wyjazd z Bukaresztu został przyspieszony w niespodziewany sposób. Miałem dobre stosunki z dyrektorem hotelu w którym mieszkałem, a on współpracował z policją dzięki czemu miałem spokój. Pewnego dnia wojewoda Bociański powiedział mi, że w szpitalu wojskowym jest od dwóch dni generał Gustaw Paszkiewicz. Znałem go z Polski, gdy był dowódcą 12 dywizji w Tarnopolu i tam zajmował się bardzo życiem społecznym, budował domy ludowe, zajmował się szlachtą zagrodową. I dzięki temu, że w swojej działalności społecznej musiał porozumiewać się z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, tam go poznałem. Poznałem go więc, kiedy byłem w gabinecie ministra. Patrzę wchodzi generał, wysoki, potężne chłopisko, na piersi trzy Virtuti Militari. Pan sobie wyobraża jakie to na mnie zrobiło wrażenie. On miał Virtuti Militari za lata 1919/20. Kiedy jednak przyszliśmy do szpitala, generał był bardzo zgnębiony, miał wtedy kłopoty z nogą, tylko że wcale nie był postrzelony, ale spadł z pierwszego piętra. W tym czasie Niemcy zaczęli mocno naciskać na władze rumuńskie, żeby powstrzymać ucieczki polskich oficerów. Ponieważ ze szpitala także uciekano to zrobili odpowiedzialnym najstarszego oficera, a więc Paszkiewicza. Kiedy to nam powiedział to spytałem go czym się martwi? Niech Pan nawiewa. Na to Paszkiewicz: „Łatwo Panu tak powiedzieć”. Zaproponowałem mu, że w następną niedzielę w czasie odwiedzin, niech Pan idąc po cywilnemu wyjdzie przez bramę. Tam jest jakiś wojskowy, ale jego to wszystko niewiele obchodzi. Wahał się bardzo, ale udało się nam ustalić ostateczny termin wyjścia Paszkiewicza ze szpitala. Przygotowałem mu dokumenty inżyniera drogowego w powiecie kaliskim.

Załatwiłem wszystkie odpowiednie sprawy, ale okazało się, że nie można wyjechać do Francji, gdyż wstrzymano wizy. Wobec tego ponieważ ja miałem wizę do Jugosławii to postarałem się także o wizę dla niego.

Wojewodę Bocińskiego musiałem zostawić, gdyż jemu wizy nie dali. To znaczy zablokowały go polskie władze. W tej sytuacji musieliśmy ruszyć z Paszkiewiczem, dokładnie to go po prostu wywiozłem. On był w wielkim strachu przez całą jazdę w pociągu. W pewnym momencie musiałem powiedzieć: „Panie generale, pan jest inwalidą, niech się Pan kładzie, a mnie proszę dać dokumenty, ja wszystko załatwię”. Kiedy tylko drzwi się gdzieś otworzyły on natychmiast wpadał w panikę, że idą po niego...

Dopiero kiedy przejechaliśmy granicę, to generał się wyprostował i stał się takim jakim go poznałem.

Z Jugosławii jechaliśmy razem przez Włochy do Francji. Poznałem go bardzo dobrze w czasie tej podróży.

A czym można tłumaczyć jego postawę po II wojnie światowej, kiedy zasiadł razem z komunistami w ławie sejmowej? Czy strachem?

Mnie się wydaje, że nie. Kiedy przyjechaliśmy do Francji on tam miał sprawę sądową, bo jemu się dywizja rozleciała na froncie, chociaż okazało się, że to nie była jego wina. Później poszedł do VI oddziału na czele którego stał generał Kazimierz Sosnowski.

Przyszł rok 1940 dostałem się z grupą podchorążych do portu La Rochelle skąd doплыliśmy szczęśliwie do Wielkiej Brytanii, ściśle Szkocji, gdzie skupiono polskich żołnierzy po upadku Francji. Otóż został stworzony II batalion „kratkowanych lwiatek” ze względu na to, że byliśmy w Szkocji. Będąc w Szkocji /w obozie/, tam dowiedziałem się o powołaniu I Brygady Strzelców Zmotoryzowanych, jej dowódcą został wyznaczony generał Paszkiewicz. O tyle mnie to interesowało, że byłem w batalionie wchodzącym w skład tej brygady. Kiedy dowiedziałem się, że generał do nas przyjeżdża z wizytacją to robiłem wszystko, żeby go nie widzieć. Nie odpowiadała mi jego ostatnia przeszłość, ta nasza wspólna droga. I pomyliłem się bo on nie tylko przeszedł przed frontem wojska, ale poszedł zobaczyć jak jest w jadalni i jak wyglądają poszczególne namioty i mnie tam odkrył.

Przywitanie było bardzo serdeczne z jego strony. Zawołał: „Cóż Pan tu robi starosto?” Wy tłumaczyłem, że z powodu zaziębienia nie mogłem być na zbiórce. On na to, że mam się do jego sztabu zameldować nazajutrz.

Na drugi dzień rzeczywiście zostałem odkomenderowany do dowództwa do działu wyszkolenia. Wtedy dowódcą kompanii saperów był obecny minister wówczas porucznik, a teraz pułkownik – Jerzy Morawicz. Skoro już byłem w sztabie to postanowiłem przysiąc „fałdów” i poznać pracę w sztabie brygady. Byłem tam prawie dwa lata z tym, że pół roku byłem na uniwersytecie w Edynburgu.

Zabrano mnie stamtąd, bo okazało się, że większość oficerów sztabu z gen. Paszkiewiczem jedzie na Bliski Wschód.

Jako dowódca brygady w sztabie generał Paszkiewicz zdał egzamin. Interesował się oddziałami, był tam lubiany przez żołnierzy. Dlatego został wyznaczony na wyjazd na Bliski Wschód, wtedy kiedy wojsko polskie wyszło z Rosji.

Z całym tym zespołem, gdzie jechali tylko oficerowie, znalazłam się i ja, jako młody porucznik.

W końcu 1941 roku Anders przyjechał do generała Kukieła, który był dowódcą korpusu w Szkocji. Andersowi zależało na ok. 160 oficerach, gdyż nie miał kadry oficerskiej, o których się obawiał już wówczas.

Dopłynęliśmy do Egiptu, skąd skierowano nas do Iraku. Paszkiewicza mianowano wówczas dowódcą Brygady Czołgów, była to zupełnie nowa jednostka. Moim zadaniem było dokonanie wyboru najbardziej nadających się do służby w tej brygadzie żołnierzy. Uczyliśmy się na starych typach włoskich czołgów, takich małych, białych. Tutaj muszę niestety powiedzieć, że Paszkiewicz nie zdał egzaminu. Nas ten rodzaj broni bardzo zainteresował, a tymczasem generał zajmował się bez przerwy zagadnieniami politycznymi, kwestią Sikorski–Anders a nie wojskiem. Doszło do tego, że generał Anders postawił warunek generałowi Sikorskiemu, żeby sobie Paszkiewicz zabrał. Sikorski wtedy przeniósł go do W. Brytanii, na stanowisko zastępcy dowódcy korpusu w Szkocji.

Kiedyś wrócili z Włoch w 1946 roku doszły do nas wiadomości, że gen. Paszkiewicz kręci się przy ambasadzie warszawskiej. Jemu po prostu chodziło o karierę. Na zachodzie na widział żadnych możliwości, i pojechał do Warszawy. A tam zapisał się jak najgorzej.

Chciałbym panie Prezesie powrócić jeszcze do września 39, nagle Panowie znaleźli się w Rumunii, chcieliście się bić dalej a tu okazuje się, że są przeszkody i to nie zawsze ze strony niemieckiej. Już we Francji zaczynają się przesłuchania, izolacja ludzi związanych z obozem rządowym.

Ludzie mojego pokroju rozmaitymi drogami i z trudnościami szli do polskiego wojska. Myśmy spadali społecznie w dół, aż ludzie się dziwili tej degradacji. Np. Ambasador nasz w Berlinie–Lipski został zwykłym żołnierzem, ale to i dobrze, bośmy pokazywali w ten sposób, że zawsze służymy Polsce.

Poza tym te nasze wojska we Francji wspaniale się spisały, nie było od nich lepszych żołnierzy. Bardzo przeżyliśmy fakt, że Francja nie chce się bić. Przeciwny dowódca czy żołnierz nie zdawali sobie z tego sprawy. Chociaż myśmy na tym najniższym szczeblu, widząc francuskiego żołnierza, „rozmemłanego”, i często podpitego poważnie się zastanawiamy jaką oni mają wartość bojowy. Czy w ogóle będą się bić?

Upadek Francji był nie tylko ciosem dla kraju, ale także dla walczących nas na zachodzie.

Tymczasem nasz Naczelnny Wódz–Sikorski ciągle nas przekonywał o potędze francuskiej armii. Mnie do dzisiaj dziwi, że ten inteligentny żołnierz, doskonały generał, który znał Francję i Francuzów nie orientował się w „walorach” tej armii.

Ale przecież on musiał sobie zdawać sprawę z tego co się dzieje. Myśmy na szczeblach bardzo niskich widzieli ten stosunek Francuzów do żołnierza polskiego. Nam kazali się uczyć rozmaitych francuskich przestarzałych regulaminów, kiedy nasze były nowoczesne i lepsze. Czy naprawdę tego Naczelnny Wódz nie widział?

Może to działać się bardziej za sprawą Kota, Klimeckiego, Modelskiego, jego otoczenia?

Jego otoczenie było wówczas skoncentrowane na rozprawie z piłsudczykami.

Czy Pan także musiał stawać przed komisją?

Tak. Mnie wezwano z podchorążówki do Paryża. Przyjechałem do Ministerstwa Spraw Wojskowych i zgłosiłem się do właściwego pokoju. Okazało się, że siedzi tam pan w cywilu, nie wymieniam jego nazwiska, bo jeszcze żyje, a wtedy blisko związany z jednym z dygnitarzy wojskowych będących w Paryżu. Powiada do mnie, że ma obowiązek przesłuchania mnie. Jednak nie tylko chodziło mu o mnie, ile o moich wojewodów, a zwłaszcza o ministra spraw wewnętrznych.

Odpowiedziałem: „Bardzo Pana przepraszam. Jestem żołnierzem i nie przyjechałem do Francji omawiać działalność działaczy politycznych i państwowych, lecz przyjechałem do wojska polskiego. A na pańskie pytania nie będę odpowiadać. A poza tym, gdy patrzę się na Pana to mi się wydaje, że pańskie miejsce jest w szeregach a nie za biurkiem”. Wstałem i poszedłem trzaskając drzwiami. Myślałem, że mnie zaaresztują, ale okazało się, że nic takiego się nie stało.

Było to plucie na własny kraj w sytuacji, kiedy jesteśmy poza granicami kraju. Jest wojna a tu dzieją się takie historie.

Ponadto na terenie Francji zrobiono obóz w Cerisay, była to po prostu taka mała Bereza. Tam zesłano mojego przyjaciela obecnie żyjącego we Francji, dra S. Paczyńskiego tylko za to, że był aktywnym działaczem na terenie Wilna. Był tam ok. 4 miesiące. Udało się nam go wyciągnąć. Mnie ta „przyjemność” ominęła.

Skoro już jesteśmy przy Francji to warto przypomnieć, że w ostatnich dniach naszego tam pobytu, generał Sikorski pojechał do jednostek wojskowych i w skutek wielkiego zamieszania, które powstało nie mógł dostać się z powrotem. Byliśmy pełni obaw co się stało z Naczelnym Wodzem.

Kampania Sikorskiego we Francji to jedna z najbardziej przykrych rzeczy w dziejach naszego wojska. Rozproszono wojsko, a niektóre oddziały poprzydzielano wprost do Francuzów. To bardzo poważny błąd. Szefem ewakuacji został generał Kukiel, najmniej do tego powołany, chociaż świetny historyk, ale wywiązał z powierzonego zadania.

Potem już gdy znaleźliśmy się w Szkocji zajmowałem się sprawami wyszkolenia o, których mówiłem poprzednio. Wiązała się z tym dość zabawna

sytuacja. Otóż byłem sierżantem-podchorążym i dowódcy oddziałów, którzy zwracali się do mnie o różne wyjaśnienia używali nie stopnia wojskowego, ale mówili do mnie „Panie starosto”.

Jak już mówiłem generał Anders zamówił kadry oficerskie z Anglii do swojej armii. Ja znalazłem się w tym gronie i 19 czerwca 1942 wypłynęliśmy statkiem „Queen Elizabeth”, który został przystosowany do przewozu wojska. Na tym statku była jedna z dywizji szkockich, jednostka w pełnym składzie – kilkanaście tysięcy ludzi, do tego ok. 200 Polaków, kobiety-żołnierze, łącznie 14500 osób. Takie pływające miasto. A był to okres, kiedy łodzie podwodne szalały na Atlantyku, a my wpłynęliśmy bez osłony i bez ochrony.

A pół godziny po tym jak wypłynęliśmy na Atlantyk pojawił się niemiecki „Focke–Wulf”. Kapitan zawiadomił nas, że pojawił się niemiecki samolot wywiadowczy i, że z pewnością przyleci eskadra aby nas zaatakować. W tej sytuacji postanowił zmienić kierunek z zachodu na północ. Anglicy okazali się być szalenie sprawni. Natychmiast przygotowano szalupy, podzielono ludzi. Po godzinie okazało się, że Niemcy przylecieli, ale nas nie znaleźli i musieli zawrócić.. Dopłynęliśmy do Kanady z tym, że myśmy nie wysiadali, potem przypłynęliśmy na wody południowoamerykańskie i dopiero na Dakar, gdzie także działały niemieckie „łodzie podwodne” Nasze szczęście polegało wówczas na tym, że mieliśmy dwa razy większą szybkość niż niemieckie łodzie podwodne. Znakomity był przy tym kapitan i załoga „Queen Elizabeth”.

Przeplłynęliśmy dookoła Afryki, ale na wysokości Madagaskaru grasowały japońskie łodzie podwodne i znów trzeba było kluczyć. Na wysokości Adenu kapitan dostał rozkaz, żeby płynąć do Bombaju, bo Niemcy podchodzą do Aleksandrii. Ale w ostatniej chwili odwołano ten rozkaz, gdyż Niemców powstrzymano. W końcu wylądowano nas z Ismaili. Ta szkocka dywizja stała się podstawą wojsk brytyjskich w bitwie pod El-Alamein. Znakomici żołnierze.

Na miejscu byliśmy 21 sierpnia 1942 roku.

Z Ismaili, przez Synaj „drogą Mojżesza” dojechaliśmy do Palestyny. I dalej pustynną drogą przez Transjordanię, oznaczoną bańkami po benzynie dostaliśmy się do Iraku. Ja jeszcze zdążyłem pojechać nad Morze Kaspijskie do ewakuowanych z Rosji.

Jak wyglądali ci przychodzący z Rosji żołnierze dla Was wojskowych z Zachodu?

Opłakanie. Dlatego, że w drugiej ewakuacji znaleźli się różni uciekinierzy, kobiety, zabiedzone dzieci. To byli zagłodzeni nędzarze.

Po przejściu do Iraku zaczęło się przeorganizowanie wojska. Jesienią 1942 roku ludzi dziesiątkowała malaria. Byliśmy przerażeni, bo żołnierze leżeli pokotem, gorączkując.

Kiedy na jesieni 1943 r. przenosiliśmy się do Palestyny to wziąłem sobie urlop, żeby zobaczyć Liban i Syrię.

W Iraku wykańczała nas temperatura, często przekraczała od wiosny do jesieni 50°C. Dzisiaj kiedy o tym mówię to dziwię się jak myśmy to wytrzymywali. Zajęcia odbywały się do 10-tej rano a potem do 4-tej całe wojsko było pod namiotami, które jeszcze były skrapiane wodą. Dopiero po południu mając w rękę jakieś papiery to nawet światła nie potrzebowałem, bo tak było jasno. A było to około 10 kilometrów od Monte Cassino.

Byłem wtedy w sztabie jako kierownik działu prasy i propagandy. Wydawaliśmy wtedy swoje pismo „Taran”. Umówiłem się z szefem sztabu, moim przyjacielem, że w czasie akcji będę w sztabie operacyjnym. Tak było przez cały okres działań wojennych. Po Monte Cassino zostałem porucznikiem. Na środkowym Wschodzie nie było awansów.

Skoro już jestem przy sprawach wojskowych to w przeciwieństwie do I wojny światowej – sztab, który był z tyłu, to teraz dzielił się na główny sztab, który był z tyłu oraz sztab wysunięty będący na linii. Miałem ten przywilej, że byłem zawsze w sztabie wysuniętym. Był to oddział prawie bojowy.

Kiedyś zdarzyła mi się taka sytuacja. Dostałem polecenie udania się do jednego nacierającego oddziału. Wziąłem łazik, żeby prędzej się dostać. Aby skrócić drogę pojechałem leśnym duktem. Przejechałem około 250 metrów. Kiedy powróciłem do dowódcy i zameldowałem wykonanie rozkazu zastałem tam szefa saperów, który gdy się dowiedział, jaką drogą jechałem zawołał „czy Pan zwariował”? Okazało się, że droga leśna którą jechałem była zaminowana i dopiero posłano tam saperów celem rozminowania jej. Wtedy poczułem jak mi włosy dęba stają.

A udało mi się dlatego, że miny były założone na czołgi, a więc obliczone na większy ciężar.

Naszym dowódcą był świetny żołnierz, znakomity analityk, generał Rakowski. Był to wykładowca w Wyższej Szkole Wojennej. Przeszedł Rosję w strasznych warunkach. Początkowo był szefem sztabu u gen. Andersa, ale potem zastąpił gen. Paszkiewicza. Jako d-cy Brygady Czołgów. To było jeszcze w Iraku. Przeszedł całe wyszkolenie w czołgach, jak zwykli żołnierze. Został wielkim znawcą broni pancernej.

W czasie akcji pod Loreto siedzieliśmy razem w ogrodzie. On na krześle, ja przycupnięty na stole prowadząc nasłuch. Było to w czasie nalotu. Jedna z bomb trzasnęła w ogród. Podmuchem powietrza zrzuciło mnie ze stołu. Na to gen. Rakowski do mnie: „Co Pan za gimnastykę uprawia”? Siadałem na trawie i widzę, że generał siedzi spokojnie jak gdyby nigdy nic i tylko zapalił cygaro.

Kiedy indziej, już pod Piedomonte pojechałem z rozkazem generała, razem z rtm. Januszem Rakowskim (nie tym który mieszka w Szwajcarii). Pojechaliliśmy główną drogą, która idzie na Rzym od południa/Monte Cassino było już zdobyte/. W końcu trzeba było się zatrzymać i przeczołgać się ze sto metrów, gdyż na górze byli jeszcze Niemcy. Załatwiliśmy wszystko, wracamy i na wysokości Monte Cassino, słyszę nagle samolot. Patrząc w górę i widzę, że to Niemiec, który na nas pikuje, jak we wrześniu 39. Krzyknąłem stój, ale tak mocno, że Rotmistrz automatycznie zahamował. Rzuciło nas do rowu. Mieliśmy wielkie szczęście. Seria z pocisków znalazła się w miejscu, gdzie powinniśmy być normalnie jadąc. Naturalnie rozwaliliby nas w kawałki. Taka to już jest wojna.

Miałem w tej wojnie sporo szczęścia.

Przed Bolonią jechał ze mną młody podporucznik (inż. Warszawskiej Politechniki), wioząc sprzęt na 3-tonówce. Zjechaliśmy z drogi szukając odpowiedniego miejsca dla wysuniętego sztabu. Byliśmy od siebie jakieś 10 metrów. Nagle słyszę huk, oglądam się a ta ciężarówka w powietrzu. Najechał na minę. Urwało mu nogę. To był taki młody, przystojny chłopak. Znowu miałem wtedy szczęście.

We Włoszech przeżywaliście Panowie Powstanie warszawskie.

Proszę pana, kiedyśmy byli w czołgach w czasie akcji tośmy nasłuchiwali, dosłownie nasłuchiwalismy o tym co się dzieje w Warszawie. Początkowo była z tego powodu wielka radość.

Walki w Warszawie i jej upadek były strasznym przeżyciem dla nas wszystkich. Żeby pan widział też zmianę wtedy wśród naszych żołnierzy. Zrobili się zupełnie ze stali. Trzeba przyznać, że raczej trzeba było ich rozkazem powstrzymać, żeby niepotrzebnie nie rwali się do przodu, żeby tylko dostać Niemców.

A kiedy przyszła Jałta?

Już wcześniej spodziewałem się co to będzie. Kiedy wojska sowieckie weszły na tereny polskie. Kiedy nie udało się Churchillowi w Casablance przeforować koncepcji przerzucenia wojska na Bałkany, zamiast do Włoch już wtedy spodziewałem się najgorszego.

Ja nie znam takiego wroga Polski, który wjedzie na nasz teren i sam dobrowolnie wyjdzie. Musi być siłą wyrzucony, a tej siły nie było. Już konferencja teherańska wskazywała, że dzieje się bardzo niedobrze, że Zachód okazuje słabość. Wtedy nie zawsze było to wyraźne, ale już można się było spodziewać najgorszego. Jałta dopełniła reszty. Mimo to żołnierz 2 Korpusu spełniał swój obowiązek żołnierski, a gen. Anders odpowiedział Churchillowi, że Polacy wypełnią swój obowiązek do końca zgodnie z umową, gdy premier brytyjski zaproponował Andersowi aby zabrał swe dywizje, bo Anglia ma dość wojska.

A na ile wpływ miał sam generał Anders na wojsko, jego osobowość?

On zaważył w trudnych momentach. I wtedy pod koniec wojny także. Chociaż zbyt Anders wierzył, że powojenny układ sił musi się zakończyć szybką wojną. Ja nie znam drugiego dowódcy, który miałby taki mir wśród wojska, wśród społeczeństwa wojskowego, bo to była „mała Polska”. Tak naprawdę było. Wszystko to zawdzięczano koncepcji generała Andersa. Pilnował pracy

oświatowej, prasy, działalności kulturalnej, myśmy dzięki Andersowi mieli nawet we Włoszech codzienną gazetę.

W Polsce był znany tylko jako kawalerzysta i dobry sztabowiec. Chciałbym powiedzieć, że znałem go jeszcze z Polski, co prawda nie osobiście. Ale pamiętałem, że w czasie jednych ćwiczeń prowadzonych przez Marszałka Piłsudskiego, chyba w 1934 roku. Po omówieniu ćwiczeń Piłsudski posadził obok siebie w czasie pozowania do fotografii tego, który wypadł najlepiej. Usiadł razem z Andersem. Wiedzieliśmy jak to interpretować.

Nie dziwiłem się, że dostał nominację w Rosji. Natomiast zabłysnął najpierw jako społecznik, potem jako polityk. I to od razu w Rosji. To on na szczęście wyprowadził ludzi z Rosji, nie zgodził się na podzielenie wojska słusznie obawiając się jego zagłady. A opuszczając Rosję sam dopilnował, żeby ewakuować dzieci i kobiety z Sowieckiego raję.

To co to jest obecnie jest w wielkiej części jego zasługą. W dużym stopniu realizujemy jego testament. Polska nauka, oświata, kultura, wydawnictwa, życie społeczne – to wszystko było z jego inicjatywy, lub za jego zgodą i pomocą.

W naszej brygadzie byli młodzi chłopcy, gimnazjaliści – oni byli w kompaniach pomocniczych. Kiedy tylko skończyły się akcje natychmiast przyszedł rozkaz, aby chłopców odesłać do szkoły.

To jest myślenie nie generała, ale przywódcy państwowego. To co on stworzył we Włoszech to zostało przesunięte na teren londyński. On nie miał formalnego tytułu, ale nazywał się Anders i to wystarczało.

Ale chyba najwspanialsze to było co w stworzono we Włoszech; to nasze życie polskie. Z tych naszych skromnych poborów odkładaliśmy pieniądze na książki, na pomoc dla Polaków w Niemczech. Tu trzeba dodać, że nie było żadnego sarkania. Żołnierze cieszyli się z tego, bo wiedzieli bowiem że żony i dzieci mają opiekę. To nie było zwykłe wojsko, to była organizacja społeczno-wojskowa. W naszej historii żadna organizacja nie dokonała tego, co dokonał II Korpus dzięki Andersowi.

Ten sam polski żołnierz stworzył emigrację niepodległościową. Cała masa ludzi zaangażowana w pracę społeczno-polityczną jaka jest na emigracji po dzień dzisiejszy to w głównej mierze ci, którzy przeszli przez szkołę II Korpusu. Większość i to olbrzymia prezesów kół Stowarzyszenia Polskich Kom-

batantów, a widzę to bo jeżdżę po całym świecie, wywodzi się przeważnie z II Korpusu.

Spotkałem w życiu swoim jednego generała i to był Anders, który tak dobrze wyczuwał życie społeczne. On miał charyzmat. Mówię o tym dlatego, że już w roli prezesa SPK raz w tygodniu spotykałem się z Generałem. On nigdy nie decydował w sprawach społecznych bez konsultacji. To było u niego niezwykle.

29 XII 1988, Londyn

WIDZIEĆ KONIEC BRUZDY
(FRAGMENTY KSIĄŻKI GABRIELA
JANOWSKIEGO I ŁUKASZA PERZYNY)
ŁUKASZ PERZYNA *KTO NIE ZMIENIAŁ POGLĄDÓW*
POLITYCZNA DROGA GABRIELA JANOWSKIEGO
OKIEM DZIENNIKARZA

Gabriel Janowski pozostaje jednym z tych polskich polityków, których ocenia się nie za kolor krawata ani bon-mot w rankingu radiowej „Trójki”. Do dawnego lidera rolniczej „Solidarności” pasuje to, co on sam kiedyś powiedział o prof. Andrzej Stelmachowskim: że widzi koniec bruzdy...

Prawie dwie dekady temu, u szczytów popularności AWS dawny minister z rządu Tadeusza Mazowieckiego Waldemar Kuczyński zamieścił w tygodniku „Wprost” barwną polemikę z moim artykułem z „Życia”. Dramatycznie brzmiał już sam tytuł tekstu Kuczyńskiego: „Idą pancry na... Mławę!”. Zaś dalej – jak u Alfreda Hitchcocka – napięcie jeszcze rośło.

Łukasz Perzyna, dziennikarz „Życia”, cieleciem już nie jest, a jednak podatność na omamy zachował. Czytam oto, jak indagując posta [Mariana] Piłkę o ostatnie protesty rolników, wypomina Mazowieckiemu, że „posłał transportery opancerzone przeciwko chłopom blokującym drogę pod Mławą”. Wyobraźcie sobie, Szanowni Czytelnicy, transportery opancerzone, liczba mnoga, więc najpewniej cały rząd tych transporterów. Stalowa żmija, grzmiąc motorami, otoczona niebieską chmurą spalin, gna na rodzimego chłopca, „tradycyjnego, katolickiego i nie znoszącego komunistów”, takiego, którego ceni redaktor „Życia”. (...) A jak było naprawdę?. Była bezterminowa, nie czterogodzinna, blokada ważnej drogi międzynarodowej, którą rząd Mazowieckiego po wielu bezowocnych negocjacjach postanowił odblokować w imię obrony ładu w kraju. Był jeden, słownie jeden transporter opancerzony, nie dla szarży, dla wrażenia. (...) Nie było poszkodowanych i ani jeden pług czy brona tarasujące drogę nie zostały tknięte.¹

¹ Waldemar Kuczyński. Idą pancry... na Mławę! „Wprost” nr 34 z 1998 r.

W tej zgrabnej polemice były minister wspomina wprawdzie o negocjacjach, ale pomija, czego dotyczyły.

Protest w Mławie uratował polską spółdzielczość mleczarską, do czego walenie przyczynił się broniący jej ówczesny senator OKP Gabriel Janowski. To za sprawą determinacji chłopów z mławskiej szosy i lobbujących w interesie krajowych producentów dawnych działaczy rolniczej „Solidarności”, którzy w nowej Polsce poszli do służby państwowej – jakością polskiego mleka i jego marką w Europie mogą się po latach chwalić kolejni ministrowie rolnictwa. Obojętnie, czy w tym fotelu zasiada Krzysztof Jurgiel czy Marek Sawicki.

Zaś Janowski może o sobie powiedzieć, że przed konfrontacją taką jak w Mławie – rolników z jednym tylko jak zapewnia Kuczyński transporterem opancerzonym – ostrzegał półtora roku wcześniej. W wydanej na początku 1989 r. na obrady Okrągłego Stołu przez Komitet Obywatelski książce znajdujemy znaczące wezwanie Gabriela Janowskiego:

Konieczne jest uczynienie pierwszych kroków do stworzenia instytucjonalnej formy zapobieżenia wybuchowi społecznemu; utorowanie drogi normalnemu rolnictwu i gospodarce polskiej. „Okrągły Stół” wywoła w niedługim czasie jeszcze większe rozgoryczenie, pogłębi brak ufności i wiary, że którakolwiek ze stron jest w stanie rozwiązać żywotne (gospodarcze) sprawy kraju.²

Realistyczną ocenę Janowskiego warto zestawzić z klimatami 1989 roku. Z telewizyjnym ogłoszeniem przez Joannę Szczepkowską końca komunizmu w Polsce, z deklaracjami jednej z publicystek, że odtąd zaczną kasować bilety w autobusie i z pretensjami innej do Rumunów, że brutalnie rozstrzeliwując Nicolae Ceausescu zepsuli jej radość z bezkrwawego upadku komunizmu. Prognoza Janowskiego – ponieważ ówczesna klasa polityczna wysiłku, o który apelował nie podjęła – zapowiadała nie tylko Mławę, ale też późniejsze gorszące lepperiady. A także jego własne protesty.

W zapisanej licznymi konfliktami sejmowej kadencji 2001–5 znalazłem się wśród dziennikarzy, którym w salce projekcyjnej, gdzie zwykle wygłasza się prelekcje o parlamencie dla wycieczek szkolnych, pokazano film z nocnej akcji

² Gabriel Janowski [w pracy zbiorowej:] Okrągły stół. Kto jest kim, „Solidarność”, opozycja. Biogramy, wypowiedzi. Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność”, Warszawa 1989, s. 79.

straży marszałkowskiej, wynoszącej z sali obrad Sejmu posła Janowskiego po tym, jak odmówił opuszczenia mównicy w trakcie debaty nad prywatyzacją STOEN-u. Decyzja ówczesnego marszałka Marka Borowskiego o użyciu siły okazała się bezsensowna w kontekście deklaracji samego Janowskiego, który zapowiadał już rychłe zakończenie swojego protestu. Również i w tym wypadku z perspektywy lat rzadziej pamięta się o meritum sporu. Z czasem bowiem prywatyzację warszawskich zakładów energetycznych za wadliwą i niosącą za sobą liczne nieprawidłowości uznali niemal zgodnie przedstawiciele organów kontrolnych, ekonomiści, dziennikarze śledczy i politycy. Okazało się, że w sprawie STOEN-u rację miał Janowski a nie uzasadniający demonstrację siły potrzebą ochrony powagi Sejmu marszałek.

Jak również w krajach zachodnich bywa z *freedom fighterami*, spektakularnie walczącymi o konkretne cele – Gabriela Janowskiego lubią dziennikarze, którym daje newsa i temat. Zawsze zwalczali go za to zaciekle selekcionujący ich twórczość redakcyjni biurokraci. Przekonałem się o tym, gdy jako dziennikarz „Życia” relacjonowałem pamiętne spotkanie w Sejmie za rządów AWS w sprawie polityki ministra skarbu Emila Wąsacza. Broniący wówczas Polskiego Cukru Janowski, gdy pojawił się wśród zebranych, zachowywał się dziwnie. Później objaśniał to faktem, że potajemnie podano mu w herbacie nieznaną toksyczną substancję. Po powrocie do redakcji skwitowałem ten incydent kilkoma zdaniem i skupiłem się w artykule na sporze o kształt prywatyzacji i przyszłość Wąsacza w rządzie. Jednak po obejrzeniu materiału w „Faktach” TVN, które ograniczyły relację do pokazania dziwnych podskoków Janowskiego, podejmujący decyzje w redakcji pod chwilową nieobecność Tomasza Wołka jego zastępca Paweł Fąfara domagał się ode mnie podobnego rozłożenia akcentów. Odpowiedziałem, że taki artykuł może sobie sam napisać i wyszedłem z redakcji. Fąfarze zaś nie pozostało nic innego jak z mojej rady skorzystać, więc w „Życiu” ukazał się nie podpisany wprawdzie, ale za to politycznie poprawny artykuł, oparty na przekazie TVN i pomijający istotę sporu. Emil Wąsacz i tak nie dotrwał do końca kadencji w ministerialnym fotelu. Zaś Fąfara – który w wyniku zmian właścicielskich w spółce wydającej „Życie” z czasem zastąpił Wołka w fotelu naczelnego nie sprostował nowej roli. Czytelnicy szybko przestali kupować zmieniającą z dnia na dzień pogląd gazetę i rychło znikła

ona z kiosków. Zaś w kwestii przekształceń polskiego cukrownictwa znów okazało się z biegiem lat, że... rację miał Gabriel Janowski. Co charakterystyczne – zdawał sobie sprawę z faktu, że dysponenci mediów go nie znoszą i radził się dziennikarzy, jak przełamywać blokady i trafić z pomysłami do opinii publicznej. Rozmowę z nim na ten temat odbywałem kiedyś w niezwyklej scenerii ulicznej demonstracji, którą relacjonowałem dla „Wiadomości TVP”. Żeby się zrozumieć musieliśmy obaj podnosić głos, przekrzykując wybuchy petard i skandowanie tłumu. Manifestanci protestowali przeciw kolejnemu rządowi SLD, a my pośrodku dysputowaliśmy o marketingu i jego strategiach.

Lepiej od dysponentów mediów doceniają Janowskiego wyborcy, którzy przez ćwierćwiecze odrodzonej demokracji raz wybierali go do Senatu i trzykrotnie do Sejmu. Zaś w 1991 r. chociaż jego partia, Porozumienie Ludowe nie zaliczała się do grona mocarzy polskiej polityki, właśnie Gabriel Janowski uzyskał najlepszy wynik spośród wszystkich 460 świeżo wybranych w całym kraju posłów, jeśli sumę głosów oddanych na niego w okręgu obejmującym Siedleckie i Białkopodlaskie przymierzyć do liczby uprawnionych.

Jako państwowiec wciąż pozostaje mniej znany, chociaż jego rola ministra rolnictwa w rządach Jana Olszewskiego i Hanny Suchockiej zajmie zapewne w przyszłych podręcznikach historii bez porównania więcej akapitów niż wszystkie jego protesty. Gdyby szefem resortu był wówczas kto inny, polska wieś w większym stopniu poniosłaby i tak wysokie koszty transformacji. To Janowski torował drogę jej unowocześnieniu i budowaniu klasy średniej producentów rolnych. Zapoczątkował proces, który w dobie dopłat bezpośrednich w UE zaowocował optymistycznymi statystykami, wedle których wiejskie rodziny mają więcej samochodów niż miejskie. Z perspektywy państwowa sformułuje Janowski swój postulat IV RP, pojmowanej nie jako państwo opresji i wykluczenia całych grup społecznych, jak rozumie to PiS, ale raczej jak kolejna republika, jak we Francji, zrywająca z ograniczeniami i uwikłaniami poprzedniej epoki, doskonaląca się i otwierająca na wyzwania przyszłości. Przyjazna obywatelowi ale też zachowująca majestat tradycji.

Polscy politycy sprawiają wrażenie chętniej pobierających nauki u Niccoli Machiavellego niż Mahatmy Gandhiego. Janusz Palikot najpierw sponsorował ultrakatolicki tygodnik „Ozon”, później z antyklerykalizmu uczynił znak fir-

mowy swojej partii. Jarosław Kaczyński, który przed laty drwił ze Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, że stanowi najkrótszą drogę do dechrystianizacji Polski, dziś sam schlebia bardziej konserwatywnemu od dawnej partii Wiesława Chrzanowskiego Radiu Maryja. Nie tylko na ich tle Janowskiego cechuje stałość poglądów. Zawsze zajmowała go poprawa sytuacji polskiego rolnictwa, szanse rozwojowe Polski położonej za rogatkami wielkich miast, przekształcenia własnościowe pozwalające na zachowanie a nie wyprzedaż „sreber rodowych”, przyszłość kolejnych młodych generacji, pragnących odnaleźć się w zmieniającej się błyskawicznie Europie. Mnogość tych zainteresowań wskazuje, że Janowski nie stał się „politykiem jednego tematu”. W odróżnieniu od Macierewicza, którego – gdziekolwiek by nie działał – zawsze zajmują spiski. Janowski nie zmienia poglądów, co najwyżej na wciąż pączkującej i wypiętrzającej się polskiej scenie politycznej zmieniają się szyldy, pod którymi je głosi.

Gabriela Janowskiego nie ma dziś w parlamencie. Ściślej - tylko w sali obrad, bo w gmachu pojawia się często na niezliczonych spotkaniach albo w bibliotece. Brakuje go tam w sytuacji, gdy – wedle wykładni Eryka Mistewicza – główne partie polityczne przypominają zdyscyplinowane armie, w których posłom pozostawia się zgodne z wytycznymi operowanie przyciskami do głosowania. Czy wróci? Gabriel Janowski, rocznik 1947, jest rówieśnikiem Andrzeja Olechowskiego, który wprawdzie funkcje kierownicze pełni dziś w bankowości a nie polityce, ale zachował pozycję przenikliwego i wpływowego analityka życia publicznego. Janowski jest o rok młodszy od Adama Michnika, zaś od wszechwładnego dziś Jarosława Kaczyńskiego – raptem dwa lata starszy. Rolą dziennikarza – czego nie rozumieją pisowscy „niepokorni” – nie jest wspieranie programów politycznych, lecz recenzowanie ich. A w ramach tej procedury da się już ocenić, że Janowski na scenę publiczną... nie wraca z pustymi rękami.

Pojawia się z projektem zwróconym ku przyszłości, a nie w przeszłość. Jego „Przymierze dla Polski” adresowane jest do nowych, wkraczających w życie dorosłe roczników, którym doskonałe nawet wykształcenie nie zapewnia pracy, do przedsiębiorców skarżących się na biurokratyczne utrudnienia, do Polski położonej „daleko od szosy” nie dostrzeganej z gabinetów na Wiejskiej.

Do Gabriela Janowskiego z pewnością odnoszą się słowa, którymi on sam przed kilkunastu laty charakteryzował prof. Andrzeja Stelmachowskiego: widzi

koniec bruzdy... A to znaczący dar i umiejętność przydatna w życiu publicznym w nie mniejszym stopniu niż przy uprawie roli.

Całe życie dla Polski

Pracę dla Polski zawsze pojmował jako misję i służbę, czego dowodzi zarówno biografia opozycjonisty w czasach PRL, jak sposób sprawowania funkcji ministra rolnictwa w dwóch rządach wolnej Polski.

Wartości i zasady od początku wyznaczają sposób uczestnictwa w życiu publicznym Gabriela Janowskiego, urodzonego 22 kwietnia 1947 r. w Konstantynowie.

Sowieci do domu... 30 lat wcześniej

W siódmej klasie szkoły podstawowej w Błoniu Gabriel Janowski wraz z kolegami z klasy Romkiem Królem, Leszkiem Popiakiem i Andrzejem Sochackim zakłada pierwszą grupę niepodległościową. W sklepie u Maścicy młodzi zaopatrują się w szary papier i farby. Sami sporządzają i rozwieszają w mieście plakaty „Precz z wojskami sowieckimi” i „Wolność dla Polski”. Na użytek kolejnych, przyszłych ulotek, Janowski osobiście sprawdza w bibliotece, czy słowo zawarte w nazwie państwa należy odmieniać „Rzeczpospolitej” czy raczej „Rzeczypospolitej” i dowiadyuje, że obie formy są poprawne. Działalność organizacji wprawdzie stopniowo wygasa, ale nigdy nie zostanie wykryta przez władze, zaś młodzi konspiratorzy nie wiedzą jeszcze, że ich postulaty zostaną zrealizowane – ale przyjdzie na to poczekać trzydzieści lat.

Jako student trzeciego roku warszawskiej Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego uczestniczy w wydarzeniach marcowych 1968 r. – „Organizowałem na uczelni pierwsze protesty (...). Zwróciłem się do kolegów, żeby w czasie przerwy w zajęciach napisali na tablicach, że spotykamy się w auli na akcji protestacyjnej o godzinie 10. Było napisane, to wszyscy się zbiegli. Wtedy rozpoczęliśmy strajk. Najpierw był wiec. (..) Później przeszliśmy do sąsiedniej uczelni SGPiS (Szkoła Główna Planowania i Statystyki, dzisiaj SGH – Szkoła Główna Handlowa) i tam chcieliśmy zorganizować protest, ale tam takiej atmosfery strajkowej jak u nas nie było. To przeobraziło się w końcu

w kilkudniowy strajk”³ – opowiada po 45 latach w rozmowie z młodymi ludźmi, pragnącymi poznać najnowszą historię: Michałem Sawulą i Arkadiuszem Zaczkowskim.

Za organizowanie protestu na uczelni zostaje relegowany z SGGW i skierowany do kompanii karnej. Wcielenia do wojska unika, ukrywając się przez sześć tygodni. W październiku uda mu się też na studia powrócić. W 1971 r. podejmuje działalność naukowo-dydaktyczną na SGGW, gdzie będzie pracował aż do 1988 r. Wyjeżdża w celach naukowych m.in. do Holandii i Wielkiej Brytanii.

Trybun chłopskiej jedności

Gabriel Janowski powołuje w 1980 r. opozycyjny wobec komunistycznej władzy związek zawodowy „Solidarność” Rolników Indywidualnych. W tym samym czasie powstaje również „Solidarność Wiejska” (z inicjatywy KOR) oraz „Solidarność Chłopska”. Tworzące się związki rolnicze Janowski widzi od początku nie jako organizacje roszczeniowe – jak w wypadku zrzeszeń pracowników, ale jako element przedsiębiorczości. „Solidarność” RI pragnie budować jako dobrowolną wspólnotę wolnych ludzi, gospodarujących na swoim.

Już 2 października 1980 r. rolnicy okupują Salę Kongresową w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie podczas oficjalnej inauguracji roku akademickiego. Wykorzystują tę okazję, ponieważ w środkach masowego przekazu brak informacji o organizowaniu się niezależnego ruchu chłopskiego. Wygłaszającemu nieprzewidziane w oficjalnym scenariuszu imprezy wystąpienie Janowskiemu SB wyłącza mikrofon. Wtedy gość próbuje przemawiać przez przyniesioną tubę, która jednak zawodzi. Esbecy siłą ściągają go ze sceny. Chłopskiego głosu nie da się już jednak w podobny sposób zagłuszyć.

Pojednawcze działania Janowskiego na przełomie 1980/81 r. doprowadzają do podpisania deklaracji o wspólnym działaniu rolniczych związków. Zjazd zjednoczeniowy odbywa się w marcu 1981 r. w Poznaniu. Janowski zostaje wiceprzewodniczącym i rzecznikiem NSZZ „Solidarność” RI. Jego staraniom

³ Michał Sawula, Arkadiusz Zaczkowski. Rozmowa z panem Gabrielem Janowskim. Materiał powielany, s. 1.

błogosławi Kardynał Stefan Wyszyński podczas spotkania w siedzibie Prymasa w lutym 1981 r.⁴

Duchowe poparcie Prymasa Tysiąclecia mobilizuje rolników, którzy domagając się respektowania swoich praw, wobec odmowy legalizacji związku chłopskiego przez władze, przeprowadzają w marcu 1981 r. strajk w bydgoskiej siedzibie Kółek Rolniczych. Gabriel Janowski uczestniczy w negocjacjach, których rezultatem okazuje się zarejestrowanie 12 maja 1981 r. Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Rolników Indywidualnych „Solidarność”. Rolniczy związek rozbudowuje się, a z inicjatywy Janowskiego powstają m.in. Krajowy Ośrodek Studiów i Ekspertyz oraz Wszechnica Związkowa.

Na zawsze zapamięta spotkanie z Janem Pawłem II, 17 czerwca 1981 r. w kilka tygodni po zamachu na Placu Świętego Piotra. – Ojciec Święty przyjął nas w swojej sypialni, podłączony do kroplówki. Przekazał nam zwięzłe i proste przesłanie: nie będzie w Polsce postępu społecznego ani gospodarczego bez odnowy moralnej narodu – wspomina tę niezwykłą audiencję Janowski.

Ogólnopolskiemu komitetowi założycielskiemu rolniczej „Solidarności” przewodniczy w 1981 r. Jan Kułaj, nazywany już nawet „chłopskim Wałęsą” – chociaż sam nie znosił przewodniczącego „S” pracowniczey i uważał się za mądrzejszego. Młody działacz o dużych zdolnościach oratorskich, w opinii Janowskiego mógł stać się politykiem sporej rangi, ale udaremniły to słabości charakteru. Kułaj rezyduje w warszawskim Domu Chłopa, gdzie prowadzi rozrywkowy tryb życia, nagminnie nie dojeżdża na spotkania (np. do Suwałk albo na rozmowy z wicepremierem Romanem Malinowskim), z czego inni muszą go tłumaczyć. Biskup Miziołek podczas spotkania z Janowskim i Broniszewskim z NSZZ RI „S” na Miodowej wprost ocenia, że Kułaj szkodzi związkowi. Na wyciągnięcie wniosków władze rolniczej „S” nie mają już jednak czasu: napięcie w kraju narasta.

Utrudnianie związkowi działania i brak respektowania porozumień przez władze prowadzą do kolejnych protestów. Strajk okupacyjny rolników w Siedlcach, w którym uczestniczy Janowski, przerwie dopiero wprowadzenie stanu wojennego. Wśród siedleckich postulatów obok „konstytucyjnego zagwarantowania

⁴ Gabriel Janowski, prawy Polak. Przymierze dla Polski, 2005, materiał powielany.

nienaruszalności indywidualnej własności ziemi”, „uznania zebrania wiejskiego za jedynego reprezentanta wsi” czy „sprzedaży rolnikom indywidualnym ziemi źle użytkowanej w PGR, rolniczych spółdzielniach produkcyjnych” znajdujemy również żądania wiele mówiące o pauperyzacji ówczesnej wsi: „zwiększenia regularnego zaopatrzenia sklepów wiejskich w środki higieny, zwiększenia dostaw oleju, margaryny, smalcu i słoniny dla wsi” oraz „dostaw odpowiedniej ilości odzieży roboczej zimowej, butów gumowych, filcowych itp.”⁵.

Opozycjonista najtrudniejszego czasu

W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. Gabriel Janowski zostaje aresztowany i osadzony w więzieniu w warszawskiej Białolece, a w sierpniu 1982 r. przewieziony od obozu internowania w Strzebielinku. Przebywa tam do 18 listopada 1982 r.

Tymczasem lider KZ NSZZ RI „S” Jan Kułaj, zwolniony przez władze z internowania, występuje w telewizji u boku prezesa ZSL, wicepremiera Romana Malinowskiego. Do kręgu dawnych współpracowników nie ma już po tym gęście powrotu. W 1986 wejdzie jeszcze w skład zorganizowanej przez władze fasadowej Społecznej Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa, którym był wówczas Wojciech Jaruzelski.

Za to Janowski to według sporządzonej przez Wydział IV Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej opinii datowanej 30 czerwca 1982 r, wciąż: „zdeklarowany wróg socjalistycznych struktur gospodarki wiejskiej, zaangażowany po stronie NSZZ RI „Solidarność” (...) Organizator i kolporter wydawnictw bezdebitowych. Wpływa ujemnie na młodzież akademicką (...)”. Co więcej: „zachodzi uzasadnione przypuszczenie, że podejmie działalność związkową, tym bardziej, że jako osoba znana w środowisku ma szansę objęcia stanowiska przewodniczącego OKZ po znanych wydarzeniach dot. Jana Kułaja”. Dlatego w odrębnym dopisku zastępca komendanta stołecznego MO płk. Zygmunt Bielecki popiera wniosek o utrzymanie decyzji o internowaniu Gabriela Janowskiego⁶. Z ośrodka odosobnienia zostanie on zwolniony później, niż sam Lech Wałęsa.

⁵ Postulaty komitetu akcji protestacyjnej nszz ri „solidarnosc” województwa siedleckiego. Siedlce 7. 11. 1981, ulotka, maszynopis powielany

⁶ Opinia Wydziału IV Komendy Stołecznej MO [ws. Gabriela Janowskiego], Warszawa dn. 30. 06. 1982 r. Archiwum IPN

Po wyjściu na wolność wraca na SGGW, gdzie pracuje jako adiunkt do 1988 r. Nie rezygnuje z działalności.

Od 1983 r. współtworzy Duszpasterskie Wspólnoty Rolników. Wykłada na Uniwersytetach Ludowych. Organizuje opozycyjne wydawnictwo „Chłopi”, publikujące pismo „Słowo i Czyn” oraz studio nagrań „Videogrunť”. Regularnie uczestniczy w Dożynkach Jasnogórskich. Własny jego pomysł stanowią również „społeczne dożynki”, przybierające formę niezależnych debat chłopskich. W latach 1983–88 przy różnych okazjach Janowski sześciokrotnie ucieka próbującym go zatrzymać funkcjonariuszom Służby Bezpieczeństwa.

Podczas drugiej pielgrzymki Jana Pawła II do Ojczyzny w 1983 r. Papież podejmuje Gabriela Janowskiego podczas śniadania w siedzibie Prymasa Polski.

Starający się wypracować koncepcje gospodarcze, które przydadzą się w wolnej Polsce, Janowski uczestniczy w powołaniu w 1986 r. i zostaje wiceprezesem Warszawskiego Towarzystwa Gospodarczego. Cel stowarzyszenia stanowi przygotowanie społeczeństwa do podejmowania samodzielnej działalności gospodarczej.

W Pałacu Mostowskich w połowie lat 80 Janowski niespodziewanie oznajmia przesłuchującym go esbekom, że komunizm upadnie w ciągu 4-5 lat. Zmieni się diametralnie sytuacja również w Rosji i w Chinach. Wypytywany, na czym to przypuszczenie opiera, Janowski odpowiada: - Na lekturze chińskiej gazety „Żenmin Żypao” po rosyjsku. Choćby z niej wynika, jak Deng Xiaoping podejmuje ciekawe inicjatywy, zaczynając od rolnictwa. Przygotowując się do wojny, zawsze kiedyś najpierw gromadzono żywność.

W marcu 1987 r. powstaje Tymczasowa Rada Rolników, zaś po kilku miesiącach NSZZ RI „Solidarność” ujawnia swoją działalność.

Podczas sierpniowej fali strajków w 1988 r. Janowski przywozi żywność od rolników dla strajkujących górników ówczesnej kopalni „Lenin” w Mysłowicach. Po nocnej pacyfikacji strajku przez ZOMO zostaje zatrzymany, brutalnie przesłuchiwany i przewieziony na kilka dni do szpitala psychiatrycznego w Rybniku. Wstawia się za nim wówczas Zbigniew Romaszewski, wykorzystując do tego celu obradującą akurat międzynarodową konferencję na temat praw człowieka.

Rzecznik polskiej wsi

Przy Okrągłym Stole w 1989 r. członek Komitetu Obywatelskiego reprezentuje stronę solidarnościowo-opozycyjną. Doktor nauk rolniczych zasiada w zespole ds. gospodarki i polityki społecznej, podzespołe ds. rolnictwa oraz grupie roboczej do spraw ustawy o związkach zawodowych rolników indywidualnych. Innych uczestników już wtedy przestrzega przed nadmiernym liberalizmem.

Po czerwcowych wyborach w 1989 r. Gabriel Janowski zostaje senatorem z województwa siedleckiego, dzięki poparciu 61 proc. głosujących, a także wiceprzewodniczącym Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. W tym samym roku w grudniu na przewodniczącego („pełnego”, bo Kułaj był tylko szefem komitetu założycielskiego) wybiera go NSZZ RI „S”. Zostaje także zgłoszony na wicemarszałka Senatu, ale po wzajemnych uzgodnieniach funkcję tę obejmie Józef Ślisz.

Premiera Tadeusza Mazowieckiego Janowski ostrzega przed zgubną dla wsi liberalną polityką. Wobec braku odpowiedzi, rolnicy z „S” RI organizują symboliczne sadzenie ziemniaków przed Ministerstwami Rolnictwa i Finansów oraz gmachem telewizji i ceremonię pogrzebową polskiego rolnictwa przed Urzędem Rady Ministrów. Zwłaszcza blokady dróg – z najsłynniejszą pod Mławą – wymuszają na władzy przekazanie środków na modernizację krajowych mleczarni.

Alternatywę dla programu Balcerowicza proponuje Gabriel Janowski, wspierany przez Ryszarda Bugaja podczas sesji u prezydenta Lecha Wałęsy w pierwszej połowie 1991 r. Elity decydują się jednak na kontynuowanie dotychczasowego kursu polityki społeczno-gospodarczej. Zaś Janowski propaguje rozwój spółdzielczości, akcjonariat pracowniczy oraz wzmocnienie krajowego systemu bankowego.

Bardziej od kolejnych rządzących doceni to elektorat. W wyborach do Sejmu jesienią 1991 r. Gabriel Janowski uzyskuje najlepszy wynik spośród wszystkich kandydatów w całym kraju. Przewodniczy klubowi parlamentarnemu Porozumienie Ludowe i obejmuje prezesurę PSL-PL.

Ministrem rolnictwa zostaje pod koniec 1991 r. w rządzie Jana Olszewskiego. Pełni tę funkcję również w kolejnym gabinecie – Hanny Suchockiej.

W październiku 1992 ten rząd przyjmie przygotowany przez Janowskiego program „Szanse dla wsi i rolnictwa”.

Minister rolnictwa Gabriel Janowski doprowadza do powołania Funduszu Oddłużania Rolników, z którego skorzysta 30 tys. gospodarstw. Uda mu się ograniczyć szkodliwy dla polskiej wytwórczości import oraz wynegocjować pożyczki na rozwój infrastruktury gminnej (ASAL). Inne sukcesy Janowskiego to ustanowienie preferencyjnych kredytów na rozwój rolnictwa i wprowadzenie – wzorem UE, do której jeszcze wtedy nie należeliśmy – cen minimalnych na niektóre produkty oraz dopłat do paliwa dla rolników. Gdy jednak kolejne inicjatywy na rzecz poprawy kondycji wsi i rolnictwa spotykają się ze sprzeciwem większości rządu, Janowski rezygnuje z funkcji. Po porażce obozu sierpniowego w kolejnych wyborach – 1993 r. – zmuszony jest działać poza parlamentem. Wtedy po raz pierwszy pojawia się koncepcja „Przymierza dla Polski”. Tworzą je wówczas, oprócz Porozumienia Ludowego: Koalicja Konserwatywna, Porozumienie Centrum, Partia Chrześcijańskich Demokratów oraz Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe.

W 1995 r. Janowski wysłał listy do kandydatów na prezydenta, wywodzących się z obozu posierpniowego. Odpisuje m.in. Jacek Kuroń. Nie przynosi za to efektów rozmowa Janowskiego z Hanną Gronkiewicz-Waltz, która w trakcie wymiany opinii niespodziewanie zapewnia: „Wie pan, ja o drugiej kadencji jeszcze nie myślę”.

Po okresie rozbicia centroprawicy Gabriel Janowski staje się jednym z liderów jednoczącej ją po latach Akcji Wyborczej „Solidarność” i wchodzi do jej władz. Dzięki zwycięskim wyborom z 1997 r. powraca po czterech latach do Sejmu. W AWS dostrzega wówczas „pospolite ruszenie” – ostatnią tak szeroką formację mającą szanse reprezentować poglądy Polaków.

Od początku, w niezliczonych debatach, poprzedzających wprowadzenie „czterech wielkich reform”, zajmuje niepokorne wobec liderów stanowisko. Przekonuje, że reformy ustrojowe – administracji czy edukacyjna – muszą być podejmowane w consensu z opozycją. W ten sposób Niemcy od lat rozwiązują najważniejsze problemy swojego kraju. Wyraża zrozumienie dla stanowiska PSL, proponującego wprowadzenie samorządu w dotychczasowych 49 województwach. Przestrzega przed dualizmem administracji rządowej i sa-

morządowej, wojewódzkiej i marszałkowskiej. Opowiada się za zachowaniem mocnej pozycji wojewodów przy równoczesnym delegowaniu uprawnień, wzmocnieniem związków gmin i tworzeniem regionów na zasadach dobrowoli przez samorządy. Poglądy te, wyrażone przez Janowskiego przy okazji narady w mazurskich Mierkach sprawiają, że zaczyna uchodzić za jednego z głównych krytyków obowiązującego w AWS kursu. A także za lidera „prospolecznej” grupy w Akcji. W Mierkach za koncepcją „wstrzemięźliwych zmian” oprócz Janowskiego opowiedzą się Romuald Szeremietiew i Jan Łopuszański.

W AWS próbuje stworzyć przeciwwagę dla wpływów Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego, przestrzega nawet Mariana Krzaklewskiego, że to koń trojański w Akcji. Diagnoza Janowskiego potwierdzi się w tym sensie, że SKL nie tylko przystąpi do AWS jako ostatnie spośród większych ugrupowań, ale też po latach... pierwsze ją opuści. Liberałowie wobec spadku w sondażach szybko poszukują szalup ratunkowych.

Janowski współtworzy również Ruch Społeczny AWS, w zamierzeniu integrujący centroprawicę w formule nowoczesnej partii politycznej. Jednak marzenia o budowie „chłopskiej nogi” Ruchu nie spełniają się. RS okazuje się raczej partią władzy, zaś typowo związkowe myślenie przewodniczących regionów „Solidarności” nie sprawdza się w wielkiej polityce. Tej związkowi liderzy uczą się aż do końca kadencji, która dla większości z nich okaże się... ostatnią w Sejmie. Akcja zniknie ze sceny, do końca się reformując.

Były minister rolnictwa już dużo wcześniej nie podziela entuzjazmu rzeczownika Piotra Żaka, zapewniającego, że „będą o nas pisać złotymi zgłoskami”. Po doświadczeniach lat 1999–2000 Janowski ocenia, że „pospolite ruszenie” zakończyło się niepowodzeniem.

Obrońca polskiej własności

Występuje przeciwko polityce prywatyzacyjnej ministra skarbu Emila Wąsacza w sprawie PKO SA, PZU S.A oraz sprzedaży Domów Towarowych Centrum. Forsuje wnioski o odwołanie Wąsacza ze stanowiska.

Po pięciu latach Sejm 29 lipca 2005 r. podejmuje uchwałę o postawieniu Wąsacza przed Trybunałem Stanu.

Za to jeszcze w tej samej, trzeciej kadencji, Sejm z inicjatywy Janowskiego

podejście uchwałę o powołaniu Krajowej Spółki Cukrowej „Polski Cukier”, która później przynosić będzie milionowe zyski. Przesądzi o tym determinacja Janowskiego, sprzeciwiającego się planowanej sprzedaży niemieckim firmom wszystkich polskich cukrowni.

W lutym 2001 r. Janowski rozpoczyna okupację Ministerstwa Skarbu w proteście przeciwko polityce prywatyzacyjnej rządu, która nie zmienia się, chociaż Wąsacz przestał być ministrem. Pomimo poselskiego immunitetu, zostaje stamtąd usunięty siłą. Aleksander Małachowski napisze wówczas na łamach „Przeglądu” (z 8 marca 2001 r.): *Sądzę, że teraz my, wieloletni parlamentarzyści III Rzeczypospolitej powinniśmy, nieco zawstydzeni i odziani w pokutne worki, śpiewać chórem „Wielki Gabriel nas naucza, jak się broni ludzi”. (...) Dzisiaj wyrzucam sobie i moim kolegom parlamentarzystom brak tej determinacji w obronie polskiego majątku narodowego i losu ludzi, zdruzgotanych przez nieudolne reformy – jaką wykazuje poseł Gabriel Janowski*⁷.

Usuniętego z klubu AWS w lipcu 2000 r. Gabriela Janowskiego wyborcy oceniają w 2001 r. lepiej niż liderów AWS: w kolejnym Sejmie znajdzie się w ławach Ligi Polskich Rodzin. Z klubu LPR, którego był wiceprzewodniczącym, odejdzie w grudniu 2002 r, tłumacząc to błędami i niekonsekwencją w postępowaniu liderów Ligi.

W październiku 2002 r. okupuje sejmową mównicę w proteście przeciwko sprzedaży warszawskiego dystrybutora energii STOEN-u niemieckiej spółce RWE Plus. Zostanie wyprowadzony siłą na polecenie marszałka Marka Borowskiego. W tej samej kadencji sprzeciwia się także sprzedaży ośmiu zakładów energetycznych (grupa G-8) – wątek powróci przy aferze Orlenu, w badającej ją komisji śledczej. Zaś w sprawie STOEN organy kontrolne państwa po latach przyznają rację Janowskiemu stwierdzając liczne nieprawidłowości przy tej prywatyzacji.

Zwolennik Unii bez przymusu

Logo Przymierza dla Polski – formacji, założonej przez Gabriela Janowskiego – zawiera w sobie orła jagiellońskiego i tym przypomnieniem godła nawią-

⁷ Aleksander Małachowski. Czy się cisną do oczu. „Przegląd” z 8 marca 2001

zuje do tradycji I Rzeczypospolitej. Pojmowanej w duchu słów Jana Pawła II o Unii Lubelskiej.

W Brukseli Janowski mówi o pierwszej, nie wynikającej z przymusu Unii Europejskiej – Rzeczypospolitej Obojga Narodów, jak w jej czasach mówiono, która jednak faktycznie pozostawała Rzeczpospolitą Trojga Narodów, obejmującą nie tylko Litwę ale i Ukrainę.

„Nasza trwała przez tyle wieków” – przypomina tamtą Unię Janowski. Po zakończeniu wystąpienia podchodzą do niego zadowoleni ukraińscy delegaci, dziękując za wymienienie w tym kontekście ich narodu.

W ramach misji poselskiej angażuje się w obronę stoczniovców oraz protestujących przeciwko likwidacji i wywożeniu zakładowego mienia robotników ożarowskich kabli. „Z komisji skarbu do Ożarowa Maz. jest tak blisko” – przypomina posłom, apelując by poparli pracowników, pacyfikowanych przez policję i prywatnych ochroniarzy, gdy sprzeciwili się wywożeniu sprzętu przez dziesiątki tirów. Przy tej okazji udowadnia, że prywatna wytwórczość nie powinna odstępować od dobra wspólnego. Ratunek dla zagrożonych zakładów widzi w akcjonariacie pracowniczym ze wsparciem państwa.

W wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2009 r. Janowski, kandydujący z ostatniego miejsca z listy PiS, bliski jest uzyskania mandatu. W myśl skomplikowanych reguł ordynacji, gdyby na Mazowszu zagłosowało o 8 tys osób więcej – PiS wprowadziłby z okręgu jeszcze jednego europosła oprócz Adama Bielana. A to Janowski miał drugi wynik, wyprzedził ułokowanych wyżej na liście Zbigniewa Kuźmiuka i Wojciecha Jasińskiego.

Obecnie Gabriel Janowski rozwija projekt „Przymierza dla Polski”, który chciałby rozbudować również w formie licznych „przymierzy” regionalnych i lokalnych, działających na swoim terenie na rzecz dobra wspólnego. Patronuje też formacji „Młodzi dla Polski”. Zamierza odnowić i odkłamać pojęcie IV RP jako nowej, ale nawiązującej do najlepszych polskich tradycji i uczącej się na popełnionych błędach formy polskiej państwowości, wolnej od przejętych z PRL ograniczeń i zwróconej ku przyszłości. Ogłoszona w 2011 r. deklaracja programowa Przymierza dla Polski przypomina: „Polacy to nie tylko naród wielkich żołnierzy i bohaterów. W czasie pokoju – zadziwiamy świat naszą przedsiębiorczością i operatywnością ekonomiczną. <Pracowity jak Polak> mówi się dziś na Zachodzie

o naszych pracownikach. Tylko zła polityka ostatnich dwóch dekad spowodowała, że nie możemy wykorzystywać tych naszych talentów i umiejętności na rodzimym rynku”⁸. Autor dokumentu Gabriel Janowski zapowiada – w razie uzyskania wpływu na rządy w Polsce – stymulowanie gospodarki poprzez zmniejszenie obciążeń fiskalnych, upraszczanie przepisów i odpolitycznienie administracji. Godność ludzką uznaje za główny filar państwa, co powinno przejawiać się m.in. w zapewnieniu obywatelom gwarantowanego przez Konstytucję dostępu do bezpłatnej opieki medycznej. „Podstawowym prawem człowieka i obywatela jest także jego prawo do własnego dachu nad głową. (..) Polscy muszą stać się narodem właścicieli – a zacząć ten proces należy od własnego domu czy mieszkania”⁹.

Gabriel Janowski angażuje się w praktyczne przedsięwzięcia na rzecz wytwarzania w Polsce żywności najwyższej marki i promowania jej w świecie. Służą temu: program Polish Quality Food (Polska Jakość Żywności), salony z żywnością prowadzone przez Spółdzielnię PQF „Dobro Wspólne”, a także działający w formule partnerstwa publiczno-prywatnego Instytut Polskiej Jakości oraz program Witalizacji Polskiej Wsi. Ten ostatni zakłada m.in. przywracanie do użyteczności rolniczej budynków obecnie niewykorzystanych (jak obory i stodoły), których liczbę szacuje się nawet na ćwierć miliona, rozbudowę infrastruktury na wsi i budowę domów pasywnych. Były minister rolnictwa jako inicjator tych wszystkich przedsięwzięć tak uzasadnia ich sens: „Polska jest jednym z niewielu krajów na świecie, który ma jeszcze warunki do uprawy i wytwarzania ekologicznej żywności. Nasze rolnictwo nie jest zbyt skoncentrowane, stosunkowo mało schematyzowane i uprzemysłowione. Mamy jeszcze znaczący potencjał ludzki na wsi”¹⁰. Gabriel Janowski opowiada się przy tym za zrównoważonym rozwojem z jednoczesnym zachowaniem lokalnej tradycji.

⁸ Deklaracja Programowa – Nasz PIN Zgromadzenia Krajowego Przymierza dla Polski. Warszawa, 6 marca 2011

⁹ ibidem

¹⁰ dr Gabriel Janowski. PQF, IPJ, WPW. Inicjatywy i program. Warszawa, dnia 10. 12. 2015 r.

Gabriel Janowski

Kto wymyślił IV RP

Kiedyś Solidarność, dzisiaj Godność

IV RP nie jest wcale propagandowym sloganem ani własnością tylko jednej partii. Niezdolność *establishmentu* do przewyciężenia kryzysu społecznego i gospodarczego potwierdza żywotność koncepcji, z którą jako pierwszy polski polityk wystąpiłem przed kilkunastu laty.

Teraz, tak jak wtedy, uważam, że IV RP powinna nawiązać do chlubnych polskich tradycji, ale też uczyć się na błędach, popełnionych przez polityków w ostatnim ćwierćwieczu, po to, by ich nie powtórzyć. Jej idea nie oznacza budowania od nowa państwa polskiego, ale wyeliminowanie patologii, które utrudniają jego funkcjonowanie. Zamiast dyktatu klasy politycznej i utrwalenia egoizmu *establishmentu* - proponuje także nową umowę społeczną, opartą na poszanowaniu godności.

Odrodzone niepodległe państwo i polska demokracja narodziły się z Solidarności. Zarówno z nazwy własnej dziesięciomilionowego ruchu, budzącego zasłużony podziw całego świata, jak z rzeczownika pospolitego, oznaczającego wzajemne współdziałanie i zrozumienie różnych grup społecznych. Jednak przez ćwierćwiecze tych ideałów nie udało się w pełni zrealizować. Sondaże dokumentują dziś głębokie i zasłużone rozczarowanie Polaków życiem publicznym ich kraju. Potwierdzają też potrzebę zbudowania w miejsce III RP (państwa w odróżnieniu od PRL uznawanego wprowadzone przez Polaków za własne, ale wciąż niezdołnego do realizowania ich marzeń) – IV RP. Tak jak u podstaw Trzeciej Rzeczypospolitej znalazła się idea solidarności, tak dla tej Czwartej kluczem okazać się powinno pojęcie godności. Państwo polskie zmieni się na korzyść, jeśli godność stanie się słowem równie modnym jak kiedyś solidarność. Godność oznacza najlepszą, dla nich samych ale i dla gospodarki, relację między pracownikami a pracodawcami, opiekę nad ludźmi starszymi, pożądaną szansę życiowego startu kolejnych roczników, pomimo coraz lepszego wykształcenia zagrożonych bezrobociem. Jednym słowem spina oczekiwania kolejnych polskich pokoleń, również tych, które najbardziej czują się zagrożone: seniorów i młodzież.

Lekarstwem na ich niepokój i postawą programu IV RP powinna stać się partycypacja: oznacza ona uczynienie z Polaków właścicieli, a nie niewolników ani bezwolnego „salariatu”.

Jeśli odwołać się do modnego dziś korporacyjnego slangu – moja koncepcja IV RP oznacza nie *reset* lecz audyt. Zamiast propagowania rewolucji i rozpoczynania wszystkiego od nowa – staranną ocenę zastanej sytuacji, wyciągnięcie wniosków, eliminację błędów i naprawę funkcjonowania systemu.

U źródeł koncepcji IV RP, zarówno w chwili, gdy formułowałem ją przed kilkunastu laty, jak dzisiaj, gdy wydaje się jeszcze bardziej aktualna, leży diagnoza kryzysu, potwierdzana przez badania opinii publicznej. Pokazują one – jak kolejne „Diagnozy społeczne” – że wprawdzie 80 proc Polaków uważa się za szczęśliwych, ale zaledwie ok. 20 proc w jakiejkolwiek formie (choćby poprzez udział w zebraniu) uczestniczy w życiu publicznym. Niewielu dobrze ocenia pracę Sejmu. Ten rozdźwięk dowodzi, że pojęcia zadowolenia czy sukcesu wiążemy z życiem prywatnym, zaś życie publiczne uznajemy za dziedziną obcą nam i nieprzyjazną.

Zabrakło polityków formułujących wizję, a nie tylko liczących głosy i mandaty. Polskę zmienia ci, którzy dysponują wizją przyszłości. Tylko oni potrafią przełamać niemożność. W powołanym przeze mnie Przymierzu dla Polski działają ludzie, których nie interesuje podział na lewicę i prawicę, lecz budowa silnego, sprawnego i zasobnego państwa polskiego. Respektującego jednak – o czym szermującym hasłem IV RP politykom zdarza się niestety zapominać – reguły praworządności.

Pomysł IV RP narodził się podczas okupacji Ministerstwa Skarbu w lutym 2001. Zaproszony przez protestujących, do których racji byłem głęboko przekonany, pozostałem wówczas w gmachu, traktując moją tam obecność jako sposób realizacji misji poselskiej. Odmienny, ale dla mnie bardziej naturalny, niż toczony przez wielu klubowych kolegów nie kończące się rozmowy w klimatyzowanych gabinetach o podziale stanowisk w radach nadzorczych państwowych spółek. Podobnie jak 20 lat wcześniej w Siedlcach ze strajkującymi rolnikami, byłem z pokrzywdzonymi do momentu usunięcia mnie z siedziby resortu przez siły porządkowe z naruszeniem immunitetu poselskiego. Wtedy, w trakcie okupacji Ministerstwa Skarbu, zacząłem szkicowanie projektu

IV RP. Po raz pierwszy wzmiankowałem go moim sejmowym wystąpieniu w marcu 2001 r. Zaś konkrety, dotyczące IV RP przyniosła kwietniowa konwencja Przymierza dla Polski w 2001 r. Idea stanowczej zmiany pozostaje osią projektu IV RP, w jej świetle – spór o autorstwo pojęcia okazuje się kwestią drugorzędną. O palmę pierwszeństwa nie zamierzam kruszyć kopii, wiem, że są też inni „ojcowie chrzestni”: prof. Paweł Śpiwak i publicysta Rafał Matyja.

Konserwatysta Rafał Matyja pojęcia IV RP użył jako pierwszy, jeszcze w 1998 r, a nadzieję na jej budowę wiązał jeszcze z AWS, co do której ja już nie miałem złudzeń. Wystąpienie funkcjonującego w elitarnym obiegu publicysty nie znalazło wielkiego rezonansu. Z kolei historyk idei i socjolog, prof. Paweł Śpiwak użył pojęcia IV RP już po mnie, ale w podobnym do mojego kontekście: stanowczej zmiany, jakiej potrzebuje Polska dla zerwania z korupcją polityczną i klientelizmem.

Charakterystyczne, że żaden z pionierów tej koncepcji nie został doceniony za rządów PiS, które właśnie hasło IV RP wyniosło na sztandary.

Sam projekt był dobry, bo schyłek rządów AWS dowiódł, że III Rzeczpospolita wyczerpała swoje możliwości. AWS okazała się ostatnią formą pospolitego ruszenia bezpośrednio – nie tylko nazwą – nawiązującego do tradycji dieńsięciemilionowej „Solidarności” z lat 1980-81 i odrodzonego związku z ’89. Po niej nastąpiło partyjne państwo Leszka Millera, rodzaj rozbicia dzielnicowego, znaczonego aferami: Rywina i świętokrzyską czy rabunkową prywatyzacją STOEN. Francuską V Republikę Charles de Gaulle stworzył dopiero w 1958 r czyli w 13 lat po wypędzeniu Niemców, tak więc moment pojawienia się projektu IV RP w Polsce przez analogię wydawał się optymalny w chwili, gdy z nim wystąpiłem. Nie odnoszę wrażenia, aby w kolejnych latach się zdezaktualizował, raczej zużywanie się kolejnych ekip rządzących, preferujących proste i techniczne administrowanie krajem bez prób naprawy państwa – jeszcze przydało mu ostrości. Problemy współczesnej Polski pokazują w tej książce (przy której współpracuję z dziennikarzem Łukaszem Perzyną, zawsze relacjonującym moje projekty i działania, czasem wobec nich krytycznym, ale nigdy ich nie cenzurującym) przez pryzmat koncepcji IV RP – bo w niej zawiera się ich całościowe rozwiązanie. Potrzeba zbudowania nowego ładu

Emancypacja polskiej wsi i rolnicza „Solidarność” stały się uzupełnieniem

„S” pracowniczej, protestów stoczniowców i górników w procesie zwycięskiej demokratycznej rewolucji z lat 80. Statystyki obrazujące narastające dysproporcje, alarmujące dane demograficzne (wyludnianie się całych połaci kraju w wyniku emigracji zarobkowej) i rachunki funduszy unijnych wciąż potwierdzają potrzebę dowartościowania Polski „daleko od szosy”, ale wątpliwe, czy rozumieją ją warszawscy politycy. Kiedyś ze zdumieniem przecież przyjmowali aktywność Samoobrony, choć stanowiła nieuchronny efekt zawinionej przez nich degradacji i pauperyzacji polskiej wsi. Parę lat temu szokowało ich, gdy młodzież – przedstawiana jako bezideowa i niezdolna do wspólnego działania – pomimo siarczystego mrozu błyskawicznie skrzyknęła się na uliczne demonstracje w obronie wolności Internetu a przeciw ACTA.

Gdy III RP wyczerpała możliwości koncepcyjno-rozwojowe czas postawić grubą kreskę – rzeczywistość, a nie tak jak pojmował ją Tadeusz Mazowiecki – i wziąć się do roboty. Dla młodych roczników ciepła woda w kranie jest oczywistością, a nie dobrodziejstwem ani zdobyczą demokracji. Zarazem każdy ze społecznych problemów okazuje się złowrogo spotęgowany dla młodego pokolenia, bo z jego perspektywy doświadczany najboleśniej. Zaowocowało to wynikiem wyborów z 2015 r. Pochwały międzynarodowych organizacji finansowych dla Polski jako „prymusa” a potem „zielonej wyspy”, ani światełka optymistycznie migające na telebimach podczas prezentacji za plecami oficjeli, ani też nagrody dla kolejnych ministrów finansów nie mają magicznej mocy odmiany losu zwykłego Polaka. Ludzie czują się poszkodowani i zawiedzeni.

Dlatego Przymierze dla Polski buduje program IV RP, bo z trzeciej nie da się przeskoczyć do piątej, to sprzeczne z arytmetyką.

Rzetelność w działaniu – rozumiana jako uczciwość i mądrość, bo jeden z tych komponentów okazuje się bezwartościowy, gdy brak drugiego – przybliży nas do Polski naszych marzeń. Również marzeń tych, którzy przychodzą po nas, a w chwili startu w dorosłe życie nęka ich poczucie traconej szansy.

Wiele razy, rozpoznawany w tramwaju, na warszawskiej ulicy, albo na spotkaniach w terenie, których nigdy nie unikam – słyszę wśród narzekania: „Panie Janowski, zrób pan coś”. Odpowiadam więc ofertą: spróbujmy razem.

Z KSIĘDZEM PRAŁATEM JÓZEFEM MAJEM ROZMAWIA KATARZYNA ŚNIADECKA

Co ksiądz pamięta z aktywności w tamtych latach by uwolnić z aresztu czterech aresztowanych Konfederatów?

Współpracowałem w tym czasie blisko z Księdzem Arcybiskupem Bronisławem Dąbrowskim, ówczesnym sekretarzem Konferencji Episkopatu Polski. W ramach tej współpracy byłem jakby łącznikiem, po prostu takim człowiekiem, który dla potrzeb Sekretariatu Episkopatu kontaktował się z różnymi osobami, tak z rządu, jaki i z opozycji. To był ważny wymiar mojego także osobistego zaangażowania w sprawy publiczne. Właśnie w takim charakterze uczestniczyłem w staraniach o uwolnienie „tych czterech”. Miałem z tym nie mało kłopotów, bowiem Ci moi podopieczni byli po prostu nieposłuszni władzy ludowej. Dali mi na przykład słowo, że jak ja ich wyciągnę z tego więzienia to na ściśle określony czas zaprzestaną publicznej działalności politycznej. Taki bowiem był warunek ich uwolnienia ze strony Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a zaakceptowany przez Księdza Arcybiskupa. Gdzie tam! Nie wytrzyma-li, a mnie to wiele kosztowało u Pudysza, który był pułkownikiem w MSW, a do którego chodziłem regularnie z ramienia Sekretariatu Episkopatu, a w tym czasie także i Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i Ich Rodzinom. Niejednokrotnie wypominał mi, że jestem niewiarygodny. Wiedziałem, że mówi to raczej taktycznie, ale nie było przyjemne tego słuchać pod swoim adresem, słów o całkowitym braku wiarygodności.

Formalnie – środowiskowo kontaktowałem się w sprawach KPN-u z panem Romualdem Szeremietiewem. Praktycznie kontakt bezpośredni i roboczy był przez osobę ks. Donata Manterysa, rektora kaplicy przy Królikarni. Pan

Szeremietiew przyjaźnił się bowiem z księdzem Donatem Manterysiem, u którego w Królikarni była skrzynka kontaktowa. W sprawach KPN-u tam właśnie było miejsce naszych ważniejszych spotkań i wymiany informacji. W sprawach krótkich i zwięzłych odwiedzały mnie w mieszkaniu umówione osoby, choć nieraz truchlałem, bo niemało w tych kontaktach było żywiołowości i spontaniczności. Ksiądz Donat był moim dobrym kolegą z czasów seminarium, którego darzyłem zaufaniem, a to w sytuacji konspiracji ma zasadnicze znaczenie. Ponieważ trudno było kontaktować się ze wszystkimi zainteresowanymi KPN-owcami, poza wszystkim niosłoby to groźbę szybkiej i pełnej dekonspiracji, kontakty robocze musiały odbywać się w określonym ładzie. Tak więc ja zawsze miałem kontakt z nimi przez ks. Manterysa, a on zawsze przez pana Szeremietiewa, z którym nota bene serdecznie się przyjaźnili.

Ten wysiłek organizacyjny był pracą autentycznie konspiracyjną, czego obecnie wielu ludzi nie rozumie. Jak to bywa z tajną robotą, był to trudny i czasochłonny wysiłek. Towarzyszyło temu i napięcie nerwowe, i pewien wymiar ryzyka, bo często trudno było przewidzieć bieg wydarzeń i skutki podejmowanych działań oraz niebezpieczeństwa, na jakie można się w tym konkretnym działaniu natknąć. Osobiście uważam, że dzięki osiągniętej precyzji organizacyjnej, mieliśmy z księdzem Donatem to szczęście, że nie mieliśmy żadnej wpadki. Chciałbym podkreślić, że w zasadzie, jeśli idzie o KPN, nie kontaktowałem się ani z panem Leszkiem Moczulskim, ani z panem Tadeuszem Stańskim (choć oni oczywiście wszystko wiedzieli). Z ostrożności konspiracyjnej miałem czasami realny kontakt tylko z panem Szeremietiewem. To, co było ustalone z Szeremietiewem było wiążące tak między nami, jak i dla całej grupy przywódców KPN-u.

Do kogo należała inicjatywa tych kontaktów?

Generalnie inicjatywa tych kontaktów była naturalnym wynikiem mojej współpracy z Księdzem Arcybiskupem Dąbrowskim, który używał mnie do kontaktu z grupami opozycyjnymi. Inicjatywa konkretnych spotkań, wynikała najczęściej z potrzeb sytuacyjnych, wychodziła z obu stron w zależności od charakteru spraw. Jednym ze skutków takiej współpracy z Sekretariatem Epi-

skopatu była dość duża rozpoznawalność mojej osoby w różnych środowiskach opozycyjnych. Z powodu ostrożności proceduralnych ks. Arcybiskup Dąbrowski tylko w sytuacji wyraźnej konieczności przyjmował grupy opozycyjne w siedzibie Sekretariatu. Z tych powodów kontakty robocze z opozycją były prowadzone przez współpracujących z Sekretariatem Księży, a ja miałem kontakt głównie ze środowiskami młodzieżowymi, wcześniej przedsolidarnościowymi, a później solidarnościowymi lub około solidarnościowymi na uczelniach. Ale też z robotnikami Ursusa, czy Huty Warszawa oraz z grupami związanymi z Wojciechem Ziemińskim, środowiskiem niepodległościowym i chadeckim. I tak wówczas funkcjonowałem. Chcę jednak podkreślić, że najczęściej kontakty te wynikały z potrzeby interwencji u władz na rzecz poszczególnych środowisk. Tak na przykład na rzecz KPN-u było ponad 20 – jeśli dobrze pamiętam – interwencji ze strony Sekretariatu Episkopatu i kilka ze strony Komitetu Prymasowskiego.

Z MSW miałem kontakt nieustanny – już nie pamiętam nazwisk funkcjonariuszy poza nazwiskiem pułkownika Pudysza, choć rozmówców miałem kilku. Ze struktur Służby Bezpieczeństwa też pamiętam jedynie jednego człowieka, który bezpośrednio się ze mną kontaktował, był moim „opiekunem” i nie wiem czy prawdziwie, czy nieprawdziwie nazywał się Majewski. Pamiętam go dobrze. Pamiętam też dobrze, pułkownika Pudysza. Był to bardzo surowy ale rzeczowy człowiek. Do dziś mi się wydaje, że choć zachowywał wobec mnie daleki dystans, to z jakiegoś powodu chronił mnie i osłaniał. Był mi życzliwy, choć nigdy tego nie okazał, ja to jednak czułem: milczącą akceptację mojej postawy z jego strony. Takie coś odczuwałem, ale czy było to prawdziwie? Nie wiem.

Oczywiście nie brakowało czasami wprost szalonych moich kontaktów osobistych z ludźmi opozycji, a z Szeremietiewem na przykład miałem kontakt także w więzieniu. W formie pisemnej w imieniu wszystkich trzech przyrzekł, że podporządkują się warunkom zwolnienia wynegocjowanym przez ks. Arcybiskupa Dąbrowskiego ze stroną rządową. Nie dotrzymali słowa, za co oczywiście ja odpokutowałem tak od strony Księdza Arcybiskupa i księdza Orszulika, jak i Pudysza. Byłem też skrzynką kontaktową, krótki czas, ale byłem dla tego środowiska w razie koniecznej potrzeby. Stało się to na okoliczność, już nie pamiętam, choroby czy dłuższego wyjazdu ks. Manterysa. Nie wiem nawet z kim

miałem wtedy kontakt. Znałem tylko hasło "Królikarnia". Jak mi powiedzieli hasło to działałem, jak miałem wątpliwości nawet co do formy przekazu - nie działałem. Pojawiali się różni ludzie, ale nie wiem kto. Jednego rozpoznawałem – to był Krzysztof Król. Rozpoznałem go jednak dopiero wtedy, gdy stał się zięciem Leszka Moczulskiego. Pamiętam, że go polubiłem.

Na ile ksiądz był wolny w tych kontaktach?

Byłem wolny ale i posłuszny Kościołowi. Trzymałem się wskazań i instrukcji Księdza Arcybiskupa, które otrzymywałem prawie na każde spotkanie, a generalnie znałem też dyspozycję zasadniczą daną przez Prymasa Polski Sekretariatowi Episkopatu na tą historyczną okoliczność. Sługa Boży Stefan Kardynał Wyszyński umarł w maju 1981 roku. Praktycznie od grudnia 1980 roku nie funkcjonował już w pełni w życiu publicznym. Od połowy lutego 1981 roku był praktycznie ze względu na pogarszający się stan zdrowia z niego wyłączony. Trzeba jednak zdecydowanie podkreślić, że dyspozycje, jakie poczynił przed śmiercią były realizowane. Również dyspozycja dana Arcybiskupowi Dąbrowskiemu w 1979 roku, dwa lata przed śmiercią, była dyspozycją wiernie przez Sekretarza Episkopatu realizowaną.

Dyspozycja była jednoznaczna: „Kościół nie może bezpośrednio angażować się w działalność struktur opozycyjnych polskiej opozycji antykomunistycznej, ale należy działać wobec nich z życzliwą obecnością”. Ośmielę się powiedzieć, że w mojej opinii dyspozycja powyższa była wskazaniem godnym kapłana, męża stanu i patriotę polskiego, jakim bez wątpienia był Kardynał Wyszyński. To właśnie na podstawie tej dyspozycji zacząłem pełniej i pewniej funkcjonować, jako współpracownik Księdza Arcybiskupa Dąbrowskiego. Początkowo, czyli w latach 1974–1975 nie wiedzieliśmy, na czym ta współpraca ma polegać i dopiero z biegiem czasu wypracowaliśmy jej formy. Moją rolą było otwieranie się na środowiska opozycyjne, ale tak, by nie narażać Kościoła na zarzut współdziałania i formalnej współpracy z opozycją. Polska Rzeczpospolita Ludowa była państwem uznanym w całym świecie, respektowane musiały więc być przez Kościół nawet budzące sprzeciw struktury tego państwa. Kościół, jako instytucja musiał się poruszać w ramach praw regulujących stosunki państwo

– kościół w układzie międzynarodowym. Z tych, a także z powodów taktycznych przyjętych przez Kościół w Polsce nie mógł zająć stanowiska formalnej współpracy z opozycją, ale życzliwą obecność mógł realizować. Szybko stał się nawet mediatorem wobec stron ówczesnego konfliktu społecznego w naszej Ojczyźnie.

Jaka była argumentacja wobec władz PRL?

Oczywiście, jakich argumentów używali dla realizacji tej zasady w rozmowach z władzami księży: ksiądz Biskup Władysław Miziołek, ksiądz Biskup Jerzy Dąbrowski, ksiądz Alojzy Orszulik, ksiądz Bronisław Dembowski czy ks. Wiesław Niewęgłowski, tego nie wiem. Sam na różne sposoby starałem się używać jednego argumentu: „Nie znam powodów, dla których władza państwowa uczestniczy w tak intensywnym procesie wyobcowywania się z życia Narodu, może jest to zgodne z dyspozycjami międzynarodówki, Kościół jednak, mimo trudnych wyzwań, jakie niesie obecna sytuacja chce być integralną częścią Narodu, nie chce się dać z niego wyobcować”.

Przy realizacji tej generalnej argumentacji, argumenty szczegółowe były bardzo różne, zależne od problemów konkretnych środowisk. Jeśli idzie o młodzież, która była karana np. za udział w demonstracjach, za rozklejanie plakatów, rozrzucanie ulotek itp. szczęśliwie, jeśli była karana grzywnami, wtedy wystarczyło zgromadzić środki, aby spłacić te grzywny. Kiedy powstał „Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom” było nam bez porównania łatwiej sprostać temu problemowi, bo na ten cel były przeznaczane pieniądze komitetu. Środki, których gromadzeniem ja już się nie zajmowałem. Zupełnie inny rodzaj kłopotów, jaki mieliśmy ze studentami i uczniami, był wtedy gdy, np. za uczestnictwo w demonstracjach karani byli relegowaniem ze szkół i uczelni. To właśnie na taką okoliczność usłyszałem z ust pułkownika Pudysza „Oni robią co chcą i ksiądz robi co chce”. Przyznałem mu, że zachowania młodzieży mają wymiar nieco anarchizujący, ale też prosiłem o zrozumienie, że jest rzeczą istotną, by surowość w karaniu miała wymiar wychowawczy, a relegowanie ze szkół czy uczelni od razu przypominało młodzieży metody carskie o których głośno mówią. Spontanicznych i bardzo emocjonalnych zachowań młodzieży nie

przewycięży się policyjnymi metodami, raczej drogami dialogu, a tu go brak na każdym kroku. I Kościół, i państwo nie stworzy sobie innego społeczeństwa, musi prowadzić takie, jakie jest.

Jeśli idzie o ludzi pokroju Stańskiego, Moczulskiego, Szeremietiewa to trzeba było używać argumentów politycznych, niestety wchodzić na tematy par excellence polityczne. Szło też o zachowanie przez Kościół spójnej wewnętrznie taktyki wobec różnych środowisk opozycyjnych. Ale żeby było jasne, myśmy wypracowali w grupie ks. Arcybiskupa Dąbrowskiego taką postawę, taki standard postępowania, że nie pytaliśmy ludzi z opozycji, jakiej są narodowości, jakiego wyznania, jakie mają konotacje środowiskowe. Jacy byli, z takimi utrzymywaliśmy relacje, nie stawiając warunków. To nie była dla nas łatwa sytuacja. Wracając jednak do KPN-u. Na pytanie Pudysza, jaka jest przyczyna ciągłego zainteresowania Kościoła, KPN-em, odpowiedziałem, że intensywność interwencji Sekretariatu Episkopatu jest wprost zależna od intensywności działań danej organizacji, a Konfederacja przejawia bardzo żywą obecność w życiu publicznym. Kiedy naciskał, by Sekretariat okazał brak zainteresowania KPN-em broniłem dotychczasowej strategii Sekretariatu argumentując, że środowiska niepodległościowe mają bardzo żywy odbiór społeczny, że stworzyłoby to kłopot dla Kościoła w opinii publicznej, bo ludzie szybko zauważą taki brak zainteresowania. Zwracałem też uwagę na bardzo istotny wymiar obecności grup niepodległościowych w polskim życiu publicznym, wynikającym stąd, że ludzie szukają alternatywnej formacji patriotycznej, a dla władz państwowych rozwój myśli niepodległościowej może okazać się potrzebny tak w wymiarze własnym, polskim, jak i szerszym, międzynarodowym, bo i w Związku Radzieckim szuka się dróg reinterpretacji pojęcia niepodległości odziedziczonego po Leninie i Stalinie.

Innej zupełnie argumentacji trzeba było użyć w sprawie Ursusa. Ta zaś była trudną sprawą. Ursus zajął stanowisko bardzo zdecydowanie przeciwne Lechowi Wałęsie i stronie rządowej, uważając, że powinna powstać jedna „Solidarność” dla całego kraju, a nie wiele autonomicznych „Solidarności” regionalnych. Wałęsa tego nie chciał, rząd tego nie chciał, ale jednej „Solidarności” chciał Śląsk. Mało kto wie, ile dobrego dla tej sprawy uczynił śląski kapelan „Solidarności”, ksiądz Bernard Czarnecki. Znalazł on zrozumienie u Janusza

Krzyżewskiego, który był doradcą „Solidarności” na Śląsku i wypracował formalne stanowiska Regionu Śląskiego na ten temat. Ursus „murem” stanął za tą sprawą i za Śląskiem. To, że jest jedna „Solidarność” było autentycznym zwycięstwem ludzi, a nie władz „Solidarności”. To była trudna sprawa, były ofiary, ludzie tracili życie w jej obronie. Potrzeba licznych i szybkich interwencji w tych okolicznościach świadczy, jak zacięta była walka o jedną „Solidarność” w Polsce i jak bardzo trudna. Powodem trudności dla mojej misji była złożoność tej sprawy. Tak wewnątrz „Solidarności” były bardzo rozbieżne stanowiska, jak też w rządzie i w Kościele. W związku z powyższym ksiądz arcybiskup początkowo nie chciał zajmować stanowiska, zostawił mi swobodę w rozmowie z Pudyszem na ten temat, później poparł ideę jednolitego związku „Solidarności”. Ja zaś w rozmowach (bodaj trzech) z pułkownikiem interweniując w obronie już poszkodowanych ludzi z Ursusa, dążąc usilnie do ustaleń prewencyjnych używałem argumentacji nieopłacalności wywoływania napięcia społecznego w całym kraju jedynie z powodów wewnętrznych „Solidarności”. Podkreślałem, że po reakcjach różnych przedstawicieli władz widać, że w środowisku rządzących nie wypracowano jeszcze decyzji czy lepiej jest mieć do czynienia z jedną „Solidarnością”, czy z nieobliczalnym ruchem zawodowym wielopodmiotowym. Argumentowałem tak przeciw potrzebie wzrostu działań represyjnych wobec ludzi „Ursusa”.

Zupełnie specyficzną była sprawa „Solidarności Rolników Indywidualnych”. Największe „zdrady” w tej organizacji szły od jej władzy centralnej. W związku z tym w rozmowach z władzą państwową człowiek był niepewny niczego, zostawiony tylko własnej intuicji i rozumieniu dziejącego się w Polsce procesu społeczno-politycznego. Przewaga mojego rozmówcy była w takiej sytuacji wyraźnie odczuwalna. To było trudne doświadczenie. Miałem kontakty z rodziną Bartoszcze, to mi dawało pewną orientację, jednak nie na tyle, by uwolnić mnie od dominującego poczucia samotności w rozmowach z Pudyszem na temat rolników. Taka sytuacja wymuszała w sposób oczywisty bardzo zindywidualizowaną argumentację i odnoszenie się do wartości ogólnoludzkich. Szło tu najczęściej o zwolnienie z aresztów, dlatego dominowały w rozmowach argumenty „ad personam”. Muszę przyznać, że miałem tu drobne sukcesy, ale myślę, że to dzięki temu, iż nigdy w rozmowach z Pudyszem nie

wchodziłem na grunt „praw człowieka”, bo wiedziałem, że tego nie znosił. Tak więc argumentacja szczegółowa wobec strony rządzącej wynikała nie tyle z imponowalności, ile z charakteru konkretnej sprawy, jaka była do załatwienia, okoliczności w jakich funkcjonowali lub znajdowali się ludzie z opozycji oraz charakteru grupy, organizacji, do jakiej należeli.

Jak na tle tych grup wypada, w ocenie księdza, grupa niepodległościowców?

Na tle innych grup grupa niepodległościowców była chyba najbardziej zwartą grupą. Mówię to oczywiście w odniesieniu do omawianego okresu. Wiem dobrze, na jakie tematy kłócili się ze sobą, ale na zewnątrz byli razem, co mi się bardzo podobało. Nie słyszałem też, by w sytuacji konfrontacji, aresztowań wzajemnie się przed władzami oskarżali, co było dla mnie ważnym znakiem. Podobało mi się też to, że bliżsi koledzy zatrzymanych którzy zostali na wolności nie dawali mi spokoju, „przypominali”, przynaglali, choć próbowałem im tłumaczyć, że czas rozmowy z władzami na temat ich kolegów zupełnie ode mnie nie zależy, zależy od MSW i Sekretariatu Episkopatu.

Ta ich natarczywość - choć mnie czasami denerwowała - w istocie mi się bardzo podobała. Imponowała mi się też w KPN-ie dbałość o świeżość myśli politycznej, było to de facto świadectwo o pracy intelektualnej na temat tego, co polskie, a to znaczyło też, że ruch ten potrafił wybronić się przez natłokiem spraw bieżących, nie chorował na „bieżączkę”, jak to zjawisko żartobliwie nazywaliśmy w Komitecie. Nie mam naturalnie wystarczającej wiedzy co do oceny informacji, że w 1981 roku w Moskwie brano pod uwagę scenariusz takich zmian w strukturach władzy w Polsce, by ludzie z KPN-u znaleźli się w środowisku władzy. Takie myśli chodziły wśród ludzi. Nie wykluczam, że władze komunistyczne mogły brać w rachubę taką grę polityczną z KPN-em. W 1982 roku, a więc podczas stanu wojennego, rozmawiałem z mocno zdenerwowanym na mnie (w czasie objazdu pielgrzymek) wysokiej rangi urzędnikiem Służby Bezpieczeństwa. Wiele przykrych słów od niego wtedy usłyszałem, ale też i ważną informację: od 1971 roku aż do stanu wojennego nie było jasnej klarownej koncepcji, (czytaj w Moskwie) co zrobić w Polsce. Mogły więc być

różne scenariusze, wśród nich i taki, by dopuścić ruchy niepodległościowe do środowiska władzy. Ale to może być tylko moja i nie tylko moja nadinterpretacja. W każdym razie później do władzy dopuszczono środowiska okrągłostołowe, a nie niepodległościowców.

Jak wyglądały te rozmowy z Ubecją?

To zależało od osoby rozmówcy i od przedmiotu rozmowy. Jednej zasady przestrzegałem zawsze. Starałem się, by były to rozmowy oficjalne, nigdy prywatne. Unikałem jak tylko mogłem, rozmów poufnych. Nie było to łatwe, bowiem przez tyle lat takiej posługi oswoiłem się jakby z ich obecnością w moim życiu, stała się ona jakby naturalną częścią mojego życia. Trzeba się było pilnować. Nieoczekiwanie pomagała mi w tym trudna strona tych spotkań, nie mówiąc o tym, że każde z osobna wymagało dużego wysiłku intelektualnego i psychicznego. Mówię tu przede wszystkim o spotkaniach z Pudyszem, który był zawsze bardzo rzeczowy i zwięzły. Moje rozmowy z nim na pewno zawsze były poprawne od strony merytorycznej, choć wnioski z opisywanej podobnie sytuacji wyciągaliśmy najczęściej różne. To oraz zaskakujące mnie najczęściej jego pytania było powodem stresu po każdorazowym spotkaniu.

Zupełnie innej natury były rozmowy z Majewskim (nie wiem czy tak się naprawdę nazywał, czy to był jego pseudonim), który był mim „opiekunem” ze strony SB. To on właśnie w rozmowach ciągle wekslował na prywatne, przyjacielskie tony. Myślę, że miałem z nim lżej niż inni księża, bo był przecież doskonale zorientowany co do mojej sytuacji w Sekretariacie Episkopatu i oficjalnej relacji z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, a czego nie omieszkalem raz po raz mimochodem w rozmowie przypominać. Powiedziałem mu też oficjalnie, że na drugi dzień po jego pierwszej rozmowie ze mną poinformowałem o tym księdza Arcybiskupa Dąbrowskiego, który poinstruował mnie o sposobie postępowania w stworzonej przez niego sytuacji i tej instrukcji w kontaktach z nim będę się trzymał.

Zupełnie inna była „przypadkowa rozmowa z „Konradem”, pewno to było jego pseudo. To on właśnie przyłapał studentów przed św. Anną na rozprowadzaniu „bibuły” KPN-owskiej, a ci mu powiedzieli, że otrzymali ją ode mnie.

W dwu kolejnych rozmowach oczekiwał ode mnie informacji, o których nie miałem żadnego pojęcia, np. skąd KPN bierze pieniądze na swoją działalność lub którzy biskupi popierają KPN. Innej natury było pytanie, skąd wzięłem „propagandę KPN-owską”. Oczywiście nie mogłem powiedzieć prawdy, że z drukarni, która nam drukowała „Młodzież Katolicką”, mi ją dostarczono, więc skłamałem mówiąc, że to do św. Anny przyniesiono mi oryginał „na moje potrzeby” i tu z niego odbiłem na ksero 10 egzemplarzy. Mogłem tak powiedzieć, bo na szczęście zarekwirował tylko resztówkę, 5 czy 6 sztuk, więc tylko modliłem się gorąco, by nie chciał oglądać tej kserokopiarki, na jakiej odbiłem bibułę, bo oczywiście takowej nie mieliśmy w Rektoracie. Wypytywał mnie, kto zapłacił koszt powielania, odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie wzięłem od nikogo ani grosza za tę usługę.

Jaki był powód, księdza zdaniem, braku poparcia KPN ze strony innych struktur opozycji?

Do dnia dzisiejszego tego nie wiem. Dlaczego „Solidarność”, środowiska narodowe, także środowiska chadeckie miały spory dystans do KPN naprawdę nie wiem. KPN chodził własnymi drogami. Był bardzo dynamiczny, może bano się dominacji z jego strony w środowiskach opozycyjnych. Dlaczego zaistniały tego typu relacje międzyśrodkowe w opozycji tego nie wiem, ale myśmmy traktowali w Sekretariacie Episkopatu KPN życzliwie. Miałem kontakt z różnymi środowiskami dla potrzeb Sekretariatu i siłą rzeczy, jak się człowiek spotykał – rozmawiał. Czasami odnosiłem wrażenie, że wobec KPN-u w tych środowiskach istniało poczucie zagrażającej konkurencji. Nie umiem już dzisiaj odpowiedzieć precyzyjnie. Ze strony Sekretariatu Episkopatu nie dzieliliśmy ludzi opozycji, nie uważaliśmy, żeby ktoś nas upoważniał do ocen różnicujących lub wartościujących poszczególne środowiska. Dla nas istotny był konkretny człowiek będący w potrzebie. Wychodziliśmy życzliwie naprzeciw każdej grupie która zwracała się o pomoc, w tym z prawdziwą satysfakcją do KPN-u.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

MIĘDZY DRUGIM OBIEGIEM A WŁADZĄ

Kościół wobec wydarzeń politycznych w latach 1982–1989

W lecie 1980 r. zakończył się w naszej historii okres, w którym Kościół był jedynym wyrazicielem racji większości społeczeństwa, pozostającej w niezgodzie z władzami państwowymi. Pojawiła się nowa siła społeczna i nowe możliwości ujawniania poglądów odmiennych od oficjalnych.

Stanowisko Kościoła wobec wydarzeń społeczno – politycznych od sierpnia 1980 r. do grudnia 1981 r. było z założenia przychylne. Źródłem tej postawy Kościoła była katolicka nauka społeczna, gwarantująca priorytet dla podstawowych praw i wolności obywatelskich.

Po strajkach sierpniowych 1980 r., kiedy zaczął się krystalizować niezależny ruch społeczny, Kościół wycofał się z roli głównego animatora kształtowania moralno – społecznej świadomości narodu, jaką pełnił w poprzednim okresie powojennej historii Polski. Rolę tę przejął nowy ruch społeczny.

Zmiana warunków politycznych wymagała dostosowania do nich metod działania Kościoła. Ale nawet w takiej sytuacji następowało ono częściej pod naciskiem wydarzeń niż w wyniku w pełni ukształtowanej linii politycznej Kościoła. Główną funkcją jaką przyjął Kościół w okresie przemian po sierpniu 1980 r., była rola mediatora w konfliktach między przedstawicielami władz partyjno – rządowych a przedstawicielami społeczeństwa. Roztropność, jaką kierowali się przedstawiciele Kościoła w zapobieganiu konfliktom społecznym, polegała na tym, że nie brali udziału w sporach wewnętrznych jednej lub drugiej strony, zachowywali w stosunku do nich pełen dystans. Hierarchia

kościelna nie występowała oficjalnie z wyrazami jawnego i mocnego poparcia dla „Solidarności”, choć obdarzała nowy ruch społeczny niezwykłą sympatią. Słowa władz kościelnych były zawsze wyważone, umiarkowane i pełne rozważy. Gdyby przedstawiciele Kościoła ostro i jawnie popierali opozycję, władze państwowe zajęłyby bardziej kategoryczną postawę wobec niego.

Prymas Wyszyński wykształcił „tatykę równowagi”, którą przyjął następnie cały Episkopat, również pod kierownictwem arcybiskupa Józefa Glempa. „Tatyka równowagi” polegała na rozmawianiu z obiema stronami konfliktów, na udzielaniu rad, wskazówek, często napominaniu uczestników obu stron za targów.

Ciesząc się szacunkiem w społeczeństwie, w którym katolicy stanowią wyrażną większość, oraz poszanowaniem władz, z którymi od dawna utrzymywał kontakt, Kościół był idealną instytucją do roli, którą odegrał. Postępowanie władz kościelnych w sytuacjach konfliktowych w okresie od sierpnia 1980 r., do grudnia 1981 r., koncentrowało się w dużym stopniu na zapobieganiu wzrostowi napięcia społecznego. Do ostatniej chwili Kościół czynił wszystko, co było w jego mocy, by zmniejszyć różnice poglądów i wynikające z tego groźne konsekwencje.

Należy pamiętać o istotnej zależności między Kościołem, a „Solidarnością”. Kościół w okresie „polskiej rewolucji” był instytucją wiekową z bogatym doświadczeniem, był potężną, niezależną siłą mogącą działać dla dobra społeczeństwa bez istnienia „Solidarności”. Związek był młody, niecierpliwy i niedoświadczony. Też oczywiście mógł działać bez Kościoła, ale za cenę utraty dużej części swej siły.

Kościół polski jest częścią Kościoła powszechnego, a zatem jego sfera działania, jego cele i interesy są krajowe i światowe zarazem. Bardzo dobitnie podkreślał to Prymas Wyszyński. Tymczasem „Solidarność” stanowiła siłę krajową i narodową. Związek na arenie międzynarodowej starał się działać w tamtym czasie za pośrednictwem często... Watykanu¹. O tych istotnych różnicach należy pamiętać, kiedy się analizuje stanowisko Kościoła w tamtym okresie.

Było swoistym „znakiem czasu”, że według słów prof. Leszka Kołakowskie-

¹ Tadeusz Łepkowski „Rozważania o losach polskich”; s.150, Londyn, 1987

go: „pierwsza w dziejach rewolucja robotnicza skierowana była przeciwko socjalistycznemu państwu i odbyła się pod znakiem krzyża”².

Mniejsze poparcie Kościoła dla metod i kierunku działań „Solidarności” zaczęło się po marcu 1981 r., tzn. po „kryzysie bydgoskim”. Przedstawiciele Kościoła nadal nie odmawiali żadnej ze stron konfliktu rozmów i mediacji, lecz mieli już świadomość znacznego upolitycznienia niezależnego ruchu społecznego. Fakt ten zawiódł oczekiwania i nadzieje Kościoła w stosunku do „Solidarności”. Kościół liczył na zdominowanie problematyki Związku Zawodowego „Solidarność” przez kwestie społeczne, moralne i ścisłą więź z religią rzymskokatolicką. W tym okresie polityka Kościoła koncentrowała się na dążeniu do stabilizacji stosunków politycznych w ramach istniejącego systemu i niewymuszaniu dalszych drastycznych zmian.

Czasami można było odnieść wrażenie, że Kościół nie miał jednolitego stanowiska wobec zachodzących wydarzeń. Różnice występowały wśród członków Episkopatu oraz na linii: radykalne w dużym stopniu duchowieństwo i umiarkowany Episkopat. Jednak mimo tego wydaje się, że stanowisko Kościoła jako całości, wyrażane przez Prymasa Wyszyńskiego, a potem Prymasa Józefa Glempa, oraz linia Episkopatu były czytelne dla większości społeczeństwa.

Wprowadzenie stanu wojennego bardziej zbliżyło ruch „Solidarności” do Kościoła. Konfrontacja władzy ze społeczeństwem w grudniu 1981 r. dała szansę Kościołowi na pogłębienie z nim więzi i wpływów.

Wstrząs, jakim było wprowadzenie stanu wojennego, spowodował między innymi akcję, którą 18 II 1982 r. podjęło kilku młodych ludzi w Warszawie. Postanowili rozbroić podoficera milicji Zdzisława Karosa. W czasie szamotaniny padł przypadkowy strzał. Milicjant zmarł w następstwie obrażeń. Sprawców aresztowano po kilku dniach; dołączono do nich młodego ks. Sylwestra Zycha, który zgodził się przechowywać broń na prośbę jednego z uczestników zajścia. Ksiądz Zych został skazany na 6 lat więzienia.

Rozpoczął się nowy etap w działalności Kościoła w Polsce. Wprowadzenie stanu wojennego oznaczało w praktyce polityczne załamanie się dotychczas-

² Leszek Kołakowski „Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań” Londyn 1982, s.332

wego systemu władzy z jednej strony i istotne osłabienie opozycji z drugiej, co spowodowało powstanie próżni społecznej, którą mógł zagospodarować w tamtym okresie tylko Kościół.

Strategia Kościoła wobec sytuacji politycznej była konsekwencją postawy, jaką przyjął Prymas Glemp i Episkopat bezpośrednio po wprowadzeniu stanu wojennego.

15 i 16 września 1982 r. podczas 187 Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski biskupi w wydanym komunikacie stwierdzili:

„Biskupi wielokrotnie apelowali do wszystkich stron zaistniałego konfliktu społecznego o ugodę, o porozumienie, o wznowienie zerwanego stanem wojennym dialogu. Jak dotąd nie podjęto właściwych kroków, mimo że ogromna większość społeczeństwa oczekuje porozumienia i ugody, a ludzie pracy pragną posiadać własne, niezależne przedstawicielstwa: związki zawodowe, w tym także NSZZ „Solidarność” i NSZZ „Solidarność Rolników Indywidualnych”. Również młodzież studiująca oczekuje odpowiedniej dla siebie organizacji.

Biskupi ponownie wzywają zarówno władze państwowe, jak i wiarygodnych przedstawicieli grup społecznych do wspólnego poszukiwania dróg wyjścia z obecnej sytuacji (...)³.

Prymas Glemp jeszcze raz przedstawił stanowisko Kościoła dnia 16 X 1982 r. w homilii wygłoszonej w kościele Wszystkich Świętych w Warszawie z okazji 4. rocznicy wyboru Jana Pawła II:

„Kościół będąc apolitycznym w wypełnianiu swojej misji, nie może uchylać się od oceny moralnej określonych wydarzeń czy też społecznych zachowań się wiernych. Oceny tej dokonuje przede wszystkim Episkopat, który stara się – wpatrując w znaki czasu – konfrontować realia życia z największymi wartościami, jakimi są: prawda, sprawiedliwość i pokój. Do tych wartości dochodzi rozbudzone w ostatnich czasach poczucie ludzkiej godności. W imię tej ludzkiej godności człowiek czuje się współgospodarzem swojego środowiska i swo-

³ Komunikat ze 187 Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski. Maszynopis powielony.

jego kraju. pragnie być informowany i pragnie, aby jego zdanie było słyszane, było wysłuchane i aby się z nim liczone. Episkopat Polski nie uchylał się nigdy od tego obowiązku i po każdej Konferencji Plenarnej wydawał komunikaty, w których pouczał o potrzebie pokoju, zachęcał do roztropności, łagodził napięcia, ostrzegał, napominał...⁴.

8 XI 1982 r. Prymas Glemp spotkał się z gen. Jaruzelskim. Było to na dwa dni przed planowanym przez podziemną „Solidarność” strajkiem. W wyniku tego spotkania ogłoszono publicznie, że w czerwcu następnego roku przybędzie do Polski Jan Paweł II oraz wezwano do utrzymywania pokoju społecznego. Władzom bardzo zależało na tym spotkaniu. Obawiały się, że opozycja zorganizuje masowy strajk, natomiast 11 listopada 1982 r. z okazji Święta Niepodległości dojdzie w całym kraju do masowych demonstracji. Trzeba zaznaczyć, że w tym czasie najbardziej spektakularną formą działalności opozycyjnej była „polityka rocznic”.

Z reguły demonstracje z okazji patriotycznych rocznic, takich jak 3 maja 1791 r., 1 sierpnia 1944 r., 15 sierpnia 1920 r., 31 sierpnia 1980 r., 11 listopada 1918 r., były poprzedzone uroczystymi Mszami Św., co pozwalało zgromadzić się często wielu tysiącom ludzi, którzy później demonstrowali przeciwko polityce władz. Tak właśnie w całym kraju odbyły się masowe demonstracje 1 i 3 maja oraz 31 sierpnia 1982 r. Władze chciały za wszelką cenę „zneutralizować” Kościół przed listopadowymi wystąpieniami opozycji.

W ich trakcie siły porządkowe aresztowały między innymi księży, np. w Gdańsku 31 sierpnia zatrzymano księży: Jana Borowskiego i Tadeusza Kuracha, którzy zostali skazani na 3 lata więzienia każdy. Ich przełożony biskup chełmiński Marian Przykucki w wydanym oświadczeniu stwierdzał, że zostali aresztowani, w oparciu o wyreżyserowane, złośliwe i kłamliwe oskarżenia funkcjonariuszy ZOMO. Zarzucane im czyny nie miały absolutnie miejsca.⁵

Spotkanie i wspólne oświadczenie z gen. Jaruzelskim w tak „gorącym” momencie naraziły Prymasa na bardzo ostrą krytykę ze strony działaczy „Soli-

⁴ Ferdynand S. Pasternak „Apolityczność Kościoła. Zeszyty Studium Społecznej Nauki Kościoła” nr 6 Kuria Metropolitarna Warszawska, Wydział Duszpasterstwa 1984, s. 56–57

⁵ „Tygodnik Mazowsze” nr 38, 6 I 1983 r.

darności”. Strajk 10 listopada 1982 r. zakończył się niepowodzeniem. Prymas doszedł do wniosku, że zgoda władz na wizytę Ojca Świętego, jest warta nawet narażania się na tak ostrą krytykę. Kościół miał świadomość, że druga pielgrzymka Jana Pawła II do Polski stanie się również czynnikiem wzmacniającym opozycję.

Decyzja Prymasa o spotkaniu z gen. Jaruzelskim wywołała ożywioną dyskusję w prasie podziemnej. Autor podpisujący się jako Adam Górski, w artykule pt. „Wobec polityki Kościoła”, zamieszczonym we wpływowym „Kosie” pytał:

„Kościół i my sami raz po raz stawać jednak będziemy przed pytaniami: Czy każdą cenę należy za tę wizytę zapłacić? Czy nie ma ceny za wysokiej? Niełatwe to pytania i niełatwo będzie znaleźć na nie właściwą odpowiedź.”⁶

Z kolei autor występujący jako ks. Józef w tym samym numerze stwierdził

„Jeżeli nawet postawa ks. Prymasa postrzegana jest przez licznych ludzi w Polsce jako wyraz ”tępoty i zarozumialstwa”, a nadto jako element gry, której celem jest pacyfikacja nastrojów i petryfikacja sytuacji, w której Kościół jest jedyną siłą nie tylko niezależną od władz, ale i uprzywilejowaną przez władze, to wiara pozwala powstrzymać się od uogólniania uczuć, zaś prosty namysł każe zastanowić się: skąd wiadomo, czy ewentualny następca Prymasa byłby lepszy? Czy można przewidzieć bieg wydarzeń? (...) A może wrona skłoni Prymasa, który jest niewątpliwie człowiekiem uczciwym i prawym, do wyraźnego ”non possumus”, co doprowadziłoby do otwartych represji ze strony władz (i przydałoby ks. Prymasowi waloru męczeństwa)?⁷

Kilka dni później „Tygodnik Mazowsze” zamieścił list czytelnika, który stał w obronie Prymasa. Autor listu stwierdzał:

⁶ Adam Górski „Wobec polityki Kościoła” „Kos” nr 21/22, 1 I 1983 r.

⁷ Ksiądz Józef „Divide et impera” „Kos” nr 21/22 1 I 1983 r.

„Hierarchia kościelna znajduje się (...) pod szczególnym ostrzałem. Od niej oczekuje się całkowitego poparcia dla ruchu oporu, gdy zaś Prymas go nie udziela, słyszy się wśród ludzi takie określenia jak „towarzysz Glemp”. Stać nas jednak na trochę trzeźwości i rozsądku, aby nie „czepiać się” takiego czy innego powiedzenia księdza Prymasa, które wyrwane z kontekstu może brzmieć nieszczęśliwie, a przypatrzeć się jego wypowiedziom wziętym łącznie. Co więcej, wypowiedzi te należy oceniać wspólnie z przemówieniami Ojca Świętego dotyczącymi Polski, jak też z komunikatami, w których cały Episkopat wyraża swoje stanowisko. Nietrudno się domyśleć, że te trzy instytucje znajdują się ze sobą w ścisłym porozumieniu, sumienna analiza nie wykaże zasadniczych rozbieżności (...).⁸

Była to ocena, która z czasem zaczęła przeważać w prasie podziemnej.

Przebywający po wprowadzeniu stanu wojennego na Zachodzie ks. Franciszek Blachnicki 17 VI 1982 r. założył Chrześcijańską Służbę Wyzwolenia Narodów. Celem tego stowarzyszenia było „niesienie pomocy religijno – moralnej i duchowej Polsce (...) w jej walce o pełne i prawdziwe wyzwolenie oraz innym narodom podobnie zniewolonym przez sowiecki komunizm.” Organizacja ta koncentrowała się przy tym „na obronie wartości i godności człowieka w przekonaniu, że wyzwolenie społeczno – polityczne jest konsekwencją moralnego i osobowego wyzwolenia człowieka.”⁹

Jednocześnie w wielu miejscowościach Polski Służba Bezpieczeństwa kolportowała pisemko „Samoobrona wiary” atakujące ks. Blachnickiego i ruch „Światło i życie”, którego był organizatorem.¹⁰

W tym czasie na Zachodzie pojawiły się „przecieki” o poparciu, jakiego miał udzielać Jan Paweł II podziemnej „Solidarności”, nawet w formie pieniężnych dotacji¹¹. Jednocześnie twierdzono, że Papież zbliżył się bardzo z Prezydentem Stanów Zjednoczonych Ronaldem Reaganem, z którym miał zawrzeć tajną umowę o poparciu dla „Solidarności”.¹²

⁸ „Tygodnik Mazowsze” nr 38, 6 I 1983 r.

⁹ Marek Marczewski „Ksiądz Blachnicki: Słowo” Dziennik katolicki. Magazyn 10–12 VI 1994 r.

¹⁰ „Tygodnik Mazowsze” nr. 38, 6 I 1983 r.

¹¹ John Cornwell „Złodziej w nocy. Śmierć Jana Pawła I”; s. 97, Wrocław 1993

¹² Henryk Piecuch „Byłem gorylem Jaruzelskiego”; s. 375 – 376, Warszawa 1993; W lutym 1992 r. w amerykańskim tygodniku „Time” ukazał się artykuł Carla Bernsteina.

Dla ówczesnego rezydenta KGB w Polsce, Pawłowa, z perspektywy lat jest oczywiste, że:

„Przez cały okres swego istnienia, od momentu powstania w 1980 roku, aż do zniesienia wszelkich ograniczeń jej działalności i dojścia do władzy w 1989 roku, „Solidarność” była popierana przez rozbudowaną sieć wywiadowczą, jaką utworzyły wspólnie Watykan i CIA, otrzymywała tą drogą pomoc materialną i finansową oraz wsparcie merytoryczne – konsultacje, porady, analizy.”¹³

Odnosząc się do bliskich kontaktów Prezydenta Stanów Zjednoczonych z przedstawicielami Kościoła, gen. Jaruzelski w 1982 r. w rozmowie z Erichem Mielkem, szefem NRD – owskiej służby bezpieczeństwa STASI, stwierdził, że Reagan chce w Polsce wywołać powstanie, natomiast on będzie neutralizował Kościół, będący dla władzy „kamieniem u szyi”.¹⁴

Według Petera Schweizera, autora książki „Victory – Tajna strategia administracji Reagana przyspieszenia upadku Związku Radzieckiego”, który powołuje się na odtajnione dokumenty Rady Bezpieczeństwa Narodowego, CIA wspierała finansowo podziemną „Solidarność”. Jego zdaniem Prezydent Reagan zaaprobował projekt tej tajnej operacji już dwa dni po ogłoszeniu stanu wojennego. Nigdy nie podpisał formalnego wniosku, obawiał się, że informacja ta mogłaby się przedostać przez Kongres do prasy i wywołać międzynarodowy skandal. Do operacji tej miano wciągnąć wszystkie współpracujące z CIA wywiady, od francuskiej Contre – Espionage po Mossad. Amerykańscy, izraelscy, francuscy i nawet australijscy agenci przekazywali dane do CIA, która następnie udostępniała je „Solidarności”. CIA informowała działaczy podziemia o działaniach SB; często odbywało się to za pośrednictwem „Głosu Ameryki”, który przesyłał zaszyfrowane informacje. Jak wynika z odtajnionych

Autor stawiał w nim tezę, że 7 VI 1982 r. Prezydent Stanów Zjednoczonych Ronald Reagan i Jan Paweł II zawarli porozumienie, którego celem było m.in. udzielenie pomocy zdelegalizowanej „Solidarności”. „Bohater czy zdrajca. Sprawa pułkownika Kuklińskiego” Warszawa 1992, s. 115

¹³ Generał Pawłow „Byłem rezydentem KGB w Polsce”, s.203, Warszawa 1994

¹⁴ „Życie Warszawy” 20 VI 1994 r.

dokumentów, jeszcze w 1985 r. CIA przekazała na potrzeby „Solidarności” osiem milionów dolarów. Pieniądze miały być przekazane za pośrednictwem amerykańskich i francuskich central związków zawodowych.¹⁵

Przebywający w miejscu internowania w 1982 r. były szef KC PZPR Edward Gierek nawet wtedy, według raportu znajdującego się w archiwach STASI, opatrzonego klauzulą, „ściśle tajne, uprasza się o zwrot”, datowanego na 24 VI 1982 r., w ten sposób oceniał działania Kościoła:

„(...)Główny kierunek uderzenia Kościoła to podsycanie i pogłębianie religijnego fanatyzmu w całym kraju. W ten sposób ma być pozyskana młodzież do działań przeciwko socjalizmowi. Wszelka działalność kontrrewolucji w kraju jest dobrze zestrojona z zachodnią zagranicą i Watykanem. Rządy zachodnie dzięki swej polityce gospodarczej wobec Polski, zachodnie radiostacje i korespondenci, jak i Papież, rozgrywają swe role z wielką precyzją. (...)”¹⁶

3 V 1983 r. na warszawskiej Starówce miała miejsce brutalna napaść” nieznanymi sprawcami” na siedzibę Prymasowskiego Komitetu pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom, mieszczącego się w kościele św. Marcina przy ulicy Piwnej. Wtedy to bojówka wtargnęła na teren kościoła i brutalnie pobiła współpracowników Komitetu, między innymi matkę zabitego kilka dni później przez milicję maturzystę Grzegorza Przemyka – Barbarę Sadowską.

Tego samego dnia Sekretarz Generalny Episkopatu arcybiskup Bronisław Dąbrowski w liście do szefa MSW gen. Kiszczaka napisał o napadzie na Komitet Prymasowski i o śmierci Grzegorza Przemyka i zwrócił uwagę, że:

„Przyzwalająca postawa zwierzchników i długotrwały brak jakiejkolwiek ich reakcji na łamanie nagminne przepisów prawnych wytworzyły w świadomości szeregowych funkcjonariuszy MO poczucie całkowitej bezkarności. Jeżeli bezkarność była celem – to osiągnięcie go obciąża tych, którzy będąc od-

¹⁵ Tomasz Wróblewski „Przez Warszawę uderzyć w Kreml” „Życie Warszawy” 4 VII 1994 r.

¹⁶ Ściśle tajny dokument. Edward Gierek ocenia kolegów. Do druku podał Zenobiusz Kozik. „Polityka” nr. 28, 9 VII 1994 r.

powiedzialnymi za postawę szeregowych funkcjonariuszy MO, nie reagowali na powszechne łamanie przepisów prawnych.”¹⁷

Przed zapowiadzaną wizytą Papieża w prasie podziemnej trwała ożywiona dyskusja, co może przynieść ta pielgrzymka władzom, a co opozycji? Głosy były bardzo podzielone.

Autor podpisujący się jako Teodor Ursyn w głównym piśmie podziemia „Tygodniku Mazowsze” dramatycznie pytał:

„Gdyby Papież miał posłużyć za przyzwoitkę dla gwałcicieli narodu, czy powinien w ogóle przyjeżdżać? (...)”¹⁸

16 VI 1983 r. rozpoczęła się pielgrzymka Ojca Świętego do Polski. Poza kontrolą władz spotykały się miliony ludzi. Papież kilkakrotnie nawiązywał do przyrodzonego charakteru praw ludzkich i obywatelskich. Wszędzie witały go transparenty „Solidarność”. Jan Paweł II spotkał się z Lechem Wałęsą, który tak wspominał ich rozmowę:

„Papież podchwycił ten wątek i powiedział, że nasza droga w pewnym sensie przypomina drogę Gandhiego (...). Jeżeli świat was ceni, widząc w waszym ruchu jakąś nadzieję i sposób rozwiązywania konfliktów – kontynuował Ojciec Święty – to właśnie dlatego, że wyrzekliście się przemocy i kierujecie się społeczną nauką Kościoła.”¹⁹

Zbigniew Bujak 11 VII 1983 r. w wywiadzie dla podziemnego „Tygodnika Mazowsze” tak oceniał wizytę Papieża:

„Atmosfera społeczna, którą stworzył w Polsce Jan Paweł II daje władzy

¹⁷ Tadeusz Fredro – Boniecki „ Prymas, Przemyk, Popiełuszko” „Rzeczpospolita” 23–24 IV 1994 r.

¹⁸ Teodor Ursyn „Jan Paweł II swojemu narodowi” „Tygodnik Mazowsze” nr 47, 14 IV 1983 r.

¹⁹ Lech Wałęsa „Droga do wolności”; s. 59, Warszawa 1991

możliwość stopniowego, ale za to faktycznego wycofania się ze stanu wojennego, tj. wyrzeczenia się stosowania przemocy w rozwiązywaniu konfliktów ze społeczeństwem. Sądzę, że dziś za obraniem przez władze tej drogi przemawia – o ile większa po wizycie Papieża – społeczna gotowość do kompromisu i daleko idącego wybaczenia krzywd wyrządzonych w stanie wojennym.”²⁰

W czasie pielgrzymki Papieża władze przeprowadziły operację, której rezultatem miało być schwytanie ukrywających się przywódców opozycji. Opracowano plan opierający się na założeniu, że ukrywający się liderzy podziemia będą chcieli skontaktować się z Papieżem, który tymczasem cały czas będzie pod kontrolą służb specjalnych. Akcja zakończyła się kompletnym fiaskiem.²¹

Trzeba dodać, że władze wysłały na Jasną Górę specjalnego delegata, który miał wpływać na treści papieskich przemówień.²²

W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych nastąpił wyraźny wzrost religijności Polaków. W 1978 r. – jak podawał wtedy Ośrodek Badania Opinii Publicznej, w regularnych praktykach religijnych uczestniczyło 48% społeczeństwa, w 1983 r. już o 10% więcej. Prowadziło to do umocnienia kościelnej legitymacji rzeczywistości. Socjologowie, którzy badali religijność Polaków, często podkreślali, że była to kościelna, a nie religijna legitymizacja. Prowadziło to do tego, że w Polsce większe znaczenie miał autorytet Kościoła niż wiara w łaskę Bożą, w związku z tym ludzie chętniej deklarowali swoje przywiązanie do Kościoła, niż do religijnych dogmatów i prawd. Uderzające, ale w Polsce w praktykach religijnych często uczestniczyły osoby, które deklarowały się jako niewierzące. Jest to kolejny bardzo ciekawy paradoks naszej rzeczywistości.

Tak wspomina tę sytuację więziony działacz „Solidarności” Marek Karpiński:

²⁰ Jerzy Holzer, Krzysztof Leski „Solidarność w podziemiu”, s. 71–72, Łódź 1990

²¹ Michał Grocki „Konfidenci są wśród nas...” Warszawa 1993, s.38

²² O. Janusz Zbudniewek ZP „Prawodawstwo i praktyka władz centralnych i terenowych PRL w zakresie kultu religijnego” „Chrześcijanin w świecie” 1994, nr. 196, s. 118

„Życie religijne kwitnie. Coniedzielne Msze, codzienne modlitwy. Te ostatnie odbywają się przez okno. Początkowo miały charakter protestacyjny. Słyszałem kiedyś okrzyk „przeciwko czemu się dziś modlimy?”.²³

4 IX 1983 r. Prymas Polski Józef Glemp podczas kazania wygłoszonego na Jasnej Górze nawiązywał do trzeciej rocznicy podpisania porozumień sierpniowych. Opisując działania władz wobec „Solidarności” Prymas stwierdził między innymi:

„Zwycięzony, skreślony z listy partner tamtych dni zasługuje tylko na potępienie. Nie ma prawa ani możliwości nic powiedzieć na swoją obronę. A jeśli coś powie, to zostanie wyśmiany. Bo gdzież stanąć robociarzowi w szranki z zawodowym polemizatorem. (...) Protest robocizny owego Sierpnia był słuszny. Nikt tego zaprzeczyć nie może. (...) Bez sierpniowego protestu konkretnych ludzi nie byłoby odnowy.”²⁴

5 X 1983 r. Lechowi Wałęsie przyznano Pokojową Nagrodę Nobla. Papież Jan Paweł II przesłał mu gratulacje, w których jednoznacznie nawiązał do publicznej działalności laureata:

„Została w ten sposób nagrodzona wola i wysiłki podejmowane z myślą o rozwiązywaniu trudnych spraw świata robotniczego i społeczeństwa w Polsce na pokojowej drodze do szczerego dialogu i wzajemnej współpracy wszystkich.”

Gratulacje przesłał też Prymas Glemp wraz z całym Episkopatem.²⁵

Cały czas trwała wytężona praca w strukturach podziemnych. Często korzystano z pomocy duchowieństwa. Lech Wałęsa tak o tym pisze:

²³ „W stanie” „Peerel 1” Warszawa, 1991, s. 96

²⁴ Z kazania Prymasa J. Głęmpa na Jasnej Górze (4 IX) „Tygodnik Mazowsze” nr. 61, 8 IX 1983 r.

²⁵ Jerzy Holzer, Krzysztof Leski „Solidarność w podziemiu”; s.76, Łódź 1990

„Na długie lata plebania księdza Jankowskiego stała się moim drugim domem i centrum „Solidarności”²⁶.

Ja sam odbyłem chyba z tysiąc konferencji w kościołach i kaplicach, głównie gdańskich, albowiem do świątyń przeniosło się w znacznej mierze życie kulturalne niezależnej inteligencji.”²⁷

Również i inne struktury zyskały poparcie Kościoła, takie jak niezależne organizacje wiejskie czy też podziemne struktury Niezależnego Zrzeszenia Studentów wspierane przez Duszpasterstwo Akademickie grupujące wielu członków Zrzeszenia. Zajmowały się one, oprócz działalności katechetycznej, organizowaniem spotkań z działaczami opozycji i twórcami kultury niezależnej. Uczestniczyły bardzo aktywnie w corocznych pielgrzymkach na Jasną Górę, na których bardzo często niesiono transparenty NZS, kolportowano prasę niezależną. Zrzeszenie w legalnym okresie swego działania miało kapelana, którym był ks. Józef Maj, pełniący tę funkcję mimo wprowadzenia stanu wojennego, aż do 1984 r. Jednocześnie był on organizatorem Warszawskich Akademickich Pielgrzymek Diecezjalnych, grupujących studentów i pracowników naukowych, co służyło integracji środowiska akademickiego.

Władze reagowały niezwykle ostro na zaangażowanie polityczne księży. W listopadzie 1983 r. Minister do Spraw Wyznań Adam Łopatka przekazał Prymasowi Polski listę 69 księży obwinianych o prowadzenie działalności opozycyjnej i sprzyjanie „Solidarności”. Obejmowała ona 2 biskupów: Zbigniewa Kraszewskiego i Ignacego Tokarczuka, a także między innymi księży: Henryka Jankowskiego, Jerzego Popiełuszkę, 8 jezuitów i 6 dominikanów (o. Tomasza

²⁶ Lech Wałęsa „Droga do” op.cit., s.267 Jacek Kuroń twierdzi, że w „parafii św. Brygidy konspirowało się wszędzie można było się spodziewać podsłuchów. Milicja, co i raz wrzucała do środka jakieś mikrofony.” Kuroń Jacek: „Spoko, czyli kwadratura koła” Warszawa 1992, s.60

Generał Wojciech Jaruzelski w 1988 r. podczas posiedzenia Sekretariatu KC PZPR tak określił parafie św. Brygidy i jej proboszcza: „W tej parafii u tego bandziora”, co świadczyło o wielkiej irytacji generała związanej z działalnością ks. Jankowskiego. Tajne dokumenty Biura Politycznego i Sekretariatu KC. Ostatni rok władzy 1988–1989. Oprac. Perzkowski Stanisław, Londyn 1994, s.157

²⁷ Lech Wałęsa „Droga do...” op.cit., s.9

Aleksiewicza, Ludwika Wiśniewskiego, Czesława Bartnika, Angelika Jarona, Jana Kłoczowskiego i Jacka Salija). Listę uzupełniała SB – ecka ” dokumentacja”, głównie nagrania kazań. Władze chciały skłonić Prymasa do zastosowania środków dyscyplinujących wobec ”księży ekstremistów”, grożąc, że mogą stanąć przed sądem.²⁸

Takie zaangażowanie Kościoła budziło obawy niektórych działaczy opozycji. Adam Michnik pisał na ten temat:

„(...) Próbuje się regenerować w obrębie katolicyzmu cały niedobry bagaż wstecznego dziedzictwa: z ciasnym szowinizmem, z agresywną ksenofobią, ze spiskową wizją procesu historycznego. Porzuca się fundament praw ludzkich na rzecz narodowego egoizmu. (...) Deklaracja pełnej identyfikacji z Episkopatem staje się wyznacznikiem politycznej tożsamości, a zarazem sposobem promowania biskupów do rangi politycznych liderów polskiego społeczeństwa.”²⁹

Wiosną 1984 r. doszło do eskalacji konfliktu w Zespole Szkół Rolniczych w Miętnej w województwie siedleckim, gdzie młodzież walczyła o przywrócenie zdjętych przez władze szkoły krzyży w klasach. Doszło do strajku okupacyjnego. W wyniku mediacji biskupa siedleckiego Jana Mazura zawarto kompromis. Zawieszono tylko jeden krzyż w czytelnicy szkoły.

21 VII 1984 r. Sejm uchwalił ustawę o amnestii. Dotyczyła ona znacznej większości „przestępstw popełnionych z powodów politycznych”. Amnestią nie zostały objęte 24 osoby, w tym także ks. Zych. Amnestia nie objęła również „wykorzystywania wolności religijnych na szkodę interesów PRL”. Nie umorzono więc śledztw przeciwko księdzu Popiełusce w Warszawie i Jankowskiemu w Gdańsku.³⁰

Wielkim wstrząsem dla większości społeczeństwa był fakt zamordowania przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa 19 X 1984 r. ks. Jerzego Popiełuski, przeciwko któremu toczyło się od 1983 r. śledztwo. Zarzucano mu współpracę z podziemnymi strukturami „Solidarności”, a nawet przechowy-

²⁸ „Tygodnik Mazowsze” nr. 69, 24 XI 1983 r.

²⁹ Adam Michnik „Kłopot” W „Obecność” Londyn 1987, s. 203–204

³⁰ Jerzy Holzer, Krzysztof Leski „Solidarność...” op.cit., s. 90

wanie materiałów wybuchowych, które rzekomo znaleziono podczas rewizji w jego mieszkaniu, gdy przebywał na przesłuchaniu w Stołecznym Urzędzie Spraw Wewnętrznych. Od dłuższego czasu trwała też przeciw niemu gwałtowna kampania propagandowa, a jej uwieńczeniem był artykuł Jerzego Urbana (pod pseudonimem Jan Rem) „Seanse nienawiści”, w którym ówczesny rzecznik rządu pisał:

„(...) W kościele księdza Popiełuszki urządzone są seanse nienawiści. Mówca rzuca tylko kilka zdań wyzbytych sensu perswazyjnego oraz wartości informacyjnej. (...) Wyznawcy sfanatyzowanego ks. Popiełuszki nie potrzebują argumentów, dociekań, dyskusji, nie chcą poznawać, spierać się, zastanawiać i dochodzić do jakichś przekonań. Chodzi tylko o zbiorowe wylanie emocji. Ks. Jerzy Popiełuszko jest więc organizatorem sesji politycznej wścieklizny. (...)”

Artykuł ten był osobistą zemstą Urbana po kazaniu, które ks. Jerzy wygłosił 9 IX 1984 r. Kapelan „Solidarności” mówił wtedy między innymi o projekcie ustawy o wydaleniu z kraju ludzi przeciwstawiających się systemowi. Stwierdził, że:

„Samo zrodzenie się takiego pomysłu w głowach Polaków jest zbrodnią przeciwko Narodowi. Bo przecież pan rzecznik nie miał na myśli pospolitych, kryminalnych przestępców, ale najlepszych synów Ojczyzny, którzy odważnie sprzeciwiają się niszczeniu ducha Narodu. (...) Może warto, żeby ci, którym przychodzą do głowy takie pomysły, sami sprawdzili swoje więzy z Ojczyzną, swój patriotyzm. A może...Naród nie miałby nic przeciwko temu, żeby właśnie oni wybrali się na banicję, nie koniecznie poza kraje europejskie.”³¹

Artykuł Urbana był najostrzejszym atakiem na ks. Jerzego. Były szef Urzędu do Spraw Wyznań Kazimierz Kąkol uznał atak Urbana za niedostatecznie mocny. Przygotował felieton dla pisma „Tu i teraz”. Redaktor tygodnika Kazimierz

³¹ Waldemar Chrostowski „Świadectwo”; s. 75–77, Innsbruck, 1991

Koźniewski zdążył go zdjąć w ostatniej chwili. Ks. Popiełuszko już bowiem nie żył.

Podziemny „Tygodnik Mazowsze” podał fragmenty artykułu Kąkola:

„W skardze, jaką – w felietonowej formie – wystosował Jan Rem do opinii publicznej charakter występów ubranego w liturgiczne szaty ks. Jerzego Popiełuszki określony został mianem ”seansów nienawiści”, a sam ks. Jerzy nazwany ”organizatorem sesji politycznej wścieklizny”. Po stokroć słusznie. Owe ”żale Sarmaty” płynące z pod pióra Jana Rema nie są jednak pierwszą publiczną reakcją na wyczyny polityka w liturgicznych szatach. Przed kilkoma miesiącami poinformowano opinię o sposobie wykorzystywania drugiego mieszkania ks. Jerzego Popiełuszki dla celów sprzecznych z prawem (mowa o ubeckiej prowokacji, polegającej na podrzuceniu ks. Jerzemu do mieszkania bibuły i materiałów wybuchowych oraz amunicji – przyp. TM) (...) Minęło szereg miesięcy od tamtego wydarzenia i nie zadbano o poinformowanie opinii o dalszych losach wojowniczego duchownego: jeśli zarzuty zostały potwierdzone, to kiedy zostanie postawiony przed sądem? (...) Jak widać, wokół harców politycznych ks. Popiełuszki uprawiane są demoralizujące prawnie – polityczne wygibasy, a jedyną reakcją na łamanie prawa jest pisk jagnięcia rozlegający się z felietonu Jana Rema. gdyby ks. Jerzy Popiełuszko był lwem, usłyszeliśmybyśmy wkrótce jego potężny ryk, podobno bowiem nic nie jest w stanie rozjuszyć lwa, jak pisk niewinnego jagnięcia.”³²

Warto zaznaczyć, że władze próbowały za pośrednictwem Kościoła nakłonić więzionych przywódców opozycji do emigracji, nie czekałby ich wtedy proces. Jednak po rozmowach Prymasa Glempa z Papieżem Janem Pawłem II i Lechem Wałęsą, zarówno więzieni działacze, jak i przedstawiciele Kościoła odrzucili tę propozycję.³³

Potwierdzeniem tego stanowiska Kościoła był fragment komunikatu z 202 Konferencji Episkopatu Polski, która odbyła się 26 i 27 IX 1984 r.:

³² Prorok (pseudonim) „O wilku, owcach, o Kąkolu” „Tygodnik Mazowsze” nr. 106, 15 XI 1984 r.

³³ Jerzy Holzer, Krzysztof Leski „Solidarność...” op.cit., s. 84–85

„(...) Biskupi potwierdzili pismo Sekretarza Episkopatu z dnia 17 IX br. skierowane do władz państwowych zgłaszające zastrzeżenie wobec informacji o zamiarze wprowadzenia do kodeksu karnego kary banicji. (...)”³⁴

Zamach na ks. Jerzego nie powiódł się do końca, bowiem kierowca duchownego, Waldemar Chrostowski, zdołał uciec napastnikom i zaalarmował opinię publiczną.

Pogrzeb ks. Jerzego Popiełuszki, w dniu 3 XI 1984 r. z udziałem Prymasa Glempa i Lecha Wałęsy okazał się potężną manifestacją przeciwko polityce władz. Ta milcząca manifestacja uświadomiła większości społeczeństwa trwały i nierozzerwalny związek pomiędzy Kościołem, a „Solidarnością”.

Lech Wałęsa w wywiadzie udzielonym podziemnym „Wiadomościom” z 11 XI 1984 r. stwierdził:

„Kościół polski wykazał, że w przełomowych momentach historii jest zdolny do pełnienia narodowego przywódctwa.”³⁵

Z kolei w rozmowie z drugoobiegowym „Tygodnikiem Mazowsze” z 13 XII 1984 r. na pytanie „Czy Kościół ma duży wpływ na Pana decyzje?” Wałęsa odpowiedział:

„Jestem człowiekiem wierzącym i praktykującym. Dlatego rozumiem rolę Kościoła i uważam, że to co robi Prymas, jest mądre i dobre, chociaż wielu może się nie podobać. Kościół ma dwa tysiące lat, tysiąc w Polsce i jeszcze będzie istnieć wiele, wiele wieków. Jego rola jest inna. On musi wiele wieków przetrwać, a my tak długo nie przetrwamy. Jest pełne zrozumienie między mną, a ludźmi, którzy mają coś do powiedzenia w Kościele. (...)”

Na pytanie: „Czy Pana zdanie, jako Przewodniczącego „Solidarności” brane jest pod uwagę przez Kościół?” Wałęsa odpowiedział:

³⁴ „Wiadomości”, Tygodnik NSZZ „Solidarność” Region Mazowsze, nr 119, 7 X 1984 r.

³⁵ „Wiadomości”, Tygodnik NSZZ „Solidarność” Region Mazowsze, nr 124, 11 XI 1984 r.

„Jeśli dzieje się coś ważnego, nigdy nie jestem pomijany.”

Na stwierdzenie redakcji: „Słyszysz się głosy krytyczne wobec polityki Kościoła” odpowiedział:

„Oczywiście wygodniej by mi było, gdyby wszyscy byli kompletnie za nami. Niemniej nie wolno nam tego wymagać. W imię wyższych racji, które nie są w tym momencie dla nas zbyt korzystne. Jeśli tego nie rozumiemy, to nic nie rozumiemy. (...)”³⁶

Proces zabójców kapelana „Solidarności” stał się bardzo ważnym wydarzeniem dla społeczeństwa. Ujawnił on w pewnym stopniu ukryte dotąd mechanizmy, za pomocą których władze zwalczały Kościół i opozycję.

Rozprawa przed sądem w Toruniu stała się dla władz okazją do ataku na Kościół. W związku z tym biskupi zebrani na 204 Konferencji Plenarnej Episkopatu w dniach 13 i 14 II 1985 r. stwierdzili między innymi:

„(...) Dzieje naszej Ojczyzny były naznaczone przez wszystkie wieki związkiem Kościoła z Narodem. Był to zawsze i pozostał dotąd związek służby: „Kościół w służbie Narodu” – głosił Prymas Tysiąclecia. Podważanie więc autorytetu Kościoła jest nie tylko niesprawiedliwe, lecz godzi także w dobro Narodu.

(...) Wszyscy ludzie w Ojczyźnie mają prawo do rzetelnej informacji. Informowanie tendencyjne, wybiórcze, szafowanie półprawdami i pozorami prawdy prowadzi do chaosu myślowego i utrudnia porozumienie narodowe.

(...) Z procesem w Toruniu wiązano nadzieje na oczyszczenie atmosfery społecznej i na odbudowę wzajemnego zaufania. Niestety, przebieg procesu wzbudził wiele niepokojów. W toku rozprawy sądowej podjęto próby zdyskredytowania Kościoła, jego biskupów i kapłanów. Ataki te nie ograniczały się tylko do nieodpowiedzialnych wystąpień oskarżonych; nadto bowiem oskarżyciel

³⁶ „Rozsądek i nadzieja. Wywiad z Lechem Wałęsą” „Tygodnik Mazowsze” nr 110, 13 XII 1984 r.

publiczny dokonał próby zrównania ofiary zbrodni ze sprawcami morderstwa. Towarzyszyło temu tendencyjne relacjonowanie przebiegu procesu przez środki masowego przekazu.

Jeżeli zaś dodać do tego inne, Nieprzychylnie Kościołowi publikacje, występujące ostatnio w liczbie niespotykanej, to nie sposób oprzeć się wrażeniu, że podjęto rozmyślną kampanię propagandową, która pod pozorem piętnowania, tzw. "pozareligijnej działalności duchowieństwa" zmierza do zakłócenia stosunków między państwem a Kościołem.

Tego rodzaju działania nie służą sprawie dialogu i pojednania społecznego, do którego Kościół stale nawołuje ani nie umacniają pokoju społecznego w naszej Ojczyźnie. W imię dobra narodowego oczekujemy zaprzestania tej akcji. (...)³⁷

Opinia publiczna wyczuwała, że mimo skazania Grzegorza Piotrowskiego, Leszka Pękali, Waldemara Chmielewskiego i Adama Pietruszki faktyczni inspiраторzy zbrodni pozostali bezkarni.

8 X 1990 r. pod zarzutem kierowania zabójstwem ks. Popiełuszki zostali aresztowani dwaj generałowie MSW – Władysław Ciasłoń i Zenon Płatek, których zwolniono z aresztu 24 IX 1992 r. Oskarżyciel publiczny zarzucał im, że „za pośrednictwem Adama Pietruszki kierowali usiłowaniem dokonania w dniu 13.10.1984 r. (nieudana próba zamachu – przyp. aut.) oraz dokonaniem w nocy 19/20.10.1984 r. zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki.”

Podczas ich procesu wyszła na jaw „Koncepcja” programowa działań Departamentu IV, która zakładała w latach osiemdziesiątych skompromitowanie kilkunastu dostojników kościelnych, np. biskup Tokarczuk miał się okazać współpracownikiem gestapo, ks. Jankowski homoseksualistą. Kilku świadków zeznało, że na dokumencie „Koncepcji” znajdowała się adnotacja ówczesnego Sekretarza KC PZPR Milewskiego: „z treścią zapoznał się i akceptował gen. Jaruzelski”

Generał Kiszczak ujawnił również próbę swego targu:

„Z abp Dąbrowskim porozumieliśmy się, że jeśli strona kościelna chce

³⁷ „Wiadomości”, Tygodnik NSZZ „Solidarność” Region Mazowsze, nr 137, 24 II 1985 r.

zwolnienia zabójców sierżanta Karosa (w tym ks. Sylwestra Zycha – przyp. aut.), to musimy zwolnić zabójców księdza Popiełuszki, gdyż w przeciwnym razie wzbudzenie pracowników resortu byłoby zbyt duże.”³⁸

Okazało się, że w Departamencie IV MSW zaplanowano między innymi podpalenie samochodu kardynała Henryka Gulbinowicza i napad na ks. Andrzeja Bardeckiego w jego mieszkaniu.

W kwietniu i grudniu 1984 r. „nieznani sprawcy” torturowali ks. Tadeusza Zaleskiego; obiektem systematycznych napaści był ks. Stanisław Suchowolec, proboszcz parafii, z której wywodził się ks. Popiełuszko. Traf zrządził, że zde-maskowano mężczyznę, który 21 V 1985 r. zaatakował w Gdańsku biskupa Tadeusza Gocłowskiego. Okazał się nim pracownik gdańskiego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych.³⁹

Przebywający jesienią 1985 w Stanach Zjednoczonych Prymas Glemp na jednej z konferencji prasowych tak ocenił ks. Jerzego Popiełuszkę:

„To był kapłan niezwykle oddany ludziom, o ogromnym poczuciu ofiarności.... Myślę, że sprawa beatyfikacji będzie poważnie rozważona.”

Przez cały czas Kościół opiekował się więzionymi działaczami opozycji, starał się o traktowanie ich jako więźniów politycznych, a nie jak kryminalnych, jak usiłowały często robić to władze. Mediował między władzami a więzionymi, kiedy w więzieniach dochodziło do akcji protestacyjnych, np. w formie głódówek. To właśnie dzięki interwencji Kościoła została zakończona akcja protestacyjna w Barczewie, gdzie przez 58 dni głodowali m.in. działacze łódzkiej „Solidarności” – Jerzy Kropiwnicki i Andrzej Słowik.⁴⁰

Bardzo aktywnie wspierał więzionych ks. Jan Sikorski z Warszawy, który prowadził Duszpasterstwo Internowanych i Więzionych za Przekonania. Kościół pomagał również przebywającym na wolności działaczom opozycji bez

³⁸ Piotr Szwed „Ciacho, generał i inni” „Życie Warszawy” 14 V 1993 r.

³⁹ „Tygodnik Mazowsze” nr. 153, 9 I 1986 r.

⁴⁰ Jerzy Kropiwnicki „Zapis protestu”, Londyn 1987. Jest to dziennik prowadzony podczas głódówki przez Jerzego Kropiwnickiego.

środków utrzymania, np. pozostający bez pracy Bronisław Geremek był zatrudniony jako bibliotekarz w siedzibie Episkopatu Polski.⁴¹

Wielu dziennikarzy wyrzuconych po wprowadzeniu stanu wojennego ze swoich miejsc pracy mogło publikować w pismach związanych z Kościołem, takich jak: „Powściągliwość i Praca”, „Przegląd Katolicki”, „Niedziela”, czy też w „Tygodniku Powszechnym”. Bardzo często ci sami publicyści redagowali pisma wydawane w podziemiu.

Kościół organizował pomoc dla całego społeczeństwa. Za jego pośrednictwem w latach 1982–86 polskim szpitalom przekazano pomoc wartości 360 milionów dolarów, cała zaś pomoc wyniosła, jak się szacuje, 2 miliardy dolarów.⁴²

Rzeczywiste intencje władz w stosunku do Kościoła w tym okresie ukazuje opracowany jeszcze w 1984 r. przez Biuro Polityczne KC PZPR, opatrzony klauzulą „tajne spec. znaczenia”, dokument pt. „Harmonogram realizacji polityki wyznaniowej w latach 1985–86”, w którym wszystkim głównym instytucjom państwa wyznaczono zadania dla realizacji tego programu. Biuro Polityczne przewidywało: wprowadzenie nadzoru nad katechizacją dzieci; przeciwstawienie się poczynaniom politycznym niektórych przedstawicieli Kościoła i związanych z nim sił; przeciwdziałanie nadużywaniu miejsc kultu i symboli religijnych do głoszenia poglądów wrogich socjalizmowi; opracowanie systemu działań wobec politycznie wojujących księży, uniemożliwienie im kontynuowania wrogiej działalności (sic!); dyscyplinowanie duchownych zaangażowanych w działalność antypaństwową poprzez stosowanie elastycznej polityki podatkowej, ulg celnych, przydziałów towarów i materiałów deficytowych, zezwoleń wydawniczych; przeciwdziałanie duszpasterstwu młodzieżowemu; oddziaływanie na rzecz rezygnacji przez Kościół z wybujałej wersji duszpasterstwa rolników; wykorzystanie przepisów podatkowych do przeciwdziałania poczynaniom sprzecznym z prawem i szkodliwym politycznie; podjęcie działań na rzecz zahamowania dalszego rozwoju bazy materialnej i kadrowej Kościoła.⁴³

⁴¹ „Czas na zmiany” Z Jarosławem Kaczyńskim rozmawiają Michał Bichniewicz i Piotr M. Rudnicki, Warszawa 1993 s. 162–163

⁴² „Przegląd Wiadomości Agencyjnych” nr 20, 18 V 1986 r.

⁴³ Edward Wende „Mordercy na rozkaz” Przemówienie oskarżyciela posiłkowego wy-

Program ten oznaczał w praktyce prowadzenie przez władze ostrej walki z Kościołem.

16 X 1985 r. w KC PZPR odbyła się narada redaktorów prasy partyjnej, podczas której przedstawiciele władz przekazali ocenę sytuacji i plany na przyszłość między innymi w dziedzinie stosunków z Kościołem i walki z podziemiem politycznym. Warto przedstawić niektóre uwagi reprezentantów władz.

Jerzy Janitz – doradca szefa Urzędu do Spraw Wyznań – stwierdził, że w interesie Kościoła leży, aby kryzys trwał jak najdłużej, a władza miała charakter represyjny. Uznał, że Kościół na polu działalności społecznej szuka rekompensaty za swe niepowodzenia w krzewieniu wiary. Określił „klerykalizm po polsku”, jako eksponowanie przedmiotu kultu i ustanawianie środowisk duszpasterstw.

Jerzy Urban – rzecznik prasowy rządu – ocenił stosunek Kościoła wobec zbojkotowanych przez opozycję wyborów parlamentarnych w dniu 13 X 1985 r. Uznał on, że zdystansowanie się Kościoła wobec tych wyborów było silniejsze niż przy wyborach do rad narodowych. Episkopat zajął postawę „niezyczliwej neutralności”. Głosowało tych 4 biskupów: płocki i 3 sufraganów łódzkich, prawdopodobnie delegowanych przez Prymasa. Przed wyborami odnotowano 120 agresywnych politycznie kazań. Rzecznik rządu poirytowany oświadczył, iż: „Kościół usłyszysz od władz, że socjalizmu nie da się przeczeć.”

Jan Bisztyga – zastępca kierownika Wydziału Informacji KC PZPR – uznał, że w walce z Kościołem nie ma szybkich sukcesów. Stwierdził, że to bzdura, iż Kościół jest siłą duchową i moralną, jest przede wszystkim siłą polityczną. Poinformował, że według władz jest 162 księży ekstremistów, których działalność należy ograniczać i wprowadzić „mechanizmy przesuwania „środka kleru” na naszą stronę”.

Doc. dr Janusz Kolczyński – dyrektor Centrum Studiów Polityki Propagandy Akademii Nauk Społecznych KC PZPR – przedstawił ocenę siły i działalności podziemia. Według niego podziemie liczyło około 400 zorganizowanych grup, z czego więcej niż połowa działała w 5 ośrodkach, w kolejności według siły: Warszawa, Gdańsk, Kraków, Wrocław i Łódź. W ośrodkach tych dzia-

głoszone 6.06.1994 r. na procesie generałów SB Ciastonia i Płatka „Gazeta Polska” 16 VI 1994 r.

łało 1600–1800 opłacanych "zawodowców", Mieli oni do współpracy około 40 tysięcy doraźnych współpracowników korzystających z niezbyt regularnego wsparcia finansowego. Istniało około 400 wydawnictw, aparat konspiracyjny zaś był, według Kolczyńskiego, mało wydajny. Jednak wykazywał duże zdolności do odnawiania się, co świadczyło, że nie zostały wyczerpane rezerwy kadrowe. Część aktywu korzystała z opieki Kościoła. Zdaniem partyjnego analityka Wałęsa już tylko firmował działania, zaś taktyka "długiego marszu" nie przyniosła efektu. Poniósł fiasko również plan zbudowania niezależnego społeczeństwa, który według partyjnego analityka „przechwycił Kościół”.⁴⁴

17 VI 1986 r. Sejm uchwalił ustawę, „o szczególnym postępowaniu wobec sprawców niektórych przestępstw”, która przyniosła zapowiedź częściowej amnestii dla więźniów politycznych.

W tym czasie niepowodzeniem zakończyły się podejmowane przez Kościół nieśmiałe próby uzyskania autonomii przedsięwzięć gospodarczych. Wobec całkowitego impasu w rozmowach z rządem Prymas na początku września 1986 r. zdecydował się zakończyć działalność Komitetu Organizacyjnego Fundacji Rolniczej, z którą łączono nadzieje na otwarcie pola dla niezależnej aktywności ekonomicznej.⁴⁵

11 IX 1986 r. szef MSW gen. Kiszczak oznajmił, iż amnestia obejmie wszystkich więźniów "niekryminalnych". Jednak i tym razem ks. Zych miał pozostać w więzieniu. Amnestia nie była początkiem nowej linii politycznej PZPR, lecz stanowiła zamknięcie etapu ostrej, toczonej "bez pardonu" walki z opozycją, nie oznaczała jednak wcale podjęcia polityki kompromisu.

26 IX 1986 r. Prymas Polski przyjął uwolnionych działaczy opozycji i „Solidarności”, m.in. Zbigniewa Bujaka i Leszka Moczulskiego. Nie słabła w prasie podziemnej dyskusja nad stanowiskiem Kościoła wobec bieżących wydarzeń. Zabrał w niej głos szef paryskiej „Kultury” Jerzy Giedroyc, który już wcześniej krytykował Kościół.

Na pytanie: „Z czego wynika obecnie bardzo krytyczne stanowisko „Kultury” wobec Kościoła i Prymasa Glempa?” Redaktor naczelny „Kultury”

⁴⁴ Notatki z narady redaktorów naczelnych prasy partyjnej w KC PZPR 16 X 1985 r. „Kos”, nr 85, 8 XII 1985 r.

⁴⁵ Jan Skórzyński „Ostatnia amnestia” „Rzeczpospolita” 13–14 II 1994 r.

odpowiedział: „To dotyczy także przeszłości: nie podzielałam entuzjazmu dla kardynała Wyszyńskiego, w zbyt wielu sytuacjach ulegał naciskom i pomagał rządowi. Nawet w chwili swojego uwolnienia wystąpił z apelem o głosowanie bez skreśleń, nic w zamian nie uzyskując. Zadowolili się paroma mandatami do Sejmu i to jest właściwie wszystko. Nie załatwił ani sprawy „Caritasu”, ani statusu prawnego Kościoła. Potem w sierpniu 1980 roku odegrał rolę strażnika ogniowej – poparł rząd. Bał się wojny, czy interwencji sowieckiej. To samo Glemp, jest ciągle straszony i z dużym powodzeniem. A jeśli chodzi o niezależną działalność kulturalną, to niestety Kościół – który jest dzisiaj ostatnią taką oazą – do tej roli nie dorósł. Winię o to głównie kardynała Glempa. Ciągłe są ograniczenia, naciski, żeby nie występował z wystawami i przedstawieniami, które nie mają charakteru sakralnego. Kościół, moim zdaniem, przegrywa szansę odegrania wielkiej roli kulturalnej.”⁴⁶

Nowym instrumentem osłabienia opozycji miała być Rada Konsultacyjna przy Przewodniczącym Rady Państwa. Władze usiłowały skłonić do udziału w niej katolickich doradców „Solidarności”. Ze znaczących doradców tylko Władysław Siła – Nowicki przyjął zaproszenie do udziału w pracach tego w istocie fasadowego ciała. Zgodził się w niej pracować Jan Kułaj, który występował tam jako „były przewodniczący rozwiązanej „Solidarności” RI”. Świadczyło to o wyraźnym załamaniu się tego działacza. Po latach Kułaj tak to tłumaczył:

„Kościół mnie porzucił, choć jeszcze 4 grudnia (1981 r. – przyp. aut.) towarzyszyłem Prymasowi Glemptowi na Barbórkę, u Górników, wtedy jeszcze byłem dobry. Trzeciego dnia internowania, siedząc w jednej celi z Bronisławem Geremkiem, usłyszałem przez radio, że biskupi upomnieli się o Wałęsę i intelektualistów. Robotnicy strajkowali, wieś nie. Pojąłem, że będę zapomniany.”⁴⁷

29 IX 1986 r. Lech Wałęsa powołał jawną Tymczasową Radę NSZZ „Solidarność”, która miała stać się kierownictwem „Solidarności”. Kurs na jawność wywołał potężne kontrowersje w Związku. 12 X 1986 r. Jan Andrzej Górný

⁴⁶ „Bez iluzji” – fragmenty wywiadu z Jerzym Giedroyciem (za „Tygodnikiem Mazowsze” nr 183), „Przegląd Wiadomości Agencyjnych nr 34, 26 X 1986 r.

⁴⁷ Andrzej Kaczyński „Kułaj znikąd” „Rzeczpospolita” 22 II 1994 r.

i Marek Muszyński, ostatni występujący pod własnymi nazwiskami członkowie podziemnego kierownictwa „Solidarności”, po spotkaniu z Lechem Wałęsą postanowili się ujawnić.

Od tej pory Tymczasowa Komisja Koordynacyjna „Solidarności” miała funkcjonować jako ciało koordynujące działalność regionów, koncentrując się na technicznej obsłudze podziemnych struktur. Również w regionach rozpoczęto powoływanie jawnych rad Związku, choć czasami spotykało się to z oporem miejscowych działaczy.

W ślady „Solidarności” poszli rolnicy; 23 IX 1986 r. ogłosili powstanie jawnej Tymczasowej Krajowej Rady Rolników „Solidarność”. W jej skład weszli przedstawiciele wszystkich trzech konkurencyjnych dotąd nurtów – NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność”, „Solidarności Chłopskiej” i „Solidarności Wiejskiej”. W następnych miesiącach kooptowano przedstawicieli kolejnych regionów, a 29 III 1987 r. przewodniczącym Rady został Józef Ślisz.⁴⁸

Nowy wiceminister MSW gen. Pożoga oświadczył, że w tym czasie w podziemiu działały 224 organizacje, a 750 pisarzy i 600 dziennikarzy stale z nimi współpracowało.⁴⁹

Jawne działania społeczne zyskały poparcie Kościoła. Dał temu wyraz dyrektor Biura Prasowego Episkopatu Polski ks. Alojzy Orszulik w artykule „Wierni wobec porządku doczesnego”. Artykuł ten nie mógł się ukazać w pełnym brzmieniu w żadnym z pism katolickich; parokrotne próby jego opublikowania rozbiły się o opór cenzury. W całości opublikowano go w prasie podziemnej.

Ks. Alojzy Orszulik napisał w nim między innymi:

„(...) Sytuacja polityczna w całym powojennym okresie w naszym kraju sprawiła, że wierni świeccy stracili w dużej mierze świadomość swoich niezbywalnych praw do zespołowego apostołstwa w stosunku do rzeczywistości ziemskiej. Wiele stowarzyszeń i organizacji katolickich zostało rozwiązanych lub zakazanych. Świeckich wiernych spycha się na margines życia społecznego i publicznego, powodując ich bierność wobec spraw publicznych. Umoż-

⁴⁸ Jerzy Holzer, Krzysztof Leski „Solidarność...” op.cit., s.122–123

⁴⁹ „Przegląd Wiadomości Agencyjnych” nr 3, 18 I 1987 r.

liwienie im realizacji prawa swobodnego zrzeszania się i stowarzyszania jest nieodzownym warunkiem by – czy to wzięli jednostkowo, czy stowarzyszeni – mogli czynnie uczestniczyć w życiu i kierowaniu sprawami publicznymi.

W sytuacji gdy kraj nasz wymaga zmobilizowania wszystkich sił społecznych dla przezwyciężenia wielorakich kryzysów, powstanie w ramach diecezji katolickich stowarzyszeń młodzieżowych i studenckich stworzyłoby nową szansę służącą szeroko pojętemu porozumieniu narodowemu i układaniu stosunków między Kościołem a Państwem.

Istniejące dotąd różne zrzeszenia katolików – i te zależne i niezależne – nie wystarczą. (...)”⁵⁰

Wyznaczona na czerwiec 1987 r. trzecia pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny była oczekiwana w kręgach opozycji z mieszanymi uczuciami. Działaczy podziemia niepokoiła zbyt bliska, ich zdaniem, współpraca Kościoła z administracją państwową przy organizowaniu wizyty. Na łamach prasy niezależnej sugerowano, że ceną za przyjazd Ojca Świętego jest porzucenie sprawy „Solidarności”, a nawet watykańska obietnica podjęcia wysiłków pacyfikujących opór społeczny. Jak zwykle swój daleko idący sceptycyzm wyrażała paryska „Kultura”. Były to podobne objawy do tych nie potwierdzonych w 1983 r.

Chociaż współpracujący z „Kulturą” znany publicysta Stefan Kisielewski na łamach „Tygodnika Mazowsze” wyrażał odmienny pogląd:

„Uważam, że Prymas prowadzi jedyną możliwą dla Kościoła politykę, tylko że jest niezręczny w wypowiedziach publicznych. Czasem mógłby wykazać więcej zdecydowania, np. bardziej stanowczo bronić Fundacji Rolnej. Przede wszystkim jednak Kościół ma swoje cele, więc dlaczego mam się do nich mieszać.”⁵¹

⁵⁰ Ksiądz Alojzy Orszulik „Wierni wobec porządku doczesnego” „Wiadomości”, Tygodnik NSZZ „Solidarność” Region Mazowsze, nr 222, 11 I 1987 r., s. 2

⁵¹ „Trzeba domagać się likwidacji socjalizmu” – wywiad ze Stefanem Kisielewskim, „Tygodnik Mazowsze” nr 204, 25 III 1987 r.

Przed zbliżającą się wizytą Papieża, Lech Wałęsa zaprosił 31 V 1987 r. do Warszawy kilkadziesiąt osób. Byli wśród nich działacze i doradcy „Solidarności”, pisarze, dziennikarze, naukowcy, ludzie kultury i sztuki. Podpisali oni dokument, który przedstawiał cele opozycji. Wśród sygnatariuszy był między innymi ks. Józef Tischner.⁵² W przyszłości grono to miało utworzyć Komitet Obywatelski; w 1990 r. w jego skład wchodziło 5 duchownych: ks. Henryk Jankowski, o. Stanisław Opieła, o. Jacek Salij, ks. Józef Tischner i ks. Jan Zieja. W marcu 1990 r. Prymas Glemp wydał zakaz wprowadzania nowych duchownych do Komitetu, uznał, że jest ich w nim wystarczająca liczba.⁵³

8 VI 1987 r. przybył do Polski Ojciec Święty. Nie pozostawił wątpliwości co do oceny sytuacji w kraju. W Gdańsku, który w sposób oczywisty był głównym miejscem spotkania z „Solidarnością”, Papież oświadczył, że Porozumienie Gdańskie „pozostaje wciąż zadaniem do spełnienia”. Mówił wtedy:

„Codziennie modłę się za moją Ojczyznę i modłę się za ludzi pracy, i modłę się za to szczególne wielkie dziedzictwo polskiej „Solidarności”. (...) Trzeba patrzeć w przyszłość i trzeba zachowywać siły ducha i ciała dla przyszłości.”⁵⁴

Papież podtrzymał wolę oporu, wezwał do aktywności i odwagi. Na Westerplatte podczas spotkania z młodzieżą wołał:

„Przyszłość Polski zależy od was i musi od was zależeć! To jest nasza Ojczyzna, nasze ”być” i nasze ”mieć”, i nikt nie może nas pozbawić praw, ażeby przyszłość tego ”być” i ”mieć” nie zależała od nas.”⁵⁵

Zbigniew Bujak tak ocenił kolejną wizytę Papieża w porównaniu z poprzednią: „Odbywa się w dość dziwnej aurze. Służba kościelna przeszukuje torby, potrafi zakwestionować transparent, jakieś pisemka, ulotki i wręcz oddać je Służbie Bezpieczeństwa.” Zdaniem Bujaka ważna była jednak jasna deklaracja

⁵² Jerzy Holzer, Krzysztof Leski „Solidarność” op.cit., s. 129–130

⁵³ Zdzisław Najder „Jaka Polska, co i komu doradzałem. Spotkania 1993”; s. 75

⁵⁴ Jan Skórzyński „Ostatnia...” op.cit.

⁵⁵ Ibidem

Papieża, iż wierzy on w „Solidarność”, że „trzeba trwać”, a słowa te pozwolą oczekiwać „zmiany w nastawieniu Episkopatu”. Nie spodziewam się jednak, że Kościół zaangażuje się mocno w poparcie dla nas, choć skądinąd uważam, że mógłby i powinien.⁵⁶

19 VI 1987 r. podczas posiedzenia Biura Politycznego PZPR gen. Kiszczak oceniał, że „opozycji i tak zwanemu podziemi udało się pokazać, że jeszcze istnieje. Została w określony sposób dowartościowana poprzez wystąpienie Papieża.” Przewidywał, że opozycja będzie szukać oparcia pod skrzydłami Kościoła oraz zwiększy presję na władze pod hasłem „pluralizmu politycznego i związkowego”.

Wezwał między innymi do wzmożenia walki w sferze kultury:

„(...) nie powinniśmy tolerować dłużej twórców, którzy kooperują z Kościołem i opozycją szkalując władze i socjalistyczne państwo, a zarazem występują w oficjalnych audycjach radiowych i telewizyjnych, w filmach, wydają pozycje książkowe w wydawnictwach państwowych, zarabiając znaczne sumy i żyjąc dostatnio. (...) Twórcy tego rodzaju muszą albo jednoznacznie opowiedzieć się za władzą lub przynajmniej nie występować przeciwko niej albo też niech wiążą się z Kościołem i żyją na jego koszt. Jak wiemy, Kościół kocha pieniądze, nie lubi ich wydawać, a twórcy za „Bóg zapłać” pracować nie będą.”⁵⁷

Po wprowadzeniu stanu wojennego Kościół, obok innych nowych zadań, podjął się na szeroką skalę roli mecenasa sztuki, stał się oparciem dla niezależnych twórców. W kościołach odbywały się wystawy, projekcje filmów i spotkania z autorami, często publikującymi w drugim obiegu. Warto wspomnieć o aktywnej działalności w tej dziedzinie dyrektora Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, ks. Andrzeja Przekazińskiego.

Znany publicysta pism podziemnych występujący pod pseudonimem Dawid Warszawski w 1986 r. pisał na ten temat:

⁵⁶ Jerzy Holzer, Krzysztof Leski „Solidarność...” op.cit., s.130–131

⁵⁷ Jan Skórzyński „Ostatnia...” op.cit.

„Organizowany w kościołach imprezy kulturalne nie budzą już ani tego zaskoczenia, ani tego dreszczu politycznej emocji, jak jeszcze kilka lat temu. (...) Po kulturę chodzi się do Kościoła tak jak po chleb do sklepu.”⁵⁸

W czasie wizyty Jana Pawła II również działacze NZS zdecydowali, że Zrzeszenie, jako niezależna organizacja, weźmie udział w spotkaniu z Papieżem. W tym celu 10 V 1987 r. Krajowa Komisja Koordynacyjna NZS wystosowała do Jana Pawła II list powitalny i apel do studentów o uczestnictwo we Mszy Św. w Gdańsku. W oświadczeniu z 18 VIII 1987 r. KKK uznała, że udział Zrzeszenia w pielgrzymce papieskiej stanowił „największą publiczną manifestację naszego istnienia, naszych celów od czasu strajku studenckiego jesienią 1981 r.”⁵⁹

Księża brali udział również w inicjatywach opozycyjnych, czego przykładem może być udział ks. Jana Ziei w powołaniu, w czerwcu 1987 r. Niezależnego Ruchu Ludowego „Solidarność”, ks. Leona Kantorskiego, który 6 VI 1987 r. podpisał deklarację Solidarności Polsko – Czechosłowackiej, czy też ks. Jana Umińskiego w Polskim Funduszu Demokracji i Niepodległości, który utworzyły 14 IV 1989 r. Konferencja Polski Niepodległej i Polska Partia Socjalistyczna.⁶⁰

20 IX 1987 r. w Częstochowie odbyła się 5. Pielgrzymka Świata Pracy, której współorganizatorem w 1982 r. był ks. Jerzy Popiełuszko. Co roku uczestniczyło w niej wielu działaczy i członków „Solidarności”. Stałym jej uczestnikiem był Lech Wałęsa. W 1987 r. zgromadziła ponad 50 tys. osób z licznymi transparentami „Solidarności”. Po raz kolejny okazało się, że istnienie Związku manifestowało się najwidoczniej przy okazji uroczystości religijnych.

Jednak mimo poparcia Kościoła dla inicjatyw niezależnych, wielu działaczy opozycji twierdziło, że Episkopat porzucił „Solidarność”. Do nich zaliczał się również Zbigniew Romaszewski, który w tekście napisanym po trzeciej pielgrzymce Papieża stwierdził:

⁵⁸ Dawar „Na aniołów przerobieni” „Przegląd Wiadomości Agencyjnych” nr 42, 21 XII 1986 r.

⁵⁹ Andrzej Anusz „Niezależne Zrzeszenie Studentów w latach 1980–1989”; s. 66, Warszawa 1991 r.

⁶⁰ Dariusz Cecuda „Leksykon opozycji politycznej 1976–1989”; s.80, Warszawa 1989 r.

Otóż, nazywając rzecz po imieniu, Kościół wycofał poparcie dla „Solidarności”. (...) Zresztą jeżeli tak się stało, to nie jest to wina wyłącznie Kościoła, jest to wina również przywódców związkowych, którzy starając się uniknąć odpowiedzialności za ruch społeczny, uznali tożsamość trójczłonu „Solidarność – Naród – Kościół”, nie chcąc psuć harmonii, mniej lub bardziej entuzjastycznie przyklaskiwali działaniom Kościoła, wyrzekając się inicjatywy politycznej. (...) „Solidarność” to nie jedyna możliwość realizacji podmiotowości społecznej i łatwo sobie wyobrazić dziesiątki innych, rozmaitych dróg, którą z nich wybiera Kościół trudno powiedzieć, ale ta, która nazywa się odrodzenie „Solidarności”, została odrzucona.”⁶¹

Również krytyczny wobec Kościoła był w tym czasie laureat literackiej Nagrody Nobla z 1980 r. Czesław Miłosz. W wywiadzie udzielonym podziemnemu „Tygodnikowi Mazowsze” na pytanie: „Jak widzi Pan alians, jaki się w Polsce dokonał między inteligencją, lewicą laicką, a Kościołem?” odpowiedział: „Jestem bardzo ostrożny. Uważam, że ten sojusz był czymś wspaniałym i jest czymś wspaniałym. Tylko, że w Polsce nastąpił niewątpliwe wzrost tendencji nacjonalistycznych, które mnie – znającego okres międzywojenny – przypominają alians pomiędzy Kościołem katolickim, a prawicą polityczną. I wydaje mi się, że jesteśmy w niebezpiecznym momencie. Wśród hierarchii Kościoła katolickiego na pewno jest wielu ludzi, którzy doskonale rozumieją to niebezpieczeństwo, ale jest też sporo takich, którzy zupełnie nie widzą, ile Kościół katolicki by stracił, gdyby odeszli od niego intelektualiści, inteligencja. W polskim Kościele wciąż są żywe tendencje, które tłumaczyły rozmaite fermenty społeczne oddziaływaniem trockistów, masonów, agencji zachodnich.”⁶²

Wprowadzenie stanu wojennego nie przerwało dialogu Kościoła z władzami. Przez cały czas pracowała Komisja Wspólna, która spotkała się już 18 I 1982 r. Wydawało się, że rozwój sytuacji w pierwszych miesiącach stanu wojennego wskazywał, iż wobec głębokiego kryzysu politycznego strona rządowa

⁶¹ Zbigniew Romaszewski „Jak Polak z Polakiem. Rozdroży ciąg dalszy.” Warszawa 1987, s.11–13

⁶² Czesław Miłosz „O Polsce i Europie Środkowej” „Tygodnik Mazowsze” nr 236, 27 I 1988 r.

godziła się na współdziałanie z Kościołem. Szukano wzajemnie porozumienia i zbieżnych punktów. Po 1981 r. decydujący wpływ na kształt zbliżającego się porozumienia Kościół – Państwo zaczął wywierać coraz bardziej Episkopat Polski odsuwając w cień watykańską dyplomację. Sprzyjał temu fakt, iż Papież – Polak doskonale orientował się w naszych realiach i na bieżąco był informowany przez arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego, który bardzo często bywał u Papieża w Watykanie. Przy okazji swych wyjazdów zagranicznych przewoził korespondencję od niepodległościowych działaczy polskich na emigracji do kraju (np. już w styczniu 1982 r. przywiózł list Zdzisława Najdera do jego matki).⁶³

Rozpoczęte prace Komisji Wspólnej koncentrowały się głównie nad wypracowaniem pozytywnego *modus vivendi*. Zaczęto tworzyć teksty porozumienia Kościół – Państwo. dyskutowano nad sprawami ubezpieczeń duchownych, statusem wyższych uczelni papieskich i projektem ustawy o gwarancjach wolności sumienia i wyznania.

Z inicjatywy strony kościelnej powstał zespół redakcyjny, który przystąpił do wstępnego opracowania projektu Konwencji między Polską a Stolicą Apostolską.

Do dialogu włączył się aktywnie Jan Paweł II. Przeprowadził on wiele rozmów z gen. Jaruzelskim, które odbyły się w trakcie kolejnych pielgrzymek Papieża do Polski – w czerwcu 1983 r. oraz podczas wizyty generała w Watykanie w styczniu 1987 r.⁶⁴

Na temat tego ostatniego spotkania spekulowała prasa podziemna. „Przegląd Wiadomości Agencyjnych” pisał:

„Wiemy już z dużą dozą pewności, o czym Jan Paweł II rozmawiał z generałem. Apelował o rozszerzenie swobód obywatelskich. Natomiast Jaruzelski usiłował skłonić Papieża, aby Watykan uczynił dla Polski wyjątek nawiązując stosunki dyplomatyczne, czego nie robi on z krajami komunistycznymi. propozycje obu stron zostały odrzucone.”⁶⁵

⁶³ Zdzisław Najder „Jaka Polska...” op.cit., s.62

⁶⁴ Jerzy Gruca „Spór o konkordat”; s.59–60, Warszawa 1994

⁶⁵ „Przegląd Wiadomości Agencyjnych” nr 4, 25 I 1987 r.

Wielokrotnie z Jaruzelskim spotykał się Prymas Glemp.

Dialog Kościoła z przedstawicielami władz wywoływał liczne analizy w prasie niezależnej. Bardzo trafnie podsumował tę dyskusję autor podpisujący się jako Marewicz w artykule „Czerwone i czarne” w „Przeglądzie Wiadomości Agencyjnych”. Stwierdził, że:

„Nasz wpływ na dyplomatyczne stosunki Watykan – komuniści jest praktycznie żaden, na stosunki Kościół – państwo niewielki. To co możemy zrobić naprawdę – to ustalić pewien consensus opozycji z Kościołem. Nie Kościołem jako wspólnotą wierzących – to należy do najbardziej osobistych wyborów każdego człowieka – lecz z Kościołem jako ważnym podmiotem życia politycznego.”⁶⁶

Tymczasem wiosną 1988 r. sytuacja w Polsce uległa wyraźnej zmianie. Na przełomie kwietnia i maja rozpoczęły się zorganizowane przez „Solidarność” i Niezależne Zrzeszenie Studentów strajki w kilku miastach Polski. Skala tych wystąpień, choć nieporównywalna z Sierpniem 1980, była jednak największa od 6 lat.

Natychmiast z misją mediacyjną wystąpił Kościół. 4 V 1988 r. do strajkującej huty im. Lenina przybyli pełnomocnicy Episkopatu: Halina Bortnowska, Andrzej Stelmachowski i Jan Olszewski. Ich zadaniem było doprowadzenie do rozmów dyrekcji z Komitetem Strajkowym. Władze zapewniały, że popierają tę misję. Jednak w nocy z 4/5 V 1988 r. hutę zaatakowała brygada antyterrorystyczna. Pacyfikacja była niezwykle brutalna; wielu strajkujących dotkliwie pobito.⁶⁷

Również w strajkującej Stoczni Gdańskiej mediacje wysłanników Episkopatu: Tadeusza Mazowieckiego, Andrzeja Wielowieyskiego i biskupa Tadeusza Gocłowskiego nie przyniosły rezultatów. 10 V 1988 r. strajkujący – a pozostało ich około tysiąca – wyszli milczącym pochodem, prowadzonym przez Wałęsę, do kościoła św. Brygidy, gdzie ks. Jankowski odprawiał Mszę Św. kończącą strajk.⁶⁸

⁶⁶ Marewicz „Czerwone i czarne” „Przegląd Wiadomości Agencyjnych” nr 8, 1 III 1987 r.

⁶⁷ Jerzy Holzer, Krzysztof Leski „Solidarność...” op.cit., s.148–149

⁶⁸ Ibidem, s.151

Nastrój klęski po zakończeniu strajków znikł dość szybko. W czerwcu rozpoczął się na łamach prasy oficjalnej i podziemnej swoisty dialog – o „pakcie antykrzysowym”, lansowanym przez część doradców „Solidarności” i część przedstawicieli władz. 21 VII 1988 r. szef MSW Kiszczak otrzymał list od Lecha Wałęsy, który wyrażał wstępną zgodę na proponowane kontakty i rozmowy.⁶⁹

15 VIII 1988 r., zastrajkowała kopalnia „Manifest Lipcowy” w Jastrzębiu. Na pierwszym miejscu listy postulatów umieszczono żądanie legalizacji „Solidarności”. Wkrótce fala strajków objęła głównie Śląsk i Wybrzeże oraz miejscami inne części kraju. Były to strajki o znacznie większej sile niż wiosną.

21 VIII 1988 r., po modlitwie Anioł Pański, Papież Jan Paweł II powiedział:

„(...) wszyscy pamiętamy o sytuacji, która rozwija się w naszej Ojczyźnie. Modlimy się za naszą Ojczyznę, modlimy się o pokój. Oczywiście pokój na sile prawdy i sprawiedliwości. Nie na przemocy.”⁷⁰

W strajkującej Stoczni Gdańskiej mediatorem ze strony Episkopatu był prof. Andrzej Stelmachowski, który utrzymywał kontakty z przedstawicielami władz. 26 VIII 1988 r. za jego pośrednictwem władze skierowały do Lecha Wałęsy pytanie o stanowisko w sprawie ewentualnych rozmów. Odpowiedź Wałęsy była pozytywna.

31 VIII 1988 r. w wili MSW przy ulicy Zawrat w Warszawie odbyło się spotkanie gen. Czesława Kiszczaka, któremu towarzyszył Stanisław Ciosek, z Lechem Wałęsą, któremu towarzyszył biskup Jerzy Dąbrowski.⁷¹

W doprowadzeniu do tego spotkania podstawową rolę odegrał Kościół. Po rozmowie tej Wałęsa wydał apel o przerwanie strajków po „właściwym zakończeniu negocjacji dotyczących postulatów lokalnych”. Przewodniczący Związku zapowiedział jednocześnie negocjacje przy „okrągłym stole”, z udziałem „Solidarności”, na temat reform gospodarczych, społecznych i politycznych, w tym legalizacji Związku.

⁶⁹ Jan Maria Jackowski „Bitwa o Polskę” Warszawa 1992, s.24

⁷⁰ Lech Wałęsa „Droga do...” op.cit., s. 89–90

⁷¹ Krzysztof Dubiński „Magdalenka, transakcja epoki” Warszawa, 1990, s.5

W wydanym równocześnie komunikacie biskup Dąbrowski informował:

„Kościół stoi zdecydowanie na stanowisku konieczności zapewnienia bezpieczeństwa osobistego i pracowniczego strajkujących. W przypadku odchodzenia od zasady bezpieczeństwa osobistego i pracowniczego Sekretariat Episkopatu przejmuje na siebie odpowiedzialność za załatwienie wszystkich przypadków naruszenia tych praw.”⁷²

1 IX 1988 r. strajkujący ze Stoczni Gdańskiej zwartą grupą przeszli do kościoła św. Brygidy, gdzie ks. Jankowski powiedział między innymi: „dotychczasowy strajk trwa nadal poprzez dialog”.⁷³

2 września do kopalni „Manifest Lipcowy” przyjechali Lech Wałęsa i ks. Jankowski, gdzie musieli osobiście zaapelować o zakończenie strajku.

15 września odbyło się kolejne spotkanie Wałęsa – Kiszczak, którego obserwatorem był ks. Alojzy Orszulik. Następnego dnia w Magdalence toczyły się rozmowy ponad dwudziestu przedstawicieli partii i stronnictw koalicji rządzącej, „Solidarności” i OPZZ, z udziałem ks. Alojzego Orszulika i ks. Bronisława Dembowskiego.

Przed spotkaniem ks. Dembowskiego przyjął Prymas Glemp i powiedział: „Instrukcję dostajesz tylko jedną – rób wszystko, co możliwe, by pierwsza rozmowa nie była ostatnią.”⁷⁴

Spotkanie to zakończyło się komunikatem, w którym brakowało wzmianki o „Solidarności”. Był to wyraźny impas.

Kolejne próby mediacji prowadzili prof. Andrzej Stelmachowski i Józef Czyrek, jednak bez rezultatu.

29 X 1988 r. ówczesny premier Mieczysław Rakowski wymógł na ministrze przemysłu decyzję o likwidacji Stoczni Gdańskiej, jako zakładu nierentownego i bez przyszłości. Była to prowokacja dla „Solidarności”, której kolebkę stanowiła właśnie ta stocznia. 12 XI 1988 r. arcybiskup Dąbrowski, w imieniu Episkopatu, skrytykował władze za zamknięcie stoczni – „akt po-

⁷² Jerzy Holzer, Krzysztof Leski „Solidarność...” op.cit., s. 157–158

⁷³ Lech Wałęsa „Droga do...” op.cit., s. 95

⁷⁴ Tygodnik „Solidarność” 1 VII 1994 r.

lityczny nie sprzyjający idei porozumienia” – i odwlekanie decyzji w sprawie rozmów.

Wobec tej trudnej sytuacji w dniach 18 i 19 XI 1988 r. na zaproszenie arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego odbyło się w Wilanowie spotkanie z udziałem: Kiszczaka, Cioska, Wałęsy, Mazowieckiego, arcybiskupa Dąbrowskiego, biskupa Gocłowskiego i ks. Orszulika.⁷⁵

Według Bronisława Geremka ówczesne „stanowisko biskupa Gocłowskiego stało się decydujące dla procesu ”okrągłego stołu.”⁷⁶

W tym czasie władze zezwoliły na rejestrację 4 katolickich stowarzyszeń akademickich: „Młodej Polski” (26 IX 1988 r. Poznań), „Verbum” (4 X 1988 r.), Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej (28 XII 1988 r. Warszawa), „Ligi Akademickiej” (29 XII 1988 r. Warszawa). W związku z tą sytuacją wśród niektórych działaczy Niezależnego Zrzeszenia Studentów pojawił się pomysł, aby zarejestrować się jako nowa organizacja, np. pod nazwą Niezależny Związek Studentów (skrót taki sam jak dotychczasowy), jednak nie zyskali oni szerszego poparcia. Oznaczałoby to dla NZS rezygnację ze swej tożsamości i tradycji. To zaś było zbyt wysoką ceną w stosunku do korzyści, jakie dawało posiadanie osobowości prawnej ”pod zastępczym szyldem”. Tak więc z rejestracją Zrzeszenie musiało poczekać jeszcze kilka miesięcy.⁷⁷

Czołowy negocjator „Solidarności” przy ”okrągłym stole”, Bronisław Geremek, tak wspomina rolę Kościoła w negocjacjach:

„Ja nie miałem wrażenia, żeby Kościół był pośrednikiem. Kościół był po naszej stronie.”⁷⁸ „Kościół nigdy nie występował jako pośrednik w imieniu władz. Natomiast sekretariat Episkopatu systematycznie konsultował się z nami przed spotkaniami z przedstawicielami Biura Politycznego, a potem przekazywał nam sprawozdania z przebiegu rozmów.”⁷⁹ „Uczestniczyli w tych rozmowach aktywnie, choć nie brali udziału w sporze. Starali się przede wszystkim tworzyć

⁷⁵ Krzysztof Dubiński „Magdalena...” op.cit., s. 7–18

⁷⁶ „Geremek opowiada, Żakowski pyta. Rok 1989.”; s. 44, Warszawa 1990

⁷⁷ Andrzej Anusz „Niezależne...” op.cit., s. 99

⁷⁸ „Geremek opowiada...” op.cit., s. 23

⁷⁹ Ibidem, s. 46

nastrój współodpowiedzialności obu stron. (...) Ingerowali skutecznie tylko wtedy, kiedy dochodziło do groźnych kryzysów.”⁸⁰

O zaufaniu jakim darzyli przedstawiciele opozycji Kościół, świadczy fakt, że taktykę na rozmowy z władzami negocjatorzy „Solidarności” ustalali w siedzibie Sekretariatu Episkopatu.

Przedstawiciele Kościoła Brali udział we wszystkich spotkaniach ”kryzysowych”, które z reguły odbywały się w wili MSW w Magdalence. W rozmowach tych uczestniczyli ks. Alojzy Orszulik, biskup Tadeusz Gocłowski, niekiedy też ks. Bronisław Dembowski.

W czasie rozmów przedstawiciele władz, Kościoła i opozycji doszło do bardzo niepokojących wydarzeń. W dniu 21 I 1989 r. na plebanii kościoła św. Karola Boromeusza w Warszawie został zamordowany ks. prałat Stefan Niedzielak. Dziesięć dni później zabito 31 – letniego białostockiego ks. Stanisława Suchowolca, któremu urządzono w mieszkaniu komorę gazową. Obaj duchowni byli zaangażowani politycznie. Ksiądz Niedzielak założył Sanktuarium Polaków Poległych na Wschodzie, natomiast ks. Suchowolec był powiązany z Konfederacją Polski Niepodległej. Obydwaj otrzymywali pogroźki, aż zostali zamordowani w przeddzień obrad ”okrągłego stołu”. Niedługo potem w zagadkowych okolicznościach zginął ks. Sylwester Zych; w tym czasie był na wolności po wyjściu z więzienia.

Były Minister Spraw Wewnętrznych Antoni Macierewicz, któremu nie udało się wyjaśnić tych zabójstw, oceniał tamtą sytuację jako pewną prawidłowość trwającą w Polsce od 20 lat, „charakteryzującą się tym, że w statystycznej dużej liczbie napadów i rozbojów na księży i plebanie co pewien czas giną księża, którzy mają szczególny wpływ na wiernych i duży prestiż.”⁸¹

Podczas kolejnego kryzysu w rozmowach 2 III 1989 r. biskup Tadeusz Gocłowski poinformował zebranych, że Ojciec Święty Jan Paweł II powiedział prywatnie do biskupów:

„To, co rozwiąże problemy, to właściwe funkcjonowanie państwa; jego słu-

⁸⁰ Ibidem, s. 44

⁸¹ Jacek Kurski, Piotr Semka „Lewy czerwcowy” Warszawa, 1992, s.205

żebna rola wobec Narodu. Przy okrągłym stole chodzi nie o rejestrację „Solidarności”, lecz o upodmiotowienie Narodu. (...)”⁸²

Było to stanowisko, które można określić jako ”maksymalistyczne”. Zakładało ono, że głównym celem nie jest jakieś rozwiązanie cząstkowe, lecz pełna niepodległość Polski.

Papież zachował niezachwianą wiarę w zwycięstwo „Solidarności”. Nawet wtedy, kiedy w polskim Kościele pojawiły się opinie, że rozdział „Solidarności” należy zamknąć. Jan Paweł II nie zamknął tego rozdziału nigdy. To stanowisko miało decydujący wpływ na Episkopat Polski. Charakterystyczne, że gdy w organie prasowym Watykanu „L'Osservatore Romano” ks. Levi, zastępca redaktora naczelnego, napisał iż czas „Solidarności” minął, musiał za to zapłacić swoją dymisją.⁸³

Episkopat przez cały czas rozmów ”okrągłego stołu” pozostawał w cieniu. Aktywnie uczestniczył w procesie przygotowawczym i w czasie kameralnych rozmów w Magdalence. Jednak ewentualność udziału biskupów w oficjalnych rozmów ”okrągłego stołu” nie została zaakceptowana przez Episkopat. Ostatecznie w czasie obrad plenarnych Kościoła reprezentowali dwaj księża – Alojzy Orszulik i Bronisław Dembowski – którzy formalnie byli obserwatorami pełnomocnionymi przez Prymasa Polski.

5 IV 1989 r. odbyło się ostatnie plenarne posiedzenie, które miało zakończyć obrady po nieprzewidzianym incydencie z delegacją OPZZ, której przedstawiciel zażądał możliwości wygłoszenia przemówienia poza ustaloną kolejnością, gdy przewodniczący obu stron – Lech Wałęsa i gen. Czesław Kiszczak – podali sobie ręce, a generał wziął rękę stojącego w pobliżu ks. Alojzego Orszulika i położył ją na wierzchu ze słowami: „Niech Kościół błogosławi ten pakt.”, przez co uznał rolę Kościoła...⁸⁴

⁸² Krzysztof Dubiński „Magdalena...” op.cit., s. 68

⁸³ „Geremek opowiada...” op.cit., s. 177 Ksiądz Levi w swoim artykule z czerwca 1983 r. stwierdził m.in. „Lech Wałęsa raz jeszcze opuszcza scenę, możemy powiedzieć, że przegrał swą walkę...Niekiedy konieczne jest złożenie w ofierze niewygodnych osób, aby mogło z tego wyniknąć większe dobro dla wszystkich... Uczcijmy ofiarę Wałęsy.” Hansjakob Stehle „Tajna dyplomacja Watykanu”; s.316, Warszawa 1993

⁸⁴ Jerzy Gruca „Spór o...” op.cit., s. 62

Do Komisji Porozumiewawczej nadzorującej wykonanie postanowień „okrągłego stołu” ks. Orszulik już nie wszedł, gdyż został mianowany zastępcą Sekretarza Episkopatu Polski. Jego miejsce zajął ks. Edward Sobieraj z Sekretariatu Episkopatu Polski. Do komisji wszedł również ks. Bronisław Dembowski.

Adam Michnik ocenił obrady „okrągłego stołu” w ten sposób, że mogło do nich dojść tylko dlatego, że Kościół oświadczył, iż nie jest powołany do tego, aby zastępować społeczeństwo.⁸⁵

21 IV 1989 r. Krzysztof Leski, dziennikarz podziemnego „Tygodnika Mazowsze”, autor publikacji „Coś, rzecz o Okrągłym Stole”, tak oceniał wynik obrad:

„(...) Kontrakt OS jest krytykowany przez wiele ugrupowań niezależnych i część prasy II obiegu. I trudno się dziwić, gdyż nie stworzył im pełni warunków niezbędnych dla legalnej, a przynajmniej bezpiecznej i niezakłóconej działalności.

Ale to, co wkrótce powinno stać się faktem, rok temu było absurdalną mrzonką. Legalna „Solidarność” pracownicza i rolnicza oraz NZS, wolność tworzenia stowarzyszeń, w znacznej mierze niezawisłe sądy. A także „Tygodnik Solidarność”, przynajmniej kilka pism regionalnych i – oby – opozycyjna gazeta codzienna, przecież pierwsza w Europie Wschodniej. I jeszcze 100, może 150 niezależnych posłów w Sejmie, i senat z wyborów najbardziej wolnych od 40, jeśli nie ostatnich 60 lat, bo ograniczonych tylko pośpiechem. A także nadzieja na zlikwidowanie stanu totalnej niemożności w gospodarce, szkolnictwie, opiece zdrowotnej. Niewątpliwie po wyborach będę mądrzejszy, dziś chcę wierzyć, że warto było.”⁸⁶

17 IV 1989 r. Sąd wojewódzki w Warszawie zarejestrował NSZZ „Solidarność” – ogólnokrajowy związek zawodowy z siedzibą w Gdańsku. Obecni na sali działacze Związku podkreślali, że istnieje on nieprzerwanie od 1980 r., a ponowna rejestracja jest tylko wywalczonym ustępstwem ze strony władz.

⁸⁵ Ibidem, s.62

⁸⁶ Krzysztof Leski „Coś, rzecz o Okrągłym Stole” Warszawa, s. 19–20

Dwa dni po rejestracji „Solidarności” Lech Wałęsa, przewodniczący Związku, w towarzystwie żony Danuty oraz doradców Związku – Bronisława Geremka, Tadeusza Mazowieckiego, Witolda Trzeciakowskiego i biskupa Tadeusza Gocłowskiego udali się do Watykanu, do Jana Pawła II.

Lech Wałęsa tak określił cel tej wizyty:

„(...) podziękowanie Papieżowi (Kościołowi), że o nas nie zapomniał, że nieustannie mówił o ideałach, które pozwoliły nam przetrwać i doczekać finału komunizmu. Kończy się walka, rozpoczyna się praca, prosić będziemy o błogosławieństwo na dalszą drogę. (...)”⁸⁷

Tego samego dnia na cotygodniowej audyencji generalnej Papież mówił:

„Zwracałem się w każdą środę po 13 grudnia 1981 roku do Matki Boskiej, polecając tamten trudny okres naszej współczesności. Dziś pragnę podziękować Tobie, Matko, za wszystko dobre, które wśród doświadczeń wykiełkowało w tym okresie. Polecam Twojej macierzyńskiej opiece „Solidarność”, która znowu może działać po ponownej legalizacji w dniu 17 kwietnia 1989 roku. Polecam idący w parze z tym wydarzeniem proces, który zmierza do ukształtowania życia narodowego w sposób zgodny z prawami suwerennego społeczeństwa.”⁸⁸

20 IV 1989 r. Papież przyjął Lecha Wałęsę z żoną, później zaś całą delegację, na audyencji. To właśnie wtedy Papież powiedział do ekipy telewizyjnej z Gdańska: „Jesteście z Gdańska? Pamiętam. Światło przychodzi z Gdańska ...”⁸⁹

17 V 1989 r. jeszcze komunistyczny Sejm, zgodnie z ustaleniami „okrągłego stołu”, uchwalił „ustawę o stosunku państwa do Kościoła katolickiego w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Przywracała ona osobowość prawną Kościołowi po 44 latach od formalnego wypowiedzenia przez Tymczasowy Rząd

⁸⁷ Lech Wałęsa „Droga do...” op.cit., s. 124–125

⁸⁸ Ibidem, s. 126

⁸⁹ Ibidem, s. 128

Jedności Narodowej konkordatu w 1945 r. Przeglęsoiwano wówczas również dwie inne ustawy równoległe, regulujące korzystnie dla wspólnoty kościelnej większość spornych dotąd problemów (ubezpieczenia dla duchownych, uprawnień dla uczelni katolickich).

17 VII 1989 r. rząd polski nawiązał pełne stosunki dyplomatyczne ze Stolicą Apostolską.

26 IX 1989 r. Papież mianował Polaka ks. Prałata Józefa Kowalczyka z Sekretariatu Stanu, kierującego od wielu lat sekcją polską w Watykanie, nuncjuszem apostolskim w Polsce.⁹⁰

4 VI 1989 r. w Polsce odbyły się wybory do Sejmu i Senatu. Zgodnie z umową "okrągłego stołu" wybory do Sejmu były częściowo wolne, gdyż opozycja mogła walczyć tylko o 35 % miejsc, za to przeprowadzono całkowicie wolne wybory do Senatu. Około 1/3 kandydatów deklarowała swoje związki z instytucjami Kościoła katolickiego.⁹¹ Jednak wśród kandydatów Komitetu Obywatelskiego nie było przedstawicieli ze wszystkich środowisk opozycyjnych (zabrakło, np. ludzi z KPN, czy z „Solidarności Walczącej”). Spowodowało to konflikt w samym Komitecie, w wyniku którego w wyborach nie kandydowali tacy politycy jak Tadeusz Mazowiecki i Jan Olszewski.

W kampanię wyborczą zaangażował się również Kościół, przede wszystkim na szczeblu parafii, gdzie umożliwiano zbieranie podpisów dla kandydatów, informowano i zachęcano do udziału w spotkaniach przedwyborczych, udostępniano na nie sale lub kościoły. Czasami nawet bezpośrednio agitowano na rzecz "swoich" kandydatów.

Tak bezpośrednie zaangażowanie się wielu księży w wybory spowodowało cierpką uwagę Prymasa – miał powiedzieć: „Ja nie poznaję swoich kapłanów, nie wiem co w nich weszło.”⁹²

Wypowiedź ta była wyrazem pewnej tendencji, która wyraźnie zaznaczyła

⁹⁰ Jerzy Gruca „Spór o...” op.cit., s. 16–18

⁹¹ Lech Wałęsa „Droga do...” op.cit., s. 142

⁹² Andrzej Czywczyk, Joanna Śmigiełska „Poza Solidarnością, partie prawicowe w wyborach samorządowych” W „Pierwszy krok do Europy. O komitetach obywatelskich, partiach politycznych i wyborach” Zbiór artykułów pod red. Sergiusza Kowalskiego. Warszawa 1990, s. 148

się w polskim Kościele. Nastąpił bowiem w politycznej praktyce rozdźwięk między Episkopatem, który jest bardzo wyważony w swoich komunikatach i sądach, a „luzem” panującym w parafiach. W przeszłości parafie były bardziej zdyscyplinowane i realizowały założenia przełożonych, w nowej sytuacji politycznej każdy proboszcz mógł prowadzić własną politykę, która oczywiście nie mogła być sprzeczna z generalną linią Episkopatu.

To właśnie dzięki pomocy Kościoła opozycja odniosła w wyborach przyniatające zwycięstwo – uzyskała wszystkie wolne miejsca w Sejmie oraz 99 na 100 miejsc w Senacie.

Przedstawiciele władz analizując klęskę swoich kandydatów podkreślali rolę, jaką w kampanii wyborczej odegrał Kościół. W poufnym materiale przeznaczonym dla członków Biura Politycznego KC PZPR stwierdzono między innymi:

„W planowaniu i realizacji kampanii popełniono kilka ważnych błędów. Po pierwsze sformułowano mylne przewidywania co do zachowania się Kościoła w trakcie akcji wyborczej – opierając się na informacjach o neutralnej postawie Episkopatu i na ogólnej ocenie Kościoła jako instytucji rozsądnej i odpowiedzialnej przyjęto, że czynne zaangażowanie Kościoła po stronie opozycji będzie zjawiskiem sporadycznym. Praktyka zaprzeczała tym przewidywaniom – okazało się, że parafie niemalże powszechnie włączyły się w kampanię na rzecz kandydatów opozycji. Udział parafii nie tylko stworzył opozycji infrastrukturę organizacyjną, której nie posiadała w większości okręgów, ale ponadto był potężnym czynnikiem wpływu na opinie i postawy wyborców.”⁹³

Tak wielki sukces spowodował istotną zmianę sytuacji politycznej. Opozycja, która po wyborach zamierzała wpływać na władze z pozycji przeciwnych, pozarządowych, została niejako zmuszona do utworzenia rządu z „solidarnościowym” premierem na czele. Dał temu wyraz w dniu 4 VII 1989 r. Adam Michnik w artykule „Wasz prezydent, nasz premier”, zamieszczonym w „Gazecie Wyborczej”.

⁹³ „Tajne dokumenty Biura Politycznego w Sekretariatu KC. Ostatni rok władzy 1988–1989”, oprac. S. Perzykowski, op.cit., s. 449

19 VII 1989 r. zgodnie z ustaleniami "okrągłego stołu" prezydentem został wybrany gen. Wojciech Jaruzelski, który w Zgromadzeniu Narodowym uzyskał akceptację dzięki ośmiu posłom i senatorom „Solidarności”, którzy oddali na niego nieważne głosy.

W tej sytuacji do akcji wkroczył Lech Wałęsa; upoważnił Jarosława Kaczyńskiego do przeprowadzenia rozmów na temat utworzenia rządu. Najpoważniejszymi kandydatami na urząd premiera byli wtedy Bronisław Geremek i Tadeusz Mazowiecki. O tym, że kandydatem „Solidarności” został Tadeusz Mazowiecki zdecydowało między innymi poparcie Kościoła. Tak o tym mówi Jarosław Kaczyński:

„(...) Było też wiadome, że Mazowiecki spodoba się Kościołowi i grało to pewną rolę. W oczach Wałęsy był to poważny atut. (...) Geremka gorzej przyjąłby Kościół, ale w oczach Wałęsy zupełnie zgubiła go koncepcja koalicji z PZPR. (...)”⁹⁴.

Koncepcji koalicji z "reformatorami" z PZPR Wałęsa przeciwstawiał koncepcję koalicji „Solidarności”, ZSL i SD.

17 VIII 1989 r. Wałęsa spotkał się z Prymasem Glempem.

21 sierpnia prezydent Jaruzelski desygnował na premiera Tadeusza Mazowieckiego. 24 sierpnia Sejm powołał Tadeusza Mazowieckiego na premiera.

16 IX 1989 r. odbyła się kolejna pielgrzymka ludzi pracy do Częstochowy. Biskup Tadeusz Gocłowski w kazaniu powiedział:

„(...) rząd i parlament mogą wiele zdziałać, ale naprawa narodu, jego tkanki moralnej musi sięgać głębiej. To jest zadanie dla Kościoła i „Solidarności”⁹⁵

Dobiegała końca szczególna rola Kościoła jako pośrednika między drugim obiegiem, a komunistyczną władzą.

⁹⁴ „Odrotna strona medalu. Z Jarosławem Kaczyńskim rozmawia Teresa Bochwic”; s. 46–47, Warszawa 1991

⁹⁵ Lech Wałęsa „Droga do...” op.cit., s. 157

Z WOJCIECHEM GAWKOWSKIM ROZMAWIA PIOTR PLEBANEK

„Rewolucja bez rewolucji „ – ten logiczny wywód dojścia Polski do niepodległości przekonał mnie do tej idei

Patriotyzmem zostałem zaszczepiony przez babcię i dziadka, rodziców mojej mamy, babcia i dziadek walczyli na północnym Mazowszu w Armii Krajowej, a następnie w podziemiu antykomunistycznym u Łupaszki. Babcia była łączniczką u „Huzara”, czyli majora Kamieńskiego. W roku 1953 babcia i dziadek poszli do więzienia. Wyszli w 1956 r., stracili cały swój majątek. Przenieśli się do Warszawy, tutaj ciągnie się dalej historia naszej rodziny. Mieszkaliśmy z rodzicami u babci i dziadka na Białolęce w Henrykowie. Babcia opowiadała mi o swojej działalności w AK i podziemiu antykomunistycznym, następnie o torturach, byciu w więzieniu. Od tego się to wszystko zaczęło. W szkole podstawowej, w pierwszej klasie opowiadałem swojemu koledze o pochodzie pierwszomajowym. Mówiłem koledze, że chcę pójść na ten pochód zobaczyć na żywo przywódców komunistycznych, chcę zobaczyć «te komunistyczne mordy». Moja wychowawczyni bardzo się zdenerwowała, nawet zamierzała wezwać rodziców, ale jakoś się to rozeszło po kościach. W szkole podstawowej czytałem różne książki, m.in. przywiezione przez mojego tatę z zagranicy książkę o zbrodni katyńskiej. Zrobiła ona na mnie wielkie wrażenie. W liceum przeżywałem okres „Solidarności”, w pierwszej klasie założyłem Koło Historyczne im. Piłsudskiego. Pamiętam, jak przyjeżdżałem do siedziby regionu „Mazowsze” na ulicę Mokotowską. Widziałem m.in. facetów w panterkach, oficerkach - to robiło niesamowite wrażenie, atmosfera jak przed powstaniem. Potem nastąpił stan wojenny. Uważałem wtedy i powiedziałem tacie, że jeżeli

kraju nie ogarnie strajk powszechny, generalny to wszelkie strajki lokalne są skazane na klęskę, a nawet będą krwawo stłumienie, w związku z tym należy przejść do konspiracji. Dlatego też zlikwidowałem działalność Młodzieżowego Koła Historycznego im. Piłsudskiego i wspomagałem „Solidarność” w różnych działaniach m.in. mojego tatę, który działał w podziemiu przez jakiś czas. Potem zaczęły się studia na Wydziale Prawa i Administracji. Poznałem wtedy śp. Staszka Mazurkiewicza, on mnie zafascynował KPN-em. Rozmawialiśmy o polityce i on dał mi „Rewolucję bez rewolucji” Laszka Moczulskiego; był to rok 1985 lub 1986. Staszek sympatyzował z Konfederacją od 1980 roku, formalnie wstąpił w jej szeregi w 1986, razem z całą naszą czwórką na wydziale prawa.

Książka „Rewolucja bez rewolucji” „zachwyła mnie – ten logiczny wywód dojścia Polski do niepodległości całkowicie przekonał mnie do tej idei. Postanowiliśmy już nawiązać formalny kontakt z KPN-em. Ja, Staszek Mazurkiewicz, Krzysztof Zalewski i Krzysztof Pernach, wprowadziliśmy naszą Akademicką Organizację „Orzeł Biały” do KPN i powstała Akademicka Organizacja KPN „Orzeł Biały”. Przysięgę złożyliśmy w grudniu 1986 roku w mieszkaniu Krzysztofa Króla na ulicy Lumumby. Zaczęliśmy przyjmować nowych członków do organizacji „Orzeł Biały”, której szefem był Staszek Mazurkiewicz. Zaczęliśmy wydawać pismo „Orzeł Biały”, której ja byłem redaktorem naczelnym. Funkcjonowaliśmy w strukturach warszawskiego okręgu KPN, działalność rozwijała się prężnie. W miarę upływu czasu przejęliśmy kierownictwo okręgu warszawskiego KPN – Staszek został szefem a ja jego zastępcą. Przyjmowaliśmy nowych członków, przyłączyło się do nas kilka organizacji młodzieżowych Staszek odpowiadał za sprawy polityczne oraz zajmował się kolportażem na cały kraj. Ja odpowiadałem za sprawy organizacyjne i wspólnie stworzyliśmy – myślę, że jeden z najsprawniejszych i najsilniejszych okręgów w Polsce. Byliśmy ze Staszkiem i Krzysztofem Zaleskim członkami struktury ogólnokrajowej, która nazywała się Kierownictwo Akcji Długofalowej i Planowania Politycznego (obok Centralnego Kierownictwa Akcji Bieżącej). Była też Grupa Polityczna „Niezawisłość» z Michałem Janiszewskim, który był chyba głównym drukarzem KPN-u w kraju. On zetknął się z KPN-owcami w więzieniu i zaraził go ideą. Spotykaliśmy się w mieszkaniach prywatnych, głównie na ul. Angorskiej

w mieszkaniu Staszka. Redakcja „Orla Białego” spotykała się w kawiarniach, np. „Nowy Świat” czy na Starówce. Były też spotkania w kościele Świętej Trójcy, gdzie w 1988 roku Staszek Mazurkiewicz został wybrany na szefa Okręgu (jego kontrkandydatem był Bogdan Koźmiński, dotychczasowy szef Obszaru). Był to czas, kiedy w związku z napływem nowych członków zaistniała możliwość i potrzeba powołania szefa okręgu warszawskiego (przedtem tę funkcję pełnił szef obszaru). Była grupa kilkunastu ludzi zwana „Starym KPN-em”; my wymagaliśmy od nich tylko płacenia składek, udziału w manifestacjach i uroczystościach patriotycznych. Oni natomiast uważali się – tak to wówczas odbierałem – za coś w rodzaju gwardii Moczulskiego. Chyba w 1988 roku Krzysiek Król zaproponował nam przejęcie warszawskiego NZS-u razem z tzw. prawniczym odłamek NZS-u tzn. z Ryszardem Czarneckim i Wojtkiem Bogaczykiem. Ja byłem przeciwny temu pomysłowi, ale taki był rozkaz. Nic z tego nie wyszło, bo było nas po prostu za mało i tylko się skonfliktowaliśmy z NZS-em. Czołowi działacze NZS-u w Warszawie wtedy to Mariusz Kamiński i Andrzej Anusz. W latach 1988–89 było szereg manifestacji z udziałem KPN-u. W lutym lub w marcu 1989 zostałem zatrzymany i przesiedziałem kilka godzin w areszcie. Byłem już po lekturze „Małego Konspiratora”, więc odmówiłem wszelkich zeznań, a nawet podpisania protokołu. Młody SB-ek straszył mnie wyrzuceniem z okna Pałacu Mostowskich, ale ja z tego poradnika znałem już ich metody. Jesienią 1989 roku zajęliśmy Pałac Sobańskich, siedzibę PRON-u. (Coś więcej, ile osób, kto kierował akcją itp.) Zapamiętałem tylko osobę Cioska - zachowywał się bardzo spokojnie. W roku 1990 wystąpiłem z Konfederacji. Chciałem być lojalny wobec Staszka Mazurkiewicza, którego wtedy usunięto z KPN-u. Staszek był za poparciem w wyborach prezydenckich Lecha Wałęsy, który był wtedy na fali wznoszącej, a Konfederacja – opadającej. Gdybym wtedy nie odszedł – pewnie odszedłbym w 1992 roku, ponieważ byłem za poparciem rządu Olszewskiego.

Wojciech Andrzej Gawkowski, ur. 24 I 1966 roku w Warszawie. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, Wydz. Prawa i Administracji (1991).

1985–1989 kolporter na UW podziemnych pism (m.in. „Tygodnik Mazowsze”, „PWA”, następnie „Orzeł Biały”, pisma KPN, książki). XII 1986 – IV 1987

współzałożyciel, z-ca przewodniczącego Organizacji Akademickiej Orzeł Biały. 1987–1989 współzałożyciel, autor, redaktor naczelny „Orla Białego”, 1987–1988 organizator pracy redakcji, sprzętu, transportu i lokali, redaktor techniczny; 1987–1990 autor i redaktor „Gazety Polskiej”. IV 1987–1990 członek KPN. 1987–1989 z-ca przewodniczącego, 1989-1990 przewodniczący Organizacji Akademickiej KPN Orzeł Biały, z-ca szefa Okręgu I Warszawskiego KPN; 1988-1990 członek Centralnego Kierownictwa Akcji Bieżącej KPN (szef Wydziału Kontaktów Zagranicznych), uczestnik kongresów KPN. III 1988–1991 w NZS UW, w III 1988 uczestnik strajku; współorganizator manifestacji (m.in. 21 II 1989 w sprawie wolnych wyborów).

Od 26 V 1989 do 17 II 1990 rozpracowywany przez Wydż. III-2 SUSW w ramach KE krypt. Gaw.

WAŻNE TEKSTY OPOZYCJI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ Z CZASÓW PRL

Redakcja „Opinii” zdecydowała się przypomnieć najważniejsze teksty działaczy związanych z opozycją niepodległościową powstałe w czasach PRL. Chodzi o wypełnienie luki, która powstała obecnie w związku z dużą dostępnością publicystyki zawartej w paryskiej „Kulturze”, która była związana z jednym tylko środowiskiem politycznym.

Zaczynamy do tekstów napisanych przed Sierpnem przez liderów Konfederacji Polski Niepodległej. Są one przedstawione w porządku chronologicznym.

„Memoriał” Leszka Moczulskiego z grudnia 1976 roku był skierowany do ówczesnych władz PRL, ale był także znany w kręgach opozycji przedsierpniowej (kilkakrotnie polemizował z „Memoriałem” Jacek Kuroń, m.in. na łamach paryskiej „Kultury”). Ten obszerny tekst podzieliliśmy na rozdziały, którym nadaliśmy tytuły, pozwalające szybciej zorientować się w treści poszczególnych fragmentów. Początkowe fragmenty tekstu zawierają analizę sytuacji i zapowiedź nadchodzącego, głębokiego kryzysu politycznego (na niespełna 3 lata przed Sierpnem!). Na szczególną uwagę zasługuje - naszym zdaniem – fragment „Memoriału” oznaczony jako rozdział 9., który zawiera postulat nieformalnego porozumienia się władzy z opozycją, dotyczącego wzajemnego wyrzeczenia się przemocy w walce politycznej. Pomijając okres stanu wojennego (1981–1982) zasada ta była w zasadzie respektowana przez obie strony do końca PRL. Zapewne przyczyniły się do tego także argumenty przedstawione w „Memoriale”, który - jak dziś wiemy - był analizowany przez kierownictwo PZPR.

Analiza Tadeusza Stańskiego „ZSRR: mocarstwo nierozwiązanych problemów” z 1978 roku stała się ważnym elementem formowania programu KPN. Wszak punktem wyjścia dla rozpoczęcia jawnej działalności niepodległościowej była odpowiedź na pytanie, jak zareagują Sowieci – „Wejdą czy nie wejdą?”. Przekonująco (i – jak dziś wiemy – trafnie) uzasadniona teza Stańskiego, wedle której interwencja sowiecka w PRL była w tamtym czasie mało prawdopodobna, stała się „kamieniem węgielnym” programu niepodległościowego. Wielokrotnie powtarzana przez kolejne 10 lat (poczynając od „Rewolucji bez rewolucji” z 1979 roku) teza ta obalała główny argument opozycji ugodowej. Opozycja ta rezygnowała z programu niepodległościowego głównie dlatego, iż uważała, że próba jego realizacji spowoduje nieuniknioną sowiecką interwencję. Przekonanie to umacniała propaganda PRL.

„Polityka i uczciwość” Romualda Szeremietiewa z czerwca 1980 roku stanowi zebranie i podsumowanie sporów i dyskusji politycznych związanych z utworzeniem, 1 września 1979 roku, Konfederacji Polski Niepodległej. Autor opisuje genezę KPN (podkreślając, że prace nad utworzeniem niepodległościowej partii politycznej trwały w konspiracji od 1974 roku), przedstawia reakcję na powstanie KPN w środowiskach opozycyjnych a następnie omawia i zbija argumenty „lewicy laickiej” formułowane przeciwko KPN w kraju i na emigracji.

Memoriał (1976)

Zamiast komentarza

Leszek Moczulski: *Pracowałem nad tym tekstem jeszcze w czasie Świąt Bożego Narodzenia i zaraz po świętach Zbyszek Załuski zaniósł oryginał do KC. Tekst był antydatowany, tak aby data odpowiadała dacie jakiejś korespondencji między Piłsudskim a Dmowskim (do czego nawiązuję w treści tego dokumentu). Jak wynika z jednej z książek gen. Jaruzelskiego¹ ten tekst w KC został powielony i został przekazany członkom Biura Politycznego, którzy go studiowali, ale nie było żadnej odpowiedzi. Nikt z władz nie podjął ze mną żadnych rozmów na ten temat.*

„Memoriał” przepisałem w kilku egzemplarzach na mojej maszynie domowej². Pierwszą kopię dostał Jacek Kuroń³, który skierował ją do publikacji (Mirek Chojecki wydrukował to w dość dużym nakładzie). Drugą kopię dałem Pluta-Czachowskiemu. Trzecią miałem u siebie w domu i w czasie jakiejś rewizji mi ją zabrano.

¹ „Na początku 1977 r. do kilku członków ówczesnego kierownictwa państwa trafił 35-stronicowy dokument, zatytułowany „Memoriał” – z datą 21 grudnia 1976 r., a więc już po wydarzeniach w Radomiu i Ursusie firmowany przez Leszka Moczulskiego. Wydał mi się poważny, interesujący. Krytycznie ocenił system sprawowania władzy, przedstawiając opozycyjne, ale konstruktywne propozycje. Moczulskiemu chodziło m.in. o to, aby procesy polaryzacji „nie zostały zdominowane przez zjawiska żywiołowe”, aby „zmiany między biegunem władzy a społeczeństwem” dokonywały się w procesie ewolucyjnym”. W. Jaruzelski, *Stan wojenny. Dlaczego...*, Warszawa 1992, s. 162

² Oryginał tego maszynopisu (z kilkoma skserowanymi stronami w miejsce oryginalnych), podpisany własnoręcznie przez Leszka Moczulskiego jego imieniem i nazwiskiem, znalazł się w teczkę personalnej TW „Lech”. Z treści tej teczki wynika, że Leszek Moczulski przekazał ten maszynopis płk. Andrzejowi Majowi – Naczelnikowi Wydziału III KSMO. W czasie procesu lustracyjnego Leszek Moczulski zaprzeczył, aby przekazał maszynopis Majowi i potwierdził, że przekazał tekst władzom PRL za pośrednictwem swojego znajomego, członka KC PZPR, literata Andrzeja Załuskiego.

³ Jacek Kuroń kilkakrotnie nawiązywał do treści „Memoriału” w swoich tekstach, zob. np. *Uwagi o strukturze ruchu demokratycznego* ([w] Kuroń. *Opozycja. Pisma polityczne 1969-1989*, Warszawa 2010, s. 101 i nast.), *Zasady ideowe* (tamże, s. 123 i nast.) oraz *Drogi i podziały* (paryska *Kultura*, 1-2/1979, s. 178 i nast.).

Spis treści (numeracja i tytuły pochodzą od Redakcji):

Celem minimum władzy i opozycji jest ograniczenie społecznych kosztów przemian;

1. Trwa kryzys PRL i równocześnie wzrasta siła społeczeństwa.
2. Ustrój polityczny PRL jest archaiczny w stosunku do poziomu rozwoju społeczeństwa.
3. Żywiłowe powstawanie ośrodków niezależnej myśli jest zjawiskiem naturalnym.
4. Sterowanie procesem polaryzacji wymaga, aby powstał opozycyjny ośrodek dyspozycji.
5. Procesu polaryzacji władza nie zdoła powstrzymać ani środkami policyjnymi ani politycznymi.
6. Władza ma trzy możliwości dalszego działania, aby kontrolować rozwój sytuacji w kraju Władza i opozycja – nie zaprzestając walki politycznej – muszą znaleźć modus Vivendi.
8. Wzajemne stosunki powinny zostać ułożone nie na drodze bezpośredniego porozumienia, ale metodą pośrednią, w oparciu o cztery zaproponowane zasady.
9. W obliczu nadchodzących ważnych wydarzeń przywódcy władzy i opozycji powinni wnieść się ponad partykularne interesy.

1. Celem minimum władzy i opozycji jest ograniczenie społecznych kosztów przemian

Właściwa treść niniejszego memoriału musi być poprzedzona generalną oceną aktualnej sytuacji, a także analizą przyczyn powodujących obecny kryzys, warunkujących poczynania władz oraz rodzenie się sił opozycyjnych; jest to tym bardziej konieczne, że stwierdzenia zawarte we wstępnych partiach tekstu stanowią główną argumentację na rzecz przedstawionych dalej tez.

Punktem wyjścia rozważań jest przyjęcie pewnego celu minimum, który – jak się zdaje – może być zaakceptowany przez wszystkich myślących Polaków. Cel ten sformułować można następująco: procesy nieodzownych i nieuniknio-

nych przemian wewnętrznych w Polsce winny być sterowane w taki sposób, aby można je było osiągnąć jak najmniejszym kosztem, zarówno w kategoriach społecznych, jak jednostkowych, zwłaszcza w takich dziedzinach jak prestiż państwa na arenie międzynarodowej i wewnętrznej, godność narodu, władzy i człowieka, interes gospodarki narodowej, nieprzerwane i niezakłócone działanie wszelkiego szczebla i charakteru ośrodków dyspozycji politycznej, społecznej, gospodarczej i innych. Maksymalne ograniczenie kosztów – ekonomia przemian wymaga, aby przekształcenia następowały w sterowanym procesie ewolucyjnym, a więc przy eliminacji wszelkiego rodzaju gwałtownie rozwijających się napięć i eksplozji społecznych, przy sprowadzeniu do najwyższego poziomu zjawisk żywiołowych, przez nikogo (nikogo! – nie tylko przez władzę) nie kontrolowanych.

Ewolucyjny proces przemian sterowany i prowadzony być musi przez wyłącznie polskie ośrodki dyspozycji, przy czym, o ile możliwe, a nawet konieczne i pożądane są uzgodnienia dokonywane wewnątrz obozu, a zwłaszcza w ZSRR, o tyle wykluczyć należy jakikolwiek wpływ niepolskich ośrodków spoza obozu, także wpływ zachodnich ośrodków socjalistycznych i komunistycznych. Nabrzmiałe obecnie problemy mogą być rozwiązane tylko we wspólnym działaniu Polaków z Polakami.

2. Trwa kryzys PRL i równocześnie wzrasta siła społeczeństwa

Nie należy sobie mydlić oczu, że obecny stan PRL, nawet z pominięciem zagadnień rynkowych, jest doskonały, a podejmowane ostatnio i obecnie kroki władz, w rodzaju manewru środkami inwestycyjnymi, mogą doprowadzić do radykalnego, poprawienia sytuacji gospodarczej. Podobnie, jak (hipotetyczny) wyraźny postęp w gospodarce, będzie w stanie tylko złagodzić, ale nie zlikwidować, napięcia polityczno-społeczne. Mamy do czynienia z wyraźnym, głębokim kryzysem państwowym, przy czym nie jest to kryzys socjalizmu w Polsce (choć niektórzy gotowi są w to uwierzyć), lecz kryzys przeżytych już form realizacji zasad socjalistycznych.

Poważną część winy – a w odczuciu społecznym główną odpowiedzialność za aktualny stan rzeczy ponosi obecne kierownictwo PZPR. W rzeczywistości jednak winą tą, być może w znacznie większym stopniu, obciąża poprzednie

kierownictwo tzw. gomulkowski, a także kierownictwo tzw. bierutowski. Stan obecny jest efektem narosłych od dziesięcioleci błędów i pomyłek, najogólniej mówiąc rabunkowego eksploataowania politycznego, społecznego, ideowego, moralnego i materialnego potencjału państwa i narodu.

Zwykły obiektywizm wymaga, aby stwierdzić, że w minionych dziesięcioleciach nastąpił olbrzymi postęp we wszystkich dziedzinach, przy czym najbardziej dynamiczne pozytywne procesy gospodarcze przebiegały w pierwszej połowie lat 70-tych. To prawda – ale nie wolno zapominać, że gigantyczna skala tego postępu – efektu pracy i wyrzeczeń przetwarzającego się wewnątrz-nie narodu – powiększa jeszcze bardziej i dramatyzuje aktualny stan kryzysowy. Gdybyśmy dzisiaj dopiero osiągnęli taką skalę postępu, jaką uzyskano w drugiej połowie lat 50-tych aktualny kryzys byłby o wiele, może parokroć, słabszy.

Występujący obecnie kryzys jest wszechogarniający, dotyczy w równej mierze dziedzin politycznych, ideowo – moralnych, społecznych, kulturowych i gospodarczych, gdy demonizowane niesłusznie zjawiska rynkowe stanowią jedynie jego nie najważniejszy symptom.

Skala obecnego kryzysu jest tym większa, że zderzają się obecnie dwa przeciwstawne procesy:

1) właściwy kryzys form i metod realizacji zasad ustrojowych, spowodowanych głównie rabunkową eksploatacją potencjału państwa i narodu w ich najistotniejszych dziedzinach;

2) osiągnięcie wysokiego poziomu rozwoju społecznego i siły narodu.

Ten drugi punkt wymaga szerszego wyjaśnienia. W ciągu minionych trzydziestu lat rozwój społeczeństwa polskiego koncentrował się na kilku węzłowych procesach:

a) odbudowa biologiczna narodu. Od chwili zakończenia wojny liczebność społeczeństwa polskiego wzrosła o 50%, co oznacza, że w zbliżonym stosunku wzrosła siła narodu. Natomiast siła władzy w relacji do społeczeństwa uległa nie zwiększeniu, a osłabieniu;

b) proces przemian socjalistycznych. Na miejsce starego podzielonego na klasy i warstwy narodu – pojawiło się nowe, w zasadzie jednolite, zespolone społeczeństwo. Nadal wprawdzie występują przeróżne podziały, lecz są one nieporównywalne z dawnymi. Ten proces zjednoczenia socjalnego doprowa-

dził do trudnego do przecenienia wzrostu siły wewnętrznej narodu – w każdej relacji, także między rządzonymi a władzą;

c) proces odbudowy więzi społecznych. Podczas wojny i zaraz po niej wskutek masowych migracji ok. połowy Polaków zostało wytrąconych ze środowisk, w których żyli, przeniesionych na nowe miejsca osiedlenia, do nowych środowisk – niespójnych, bo zbudowanych ze zatomizowanych, wyrwanych ze swego otoczenia jednostek. Spowodowało to obiektywne osłabienie społecznej siły samoorganizacyjnej narodu. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza więzi społeczne zostały wytworzone na nowo, co spotęgowało społeczną siłę samoorganizowania;

d) zanik psychospołecznych skutków terroru. Począwszy od jesieni 1939r. naród polski poddany został wzrastającemu terrorowi, który obok strat bezpośrednich w ogromnej części społeczeństwa wytworzył z czasem przekonanie o bezcelowości jakichkolwiek aktywnych działań, gdyż poza jeszcze większymi stratami nic one nie przynoszą. Obecnie ponad 2/3 współczesnych Polaków nie zna terroru i nie bardzo potrafi sobie wyobrazić jego możliwe formy. Powoduje to głębokie skutki psychospołeczne, które w uproszczeniu można nazwać stanem gotowości do odważnego, nawet ryzykownego działania, bez względu na możliwe konsekwencje;

e) trwający od 30 lat, w zasadzie nieprzerwany, choć nie wolny od zahamowań i cofnięć, proces umacniania wpływu społeczeństwa na decyzje władzy, połączony z narastaniem przekonań społecznych, że w konsekwencji instancji władza będzie musiała ustąpić przed społeczeństwem;

f) upowszechnienie na całe społeczeństwo i umocnienie, między innymi w toku działań oświatowych, wielkich tradycji wolnościowych i demokratycznych Polaków. Tradycje te określają nasz charakter narodowy, są rezultatem społecznych nawyków, które nabywaliśmy przez setki lat. Ponad 10 pokoleń Polaków żyło w warunkach „złotej wolności” i liberum veto, 4 czy 5 pokoleń następnych – w warunkach walki z wprawdzie zaborczą, obcą – ale władzą. Musiałoby dojść do wychowania co najmniej kilku przyszłych pokoleń Polaków w innych warunkach, aby te zasadnicze cechy polski zostały przekształcone na inne. Tłumaczy to zresztą zjawisko, dlaczego w NRD zbliżony bardzo system organizacji władzy państwowej osiąga nieporównywalnie większe resul-

taty w kierowaniu społeczeństwem; naród NRD od wielu pokoleń wychowywał się w warunkach całkowitego poszanowania władzy i zdyscyplinowanego wykonywania jej dyrektyw bez zastanawiania się nad ich słusnością;

g) uderzenia wyżu demograficznego. Przeciętny człowiek dysponuje pewnym zasobem energii, który wydatkowie przez całe życie. Tempo wydatkowania tej energii jest najbardziej dynamiczne w wieku 18–31 lat. Przy dwu społecznościach o równej liczebności, zasób energii społecznej, aktualnie wykorzystywany, jest większy w społeczeństwie, które dysponuje większą grupą ludzi w wieku uderzeniowym. Podkreślam, że chodzi nie o kumulowanie energii w ludziach, lecz o konieczność jej wydatkowania.

Znajdujemy się obecnie w okresie, gdy cały wyż demograficzny wkroczył, lub wkracza w wiek uderzeniowy. Zjawisko to występuje, najpierw w narastającym, następnie malejącym zakresie od roku 1965 po 1991. Mechanicznie upraszczając, przyjąć można, że apogeum siły uderzenia nastąpi w okresie 1977–1979.

Pomijając dalsze elementy analizy sytuacji, jej różnorakich, możliwych kierunków rozwoju (skądinąd jest to bardzo pouczające), pragnę się ograniczyć tylko do kwestii wybranych, a zwłaszcza do skonfrontowania niektórych elementów rozwijającego się obecnie kryzysu z niektórymi elementami wzrostu siły społeczeństwa.

Wedle oficjalnych lub półoficjalnych enuncjacji obecny stan naruszenia równowagi gospodarczej zostanie opanowany na przestrzeni roku – do trzech lat. Przyjmijmy, że ten stan nierównowagi trwać będzie do jesieni (zbiory!) 1978 roku. Stanowi nierównowagi towarzyszyć musi równoczesny, mający tendencję do eskalowania stan wzrostu napięć społecznych.

W tym samym czasie będziemy mieli do czynienia z apogeum uderzenia wyżu demograficznego, nie daj Boże uderzenia ślepego; wyłącznie żywiołowego. Tak więc w okresie niewątpliwego osłabienia państwa i władzy występować będzie niewątpliwie wzmocniony do rozmiarów najwyższych, nie tylko na przestrzeni ostatnich lat, napór społeczny, przejawiający się być może w żywiołowych i eksplozywnych formach.

Przy bardzo optymistycznych prognozach dojść można do wniosku, że starcie obiektywnie osłabionego państwa i jego władzy z obiektywnie umoc-

nionymi siłami społecznymi, działającymi, żywiołowo automatycznie musi doprowadzić do radykalnych, gwałtownych, a choć kosztownych, to jednak bardzo pozytywnych przemian. Przy prognozie pesymistycznej można dojść do wniosku, że grozi poważne, może nawet katastrofalne osłabienie państwa jako najwyższej formy organizacyjnej narodu. Przekonany jednak jestem, że oceny a priori optymistyczne czy pesymistyczne są równie nietrafne, zaś obowiązkiem powszechnym jest wypracowanie trzeźwych, realistycznych, najlepiej zwariantowanych wniosków.

Zdaję sobie sprawę, że uznanie słuszności wyżej zarysowanej – w sposób maksymalnie skrótowy – analizy jest trudne do przyjęcia przez ludzi, którzy choćby w ograniczonym wymiarze pełnią funkcje sprawujących władzę – a więc zdradzających inklinacje do utożsamiania się z władzą jako taką, a – co gorsze – nawet z państwem. Są to opory zupełnie naturalne. Nie zmienia to faktu, że wszystkie poczynania wszystkich dzieją się w realnym świecie, zaś niedostrzeganie w nim tego, co się może nie podobać, jest w istocie działaniem samobójczym.

3. Ustrój polityczny PRL jest archaiczny w stosunku do poziomu rozwoju społeczeństwa

Ustrój państwowy jako kształt organizacyjno-prawny, realizujący założenia socjalizmu i mający za zadanie spełnienie aspiracji narodowych Polaków, w swym generalnym zarysie ukształtował się ponad ćwierć wieku temu. Wprawdzie później następowała, chwilami wyraźnie, ewolucja ustrojowa – lecz nie doprowadziła ona, jak dotychczas, do jakichś istotniejszych przekształceń.

Równocześnie w ciągu tego ćwierćwiecza nastąpił ogromne przemiany w życiu społeczno-politycznym i ekonomiczno-technicznym. Nie wymaga doводу teza, że pod wszystkimi zasadniczymi względami różnice między okresem 1945–50 a dniem dzisiejszym były większe niż przez poprzednie 50 lat.

Otóż, jeśli ustrój państwowy PRL być może odpowiadał stanowi rzeczy z połowy wieku XX, to w warunkach ostatniej ćwierci stulecia stał się już archaiczny, a więc o bardzo ograniczonej skuteczności. Jest to między innymi źródłem, że niektóre tzw. przejściowe trudności stały się zjawiskiem permanentnym czy też nasilającym się falowo. Wraz z upływem lat te dysproporcje

między archaicznym systemem ustroju państwowego a wymogami coraz bardziej nowoczesnego życia politycznego stają się zasadniczym hamulcem rozwoju i źródłem konfliktów.

W dodatku występująca na przestrzeni ćwierćwiecza ewolucja ustrojowa sprowadzała się do dwóch zasadniczych procesów:

1. Umacnianie formalnej niezależności władzy od społeczeństwa. Proces ten sprowadzał się w istocie do systemu etycznego umacniania swobody podejmowania decyzji przez najwyższe, wąskie kierownictwo partii. Ta swoboda w podejmowaniu autokratycznych decyzji oznacza, że nie istnieją instytucjonalne hamulce, powstrzymujące przed podejmowaniem błędnych decyzji. Wąski krąg osób, uprawnionych do podejmowania decyzji, choćby składał się z geniuszy (a tak przecież nie jest), musi podejmować, obok słusznych, również i błędne decyzje, a ponieważ nie podlegają one żadnej rzeczywistej kontroli i są realizowane jako „jedynie słuszne” – wywoływać mogą wyjątkowo ujemne skutki (np. decyzje cenowe, ogłoszone 24.06.1976 r.).

Niezależnie od umacniania się tego niekontrolowanego ośrodka kierowniczego, w ciągu długo trwającej ewolucji nastąpiła przebudowa całego aparatu państwowego, partyjnego, a nawet gospodarczego w system biurokratyczno-hierarchiczny, niesłuchanie sztuczny i wypełniający jedynie funkcje przekąźnikowo wykonawcze. W dodatku rozwój tego systemu doprowadził do utworzenia nadmiernie licznych ośrodków dyspozycji tego samego rządu (np. 49 województw), co ma gwarantować, że te ośrodki nie będą w stanie podejmować prób prowadzenia autonomicznej polityki względem centralnego kierownictwa. Wprowadzany coraz energiczniej system kierowania dyrektywnego przez centralę nawet w gospodarce (co jest nonsensem, choćby w świetle gorzkich doświadczeń PRL) zmusza najwyższe kierownictwo do podejmowania decyzji o wszystkim, a ponieważ jest to niemożliwe, do powstawania całych zespołów problemowych w ogóle bez decyzji, a także do tendencji decydowania przede wszystkim w sprawach doraźnych. Metody dowodzenia batalionem przenosi się na kierowanie całą armią, ulegając złudzeniom, że dyrektywne sterowanie, które mogło przynosić pewne, choć też nie całkowite rezultaty w skali województwa, można przenieść na sterowanie całym, jakby nie było nowoczesnym i rozwiniętym krajem.

Efektom takiego systemu władzy stał się charakter torów przekazywania decyzji z góry na dół i informacji z dołu do góry. Słuszna nawet decyzja, podjęta na najwyższym szczeblu, w drodze do wykonawcy ulega obróbce uproszczeniowej i dociera do miejsca przeznaczenia już z reguły przekształcona – a więc nie prowadzi do uzyskania zamierzonych efektów. Natomiast płynące z dołu do góry informacje, poddane tej samej obróbce przybierają coraz bardziej postać, która uzasadnia słusność wszystkich przeszłych i przyszłych decyzji władzy. Na podstawie tych skażonych informacji kierownictwo podejmuje nowe decyzje – i tak krąg się zamyka.

2. Ograniczenie wpływu społeczeństwa na władzę. W istocie wszystkie uprawnienia społeczeństwa w zakresie zarządzania państwem i nadzoru nad władzą nabrały wyłącznie fasadowego charakteru. W wielu wypadkach nie odpowiada to nawet intencjom i zamiarom kierownictwa. Np. konsultacje, dokonane tuż przed 25 czerwca 1976, miały być zapewne rzetelną próbą uzyskania opinii społecznych, a także forum dyskusji, w trakcie której mogłoby nastąpić przekonanie ewentualnych oponentów. Nic z tego nie wynikło, zwyciężyła przyjęta powszechnie – i co groźniejsze – zaakceptowana społecznie metoda, że wszelkie akty tego rodzaju jak konsultacje, wybory, zjazdy, kongresy, narady czy dyskusje służą jedynie wyrażeniu formalnego, a więc niezobowiązującego nikogo, werbalnego poparcia decyzji władzy.

Nie mogąc wywierać swego wpływu na władze w sposób systematyczny na drodze instytucjonalnej, coraz bardziej świadome swej siły społeczeństwo używa jej w sposób okazjonalny, a zarazem żywiołowy i często eksplozywny. Dochodzi albo do wielkich wybuchów prowadzących aż do ulicznych demonstracji (grudzień '70, czerwiec '76), albo do drobnych i ograniczonych miejscowo (strajki, celowe zmniejszenie wydajności pracy, awantury przed sklepami, ograniczenie dostaw do punktów skupu itp.). Często, a zupełnie niesłusznie, wyraża się zadowolenie, że te mniejsze lub większe eksplozje społeczne nie nabierają charakteru politycznego; w rzeczywistości szkoda jest tym większa, gdyż władza broni racji politycznych, gdy eksplozje następują w imię racji ekonomicznych i bytowych; nie pozwala to na znalezienie wspólnego języka, a więc pogłębia kryzys zaufania.

Od kilku lat zarysowuje się jeszcze inne zjawisko. Chodzi o tworzenie od-

rębnego, budowanego od dołu, społecznego systemu kierowania mikroośrodkami decyzji. Wyraża się to w coraz wyraźniejszym rozwoju samorządu typu osiedlowego, choć coraz szerzej proces ten obejmować zaczyna szczebel gmin oraz niektórych peryferyjnych stowarzyszeń a także organizacji partyjnych. System ten charakteryzuje się min. przedkładaniem partykularnych interesów danego terenu czy środowiska nad interes ogólny, co prowadzi do konfliktu samorząd – nadzorująca go władza.

W ostatnich latach trend oddolnej budowy tego rodzaju systemu staje się coraz wyraźniejszy i być może prowadzi do stopniowego, ale coraz bardziej masowego i na coraz wyższych szczeblach, przejmowania ośrodków dyspozycji – co z kolei ustawia go w coraz bardziej konfliktowej pozycji wobec władzy.

Wyżej wskazane czynniki, a więc archaiczny już kształt ustroju państwowego i jego ewolucja w kierunku umocnienia i uwolnienia od jakiegokolwiek kontroli i hamulców centralnego ośrodka dyspozycji oraz zanik wpływu społeczeństwa na władzę w drodze form prawem przewidzianych przy zastępowaniu go przez okazjonalne eksplozje żywiołowe i nasilający się wpływ oddolny – prowadzi do potęgowania się zjawiska erozji władzy. Jest ona coraz mniej skuteczna zwłaszcza w niższych ogniwach, a w chwilach krytycznych gdy winna wykazać się maksymalną energią, staje się biernym obserwatorem wydarzeń. W momentach szczególnie dramatycznych, jak 25 czerwca 1976 r., takim biernym obserwatorem był również rząd PRL – niezdolny do jakichkolwiek inicjatyw i czekający na „instrukcje z góry”. Dobrze że zdążyły one nadejść. Te procesy erozji, a nawet paraliżu władzy, godzą w interes i autorytet państwa.

Może jeszcze groźniejszym od erozji władzy jest ideowo-moralny rozdźwięk między sposobem patrzenia i oceniania tych samych problemów przez władzę i społeczeństwo.

Chodzi tutaj zwłaszcza o ukształtowany historycznie charakter narodu Polaków, który wprowadzie może nawet dopuścić do absolutystycznego sprawowania rządów, lecz pod warunkiem, że zachowane zostaną przekonujące i dominujące w świadomości społeczeństwa pozory, że żyjemy w ustroju (mówiąc w uproszczeniu) pełnej „złotej wolności”. Nie zachowanie tych przekonujących pozorów rodzi społeczne uczucie obcości i wrogości władzy w stopniu równie silnym, jak zastępowanie demokratycznych form rządzenia autorytar-

nymi prowadzi do ograniczenia, a nawet zniwelowania inicjatywnej siły społeczeństwa, a więc marnowania ogromnej części skumulowanej w nim energii.

W sumie rozwój PRL zaczyna toczyć się w sposób absurdalny. Na przestrzeni minionych dziesięcioleci przebudowana została gruntownie świadomość społeczna Polaków, tak, że dzisiaj mamy do czynienia – patrząc w kategoriach marksistowskich z narodem socjalistycznym. Logika rozwoju wskazywałaby, że nieprzerwanemu umacnianiu socjalistycznej świadomości winien towarzyszyć równoległy, dynamiczny rozwój form i praktyk demokratycznych – gdyż tylko na tej drodze można rzeczywiście aktywizować całe społeczeństwo. Tymczasem dzieje się odwrotnie: im naród jest bardziej socjalistyczny, tym ma względnie mniejszy wpływ na władzę i jej decyzje, a centralny ośrodek dyspozycji staje się coraz bardziej arbitralny.

Narasta tutaj straszliwa dysproporcja niosąca w sobie zarodki najgwałtowniejszych kryzysów. Wydarzenia ostatnich 10 lat są szczególnie pouczające. Wskażmy na niektóre ich elementy.

1. Proces wzmagającego się naporu społeczeństwa.

Związany on jest bezpośrednio z wchodzeniem w życie dojrzałych roczników wyżu, które muszą wydatkować swoją energię – i kierują ją tam, gdzie nadarzy się okazja. Pierwszym dramatycznym objawem tego szturmu był rok 1968, drugim grudzień 1970 roku. W pierwszym mieliśmy do czynienia z trzema rocznikami wyżu, w drugim – z pięcioma. Strategia dynamicznego rozwoju, proklamowana przez Gierka, otwarła dla roczników wyżu nowe perspektywy i mogła przynieść sukces gospodarczy, którego nie miał Gomułka po 1956 roku, gdyż dysponowała zapasem energii od 6 (w 1971 roku) do 9 roczników wyżowych. Kryzys, czy też załamanie się tej polityki, nastąpiło w okresie 1973–75. Wymuszone ograniczenie programów inwestycyjnych itp. doprowadziło jednak do sytuacji, gdy energia wyżu, angażowana uprzednio w wielkie budownictwo gospodarczo-społeczne, przestała tam znajdować ujście i zaczęła kierować się w przeciwnym kierunku. Siła sprzeciwu społecznego 25 czerwca 1976 roku – a sprzeciw ten objął większą ilość osób niż w grudniu 1970, wystąpił na nieporównywalnie większych obszarach i był skondensowany w czasie – była tak wielka, bo jego siłę motoryczną stanowiło 11 roczników wyżu. W 1977 roku roczników tych będzie już 12, a w 1978 – wszystkie 13.

2. Proces rosnących i zawiedzionych nadziei.

Po marazmie jaki zapanował w społeczeństwie w pierwszej połowie lat 60-tych (gdy załamała się tzw. koncepcja małej stabilizacji), zaczęły powoli narażać nadzieje związane z atrakcyjnością dwóch nurtów formujących się w partii: nurtu postulującego przeobrażenia liberalno-demokratyczne oraz nurtu eksponującego wartości narodowe i dorobek tradycji. Dalszym umocnieniem tych nadziei, wprowadzie tylko w części społeczeństwa, były wydarzenia 1968 r.; znaczny odłam narodu uwierzył, że usunięcie obcego ciała tzw. grup syjonistycznych – doprowadzi automatycznie do radykalnej poprawy sytuacji. Równocześnie jednak marzec stał się momentem załamania nadziei tego odłamu społeczeństwa, któremu bardziej odpowiadał nurt demoliberalny. Obudzone i umocnione w 1968 r. nadzieje załamały się jednak w 1970 r. Okres bezpośrednio pogrudniowy przyniósł nowe nadzieje – na rozkwit Ojczyzny i radykalną poprawę warunków bytowania każdego człowieka. W latach 1971-1973 nadzieje te potęgowały się, aby potem – zwłaszcza w 1976 r. – załamać się w sposób katastrofalny. Ten kontredans nadziei i załamań naruszył głęboko równowagę nerwową społeczeństwa, uczynił je szczególnie podatnym do podejmowania nieprzemyślanych, żywiołowych, gwałtownych, wręcz histerycznych wystąpień.

3. Narośnięcie dysproporcji między żądaniami a możliwościami.

Nie wchodząc w szczegóły, stwierdzić należy że zakres żądań społecznych, przede wszystkim ekonomicznych, rośnie niemalże w postępie geometrycznym, gdy możliwość ich zaspokojenia co najwyżej w arytmetycznym. Powoduje to stan gwałtownego powiększania się dysproporcji między tym, czego społeczeństwo chce, a tym, co może otrzymać czy też otrzymuje. Już pewne zmniejszenie dynamiki wzrostu stopy życiowej odczytywane jest jako radykalne jej obniżenie.

4. Przechodzenie od żądań ekonomicznych do politycznych.

Jest to obecnie proces bardzo silny, choć z natury rzeczy przybiera utajone formy. Przechodzenie takie jest skądinąd naturalne. Gdy społeczeństwo zaczyna precyzować postulaty ekonomiczne, to w warunkach ich niespełnienia czy niepełnego spełnienia (na jedno wychodzi) zaczyna podnosić żądania polityczne, zmierzające do uzyskania takiego wpływu na władzę, aby zmusić ją do

przyjęcia pożądaných decyzji ekonomicznych. Natomiast spełnienie wszystkich żądań ekonomicznych wywołuje dążność do ich poszerzania o żądania polityczne.

5. Procesy odideologizowania partii.

W latach 40-tych i 50-tych PZPR była połączona silnym spoiwem ideowym. W ciągu lat 60-tych to spoiwo ideologiczne zostało w sposób bardzo daleko idący osłabione; wprowadzenie występowanie dwóch wielkich nurtów wewnątrz PZPR w niemałym stopniu przysłoniło ten stan rzeczy. W latach 70-tych proces odideologizowania partii jest już niemal całkowity. Oznacza to, że łączą ją więzy solidarnościowe, grupowe wspólnoty interesów, szczególny esprit de corps aparatu, lecz te wszystkie zjawiska nie zapewniają PZPR ani jednolitości, ani konsekwencji w działaniu, ani doktryny, która powodowałaby, że w każdej sytuacji każdy członek partii miałby jasną wytyczną postępowania – bez oczekiwania na instrukcję.

6. Kryzys zaufania.

Z objawami kryzysu zaufania, całkowitego czy częściowego, mieliśmy do czynienia w marcu, grudniu, czerwcu. Pamiętać należy, że te kryzysy w społeczeństwie kumulują się. Najsilniejszy kryzys zaufania nastąpił po czerwcu a rozmiar jego był adekwatny do skali nadziei rozbudzonych i umocnionych po grudniu. Kryzys ten w pierwszym rządzie wpływa na podstawową dziedzinę aktywności społeczno-gospodarczej ludzi pracy, zwłaszcza robotników. W czerwcu skompromitowana została, przynajmniej pozornie, zasada, że podnoszeniu jakości i wydajności pracy towarzyszyć będzie nieprzerwanie i równie znaczna poprawa jakości życia. Trudno przecenić dalekosiężne konsekwencje takiego stanu rzeczy.

Na ogół kryzys zaufania utożsamiamy z kryzysem politycznym. W rzeczywistości jednak kryzys polityczny można przełamać, inicjując nową politykę, wprowadzając w życie nowy, odpowiadający uczuciom i potrzebom mas program. Przy kryzysie zaufania już to nie wystarcza. Wskazane wyżej 6 najważniejszych zapewne procesów, rozwijających się na przestrzeni minionego dziesięciolecia wyjaśnia, dlaczego obecna sytuacja polityczna PRL jest jakościowo inna niż w połowie, a nawet pod koniec lat 60-tych.

4. Żywiołowe powstawanie ośrodków niezależnej myśli jest zjawiskiem naturalnym

Na tle tej nowej jakościowo sytuacji politycznej w kraju spojrzeć należy na żywiołowy rozwój wszelkiego rodzaju ośrodków opozycyjnych, szczególnie dynamiczny w ostatnich kilkunastu miesiącach oraz przybierający coraz szybsze tempo.

Zastrzec się jednak trzeba, że samo określenie „ośrodki opozycyjne”, a jeszcze bardziej „antysocjalistyczna opozycja” jest nie tylko mylące, ale może prowadzić do szkodliwych konsekwencji.

Po pierwsze – w Polsce nie ma w istocie antisocjalistycznej opozycji – a to dlatego – że nie ma bazy społecznej dla takiej opozycji. Zdarzają się wprawdzie jednostki, które mogą marzyć o zastąpieniu socjalizmu kapitalizmem, lecz są to ludzie bardzo oderwani od rzeczywistości, że nie są zdolni do jakiegokolwiek działania. Terminu „socjalizm” używam oczywiście w znaczeniu politycznym, a nie światopoglądowym, podobnie jak terminu „kapitalizm” w znaczeniu polityczno-ekonomicznym. Otóż wszyscy praktycznie zgodni są co do tego, że restytucja kapitalizmu w Polsce jest możliwa w takim samym stopniu jak powszechne zastąpienie światła elektrycznego łuczywem. To nie jest propagandowy slogan, że społeczeństwo polskie jest socjalistyczne.

Nie ma zresztą materialnych i organizacyjnych możliwości przywrócenia kapitalizmu. Komu bowiem trzeba by na własność oddać fabryki, kto by się na takie oddanie zgodził? Dodajmy jeszcze, że społeczeństwo polskie jest bardzo egalitarne i patrzy z wyraźną niechęcią na grupy wyróżniające się wyższymi dochodami i wszelkiego rodzaju „badylarze” i wytwórcy galanterii w odczuciu społecznym są moralnie podejrzani, a cóż dopiero prawdziwi kapitaliści.

W tej sytuacji nie ma materialnych, społecznych i psychospołecznych możliwości tworzenia się jakiegokolwiek opozycji antisocjalistycznej. Chyba, że postawimy sprawę na głowie i uznamy, że antisocjalistycznymi opozycjonistami są wszyscy ci, którzy znajdują się w opozycji do kierownictwa partii i realizowanej przez nie linii politycznej. Stwierdzenie takie jest możliwe, gdy kierownictwo to utożsamiamy z państwem i socjalizmem. Ale wtedy za siły antisocjalistyczne uznać by trzeba nie tylko niemałą część aparatu państwowego

i partyjnego, lecz także zgodzić się, że wobec linii politycznej Gomułki, linia reprezentowana przez Gierka jest antysocjalistyczna i vice versa.

Wszystkie ośrodki opozycyjne za punkt wyjścia przyjmują obecną rzeczywistość. Postulując jakiegokolwiek zmiany, wskazują na drogi dalszego rozwoju tego co jest, a więc rzeczywistości socjalistycznej. Sugerują więc jakiś inny sposób kontynuacji, ale przecież Gierek też wskazał inny sposób kontynuacji, niż czynił to Gomułka. Oczywiście różnice między postulowanymi sposobami są lub mogą być olbrzymie, ale za każdym razem chodzi o kontynuację. Zaś w naszych warunkach historycznych kontynuacja to rozwijanie systemu socjalistycznego, który przecież w czasie i przestrzeni nie tylko może i powinien, lecz także przyjmuje różne formy.

Po drugie – określenie „ośrodki opozycyjne” ogranicza problem, eksponując tylko niektóre, często nie najważniejsze zakresy działania tych sił.

W rzeczywistości bowiem mamy do czynienia z czymś znacznie większym – z ośrodkami niezależnej myśli i aktywności politycznej. Stawianie znaku równania między niezależnym myśleniem, czy też każdą niezależną aktywnością (a więc nie wynikającą z dyrektyw władzy) a opozycją, prowadzi do absurdu.

Wszystkie istniejące i rodzące się ośrodki niezależnej myśli i aktywności politycznej mają genezę społeczną, stanowią produkt potężniejącej aktywności narodu. Naiwne by było i co najmniej niepokojące, o ile nie wręcz groźne, gdyby społeczeństwo nie potrafiło wytwarzać takich ośrodków. Świadczyłoby to bowiem o zaniku poczucia odpowiedzialności państwowej i narodowej Polaków oraz o gwałtownym spadku aktywności społecznej.

Powstanie ośrodków niezależnej myśli i aktywności politycznej jest niczym innym, jak odpowiedzią społeczeństwa na wyzwanie, jakie wynika z konieczności rozwiązywania trudnych i złożonych, często bolesnych problemów współczesności i przyszłości. Udzielenie odpowiedzi na to wyzwanie jest obowiązkiem władzy. Oczywiście. Ale nawet najlepsza odpowiedź władzy nie pozabawia społeczeństwa, zwłaszcza jeśli jest ono aktywne i dynamiczne, prawa do konstruowania innych odpowiedzi. Więcej – nie zwalnia z tego obowiązku. Zaś w sytuacji, gdy przez dziesiątki lat, w ostatnim zaś okresie szczególnie mocno, podkreśla się odpowiedzialność całego narodu i każdego Polaka za losy

państwa i Polski, to szukanie społecznej odpowiedzi na wyzwanie staje się nieuniknione.

Szukając zaś odpowiedzi, dochodzi się do różnych wniosków, słusznych lub nie, zgodnych lub niezgodnych z wnioskami władzy – ale wszystkie te wnioski wypływają ze wspólnego źródła i zmierzają do wspólnego, choć nieraz różnie rozumianego, celu.

Taki też jest mechanizm rodzenia się postaw i poglądów opozycyjnych, przy czym działa on tym mocniej, im wyraźniej władza nie potrafi udzielać odpowiedzi na te wyzwania. Wtedy siłą rzeczy rozwija się społeczna dyskusja, w której zaczynają się ścierać różne poglądy. Oczywiście mam na myśli prawdziwą dyskusję; dyskutowanie bowiem w jaki sposób najlepiej wykonać dyrektywy władzy, bez oceny czy są one w ogóle słuszne i potrzebne, jest jedynie – w najlepszym przypadku – naradą produkcyjną. Takie narady nigdy nie zastąpią prawdziwej dyskusji.

Zjawisko konieczności udzielania społecznej odpowiedzi na wyzwania, w łączności z ustaleniami zawartymi we wcześniejszych partiach tego memoriału, tłumaczy główne źródła powstania ośrodków niezależnej myśli i aktywności politycznej, a także tłumaczy przyczyny rozwoju tych ośrodków na skalę, z jaką nie spotykaliśmy się na przestrzeni minionego ćwierćwiecza.

Pozwala też zrozumieć dlaczego ośrodki te (choć niektóre z nich istnieją od dawna), zyskały obecnie zupełnie nową rangę i znaczenie oraz tworzą nową jakość w sytuacji politycznej. To bodajże Misiorny napisał, że gdy w kraju pojawiają się kłopoty i nabrzmiewają problemy, natychmiast korzysta z tego i wciska się w szczeliny wróg. Jest to stwierdzenie obłądne. Gdy bowiem narażają trudności, gdy pilnego rozwiązania wymagają coraz bardziej nabrzmiałe problemy, gdy wreszcie przestaje sobie z nimi radzić władza (co ma zresztą znaczenie uboczne) – społeczeństwo – świadome swej odpowiedzialności, samo zaczyna szukać dróg wyjścia. Zaś szukając, wśród innych działań, wytwarza także ośrodki niezależnej myśli, z których najbardziej aktywne przekształcają się w grupy czy partie opozycyjne.

5. Sterowanie procesem polaryzacji wymaga, aby powstał opozycyjny ośrodek dyspozycji

Aktualnie w kraju wytworzyło się i działa w różnoraki sposób wiele ośrodków niezależnej myśli, które można sklasyfikować według pewnych tendencji. Do najsilniejszych z nich należą tendencje liberalne (kładące główny nacisk na umocnienie suwerenności narodu, rozumianej jako przewaga społeczeństwa nad państwem), niepodległościowe (wybijające na plan pierwszy funkcje państwa narodowego jako formy zorganizowania świadomego swych celów przez społeczeństwo), oraz nacjonalistyczne (eksponujące ponadpaństwową rolę narodu rozumianego jako odrębny byt). Nazwy te, nawiązujące do ukształtowanych kiedyś historycznie szkół myślenia politycznego, są bardzo nieprecyzyjne, a przez to mogą być mylące.

Obok tych trzech głównych, wyodrębnić można parę wyraźnie słabszych tendencji.

Wszystkie te tendencje występują na różnych poziomach. W formie najbardziej skondensowanej – poza sferą jawnego życia politycznego, w formie nieco rozrzedzonej – na granicy tej sfery, a więc także w legalnych organizacjach i instytucjach (zwłaszcza w Kościele Katolickim, stowarzyszeniach i klubach katolickich), wreszcie w formie najbardziej złagodzonej – wewnątrz sfery jawnego życia politycznego (a więc w partii i stronnictwach tzw. sojusznicych). W zależności od sfery, tendencje mogą przybierać całkowity lub częściowy charakter opozycyjny, ale mogą występować i występują – mniej czy bardziej wyraźnie – w postaci tzw. specyficznej odmiany linii partii; nie trudno zauważyć, że dwie wielkie frakcje w PZPR przed 1968 r. były zmodyfikowanym wprowadzeniem odbiciem obu skrajnych tendencji; modyfikacja ta dotyczyła bardziej kwestii światopoglądowych niż politycznych. Spośród głównych tendencji tylko niepodległościowa nie miała i nie ma swego odpowiednika wewnątrz sfery jawnego życia politycznego.

Wskazane wyżej tendencje różnią się w sposób zdecydowany nie tylko celami, założeniami ideowymi i programowymi a także postulowanymi lub sterowanymi metodami działania. Mimo tych głębokich różnic, wszystkie te tendencje łączy jedno, bardzo silne spoiwo: jest to dążenie do mniej czy bardziej szybkich, mniej czy bardziej radykalnych przemian wewnętrznych w państwie

i kraju. Ten czynnik niejako automatycznie działa na rzecz jednoczenia wysiłków intelektualno-moralnych, a także politycznych, prowadzi do obiektywnego sojuszu tak sprzecznych sił – mimo świadomości, że ich drogi kiedyś, w dalszej przyszłości – rozejdą się.

Ten niejako żywiołowy w danym momencie historycznym pęd do jednoczenia różnych tendencji umacnia się w miarę nasilania się konfrontacji z władzą.

Otóż trzeba sobie zdać sprawę z tego, czym obiektywnie jest dzisiejsza władza. Pragnąc zachować kierownictwo państwa, oraz system rządzenia któremu przewodzi, władza, siłą rzeczy, dąży do utrzymania status quo ante, niejako do zamrożenia istniejącego stanu rzeczy, przy ostrożnym wprowadzaniu tylko tych zmian, które musi uczynić, albo które uważa za pożądane – przy czym zakres tych zmian nie może zagrażać istnieniu systemu sprawowania władzy w tym kształcie, w jakim się uformował i obecnie istnieje. Stąd też np. postulat rotacji władzy uznawany bywa za równie świętokradczy jak postulat tworzenia instytucjonalnej, świadomej kontroli społeczeństwa nad władzą, jak wreszcie postulat zastąpienia socjalizmu kapitalizmem – choć wszyscy, władzy nie wyłączając, doskonale wiedzą, że ta ostatnia ewentualność jest nierealna.

Ustawiając się na pozycji obrońcy status quo, władza tym samym nabiera charakteru siły konserwatywnej, zachowawczej, obrońcy utrzymania tego co jest – a więc obrońcy ancien regime'u. W tym kontekście na nic się zdają najlepsze intencje władzy, jej subiektywna chęć, aby kierować procesami głębszych przeobrażeń państwa i społeczeństwa. Fakty są nieubłagane – a wynika z nich, że każde nadmierne zaangażowanie się władzy w przyspieszone tempo przemian zakłóca i podważa ustabilizowany system rządzenia. A więc wszystkie procesy ewolucji centralnie sterowanej przez władzę są hamowane i zatrzymywane. Taki los spotkał i strategię przyspieszonego rozwoju gospodarczego, proklamowaną przez Gierka, ale budzącą od pewnego momentu niepokój systemu.

Sytuacja ulega zmianie, gdy ludzie sprawujący władzę potrafią zobaczyć nadrzędność interesu państwa i narodu nad interesem elity rządzącej, gdy nie utożsamiają się oni z państwem ani z narodem, gdy nie zasugerują sobie, że to oni najlepiej wiedzą, czego potrzebuje społeczeństwo. Pozytywny przykład de

Gaulle'a, który ustąpił, aby nie dopuścić do konfliktu między interesem i racjami władzy a interesem i racjami państwa i narodu, jest szczególnie pouczający.

W sytuacji, gdy władza odczuwa potężniejszy napór społeczeństwa, pragnąc umocnić swoją pozycję, przechodzi na coraz bardziej zachowawcze pozycje. Jest to źródło jej przyszłej klęski – powiedzieć coś na ten temat mógłby Władysław Gomułka.

Napór społeczny powoduje reakcję władzy, pragnącej wzmocnić swoją pozycję, co z kolei prowokuje społeczeństwo do zwiększenia naporu. W ten sposób rozwija się proces polaryzacji wobec dwu biegunów: bieguna zachowawczego, dążącego do utrzymania istniejącego stanu rzeczy, oraz bieguna reform, zmierzającego do przemian, co w pewnych warunkach może zmienić się w działanie rewolucyjne.

W toku procesu polaryzacji jedna ze stron (ta, której przybywa sił), uzyskuje wyraźną przewagę, co pozwala jej rozstrzygnąć konfrontację na swoją korzyść. Dla oceny początkowego stosunku sił obu biegunów, wystarczy określić potencjał bieguna reformy. Siła bieguna zachowawczego ma bowiem względne znaczenie. Potencjałem bieguna reformy jest siła społeczeństwa; jeśli ma ona tendencję do zmniejszania się w czasie, przewaga jest po stronie bieguna zachowawczego.

Przy czym większy potencjał bieguna zachowawczego nie wystarczy, aby zapewnić mu zwycięstwo nad słabszym, ale rozwijającym się potencjałem bieguna reform. Sukces bieguna zachowawczego osiągnąć może tylko wówczas, gdy jego przewaga nad biegunem reformy będzie zwiększać się, albo zostanie ustabilizowana.

W obecnej sytuacji, o czym pisałem wyżej, siła społeczeństwa ma tendencję do zwiększania się w czasie, przy czym proces ten będzie umacniał się do końca obecnej dekady, a dopiero od połowy lat osiemdziesiątych wystąpić będzie mogło zjawisko odmienne. Niezależnie więc od początkowej relacji sił, będzie ona ustawicznie zmieniać się na korzyść bieguna reformy. Ta tendencja zostanie wzmocniona wskutek postępujących procesów erozji władzy, a więc także bezwzględного (nie tylko względnego) osłabienia bieguna zachowawczego.

Procesy polaryzacji przebiegają wedle prostego schematu. Najpierw ujawnia się linia podziału, a następnie przez tę linię następuje przepływ sił społecznych,

które odpadają do jednego bieguna i przylłączają się do drugiego; ostatecznie wokół bieguna, który staje się słabszy, pozostaje tylko garstka obrońców Okopów Świętej Trójcy.

W roku 1971 wokół kierownictwa partii i państwa, a więc bieguna zachowawczego, który miał (niezależnie od intencji jednostek) inicjować politykę przyspieszonego rozwoju gospodarczego, skupiła się poważna część Polaków. W roku następnym i jeszcze w 1973, ta siła społeczna grupująca się wokół tego bieguna wzrastała. Później jednak proces się odwrócił. Pewna część sił społecznych zaczęła odpadać od bieguna zachowawczego i zajmować pozycję niezaangażowaną. W dalszej kolejności ilość tych niezaangażowanych rosła coraz bardziej kosztem bieguna zachowawczego. Wreszcie, mniej więcej w roku 1975 zaczął się krystalizować biegun reformy i skupiać wokół siebie część sił społecznych, uprzednio niezaangażowanych. W roku 1976 gwałtownie przyspieszyły się procesy odpadania sił społecznych od bieguna zachowawczego i przechodzenia ich na stronę bieguna reformy, choć nadal poważna część społeczeństwa zajmuje pozycje niezaangażowane.

Trudno precyzyjnie odpowiedzieć na pytanie, w którym punkcie procesu polaryzacji znajdujemy się obecnie, jaka jest dynamika odchodzenia sił społecznych od jednego bieguna i zbliżania się ich do następnego. Nie budzi jednak wątpliwości, że stosunek sił w sposób wyraźny zmienia się na niekorzyść władzy. Wydarzenia 25 czerwca 1976 r. dowiodły, że wprowadzić na jednym tylko odcinku – polityki cenowej – władza musiała natychmiast cofnąć się przed naporem społecznym, wyrażanym nie tylko falą strajków. Takiego nagłego odrotu władzy nie znamy z wcześniejszej historii PRL. Szybkie ustępstwo władzy, jakkolwiek stanowiło ciężką porażkę polityczną i prestiżową – w sumie było posunięciem udanym, gdyż zatrzymało napór społeczny – żywiołowy proces polaryzacji – poniżej pewnej granicy. W okresie poczerwcowym siła władzy uległa jednak dalszemu osłabieniu. Przykładem tego jest, że władza nie okazała się zdolna do podjęcia skutecznej akcji, zmierzającej do likwidacji lub przynajmniej izolowania KOR-u. Charakterystyczne, że wśród niektórych wysokich funkcjonariuszy szerzą się nastroje katastroficzne, a pewni działacze szczebla centralnego, stwierdzając z wyrzutem: „Co oni z nami zrobili?!” tym samym ujawniają, że przestają identyfikować się z władzą. Równocześnie umacnia się

siła naporu społecznego, na co wpływa – z jednej strony – fakt poczucia czerwcowego sukcesu, a z drugiej – narastające niezadowolenie, że mimo odwołania podwyżek cen, warunki bytowania stają się coraz trudniejsze. Oczywiście względnie trudniejsze, ale dla stanu świadomości społeczeństwa to wystarcza. W takim klimacie zrozumiałe są zachowania robotników, ferment w dołach partyjnych, wstrzymanie się chłopów od intensyfikacji produkcji i dostaw do skupu, co w niektórych rejonach przybrało już charakter strajku chłopskiego.

Należy sobie zdawać sprawę z niebezpieczeństwa trwającego procesu polaryzacji. Jeśli nie zostanie on powstrzymany, zacznie przybierać coraz bardziej żywiołowe formy. Wynika to z faktu, że tylko jeden biegun – zachowawczy – posiada wykształcony w pełni, jednolity ośrodek dyspozycji. Na biegunie reformy ośrodka takiego nie ma, a być może grozi zjawisko tworzenia sił różnych, konkurencyjnych ośrodków dyspozycji. W takich warunkach procesy polaryzacji nie mogą być sterowane. Ośrodek dyspozycji jednego bieguna może tylko sterować powstrzymywanie naporu, ale nie może sterować całym procesem polaryzacji. Stając się zaś coraz bardziej żywiołowym, proces ten będzie wyraźnie eskalował w formach konfrontacji, co za sobą musi pociągać coraz kosztowniejsze straty. Przy czym wydłużanie się w czasie konfliktu wewnętrznego, choćby rozwijał się on bardzo spokojnie i powoli, stanowi otwartą groźbę, że w pewnym momencie zdramatyzuje się on i niemalże niespodziewanie przekształci w otwarte działanie rewolucyjne. Procesy polaryzacji mogą być sterowane wówczas tylko, gdy na obu biegunach istnieć będą ośrodki dyspozycji, uznające się przynajmniej *de facto* i uznające istnienie wspólnych, ściśle zdefiniowanych, celów i wartości nadrzędnych.

Nasuwa się tutaj wniosek, że drugim ośrodkiem dyspozycji mógłby być Kościół. Jest to wniosek błędny. Po pierwsze, wewnątrz Kościoła ścierają się różne tendencje, po drugie – nie jest on przygotowany do pełnienia tych funkcji, po trzecie wreszcie – najwyraźniej nie kwapi się, aby je pełnić, podkreślając, że jest czynnikiem normalnym, a nie politycznym. Wprawdzie, wskutek obiektywnej potrzeby istnienia drugiego ośrodka dyspozycji, niezbędnego, aby żywiołowe procesy przekształcać w sterowane, występuje – w pewnych okresach – bardzo wyraźnie dążność ze strony władzy, aby Kościołowi przyznać metodą faktów dokonanych taki charakter.

Należy wskazać na jeszcze jedno niebezpieczeństwo uznania w Kościele drugiego ośrodka dyspozycji. Występujący w procesach polaryzacji podział polityczny między biegunem zachowawczym a biegunem reformy zyskałby wówczas dodatkowy charakter podziału pozornie światopoglądowego – ze wszystkimi ujemnymi tego konsekwencjami, tak wewnętrznymi, jak międzynarodowymi.

Wniosek płynący z tego wywodu jest prosty. Stoimy obecnie, my wszyscy, przed alternatywą: albo procesy polaryzacji będą rozwijać się żywiołowo, albo też dojdzie do utworzenia drugiego, politycznego ośrodka dyspozycji, co umożliwi sterowany rozwój wydarzeń. Postulat, zawarty w ostatnim zdaniu, kierowany jest wyłącznie do ośrodków niezależnej myśli, bowiem tylko one mogą go zrealizować.

6. Procesu polaryzacji władza nie zdoła powstrzymać ani środkami policyjnymi, ani politycznymi

W tym miejscu należy jednak zastanowić się, czy możliwe jest powstrzymanie procesów polaryzacji i zastosowanie jakich środków mogłoby do tego doprowadzić. Generalnie, możliwe jest zastosowanie dwu rodzajów środków: policyjnych i politycznych.

Środki policyjne (pod tym określeniem rozumiem zarówno działania sił porządkowych i bezpieczeństwa, takich jak MO, ZOMO, SB, Wojska Wewnętrzne i normalne, jak też wszelkiego rodzaju pociągnięcia administracyjne i prawne) są olbrzymie, lecz ich rozmiarowi nie odpowiada równa skuteczność.

Środki policyjne, sterowane przeciw wykrystalizowanym już ośrodkom niezależnej myśli i aktywności politycznej, są w stanie doprowadzić do ich likwidacji. Żadna z tych grup nie zostanie zlikwidowana ani całkowicie, ani w sposób trwały. Środki policyjne nie gwarantują też powstrzymania procesów formowania się nowych grup i odtwarzania rozbitych – a jedynie mogą powodować utrudnianie ich rozwoju, lecz i zmuszać do doskonalenia metod swego działania, tak aby mogły one wytrzymać największe nawet ciosy. Natomiast akcja policyjna wpływać będzie bezpośrednio na radykalizację nastrojów społecznych, czyli tworzenie gleby do przyspieszonego i masowego rodzenia się nowych grup. W starciu z ośrodkami policyjnym, grupy te będą musiały pono-

sić ciężkie straty, ale rekompensować je będzie potężniejący dopływ nowych sił. Ponadto, w trakcie tego starcia następują wymuszone procesy selekcji, w toku których odpadają słabsze grupy i gorsi ludzie – co wpływa na umocnienie jakości reszty. Wreszcie pod wpływem ciosów władzy następował będzie, może nawet krańcowy proces radykalizacji przekonań i metod działania.

W obecnej sytuacji politycznej, charakteryzującej się potęgowaniem naporu społecznego, proces wytwarzania i rozwoju ośrodków niezależnej myśli jest słabszy od ewolucji nastrojów społecznych, postępującej niejako skokowo. Akcje policyjne prowadzą do łagodzenia tej dysproporcji, a więc umocnienia grup opozycyjnych. Tym należy tłumaczyć, że niektóre z nich wprost prowokują władze do stosowania wobec nich represyjnych działań, a nawet dążą do eskalacji skali represji. Każdy proces polityczny, każdy wyrok – to obiektywne przyznanie się władzy do porażki, umocnienie sił opozycyjnych, lepsze zaprezentowanie się przez nie społeczeństwu. Sprawy Smykały, Kruszyńskiego, restrykcje wobec sygnatariuszy protestu konstytucyjnego i ich cofnięcie – warte są głębszej analizy.

Stosowanie środków policyjnych wobec społeczeństwa, a więc wobec tej bazy, z której wyrastają ośrodki niezależnej myśli politycznej – również mija się z celem. Masowe eksplozje społeczne mogą być złamane siłą, nawet krwawo – ale pod warunkiem, że eksplozje te nie przekroczą pewnej granicy masowości i obejmą tylko niektóre miejscowości. Zdławienie eksplozji nie zapobiega jednak następnym.

Środki policyjne są zdolne z wielką szansą powodzenia podejmować działania likwidujące eksplozje, ale nie są w stanie im zapobiegać skutecznie. Ustrój socjalistyczne, charakteryzujący się wyższym progiem początkowym odporności na wstrząsy społeczne, ma jednak niższy próg odporności ostatecznej. Wydarzenia typu grudniowego w państwach kapitalistycznych z reguły nie prowadzą do obalenia aktualnego rządu.

Środki policyjne nie są w stanie tłumić nieeksplozyjnych, tzw. spokojnych form naporu. Strajk powszechny, w warunkach ustroju kapitalistycznego jest narzędziem, zdolnym do sparaliżowania państwa i obalenia jego władzy. W warunkach socjalistycznych doprowadzić do tego mogą środki znacznie łagodniejsze, jak np. występujące przez pewien czas wyraźne i celowe ograniczenie

wydajności pracy, bierne odrzucanie dyrektyw i poleceń, adresowanych do ogółu czy pewnych społeczności lub środowisk. Przeciw straszliwej sile biernego oporu żadne środki policyjne nie pomogą. Zaś ten bierny opór, w naszych obecnych warunkach, prowadzi m.in. do dalszych perturbacji ekonomicznych, które z kolei żywią i potęgują tenże bierny opór oraz prowadzą do wystąpień czynnych.

Stosowanie środków politycznych wygląda o wiele bardziej obiecująco. Jeśli jednak celem tego działania ma być zachowanie istniejącego stanu rzeczy, zamrożenie rozwoju niedobrych z punktu widzenia systemu władzy procesów – również dochodzimy do swoistego błędnego koła.

Na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci pojawiają się dwie koncepcje rozwiązania sprzeczności w relacji władza – społeczeństwo.

Pierwsza zakłada, że podniesienie stopy życiowej pozwoli zastosować rządy silnej ręki bez wywołania większych oporów („Niech żrą, to nie będą krzyczeć!”); druga postuluje liberalizację systemu państwowego tak w zakresie kwestii demokratycznych, jak narodowych, kulturowych i światopoglądowych – głównie wyznaniowych („Niech szczekają, to nie będą domagać się jedzenia!”). Pierwsza z tych koncepcji zakłada bezpośrednie umocnienie pozycji władzy, druga zaś – umocnienie pośrednie, na drodze ograniczenia naporu. Obie są prymitywne intelektualnie.

Koncepcja pierwsza.

Wzrost stopy życiowej powoduje wyraźnie szybszy wzrost aspiracji społecznych, przy czym początkowo mają one charakter tylko bytowy, lecz z czasem uzupełnione zostają o żądania polityczne. Jeżeli zaś równolegle trwa proces rozwijania metod rządzenia silnej ręki – dysproporcja między władzą a społeczeństwem urasta do wielkich rozmiarów i dochodzi do kryzysu. W obecnej sytuacji, gdy podnoszenie stopy życiowej w rozmiarze choćby nieco niższym od aspiracji społecznych jest niemożliwe, koncepcja ta sprowadza się do inicjowania otwartej próby sił władza – społeczeństwo. W toku tej konfrontacji działalność państwa musi ulegać wyraźnemu zakłóceniu, dochodzi do przyspieszonej eskalacji kryzysu, przybierającego coraz burzliwsze, a więc uchylające się od jakiegokolwiek kontroli formy. W ostateczności, taki rodzaj wydarzeń może doprowadzić do sytuacji, w której dwie skrajne ewentualności są następujące:

1. utrata przez władzę jakiejkolwiek kontroli nad wydarzeniami, a w następstwie jej upadek i utworzenie nowej władzy;

2. otwarta interwencja z zewnątrz połączona z usunięciem tej władzy, która nie potrafiła opanować kryzysu i wyznaczenie nowej.

Przyjęcie koncepcji pierwszej prowadzi więc, tak czy inaczej, do upadku władzy, która koncepcję tę przyjęła – czyli jest działaniem samobójczym.

Koncepcja druga.

Polityka liberalizacji, nawet gdy będzie połączona z równoczesnym wzrostem stopy życiowej i rozwijaniem w tempie równie szybkim jak eskalujący wzrost aspiracji społecznych, doprowadzi automatycznie do spadku sił władzy i rozwoju niezależnych od niej ośrodków. Proces taki, nie zahamowany w porę, grozi utratą przez władzę kontroli nad sytuacją, a w następstwie prowadzi do identycznych konsekwencji jak w koncepcji pierwszej.

Dodajmy, że próba zahamowania eskalacji wydarzeń w jednej czy drugiej koncepcji (tj. albo rezygnacja z umacniania władzy wobec żywiołowego sprzeciwu, albo powstrzymanie czy też ograniczenie polityki liberalizacji) obiektywnie jest niczym innym, jak zmianą koncepcji na przeciwną, z wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami.

W ten sposób, jak mogłoby się zdawać, doszliśmy do absurdu. Skoro ani środki policyjne, ani środki polityczne nie mogą powstrzymać procesu polaryzacji, niejako automatycznie powodującego przepływ sił od bieguna zachowawczego do bieguna reformy – to władza nie ma żadnych szans i jedyne, co jej pozostaje, to stosować maksymę: „Po nas choćby potop”. Zresztą niektórzy, coraz liczniejsi, tak już postępują.

Trzeba jednak wyjaśnić, że powyższe modele obrazują prawidłowość rozwoju historycznego w sytuacji, gdy władza identyfikuje się z pewnym systemem (tak, jakby operator maszyny identyfikował się z technologią, którą się posługuje), który jest, czy też stał się anachroniczny, zaś społeczeństwo rozwija się, zwiększając swoją moc. Wtedy z czasem władza staje się jądrem bieguna zachowawczego, a równolegle formuje się biegun reformy, między którymi przebiegają procesy polaryzacji.

Wiemy, że systemy anachroniczne, głównie dzięki sile inercji mogą trwać długo. To prawda, lecz miary czasowe nie określają, jak długo. Zależy to od

tempa przemian. Im są one szybsze, tym prędej narasta dysproporcja między anachronicznym systemem a nową rzeczywistością, osiągając pewien stan krytyczny – a w tym momencie wszystkie inne zjawiska zostają zdominowane przez eskalujący proces polaryzacji ze wszystkimi skutkami, do jakich on prowadzi. Ten proces polaryzacji może też być długotrwały, a w trakcie jego rozwoju biegun zachowawczy, w tym przypadku władza, może odnosić liczne sukcesy i pozornie ale tylko przejściowo, opanowywać sytuację. Ale tylko do czasu – nieraz bardzo krótkiego. Sprawa bowiem jest i tak już rozstrzygnięta przez historię. Przypomnę, że tezę tę udowodniono już i to dawno. M.in. dowód ten przeprowadził Włodzimierz Lenin.

We wstępnych partiach tego memoriału wskazałem na niektóre wpawdzie, lecz według mnie istotniejsze dowody, że narosła już ta zasadnicza dysproporcja między archaicznym systemem, a wymogami życia. System rządzenia praktycznie niezmienny od dobrego ćwierćwiecza, oparty został o pewne generalne założenia, nie zawsze najszybciej ustalone jeszcze wcześniej, bo co najmniej za życia naszych dziadków; ponadto, w błędnej pogoni za uniwersalnością, pomijał on tak podstawowy czynnik, jak odmienności charakterów narodowych, co szczególnie mścić się musi w polskim przypadku. Natomiast rozwój narodu polskiego, jego pozycji, warunków działania, zwartości, siły ekonomicznej, możliwości – był w bieżącym stuleciu olbrzymi, przy czym wielka część tego rozwoju nastąpiła w ostatnim trzydziestoleciu.

Warto więc sobie odpowiedzieć na pytanie: czy nieuchronny punkt krytyczny został już przekroczony? Wydaje się, że tak, a przyspieszyła jego nadejście stosowana z powodzeniem i owocująca w liczne pozytywne efekty strategia przyspieszonego rozwoju, prowadzona przez Edwarda Gierka. Jest to wielki skrót myślowy, ale jeśli w minionym sześcioleciu wymieniono i zmodernizowano większą część naszego parku maszynowego – to czy nie przekształciło to i nie spotęgowało siły społecznej ludzi, którzy tymi maszynami się posługują? Jeśli globalny dochód narodowy wzrósł ponad dwukrotnie, to czy nie doprowadziło to do ważnych przemian w społeczeństwie? Można nie dostrzegać tych związków, albo rozumieć je opacznie, lecz czynić tak mogą tylko ci, którzy – przygniecenii doraźnymi problemami i poświęcający całą swoją energię na przełamywanie wtórnych trudności, nie potrafią zrozumieć sensu zasadniczego

sprężenia zwrotnego, które Karol Marks określił radykalnie – byt kształtuje świadomość.

7. Władza ma trzy możliwości dalszego działania, aby kontrolować rozwój sytuacji w kraju

Jeśli nieunikniony punkt krytyczny został [już] przekroczony, to procesy polaryzacji znajdują się jeszcze w dość spokojnym stadium. Mogą one zostać jednak gwałtownie przyspieszone, czy to wskutek działania głębszych, obiektywnych czynników, czy to wskutek działań któregoś z biegunów – zachowawczego czy reformy.

Oznacza to, że w obecnej fazie władza, choć dysponuje już bardzo skurczonymi możliwościami – jeśli tylko nie będzie angażowała się w utrzymanie systemu w niezmienionym kształcie – ma ich nadal wiele, a zdolność kontrolowania przez nią rozwoju sytuacji jest nadal dość poważna.

W grę wchodzi trzy zasadnicze ewentualności.

1) Przestać się identyfikować z biegunem zachowawczym, odrzucić archaiczny system rządów i przystąpić do tworzenia nowego ustroju państwowego, adekwatnego do rzeczywistości i spełniającego współczesne aspiracje narodowe Polaków. Gdyby taka polityka została zastosowana wcześniej, miałaby ona wszelkie szanse realizacji. Nie doszłoby w ogóle do procesów polaryzacji, a władza w budowie nowego ustroju napotykałaby jedynie na pomoc i ofiarność ze strony społeczeństwa. Szansę zainicjowania takiej polityki miał Wł. Gomułka w 1956 roku, lecz nie uczynił tego, m.in. dlatego, że w owym czasie siła inercji systemu i jego aparatu była większa od siły naporu społecznego (roczniki uderzeniowe obejmowały 20,8% społeczeństwa, liczącego 28 mln). Szansę taką miał również w 1970 r. E. Gierek, gdy siła inercji była mniej więcej równoważna sile naporu (roczniki uderzeniowe obejmowały 24,7% społeczeństwa, liczącego 32,5 mln). Błąd nowego kierownictwa PZPR wynikał jednak z faktu, że postanowiło ono skupić główne wysiłki na wprowadzeniu w życie nowej strategii gospodarczej, nie biorąc pod uwagę tego, że konsekwentna realizacja tej strategii będzie na różnych odcinkach paraliżowana przez zachowany stary system władzy, zaś wszystkie pozytywne efekty gospodarcze obiektywnie umocnią siłę naporu społecznego. W ten sposób zemściła się błędna zasada,

która w istocie ogranicza charakter państwa, widząc w nim coś na kształt olbrzymiego organizmu gospodarczego, dla którego najważniejsze staje się osiągnięcie jakichś abstrakcyjnych celów, czy raczej wskaźników ekonomicznych, naród zostaje sprowadzony do masy siły roboczej i zarazem konsumentów, zaś centralnym zagadnieniem politycznym staje się utrzymanie równowagi między produkcją a konsumpcją.

Dzisiaj wkraczamy w 1977 rok w warunkach, gdy siła inercji systemu jest już słabsza od naporu społecznego (roczniki uderzeniowe obejmują ponad 26% społeczeństwa liczącego 34,5 mln, a więc przekroczona została zasadnicza granica 25% i co ważniejsze – granica 33% dorosłej części społeczeństwa). Ta relacja sił nie przekreślałaby jeszcze możliwości władzy rozpoczęcia i kierowania przebudową ustroju państwowego, gdyby nie proces polaryzacji i jeden z jego elementów – kryzys zaufania.

Gdyby obecne kierownictwo zaproponowało społeczeństwu rzeczywiście najlepszy i odpowiadający zarówno obiektywnym potrzebom, jak też subiektywnym pragnieniom narodu (nie są to czynniki identyczne) model ustrojowy – kryzys zaufania nie pozwoliłby zobaczyć dobrych intencji władzy i co najmniej znaczna część społeczeństwa potraktowałaby to jako taktyczny manewr, inna zaś jako początek ustępstw – co w konsekwencjach prowadziłoby do biernej i czynnej odmowy realizacji tego programu. Zwłaszcza, że generalna przebudowa jest zadaniem bardzo trudnym, wymagającym nie tylko czasu, lecz i świadomej ofiarności całego społeczeństwa.

W warunkach procesu polaryzacji władza, która przestałaby się identyfikować z biegunem zachowawczym (ale biegun ten nadal by istniał i działał, skupiając wokół siebie siłę inercji starego systemu) – nie stałaby się tym samym biegunem reformy, co wymaga przecież akceptu społecznego. Wpływ władzy na sterowanie procesem polaryzacji nie byłby więc dostatecznie silny, zaś oba bieguny działałyby przeciwko niej. Zakładając, że kierowniczy ośrodek władzy jest dostatecznie silny i prężny oraz bez względu na warunki zdolny konsekwentnie realizować określony program – może on rzecz doprowadzić do pomyślnego skutku, zwłaszcza, że w pewnym momencie nastąpiłoby połączenie się obu biegunów w jeden o charakterze anarchicznie – konserwatywnym, zaś wokół władzy zaczęłby się wytwarzać nowy biegun reformy, po stronie którego

z czasem zaczęłaby stawać coraz liczniejsza część społeczeństwa. Szanse takiego optymistycznego rozwoju sytuacji są jednak znikome, a proces przebudowy ustroju na tej drodze bardzo trudny i kosztowny.

2) Wkroczyć na ewolucyjną, nie nadmiernie szybką, raczej hamowaną, drogę głębokich przemian ustrojowych w warunkach znalezienia wspólnoty najwyższych celów i ułożenia jakiegoś *modus vivendi* z biegunem reformy, co daje możliwość zasadniczego współsterowania całym procesem polaryzacji. W ten sposób stworzona zostałaby poważna szansa uniknięcia, a co najmniej znacznego ograniczenia, wszelkiego rodzaju żywiłowo narastających napięć i eksplozji społecznych oraz stopniowego likwidowania kryzysu zaufania. Jest to droga szczególnie trudna, wymagająca zarówno od władzy, jak i bieguna reform cierpliwości jak i ofiar – także prestiżowych, oraz przełamania początkowych stanów wrogości czy zacierzwienia, choć wcale nie prowadząca do przyjaźni, czy sojuszu. Spoiwem jest bowiem poczucie wspólnie zrozumianych celów nadrzędnych i uczciwe oraz bezkompromisowe podporządkowanie im wszelkich działań, a w szczególności form walki politycznej. Na tej drodze można jednak dokonać koniecznych przeobrażeń ustrojowych najmniejszym kosztem, w toku dłuższej ewolucji, pozbawionej szkodliwych wybuchów i nieprzemysłanych posunięć.

3) Gwałtowna (tj. dokonana w maksymalnie krótkim czasie, w scenerii sugerującej, iż jest to otwarty zamach stanu) i radykalna zmiana kierownictwa, przy czym nowa władza nie tylko przestałaby się identyfikować z biegunem zachowawczym, ale stanęłaby na czele bieguna reformy i przystąpiła do bardzo szybkich i daleko idących przeobrażeń ustrojowych, opierając się raczej na systematycznie wyzwalanym i pobudzonym potencjale emocjonalnym społeczeństwa, gdy obecnie – inaczej niż parę lat temu – dyspozycyjny potencjał materialny stał się względnie niewystarczający.

Tego rodzaju działanie, jakkolwiek nie zapewnia możliwości pełnego sterowania procesem polaryzacji pozwala uniknąć jego negatywnego wpływu aż do momentu wyczerpania działającego na rzecz reform i władzy potencjału emocjonalnego społeczeństwa. Wymaga to dokonania przeobrażeń ustrojowych w bardzo krótkim czasie, wcześniej niż potencjał emocjonalny zostanie wyczerpany i zaczną działać negatywne czynniki procesu polaryzacji. Jest więc

to droga również trudna jak ryzykowna, każdy błąd jest nie do odrobienia – a może prowadzić do katastrofy.

Zastrzec się należy, że sama radykalna zmiana kierownictwa i przyjęcie programu reform częściowych, bez naruszenia zasady obecnego systemu rządzenia, stanowi powtórzenie błędu październikowego Gomułki i grudniowego Gierka, tyle, że w nieporównywalnie cięższej sytuacji. Taki manewr przyspieszyłby jedynie procesy polaryzacji, gwałtownie ograniczając możliwość władzy ich częściowego sterowania.

8. Władza i opozycja – nie zaprzestając walki politycznej – muszą znaleźć modus vivendi

Sprawą zasadniczą stał się czynnik czasu. Procesy polaryzacji rozwijają się, a gdy przekroczą one pewien punkt, władza straci możliwość podjęcia pewnych działań, odpowiadających jednemu z trzech wskazanych modeli.

Waga czynnika czasu rośnie zresztą przy każdej z koncepcji politycznych, choćby częściowej, realizowanej przez władzę. Kompromisowa, niepełna koncepcja, przyjęta na V Plenum KC PZPR (nie chcę jej tutaj oceniać), przewiduje na bazie stosunkowo szybkiego przywrócenia równowagi gospodarczej stabilizację społeczno-polityczną. Tak, ale minęło już 6 miesięcy od czerwca, i jest to w istocie pół roku zmarnowane przez władzę. Czas więc nabiera coraz istotniejszego znaczenia, szczególnie dla władzy (bo dla ośrodków opozycyjnych kwestia może przedstawiać się inaczej) – zwłaszcza, że przybierają na sile pewne procesy żywiołowe.

W tym wyścigu z czasem nie są najważniejsze działania w sferze gospodarczej (choć ogromnego ich znaczenia nikt nie jest w stanie negować), ani tym bardziej w sferze administracyjnej, organizacyjnej itp. – ale działania zmierzające do zastąpienia żywiołowego procesu polaryzacji procesem sterowanym. W zasadzie jest to w pełni możliwe jedynie przy dwu ze wskazanych wyżej modeli działania.

Możność sterowania procesem polaryzacji zależy w zasadzie od współdziałania obu biegunów: zachowawczego dysponującego siłą inercji systemu oraz bieguna reformy, dysponującego siłą naporu społecznego. Zwracam uwagę, że model drugi nie przewiduje zaprzestania identyfikacji się władzy z biegunem

zachowawczym. Model ten zakłada, że wewnątrz bieguna zachowawczego nastąpią modyfikacje, które przemienią go z obrońcy status quo ante za każdą cenę w czynnik hamujący dokonywane przeobrażenia ustrojowe. W ten sposób będziemy mieli do czynienia z dwoma biegunami: hamującym i przyspieszającym przemiany. Podkreślić tutaj należy pozytywne znaczenie istnienia tego bieguna hamującego: staje się on gwarancją, że dokonywane przeobrażenia ustrojowe nie będą przebiegać zbyt szybko – co mogłoby doprowadzić do katastrofalnych nawet perturbacji, czy też do pochopnego przyjmowania pozornie tylko słusznych rozwiązań.

Jeśli oba te bieguny potrafią określić cele im wspólne i znaleźć modus vivendi, to nie zaprzestając walki politycznej, nawet bardzo ostrej, zapewnią sterowalny charakter procesów polaryzacyjnych i osłabią lub usuną tendencję do gwałtownego eskalowania działań żywiołowych, z natury rzeczy bezmyślnych i nie liczących się z konsekwencjami i ofiarami, nawet katastrofalnymi.

Zadaniem więc niejako najpilniejszym jest precyzyjne określenie najbardziej zasadniczych celów, które powinny przyświecać obu zwalczającym się biegunom. Oczywiście, cele te precyzowane być mogą tylko w warunkach całkowitej szczerości i zgodności intencji z deklaracjami.

Memoriał niniejszy jest najdalszy od proponowania celów, które stałyby się wspólne dla obu biegunów. Nie jest to jego zadaniem. Zresztą cele te muszą być określone na zupełnie innej drodze.

Obecnie sytuacja jest następująca:

Biegun zachowawczy, czy też – miejmy nadzieję – hamujący, posiada centralny ośrodek dyspozycyjny. Biegun reformy ośrodka takiego nie posiada, choć można przypuszczać, że w rezultacie eskalowania sytuacji ośrodek taki wytworzą lub wkrótce wytworzy. Być może nie będzie to jeden ośrodek dyspozycji, lecz zespół ośrodków, czy to współdziałających ze sobą bezpośrednio czy też spojonych wspólnotą najbliższych celów: zapoczątkowania procesów reformy. Otóż pełna precyzja celów i generalnych założeń uznanych za nadrzędne przez oba bieguny może nastąpić ostatecznie dopiero wówczas, gdy wytworzy się centralny ośrodek dyspozycji (lub zespół ośrodków) wewnątrz bieguna reformy.

9. Wzajemne stosunki powinny zostać ułożone nie na drodze bezpośredniego porozumienia, ale metodą pośrednią, w oparciu o cztery proponowane zasady

Następną sprawą będzie stworzenie jakiegoś *modus vivendi*. Przypomnijmy, że chodzi o *modus vivendi* w ramach walki politycznej między obu bieżunami, a nie dla ich współdziałania. To jest bowiem niemożliwe i niepotrzebne. Efektem tego *modus vivendi* ma być jedynie takie sterowanie procesów polaryzacji, aby nie zostały one zdominowane przez zjawiska żywiołowe.

Postulowanie jakiegoś konkretnego *modus vivendi* wykracza poza zakres tego memoriału. Nie dysponuję zresztą kompetencjami, aby taki projekt zgłaszać. Pragnę jednak zwrócić uwagę na kilka zagadnień, które się z tym wiążą.

1. Konieczne jest wytworzenie jakiegoś minimalnego poziomu zaufania między obu bieżunami co do szczerości intencji. Można tego dokonać tylko na drodze faktów, a nie pustych deklaracji. Trudno w tej chwili określić jakie fakty mogłyby wchodzić w grę.

2. Należy doprowadzić do likwidacji nabrzmiałych i istotnych dla co najmniej części społeczeństwa, a mających olbrzymie znaczenie dla atmosfery politycznej w kraju, pozostałości czerwca 1976 r., a także pozostałości wcześniejszych faktów, jak np. tzw. dyskusja konstytucyjna. Pozostałości te zostały określone w początkowych tezach „Programu 44” z sierpnia 1976 r., a sprowadzają się one do amnestii, względem uwolnienia skazanych i aresztowanych, przywrócenia do pracy, cofnięcia restrykcji zawodowych itd. Postulaty te zostały następnie powtórzone w generalnym zarysie w oświadczeniu Konferencji Episkopatu z września i listopada br., a także w licznych deklaracjach KOR, poczynawszy od chwili powstania tego komitetu.

Przemawiając w Mielcu we wrześniu br. Edward Gierek podkreślił, że PRL jest państwem ogólnonarodowym. Deklaracja ta jest całkowicie zbieżna z najbardziej podstawową tezą wstępną „Programu 44” – co można odczytać jako fakt optymistyczny. Z zadowoleniem i optymizmem można też przyjąć ostatnie decyzje władz o cofnięciu restrykcji wobec sygnatariuszy tzw. paktu konstytucyjnego. Być może jest to dobry początek dla całkowitej likwidacji pozostałości, o których mowa. Takie pełne i konsekwentne działania władzy

spotkałyby się z reakcją w postaci rozwiązania KOR-u, który zresztą straciłby w tej sytuacji cel i sens istnienia.

Jest sprawą oczywistą, że likwidacja pozostałości Czerwca i innych – w sensie jak je rozumie „Program 44” i dalsze oświadczenia oraz deklaracje – jest sprawą bardzo delikatną i trudną. Istnieją zrozumiałe obawy, że narazi to na szwank prestiż władzy. Wydaje się jednak, że obawy te są w przeważnej mierze przesadne, gdyż utrzymywanie istniejącego stanu rzeczy nie przynosi ani władzy, ani społeczeństwu, ani atmosferze politycznej w kraju żadnych korzyści, a jedynie szkody. Im później sytuacja ta zostanie rozwiązana, tym szkody będą większe; im bardziej upływa czas tym trudniej podjąć w tej mierze decyzję i tym bardziej wpłynąć ona może na prestiż władzy. Stwierdzić należy obiektywnie, że pewne wystąpienia żywiołowe i kierowane – utrudniają władzy załatwienie całej sprawy, a może, w pogoni za taktycznymi sukcesami, zmierzają do prowokowania usztywnienia stanowiska władz. Jeśli tak jest to należy liczyć się z dalszym utrudnieniem możliwości manewru władz przez eskalowanie różnych form protestu.

3. Zarówno ze strony władz, jak ośrodków niezależnej myśli i aktywności, zwłaszcza tych, które przybierają postać grup opozycyjnych, winien być wysunięty postulat konstruktywności. Chodzi o konstruktywność zgłaszanych programów i postulatów, bowiem sama negacja do niczego nie może prowadzić – ale chodzi też o konstruktywność wzajemnej krytyki. Mówiąc o konstruktywności, mam na myśli jedynie konstruktywność wyższego rzędu, a nie np. konstruktywne uwagi co do sposobu jak najlepszych realizacji dyrektyw władzy.

4. Pożyteczne będzie chyba wstrzymanie się od aktów brutalnych, np. terroru we wszystkich jego teoretycznie możliwych odmianach, od najslabiej zarysowanego do partyzantki ulicznej, czy też innych czynów niewątpliwie kryminalnych, choćby miały być uzasadnione jakimikolwiek względami wyższymi. Oczywiście możliwe to jest tylko na zasadzie pełnej wzajemności.

Wskazać też warto, czego *modus vivendi* nie powinien obejmować. Przede wszystkim nie może ono zawierać jakichkolwiek gwarancji ze strony władz wobec ośrodków niezależnej myśli, w tym zwłaszcza grup opozycyjnych, dotyczących czy to ograniczenia zakresu i form walki politycznej oraz prawem

dozwolonych akcji politycznych (administracyjnych i milicyjnych), wreszcie represji prawnych i sądowych, jeśli znajdują one uzasadnienie w obowiązujących ustawach i przepisach. Jakiegokolwiek gwarancje władz w tym zakresie doprowadziłyby do obiektywnego zaostżenia sytuacji politycznej i umacniały żywiołowość procesu – bowiem przez ośrodki niezależnej myśli i aktywności odczytane by zostały, w obecnych warunkach politycznych, jako prowokacja zmierzająca do podważenia ich niezależnego charakteru i sprowadzenia tych ośrodków do moralnie dwuznacznego poziomu, jaki w oczach znacznej części społeczeństwa mają – słusznie czy niesłusznie – takie organizacje, jak PAX, ChSS, czy grupa Zabłockiego. Dlatego wydaje mi się też, że niesłuszne byłoby ustalenie *modus vivendi* na drodze bezpośrednich porozumień, zwłaszcza, że istnieje wystarczająca ilość form i metod pośrednich.

10. W obliczu nadchodzących ważnych wydarzeń przywódcy władzy i opozycji powinni wznieść się ponad partykularne interesy

Niezależnie od tego, gdzie, przez kogo i jakie zostaną opracowane koncepcje, jakie linie polityczne będą realizowane, w jakim tempie i rytmie rozwijał się będzie proces polaryzacji i do jakich efektów doprowadzi – jedno jest pewne: weszliśmy jako naród i jako państwo w jeden z węzłowych okresów całej naszej historii najnowszej. Jest to okres, który niesie z sobą groźby poważnych ofiar, a nawet katastrof; ale jest to też okres, który stwarza dla Polski i Polaków nowe, wielkie szanse.

Od poczucia prawdziwej odpowiedzialności ogółu Polaków i każdego z osobna, od odpowiedzialności odważnej, konsekwentnej i mądrej zależy, czy te szanse potrafimy wykorzystać.

Dokładnie 53 lata temu, 21 grudnia 1918 r. Naczelnik odrodzonego państwa i przywódca rządzącej w nim orientacji politycznej Józef Piłsudski, tak pisał do lidera najbardziej wrogiej mu formacji politycznej, Romana Dmowskiego: „Mam nadzieję, że w tym wypadku i w chwili tak poważnej, co najmniej kilku ludzi – jeśli, niestety, nie cała Polska, potrafi się wznieść nad interesy partii, klik i grup.”

To wezwanie jest zawsze aktualne. Dzisiaj nawet bardziej niż kiedyś.

Memoriał niniejszy można rozpatrywać tylko jako całość; żaden jego fragment, traktowany oddzielnie, nie może stanowić podstawy do dyskusji. Nie nosi on w żadnym wypadku charakteru propagandowego, nie porusza zagadnień ideologicznych, a jest jedynie wywodem intelektualnym, choć oczywiście jego tezy mogą być uzasadniane innymi niż teoretyczne przesłankami i metodami. Memoriał stanowi wyraz wyłącznie moich osobistych przekonań, choć mogę przypuszczać, że podziela je niemałe grono osób. Nie był z nikim konsultowany, lecz stosunkowo w niedalekiej przyszłości poczuwam się do obowiązku przedstawienia go i przedyskutowania z moimi politycznymi przyjaciółmi, a następnie ewentualnie z innymi jeszcze osobami.

Mottem niejako całości moich wywodów jest zdarzenie, które miało miejsce 25 czerwca br. rano w jednej z warszawskich instytucji. Do grona podeksytowanych i rozdyktowanych osób podeszła sprzątaczką i oświadczyła:

– Po co tyle gadania! Chłopy to i tak załatwią!

21 grudnia 1976 roku

ZSRR: mocarstwo nierozwiązanych problemów

Tadeusz Stański: *Jak doszło do powstania materiału o ZSRR? Miałem w 1978 roku trzydzieści lat a w tym wieku ludzie nie boją się stawiać trudnych pytań i szukać rozwiązań nawet wielkich problemów. Dla Polski po II wojnie światowej Rosja Sowiecka to był problem zasadniczy. Niestety nasze elity polityczne w dużym stopniu wymordowane przez Niemców i Rosjan pozostawiły pustkę w tym miejscu którą wypełnili wielbicielowie komunizmu nawet jeśli byli wyrzuceni z PZPR. Dopiero Formacja Walczących o Niepodległość rozpoczęła proces myślenia o Sowietach jako o naszym wrogu nr 1. Dwa lata wcześniej jako szef wojewódzkiego Pax-u w Siedlcach wydawałem pismo pt „Przegląd”, którego ukazało się 4 numery. Miałem dostęp do Biuletynu PAP z którego wydłubywałem dane dotyczące ZSRR. Duży też wpływ na treść mojej analizy miały dwie osoby. Byli to prof. Jerzy Łojek z którym przerabiałem teorię przywództwa a drugim gen. Tadeusz Pióro szef sztabu LWP z którym wielokrotnie analizowaliśmy potencjał militarny Rosji Sowieckiej. Ja oczywiście wobec obu Panów byłem uczniem. Korzystając z nabytej wiedzy organizowałem prelekcje w oddziałach Pax-u pt. „Czy ZSRR będzie czynnie interweniować w Polsce?” Było to mało rozsądne posunięcie bo po takiej prelekcji w Kielcach SB doprowadziła do rozbicia całej naszej grupy. Jednak wiedza jaką nabyłem o ZSRR pozostała. Po rozpoczęciu współpracy z Leszkiem Moczulskim postanowiłem spisać moje rozważania o naszym wrogu. Ta potrzeba wynikała z dwóch faktów. Po pierwsze powszechny społeczny strach przed Sowietami – stąd tezy Kuronia i Brzezińskiego o finlandyzacji kraju jako recepty opozycji dla PRL. Sprawa druga to tak zwana podstawa myślenia politycznego. Chcąc zrealizować cel ideowy naszej grupy czyli odzyskać Niepodległość Polski musieliśmy zdefiniować kto jest naszym wrogiem a kto przeciwnikiem? Dla mnie było oczywiste, że wrogiem jest ZSRR a przeciwnikiem PZPR. Dlatego zająłem się Rosją Sowiecką. Najważniejszą tezą moich przemyśleń było, że jeśli ZSRR nie będzie interweniować w obronie polskiej komuny to tę walkę wcześniej czy później wygramy bo PZPR bez ich wsparcia nie wygra z narodem. To była podstawa tego artykułu –*

wykazać, że Sowieci jako mocarstwo nie będzie mogła pomóc swoim Polskim agentom. W tamtym okresie był to jedyny taki tekst w Polsce. Dlatego gdy trzynastego grudnia 1981 roku wprowadzono stan wojenny ja jako więzień na Rakowieckiej pomimo ponad rocznego aresztu w procesie Konfederacji Polski Niepodległej byłem spokojny o swoje bezpieczeństwo podczas gdy cała masa ludzi związanych z „Solidarnością” oczekiwała w tym czasie najgorszego. Ja byłem przekonany że ZSRR nie pomoże Jaruzelskiemu. Dlatego do dziś jestem dumny z tego powodu. Wyjaśnienia wymaga jeszcze sprawa pseudonimu. Urodziłem się na Podlasiu i używałem dwóch pseudonimów – Zdzisław Błoński (od nazwy miejscowości w której się urodziłem) i Marek Siedlecki to istniejąca osoba. W teczках IPN dotyczących mojej osoby są ślady, że SB wiedziała, że to ja byłem autorem tej analizy. Ciekawe, że pomimo tego w trakcie procesu problem poruszony w artykule nie zaistniał. Dla prokuratury i SB ważniejsza była „Rewolucja bez rewolucji” a o sytuacji w ZSRR woleli byśmy nie mówili.

Tadeusz Stański

Warszawa 15.09.2016 rok

P.S

18 kwietnia 1979 roku SB w Polsce dokonało rewizji w domach około 200 osób związanych z opozycją. Po raz pierwszy trafili i do mnie. Spisali i zabrali ponad 300 pozycji w tym te nad którymi pracowałem czyli broszurę która była analizą sytuacji na świecie w tym ZSRR i w Polsce, moje spojrzenie na PZPR, PSL, SD, ugrupowania katolickie i opozycję. To wszystko mi zabrali w maszynopisie. Artykuł o ZSRR uratował się bo był już w redakcji „Drogi”. Ciekawe, że tych moich analiz nie ma w dokumentach które znajdują się w IPN. Pewnie SB ma je w swoich kryjówkach.

Przeciętny Polak, odcięty od rzetelnych informacji o faktach i problemach ZSRR, gotów jest do udzielenia jednej z dwu skrajnych odpowiedzi co do reakcji radzieckiej na ewentualną próbę Polski uwolnienia się od ich dominacji:

1. że Rosjanie będą natchmiast interweniowali militarnie;
2. że Rosjanie nie podejmą żadnych przeciwdziałań

Rzecz w tym, że wśród bogatej gamy możliwości radzieckich — dwie powyższe są najmniej prawdopodobne.

Czas zmienia wszystko

Przynajmniej od lat sześćdziesiątych naszego wieku, Polska nie należy do najważniejszych ośrodków zainteresowania myśli politycznej. Każdy, kto myśli o przyszłości, powinien zdać sobie sprawę z tego, że tzw. europejska orientacja Rosjan jest już właściwie historią. Gwoli przypomnienia: właśnie ta orientacja doprowadziła do rozbiorów Rzeczypospolitej. Aktualnie Rosjanie prowadzą politykę w skali globalnej i Polska jest tylko fragmentem a nie istotą tej polityki. Zbyt wiele sposobów myślenia politycznego w Polsce nie chce uwzględniać powyższej prawdy, która sama w sobie stanowi zagrożenie dla istnienia niejednego ośrodka politycznego w Polsce. Zastanawiające, że ośrodki te nie dostrzegają, iż zmiany w świecie zachodzą dynamicznie. Również i w ZSRR nic nie może istnieć statycznie. Jest wiele problemów, które dla władzy w ZSRR stanowią, lub będą stanowiły podstawowe zadania do zrealizowania.

Problem biologiczny władzy

Aktualna ekipa kierownicza jest właściwie u kresu swej aktywności politycznej. Dlatego jej celem zasadniczym jest utrzymanie i nie zaognianie sytuacji na żadnym wewnętrznym czy zewnętrznym odcinku. Potwierdza to fakt nie podejmowania prób rozwiązania wszystkich zasadniczych problemów ekonomicznych, militarnych i ideologicznych. Zmiana ekipy, a właściwie wymiana całej najwyższej ekipy odbędzie się drogą naturalnej odnowy biologicznej. Proces ten może trwać tygodniami, miesiącami, a nawet przez kilka lat, ale bezsporne jest, że w jego następstwie zostanie utworzona całkiem nowa ekipa. Zmiany personalne będą dalej idące, niż po śmierci Stalina, gdyż wówczas przetrwało kilku członków Politbiura a jeden z nich – Susłow – jest w kierownictwie do dziś. Teraz odejdą wszyscy bo biologia jest nieubłagana. Średnia wieku w Biurze Politycznym jest dziś wyższa, niż kiedykolwiek. Unaoczniał to niedawny zgon najmłodszego członka Politbiura – 61-letniego Kałagowa.

Ktokolwiek będzie nowym szefem KPZR – może to być Romanow – szef okręgu leningradzkiego KPZR, może to być szef KGB – Andropow, czy też przedstawiciel tzw. grupy ukraińsko-białoruskiej – stanie wobec konieczności rozwiązania bardzo trudnych problemów, od lat już czekających na rozstrzygnięcie.

Chiny

Tzw. orientacja żółta (chińska) może rodzić nadzieje tylko wśród nieorientowanych Polaków, którzy tradycyjnie wierzą w konflikty między oboma państwami w imię naszej racji stanu. Polska nie jest partnerem dla Chin, które wyraźnie kokietują Europę Zachodnią, a zwłaszcza RFN. Chiny, jednak poprzez swoją strategię wyczerpywania stanowić będą zasadniczą kwestię, której konieczność rozwiązania stanie przed nowymi przywódcami KPZR. Trzeba tu dodać, że już Chruszczow, a potem Brzeżniew przygotowywali grunt do załatwienia tego problemu.

Konflikt chiński wywiera swoje piętno na większości dziedzin życia ZSRR. Politycznie spowodował, że Rosjanie podstawową część swojej energii kierują na Daleki Wschód co z kolei spowodowało zmniejszenie się zainteresowania tradycyjnymi regionami aktywności rosyjskiej – w tym szczególnie Europą Wschodnią.

Najpoważniejsze jednak trudności związane są z koniecznością angażowania coraz potężniejszego potencjału militarnego na granicy Chin. Stało się to jednym z głównych źródeł kryzysu gospodarczego ZSRR i zależnych od niego krajów.

Demografia

Konflikt radziecko-chiński rzutuje bezpośrednio na pogorszenie sytuacji demograficznej. Aktualnie w wojsku przebywa 14% ogółu Rosjan w wieku 20-39 lat (wskaźnik ten dla obywateli ZSRR narodowości rosyjskiej jest znacznie niższy). Ten stan rzeczy rzutuje na przyrost naturalny rdzennych Rosjan, który jest na bardzo niskim poziomie. Przykładowo: kobieta w Azerbejdżanie rodzi średnio 2,59 dzieci, w Armenii – 3,42, w Gruzji 2,83 a w Rosji – 2,00. Powoduje to zmiany w proporcjach ludnościowych, lub wręcz słabnięcie żywiołu

rosyjskiego. W Okręgu Pskowskim liczba Rosjan w latach 1950-70 zmalała o 20 proc, z kolei w latach 1926-75 azjatycka ludność republik środkowoazjatyckich potroiła się.

Wydatki zbrojeniowe

Po kryzysie kubańskim Rosjanie znowu zaczęli interesować się bronią konwencjonalną. Ich zainteresowanie wzrosło jeszcze po interwencji w Czechosłowacji w 1968 roku i zaognieniu się sytuacji na granicy chińskiej. Według dokumentów radzieckich – ZSRR 77 proc. swojego budżetu wydaje na obronę. Wg. The Military Balance 77/78 w 1976 Rosjanie wydali 127 mld \$ na zbrojenia, co w przeliczeniu na głowę mieszkańca wynosi prawie 500\$. Dla porównania – wedle tego samego źródła – przelicznik dla Polski w 1977 r. wyniósł prawie 70\$ na głowę mieszkańca. Rosjanie produkują czterokrotnie więcej czołgów niż USA. Są w stanie w ciągu 9 miesięcy na nowo wyposażać w samoloty całość sił powietrznych Francji i Wielkiej Brytanii. Liczby te najlepiej świadczą, jak dalece gospodarka ZSRR jest podporządkowana produkcji militarnej. Szacunkowo, aż 60 proc. przedsiębiorstw zaangażowanych jest w produkcję wojskową.

Poziom życia

Coraz częściej mieszkańcy ZSRR orientują się w różnicy między ich standardem życia, a tym co widzą w TV, czytają czy oglądają podczas wyjazdów zagranicznych. O ile rdzenni Rosjanie na rzecz poczucia mocarstwowej roli swego państwa są w stanie zrezygnować z zaspokajania rosnących potrzeb, to inaczej jest z innymi narodami ZSRR.

ZSRR dysponując olbrzymimi zasobami bogactw naturalnych jest w stanie zapewnić społeczeństwu względny dobrobyt ale potrzebne do tego są dwie rzeczy.

Po pierwsze – czas. Przy wykorzystywaniu tylko aktualnego potencjału ZSRR, czas ten niepomniernie wydłuża się. Istnieje możliwość przyspieszenia ale wiąże się to z potrzebą technologii i licencji z krajów wysoko uprzemysłowionych. Wymaga to pewnego przełomu psychicznego w ZSRR, co umożliwi oby wyjście z izolacji. Sprawa współpracy gospodarczej jest dla nas szczególnie

ważna w związku z tezą, że istnieje problem wymuszania od ZSRR ustępstw typu politycznego na rzecz korzyści militarnych. Wszystko wskazuje na to, że Zachód idzie na współpracę gospodarczą. Już aktualna wymiana handlowa wzrosła przeciętnie o 58 proc. w ciągu dwóch lat. Ten fakt świadczy o niestosowaniu przez Zachód taktyki zmierzającej do osłabienia ekonomicznego ZSRR.

W 1976 r. odwiedziło ZSRR 11 tys. przedstawicieli kół gospodarczo-handlowych RFN, ponad 5 tys. z Francji, 4 tys. z Włoch, 1 tys. z innych krajów zachodnich. W Moskwie pracuje 180 przedstawicielstw zagranicznych. Zwiększa to w wyraźny sposób stan współzależności pomiędzy ZSRR traktowanym jako istotny czynnik równowagi ekonomicznej świata a krajami kapitalistycznymi.

Po drugie- Syberia, która łączy się nierozzerwalnie z kwestią czasu. Sprawa Syberii ma kluczowe znaczenie ze względu na spór z Chinami. W myśl tezy, że „Syberia ma się bronić sama” – wszystkie nowe inwestycje lokalizuje się na północ od strategicznej linii kolejowej DAM-u. Rosjanie nie są w stanie sami zagospodarować tego olbrzymiego terytorium, które w dużej mierze stanowi o ich mocarstwowej pozycji.

Liczenie na ewolucję systemu radzieckiego poprzez manipulowanie licencjami i technologiami nie jest jednak uzasadnione. Dla Zachodu podstawą działania gospodarczego jest i będzie zys finansowy – także na terenie ZSRR. Np. w latach osiemdziesiątych Rosjanie będą potrzebowali 4-5 mln ton rurociągów, których nie są w stanie sami wyprodukować – liczne firmy zachodnie mają więc możliwość dokonania korzystnych transakcji.

Niemniej, pomoc gospodarcza z Zachodu jest jednym z istotnych momentów zmuszających ZSRR do ewolucji. Możliwości podniesienia poziomu życia ludności można upatrywać także w zmniejszeniu aktywności gospodarczej ZSRR na różnych odcinkach jego zaangażowania imperialnego.

Aktualnie dochód narodowy ZSRR jest najmniejszy od 1970 roku i wynosi 5,7 proc. (oficjalne dane). Nie do utrzymania jest tempo przyrostu dochodu planowane w pięciolatce na 7,8 proc. rocznie. Jest to efektem rozproszenia potencjału ZSRR na zbyt wiele frontów, na przykład Chiny, wojsko, kosmos, inwestycje, Europa Wschodnia, pomoc dla krajów azjatycko-afrykańskich.

Przyszła ekipa kierownicza KPZR stanie przed zasadniczym problemem ustalenia hierarchii celów ale po raz pierwszy stanie także wobec problemu

środków do realizacji tych celów. Oczywiście jest, że wówczas z czegoś trzeba będzie zrezygnować albo od razu, albo taktycznie, stopniowo.

Erozja władzy

W ZSRR nie istnieje pytanie czy władza jest silna, czy słaba. Władza po prostu jest. Jednak pewne aspekty rzeczywistości, występujące i w PRL, świadczą, że nie jest to monolit bez skazy.

Istnienie czarnego rynku, rozbudowany — powszechny system łapówkarstwa i powstanie tzw. czerwonej burżuazji powodują erozję władzy — charakterystyczne, że aż 25,1 proc członków KPZR to ludzie z wyższym wykształceniem. Coraz mniejszy jest prestiż milicji, nastąpiło osłabienie bardzo wysokiego mniemania o rzekomo wszechwiedzących służbach bezpieczeństwa, które nie mogą sobie poradzić ze zwykłym samizdatem. Wyrazem erozji władzy są na pewno także — po raz pierwszy w historii ZSRR — powtórzone wybory aż w 6 okręgach do władz terenowych.

Postęp cywilizacyjny

Czy postęp cywilizacyjny może być problemem dla przyszłej ekipy kierującej ZSRR? Odpowiedź zależy od zrozumienia tzw. „duszy rosyjskiej”. Nasz polski kompleks poczucia wyższości cywilizacyjnej nad narodami ZSRR w rozumieniu politycznym jest śmieszny, gdyż sprowadza się do tego, że nasze „poczucie” pozostaje „poczuciem”. Rozszerzając jednak sprawę tzw. „duszy rosyjskiej” można postawić problem: jakim narodem jest łatwiej kierować? — Patrzymy na ZSRR, jako na kraj zacofany, ale stosując miernik najbardziej istotny — wykształcenie — należy to zweryfikować.

Kierować narodem gdy 75 proc. stanowią analfabeci, a tak było w 1913, jest — wydawałoby się — łatwiejsze, jednak w sumie doprowadziło to do rewolucji październikowej.

Dziś w ZSRR blisko 5 mln ludzi studiuje na 859 uczelniach wyższych — w 340 miastach. W latach 1970–75 około 700. tys. osób opuszczało co roku mury uczelni. W 1975 liczba ludności z wyższym lub średnim wykształceniem wyniosła 117 mln. osób, w tym 11,32 mln z wyższym. Można mówić, że w porównaniu z 1913 nastąpiła prawdziwa rewolucja w zakresie wykształcenia. Wy-

daje się, że na „duszę rosyjską”, a zwłaszcza na jej aktualny stan, wykształcenie może mieć coraz większy wpływ. Przed przyszłą ekipą stoi problem kierowania narodem o dużym poziomie wiedzy, a co za tym idzie, coraz bardziej świadomym. Toteż należy ten problem widzieć nie tylko w kategoriach ilościowych, ale przede wszystkim jakościowych. Wynikiem zarysowanej wyżej sytuacji może być powstanie i wyodrębnienie się warstwy społecznej, którą można będzie nazwać „inteligencją”. Warstwy, która już teraz utrudnia kierowanie narodem rosyjskim. Trudności te mogą wzrosnąć niepomniernie w odniesieniu do innych narodów ZSRR, np. w kraju Chabarowskim 50 lat temu było 53 ludzi z wykształceniem wyższym i średnim – obecnie jest ich 80 tys. Istnieje tam 10 szkół wyższych. Aktualnie 69 proc. młodych Uzbeków i 59 proc. Estończyków ma co najmniej średnie wykształcenie, a pamiętajmy, że jest to przeciętna i dla innych narodów.

Eurokomunizm

Jakkolwiek by patrzeć na eurokomunizm, stanowi on jedno z zasadniczych zagrożeń dla ZSRR. Bowiern zanegowana została zasada jednego ośrodka ideologicznego, jakim była Moskwa. Problem jest istotny, bo dotyczy panowania i ekspansji komunizmu typu rosyjskiego. Eurokomunizm jako doktryna, którą wspomaga aktualnie taktyka USA wobec trzeciego świata, będzie stanowił coraz skuteczniejszej ekspansji ZSRR w skali całego globu.

Jest to duży skok dla KPZR, która cały system mocarstwa rosyjskiego zbudowała w oparciu o ekspansję ideologii. Można powiedzieć, że dzięki tej ideologii ZSRR przetrwał. W przyszłości o rozszerzeniu się modelu radzieckiego nie może być mowy; sami Rosjanie zdają sobie sprawę z tego, że pozycja ich przypomina coraz bardziej okopy przygotowane do obrony, a nie do ataku.

Europa Wschodnia

Zwykło się traktować kraje Demokracji Ludowej jako pewnego rodzaju monolit sprawnie kierowany przez ZSRR. Jest to wynikiem istnienia dwóch podstawowych struktur: RWPG i Układu Warszawskiego pozostałości po rządach Stalina. Jednak bliższe spojrzenie na ten „monolit” dowodzi istnienia daleko idącego zróżnicowania wewnątrz obozu socjalistycznego. Można zastosować

trzy wyróżniki: 1. Model stosunków wewnętrznych i relacje ekonomiczne, 2. Wewnętrzne i zagraniczne, 3. Polityka zagraniczna.

Model radzieckich stosunków wewnętrznych aktualnie realizują: Bułgaria, Czechosłowacja, Rumunia i w mniejszym stopniu Węgry. Relacje ekonomiczne, wewnętrzne i handel zagraniczny zgodnie z modelem radzieckim: Bułgaria, Czechosłowacja, Polska.

Politykę zagraniczną powielają za ZSRR: Bułgaria, Czechosłowacja, Polska. Węgry nie udzielały się w polityce międzynarodowej wcale, a dopiero wchodzą na arenę polityki europejskiej. Autonomiczną politykę zagraniczną prowadzą Rumuni, których należy również zaliczać do tzw. obozu socjalistycznego.

W analizie tej pominięto NRD, gdyż o autonomii sąsiada zza Odry trudno w ogóle mówić sytuacja tego kraju pomimo wiary w nieuniknione zmiany w całym obozie jest trwałe, tzn. NRD jest ostatnim terenem w Europie, z którego Rosjanie się wycofają.

Obecnie dwa kraje – Bułgaria i Czechosłowacja – są wiernym odbiciem ZSRR. Różnica pomiędzy nimi jest typu psychicznego. Bułgarzy, tradycyjnie traktujący Rosjan jako wyswobodzicieli i braci chcą bliższej integracji z ZSRR, włącznie z wejściem w skład ZSRR. Czesi i Słowacy nie chcą podobnego uzależnienia, ale są do tego zmuszeni – jest to zapłata za 1968 r. W przyszłości Czechosłowacja na pewno będzie starać się realizować swoją własną linię, polegającą na odbudowie tradycyjnych więzi zarówno na Zachodzie jak i z Rosją.

Polska siła rzeczy nie jest w stanie zastosować modelu radzieckiego stosunków wewnętrznych. Na ile nie będzie w stanie powiełać dwóch pozostałych wyróżników, zależy od nas samych.

Należy też liczyć się ze zmianami w ekipach rządzących. Cechą nowej elity partii komunistycznych w krajach Europy wschodniej będzie fakt wyobcowania i ukształtowania ich w krajach rodzimych, a nie w ZSRR. Rodzić to może specyficzny partyjny patriotyzm skierowany przeciw ZSRR. Zwiększać się będzie związek partii z narodami swoich krajów. Wnioski są oczywiste: obóz socjalistyczny nie jest już tak sprawnie kierowany przez ZSRR jak w okresie stalinowskim. Należy przypuszczać, że nadal będą postępowały procesy dezintegracji, aż do zupełnego bezkonfliktowego zerwania więzi z ZSRR (np. Rumunia). Wymagać to będzie od Układu o wiele większej energii Rosjan dla zachowania przynajmniej

formalnego status quo. Trudno mówić o przyszłości Układu Warszawskiego, chociaż na pewno jego rola będzie malała. O wiele więcej wiemy o przyszłości RWPG, o tym dziwnym tworze, który raz tylko w swojej historii spełnił konstruktywną rolę, kiedy to w 1950 r. Podpisano jedyną wspólną umowę o transporcie kolejowym i drogowym krajów RWPG. Od tej pory zawierano już tylko umowy dwustronne.

Zasadniczym celem polityki Rosjan w całym obozie socjalistycznym będzie zachowanie spokoju wewnętrznego. Nie bez przyczyny dotarło do konferencji w Helsinkach, na której uroczyście została pogrzebana tzw. doktryna Breżniewa, pozwalająca na czynną interwencję ZSRR w każdym kraju Europy Wschodniej. Po 10 latach wiemy już, że bilans strat i zysków po interwencji 1968 roku jest dla Rosjan stanowczo niepomysłny. Doceniając dojrzałość polityczną ZSRR, nie należy brać pod uwagę takiego rodzaju czynnej interwencji jak w Pradze. Przed nową przyszłą ekipą stanie bardzo poważny dylemat: jak kierować krajami w podległym sobie obozie, nie dopuszczając do wydarzeń typu Budapeszt 1956 i Praga 1968 rok. Jedną z metod już realizowanych jest uzależnienie ekonomiczne. Szczególnie to widać na przykładzie Polski.

W okresie kiedy jest jeszcze u steru KPZR Leonid Breżniew, nie należy spodziewać się żadnych istotnych zmian wewnętrznej i zewnętrznej polityki ZSRR. Ale nowa ekipa KPZR stanie przed problemami, z których rozwiązaniem ZSRR już nie może zwlekać.

Polityka i uczciwość

Dnia 1 września 1980 r. minie 12 miesięcy od chwili powołania Konfederacji Polski Niepodległej – jawnej, leganej partii politycznej. KPN opiera swój program na stwierdzeniu, że główną bolączką nękającą Polskę, jest dominacja Związku Sowieckiego, wyrazem której są rządy komunistycznej PZPR. Bez usunięcia komunistów popieranych przez moskiewskich mocodawców – wszelkie programy naprawy Rzeczypospolitej nie mają szans powodzenia.

Środowiska opozycyjne przyjęły powstanie KPN z mieszanymi uczuciami.

W tym samym czasie, gdy osoby podejrzewane przez Służbę Bezpieczeństwa o założenie niepodległościowej partii przebywały w aresztach jeden z działaczy Ruchu Obrony (środowiska Rady Sygnatariuszy¹) tłumaczył zagranicznym korespondentom, że zakładanie partii politycznych jest przedwczesne i należy z tym poczekać aż do wyzwolenia Polski.

W tym samym duchu wypowiedział się niedawno prof. Edward Lipiński²: „Według mnie czasy nie dojrzały do tworzenia partii politycznych, posiadających własne, zdefiniowane programy polityczne. Jedynym bowiem programem w obecnej sytuacji politycznej jest walka o demokrację i suwerenność kraju. Inne sprawy odłożymy na później, kiedy kraj będzie mógł się sam rządzić, ustanie panowanie jednej partii i zależność od obecnego mocarstwa.¹ Wypowiedź E. Lipińskiego spotkała się z polemiką ze strony Leszka Moczulskiego².

¹ Norbert Żaba, wywiad z prof. E. Lipińskim, *Kultura* (Paryż) nr 4 z 1980 r., s. 54–55.

² *Przegląd Krajowy KPN* nr 1 z 1980; por. też omówienie wywiadu w *Przeglądzie Socjalistycznym*, nr 2, s. 33–36.

Ruch Wolnych Demokratów^{III} w „Oświadczeniu” stwierdził, że powołanie KPN było „sprawą osobistą” tych działaczy Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, którzy znaleźli się w Konfederacji. RWD akcentując swą odmienność ideową stwierdzeniem, iż uważa PRL za państwo niepodległe, chociaż nie w pełni suwerenne, odmawiał uczestnikom Ruchu Obrony a zarazem działaczom KPN, prawa do wykorzystania Ruchu Obrony jako osłony działalności politycznej³.

Pozostający wówczas w kręgu RWD Marek M. Skuza^{IV} oskarżał KPN o zamiar urządzenia „honorowego pogrzebu” idei Ruchu Obrony a fakt powstania partii oceniał jako niebezpieczny⁴.

Nieprzyjazny, a często napastliwy komentarz zamieściły pisma związane ze środowiskiem określanym jako lewica laicka z KSS „KOR” (do tych komentarzy nie zaliczam rozbijającego poziomem tekstu Walca pt. „Drogą podłości do niepodległości” zamieszczonego w *Biuletynie Informacyjnym KSS „KOR”*^V a nazwanym później przez redakcję *BI* „pamfletem”) [...]. Najbardziej znanym stał się tekst Mieczysława Książczaka⁵. Autor stwierdził, że w skład Konfederacji weszły ugrupowania, o których przedtem nie słyszał. Zapewnił, że nie ma „obiektywnie” środków pozwalających walczyć o niepodległość. „Zatem funkcjonowanie Konfederacji musi ograniczyć się do hałaśliwych deklaracji. Ich skuteczność jest wątpliwa”. Książczak oskarżył założycieli KPN o „obniżanie prestiżu opozycji demokratycznej” i zakończył gromkim zapewnieniem: „Nie

³ *Oświadczenie Ruchu Wolnych Demokratów w związku z powstaniem partii politycznej pn. Konfederacja Polski Niepodległej oraz udziałem w niej niektórych uczestników Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce z dnia 30.09.1979*, tekst powielony.

⁴ Marek Skuza, *Odwrotna strona medalu*, tekst powielony. Pisał: „Przyspieszone cokolwiek narodziny skonfederowanych w KPN twórców politycznych, wywołują przede wszystkim zdziwienie. W krótkim okresie czasu, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej powstają mnogie ugrupowania, z wyimaginowanym programem działalności, opartym rzekomo na historycznej tradycji partii socjalistycznej, ludowej, chadeckiej. W początkowym okresie napęnlania tych twórców życiem i treścią, ich rzekoma spistość pokrywana jest taną frazeologią (...). Nie mogąc kierować się w swojej działalności ani zasadami, ani prozelityzmem, żadna z tych grup nie może liczyć na spontaniczną rekrutację zwolenników i w prostej konsekwencji działalność każdej z nich musi się sprowadzać do reprezentowania określonej płaszczyzny interesów”.

⁵ M. Książczak, „Iść krzycząc Polska”, *Robotnik* nr 40 z 1.11.1979.

weźmiemy udziału w kłamstwie”. Artykuł ten ogłosiło Radio Wolna Europa (RWE) – był to pierwszy chyba przypadek ogłoszenia tak napastliwego ataku na jedno z ugrupowań opozycyjnych⁶.

Podobnie, choć łagodniej w tonie pisze publicysta *Biuletynu Dolnośląskiego*^{VI}, pisma związanego z Klubem Samoobrony Społecznej we Wrocławiu⁷. Autor ten nazwał założenie Konfederacji „decyzją rozłamową”.

Niechętnie KPN stanowisko części KSS „KOR” identyfikowanego z lewiącą laicką potwierdzały liczne ataki na Konfederację tak z kraju, jak i w środowiskach emigracyjnych. W Warszawie krąży plotka, że gremium KSS „KOR” postanowiło nie używać nazwy KPN na łamach wydawanych przez siebie pism – i nie używa. Czyżby więc była to postawa taka sama, jak władz PRL? Prokurator wojewódzki w Warszawie przekonywał mnie, że KPN „nie istnieje”. To „nieistnienie” nie przeszkodziło dokonać kilkuset zatrzymań konfederatów tylko w tym roku. Wprawdzie wykaz represji KSS „KOR” też ich nie dostrzega...

⁶ *Przemiany* nr 2–3/1980, s. 7. Generalnie RWE dość wstrzemięźliwie podaje wiadomości o działalności KPN. Wy tłumaczeniem tego może stanowić fakt, że jednym z redaktorów spraw krajowych jest tam p. Tadeusz Podgórski, będący ponadto działaczem tej grupy PPS na obczyźnie, której przewodzi p. Lidia Ciołkoszowa, sympatyzująca z lewicą laicką w KSS „KOR”. W redagowanym przez T. Podgórskiego piśmie *Przemiany* (wyd. RFN) Konfederacja jest ciągle atakowana. Oto przykłady: „Oddzielnie trzeba nadmienić o licznych ostatnio zatrzymaniach przeprowadzonych wśród działaczy KPN, których deklaratywna raczej akcja nie powinna władz aż do tego stopnia niepokoić. M.in. zatrzymano ich wodza Leszka Moczulskiego, ale – najwidoczniej przez »uszanowanie« z reguły tylko na parę godzin”. (w ciągu pierwszego półrocza br. SB zatrzymała Moczulskiego 17 razy na ogół na 48 godzin, choć także i na 36 godzin – R.Sz.). W tym samym numerze na s. 23: „Tak – jesteśmy po prostu mocno zdziwieni, że w oficjalnym organie władz RP na Obczyźnie (patrz *Rzeczpospolita Polska* nr 2/294 z lutego 1980) zaprezentowano na całej pierwszej stronie – z przeniesieniem na drugą – marginesowe naszym zdaniem i w oczywisty sposób pretensjonalne wystąpienie p. Leszka Moczulskiego”. Z numeru 4 *Przemian*, s. 9 dowiadujemy się, że KPN to „hałaśliwe ugrupowanie p. Leszka Moczulskiego używające pretensjonalnej nazwy”. W końcu artykułiku organ p. Podgórskiego radzi, aby KPN zamiast orła w koronie, obrała „symbol kreta”. Teksty, jak widać, nie odbiegają poziomem od pamfletu Walca, ale tłumaczą dlaczego p. Podgórski uznał za stosowne ogłosić artykuł Książczaka.

⁷ Omikron, „Którędy do niepodległości (rzecz o KPN)”, *Biuletyn Dolnośląski* nr 4–11 z kwietnia 1980.

Prezentację niechętnych Konfederacji stanowisk można by jeszcze poszerzyć. Nie wszystkie one zasługują na uwagę⁸. Tak czy inaczej część środowisk opozycyjnych przyjęła KPN niechętnie.

Czy powołanie KPN było rzeczywiście tak nagłe i nieprzemyślane? Jest sprawą oczywistą, że organizacyjne szczegóły tego przedsięwzięcia musiałby być ukrywane. Chodziło przecież o skuteczność. Ale przygotowania, początkowo tylko koncepcyjne, trwały od wielu lat. Pamiętam jeszcze rok 1974 – uczestniczyłem w skonkretyzowanych już dyskusjach nad możliwościami i warunkami założenia jawnej partii opozycyjnej o programie niepodległościowym. O sprawie tej dyskutowaliśmy też w trakcie przygotowań do ogłoszenia „Programu 44”^{VII} w czerwcu i lipcu 1976 r. Na kanwie tych dyskusji został opracowany materiał, w którym zarysowano polityczne i organizacyjne warunki powołania partii w końcu 1976 r.⁹ Początkowo sądziliśmy, że uda się to uczynić w oparciu o kilka środowisk, działających w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Powołując Ruch Obrony w marcu 1977 byliśmy świadomi, że ta forma działania będzie uzupełniona przez powołanie partii. Co gorętsi z nas sugerowali nawet termin ogłoszenia o powstaniu partii na 11 listopada 1977 r. Nie byliśmy jednak jeszcze do tego przygotowani. Niebawem rozłam (inspirowany po części z zewnątrz) do jakiego doszło w Ruchu Obrony – opóźnił nasze plany. Pracował jednak nadal wąski zespół problemowy. Od stycznia 1979 r. przeszliśmy do bezpośrednich przygotowań organizacyjnych, powołując załóżek przyszłego kierownictwa latem, kiedy zaczęła funkcjonować Rada Polityczna. Datę powołania partii wyznaczaliśmy na dzień 1 września – 40 rocznicę wybuchu II wojny światowej.

⁸ Leszek Skonka w artykule „Fetysz niepodległości” wywodzi, że reprezentantami idei niepodległości we współczesnej Polsce są... Bolesław Piasecki, Mieczysław Moczar, a wraz z nimi... L. Moczulski, zaś powstanie KPN było na rękę PZPR. Patrz: „Refleksje, propozycje działania”, Zeszyt 4, Wrocław, marzec 1980, s. 9. Natomiast kierownictwo PAX twierdzi, że KPN jest dywersją sowiecką przeciwko Polsce. Działalność Konfederacji ma stworzyć Kremlowi alibi do zbrojnej interwencji (moja rozmowa z jednym z członków Prezydium PAX – R.Sz.).

⁹ Kopię tego tekstu pt. „Cele i wytyczne działania” skonfiskowała SB w trakcie rewizji mojego mieszkania w Lesznie dn. 20 kwietnia 1979 r.; patrz pokwitowanie KWMO w Lesznie wystawione przez por. Wł. Stachowskiego – pozycja nr 23.

Jedną z wielu przesłanek wskazujących na potrzebę powołania partii – już w tym terminie – była ocena sytuacji w środowiskach opozycyjnych. Pierwocyny jawnej działalności niezależnej w PRL ograniczyły się do płaszczyzny społecznej (pomoc prześladowanym). Zarówno „KOR” jak i Ruch Obrony dystansowały się do działalności politycznej i apelowały do władz o respektowanie obowiązującego prawa (zwłaszcza ratyfikowanych przez Radę Państwa PRL – Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka). Działalność ta pozwoliła ośrodkom opozycyjnym stworzyć ważne fakty dokonane i zyskać pewien rezonans społeczny. Wkrótce jednak wszyscy mogli się przekonać, że władze PRL nie tylko nie zamierzają przestrzegać ratyfikowanych Paktów Praw Człowieka, ale bez skrupułów łamią każdy przepis Konstytucji, Kodeksu Karnego czy Kodeksu Postępowania Karnego, jeżeli przepis taki daje jakieś uprawnienia prześladowanym. Przeciętny obywatel, zwracając się o pomoc do ośrodków niezależnych w miarę upływu czasu miał coraz mniejsze szanse na załatwienie swojej sprawy. Aparat represyjny PRL traktuje szczególnie brutalnie osoby z kręgów robotniczych i chłopskich. W tej sytuacji działalność opozycji – pomoc społeczna – traciła coraz bardziej na wiarygodności, skoro brakowało widocznych w każdym środowisku sukcesów. Dodatkowym czynnikiem „straszącym” ludzi stały się programy RWE, w których wiele miejsca poświęcano represjom spadającym na opozycjonistów, a zbyt mało mówiono o programach i osiągnięciach konkretnych grup. W tej sytuacji – grupy opozycyjne stawiały się coraz bardziej zamknięte, ograniczając się do działalności wydawniczej i dyskusji wewnętrznej. Powodowało to rozliczne ujemne następstwa. Jedni działacze opozycji obrażali się na „bierne” społeczeństwo, inni obciążali winą za impas współtowarzyszy działania. Zaczęły rodzić się spory i animozje na tle personalnym, skwapliwie podsycane przez agentury. Różnym siłom zależy, aby środowiska niezależne były izolowaną garstką szaleńców, żyjącą własnymi problemami. Skłócone i podzielone wewnętrznie środowisko odstrasza potencjalnych sympatyków. Skierowanie energii na wewnętrzne kłótnie bardzo ułatwiło poczynania SB. W tym zakresie policja odniosła spore sukcesy. Tworzyło się swoiste opozycyjne getto. Aluzje, docinki, napaści pojawiające się na łamach czasopism stanowiły zapowiedź powstawania języka getta, niejasnego dla społeczeństwa i drażniącego osoby spoza kręgu wtajemniczonych. Było dla

nas oczywiste, że dalsze wikłanie się w spory i walka o wpływy w mniejszych i większych grupach opozycjonistów nie ma sensu. Należało znaleźć wyjście z zamykającego się kręgu.

Uznaliśmy, że jednym ze sposobów może być wkroczenie z działalnością niezależną na teren polityki. Korespondowało to z naszym planem powołania partii niepodległościowej (choć zasadnicze przesłanki jej powołania były ważniejsze), dawało szansę większej skuteczności. Działalność polityczna polega m.in. na formułowaniu programów, propagowaniu ich i jednaniu zwolenników. Wokół takich zadań można stworzyć zorganizowaną strukturę i skupiać ludzi w działaniu. Represje spadające na ludzi skupionych wokół programu politycznego są jednym z dowodów, że działalność taka jest dla przeciwnika groźna. Co więcej, represjonowanie ludzi uznających pewien program polityczny uodparnia i cementuje grupę. Mamy tu oczywiście taki rodzaj represji, jaki mogą aktualnie stosować władze PRL. Są one mało skuteczne wobec takiej organizacji jak KPN.

Po wielu dyskusjach, spotkaniach, rozmowach uznaliśmy, że powoływana partia będzie miała kształt konfederacji. Przeważało w tej sprawie stanowisko środowiska krakowskiego, które od dłuższego czasuносиło się z zamiarem powołania Ruchu Porozumienia Polskich Socjalistów^{VIII}. Spowodowało to potrzebę sformalizowania innych środowisk. Istniało przecież nie tylko RPPS. Działał zespół skupiony wokół pisma Ruchu Obrony *Druga*. Związek Narodowych Katolików^{IX} formował się w oparciu o ludzi czynnie zwalczających prokomunistyczną linię kierownictwa PAX-u^X. O istnieniu grup ludowych

¹⁰ W końcu lat 60. i początku 70. do PAX-u trafiło grono osób o przekonaniach niepodległościowych. Grupa ta z czasem objęła różne funkcje w aparacie etatowym, głównie na odcinku młodzieżowym. Prowadziła też intensywną działalność propagującą kwestie niepodległości, szans wyzwolenia. M.in. organizowano spotkania w klubach PAX Leszkowi Moczułskiemu. W latach 1976–1977 grupa dysponowała znacznymi wpływami na terenie 18 oddziałów wojewódzkich PAX-u. Kierownictwo PAX-u ostrzeżone przez władze PRL i dzięki współdziałaniu z SB zdołało rozbić tę działalność, wyrzucając kierownictwo grupy z PAX-u. Osobą organizującą i przeprowadzającą „czystkę” był ówczesny wiceprzewodniczący Ryszard Reiff, który po śmierci B. Piaseckiego w nagrodę został szefem PAX-u. Jest sprawą charakterystyczną, że uderzenie

np. na Podlasiu^{XI} nie trzeba nikogo przekonywać. Świadczą o tym chociażby represje i aresztowania na terenie Siedlec. Skąd więc zdziwienia wśród niektórych działaczy opozycji? Czyżby postępowano według zasady: „To, o czym nie wiem – nie istnieje”?

Dla jasności obrazu trzeba dodać, że jedno środowisko niepodległościowe (Ruch Młodej Polski) nie zdecydowało się na wstąpienie do KPN, mimo, że było informowane i zapraszane do współdziałania. Ponadto o naszych przygotowaniach byli informowani działacze RWD i Komitetu Porozumienia na Rzecz Samostanowienia Narodu^{XII}. KPSN mimo niepodległościowego charakteru nie był przewidywany jako uczestnik Konfederacji, chociaż współpraca z tym ośrodkiem układała się dobrze¹¹.

W czerwcu 1979 r. w *Drodze* ukazał się programowy artykuł Leszka Moczulskiego „Rewolucja bez rewolucji”¹². Zarysowano w nim jeden z najprawdopodobniejszych scenariuszy działania, mającego na celu niepodległą i demokratyczną Polskę i zapowiedziano rychłe utworzenie partii niepodległościowej. W tym samym czasie opracowaliśmy Deklarację Ideową i Tymczasowy Statut KPN.

W końcu sierpnia 1979 r. dobiegały końca prace organizacyjne. Piętrzyły się trudności, dyskutowano ostatnie szczegóły programu i statutu. Niektórych działaczy niepodległościowych nie udawało się przekonać. Inni – nieliczni – odeszli już po powołaniu Konfederacji. Mimo to partia powstała i szybko

w grupę niepodległościową w PAX-ie rozpoczęło się w tym samym czasie, co zapoczątkowanie rozłamu w Ruchu Obrony, a także inne jeszcze akcje ofensywne SB. Cel za każdym razem był ten sam – rozbić grupy o przekonaniach niepodległościowym, grupujące się wokół Leszka Moczulskiego, uważanego przez PZPR za szczególnie groźnego przeciwnika.

¹¹ Wcześniejsze sondaże wskazywały, że KPSN chce zachować swoją odrębność a jego działacze nie są przekonani do idei założenia partii politycznej.

¹² *Droga* nr 7/1979. Charakterystyczne, że RWE do dziś nie podała treści tego artykułu, chociaż dla działalności opozycji w Polsce ma on zasadnicze znaczenie. Dodajmy, że podobnie postąpiono w tym radio z Platformą Wyborczą KPN. RWE podało wstęp i zakończenie Platformy i nie przedstawiło ani jednego punktu z naszego programu wyborczego.

okrzepła. Na tyle szybko, aby dać sobie radę z wielomiesięczną, energiczną ofensywą SB, której przejawami są setki zatrzymań i rewizji. Żadna z działających obecnie grup opozycyjnych nie znalazła się w pierwszych miesiącach swego istnienia pod takim uderzeniem SB. Na dobitkę, KPN była i jest atakowana nie tylko przez SB...

Ciągle jeszcze spotykamy się z opiniami, że KPN nie jest partią. Pewien lektor z PZPR przekonywał w trakcie jakiegoś zebrania, że Konfederacja nie jest partia ponieważ nie ma... miliona członków¹³. Taki warunek jest oczywiście bezsensowny. Zarówno w rzeczywistości, jak i na gruncie obowiązujących w PRL przepisów prawnych KPN jest partią i powinna korzystać ze wszystkich uprawnień, z których korzysta partia rządząca, m.in. z ochrony prawnej, określonej przez Kodeks Karny¹⁴. Zdajemy sobie sprawę jednak, że płaszczyzna prawna nie wyczerpuje całokształtu zagadnienia. Powinniśmy zastanowić się nad tą kwestią przywołując pojęcia socjologiczne. Joachim Bartoszewicz w „Podręczniku politycznym” wydanym jeszcze w 1922 r. pisał: „Stronnictwo (partia – R.Sz.) jest to zorganizowany zespół ludzi wyznających ten sam program polityczny i zgrupowanych dla politycznej akcji”. Prof. Stanisław Stroński uważał za partie „grupy obywateli zrzeszonych poza urządzeniami prawa państwowego – w imię wspólnych poglądów na rzecz wspólnego działania politycznego”¹⁵.

¹³ Liczebność nie może być kryterium warunkującym status partyjny. PPS zakładały 4 osoby, Ligę Polską – 7. Podobnie rzecz się miała z SKDPiL, Socjaldemokracją Rosyjską czy PPR-em. Nikomu nie przyszło do głowy, aby twierdzić, że te organizacje nie były partiami w chwili założenia. Statusu partii odmawia nam również RWE, nazywają Konfederację „ugrupowaniem o nazwie KPN”. T. Podgórski występujący jako specjalista na posiedzeniu Polskiej Rady Narodowej w RFN dnia 9 grudnia 1979 r. nazwał KPN „rodzajem opozycyjnego stronnictwa politycznego” – co nie miało większego znaczenia (wg. T. Podgóskiego). Patrz T. Podgórski, „Opozycja demokratyczna w Polsce – jej podłoże, charakter, stan i różnorodność”. *Komunikat PRN* nr 1, grudzień 1979, s. 12.

¹⁴ Analizę aspektów prawnych zawiera artykuł Adama Lewina „Partie a prawo”, *Droga* nr 8 z 1980.

¹⁵ Patrz hasło „Partie polityczne” w „Encyklopedii Nauk Politycznych, t. 4, Warszawa 1939, s. 229.

Autorzy „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej” (t. 8) nazywają partiami politycznymi „organizacje społeczne łączące swoich członków na podstawie programu politycznego (...) wyrażającego interesy określonych grup społecznych i dążące do realizacji tego programu przez zdobycie i sprawowanie władzy państwowej”. Wreszcie Marek Sobolewski stwierdza, że partią polityczną jest każda dobrowolna organizacja dysponująca „szeroką bazą społeczną” i programem działania opartym na określonej ideologii¹⁶. Sprawę „bazy członkowskiej” omawia Sobolewski następująco: „Nie należy przez to rozumieć konieczności wielomilionowej czy nawet paruset tysięcznej rzeszy członków. Wystarczy, jeśli liczba jest na tyle duża, aby wykluczone było utrzymywanie między nimi więzi tylko osobistych”. W szeregi KPN na terenie kraju w ciągu pierwszych 6 miesięcy przyjęto ponad 600 nowych członków.

Konfederacja jest niewątpliwie dobrowolną organizacją. Jej strukturę wewnętrzną określił Tymczasowy Statut. Rozdział IV określa zasady członkostwa, prawa i obowiązki członków. Rozdział V mówi o władzach naczelnych Konfederacji a rozdział VI ustala strukturę terenową KPN. Struktura organizacyjna istnieje i działa. Program KPN zawarty jest w Deklaracji Ideowej i Platformie Wyborczej KPN, poszczególne fragmenty programu są rozwijane i interpretowane przez rezolucje i oświadczenia Rady Politycznej KPN i Kierownictwa Akcji Bieżącej KPN¹⁷.

Twierdzi się, że KPN nie jest niczym nowym w zakresie metod działania opozycyjnego. Formułą skuteczną i jedyną – nie negowana przez inne grupy – mają być „ruchy społeczne”, koncepcję których sformułował Jacek Kuroń¹⁸. Stwierdza on: „Za ruchy społeczne uważam tu takie współdziałanie wszelkich zbiorowości ludzkich, w których każdy uczestnik realizuje swoje dążenia, dzia-

¹⁶ Marek Sobolewski, „Partie i systemy partyjne świata kapitalistycznego”, Warszawa 1974, s. 5–59.

¹⁷ Często spotykamy się z twierdzeniem, że KPN nie ma programu. Być może dlatego, że żaden z dokumentów programowych nie ma nazwy „Program KPN”. Określenie „program wyborczy” pada tylko jako tytuł rozdziału Platformy Wyborczej KPN.

¹⁸ Jacek Kuroń, „Myśli o programie działania”, wydawnictwo NOWA.

łając w małej grupie samotnej (podkreślenie R. Sz.). Takie małe samotne grupy mają wg. J. Kuronia powoływać pewne formy przedstawicielskie („komitety”), które organizować będą współdziałanie grup za pomocą „apeli”. Autor sądzi, że ruchy społeczne nie wkraczając w obszar polityki z czasem mogą niepostrzeżenie „dokonać zasadniczej reformy systemu”. „Dopóki nie zmienimy władzy (a ruchy społeczne nie aspirują do tego – R.Sz.), dopóty będziemy żyli we wspólnym kraju z tymi władzami, które mamy. Dlatego konieczny jest dialog między władzą a społeczeństwem” – podkreśla autor „Mysli...”.

Zagadnienie ruchów i dialog z władzą J. Kuroń rozwinął szerzej w artykule polemicznym „Drogi i podziały”¹⁹. Czytamy tam, że wśród opozycjonistów toczy się spór o alternatywy działania – przekształcać system stopniowo czy na drodze jednego aktu rewolucyjnego? Działać jawnie czy w konspiracji? J. Kuroń opowiada się za jawnym i stopniowym przekształcaniem systemu. Uważa, że rozwój ruchów społecznych wzmocni tendencje demokratyzacyjne w PZPR, co powinno wynikać z „pragmatyki ludzi władzy”. Ma temu służyć dialog, rozumiany przez działacza lewicy laickiej następująco: „Dialogiem są bowiem wszelkie żądania i postulaty stawiane władzom, jako władzom, bez względu na to, czy strony porozumiewają się ze sobą za pośrednictwem delegacji (...), czy też petycji, rewolucji, działań strajkowych itp.”. Kuroń przestrzega przed wysuwaniem takich żądań, których władze nie mogą zrealizować (?). Prowadzi to bowiem do „paraliżu władz” i dezorganizacji życia społecznego, na czym skorzysta najsilniejszy (kto?). Dlatego J. Kuroń chce – poprzez ograniczony program reform – „wmontować w system” (podkreślenie R.Sz.) autentyczną reprezentację interesów zawodowych, samorządów lokalnych oraz grupowych interesów załóg, wyrażanych w pewnym stopniu przez przedsiębiorstwa”. Konkretną formą takiego poparcia była koncepcja „ruchu rewindykacyjnego” zawarta w artykule J. Kuronia „Sytuacja w kraju a program opozycji”²⁰.

¹⁹ Patrz *Kultura*, nr 1/2 z 1979 r.

²⁰ Patrz *Biuletyn Informacyjny KSS „KOR”* nr 3/1979 s. 15–19 a także artykuł „Teorie i spory” Socjusza w *Kulturze* nr 11/1979 s. 51–70. Zasadnicza krytyka też zawartych w artykule Kuronia została dokonana przez Leszka Moczulskiego w powołanej już pozycji „Rewolucja bez rewolucji”.

KPN także postuluje samoorganizację społeczeństwa, ale jej rezultatem powinny być nie „ruchy społeczne”, „małe grupy” kierowane za pomocą „apeli”, lecz duże struktury polityczne ogarniające swym zasięgiem cały kraj. Takie organizmy działają w imię celu nadrzędnego i jemu podporządkowują czynności doraźne. Podobnie jak zwolennicy Kuronia opowiadamy się za stopnowym przekształceniem rzeczywistości (nie spotykaliśmy dotąd chętnych do osiągania celów na drodze eksplozji społecznej). Jednak naszej działalności nie zamierzamy „wmontowywać w system”. Konfederacja tworzy struktury i działania wskazujące, czym jest PRL i jak się go pozbyć. Jeżeli opowiadamy się za działaniem jawnym i legalnym, to nie dlatego, abyśmy wierzyli, że władze PRL zaczną w końcu przestrzegać ratyfikowanych Praw Człowieka. Działamy jawnie i legalnie, ponieważ są ku temu warunki. Gdyby ich nie było działalibyśmy w konspiracji. W państwie bierutów, gomułków czy gierków prawo będzie zawsze jedynie atrapą, służącą do maskowania bezprawia. Komuniści raz zachowują więcej, innym razem mniej pozorów – istota pozostaje bez zmian. „Liberalizm” obecnego Politbiura wynika z kłopotów gospodarczych i politycznych „obozu pokoju”. Kiedy PZPR takich kłopotów nie miała, wówczas przeciwników politycznych po prostu mordowano lub zamykano w więzieniach. Dziś, kiedy komunistom zależy, aby uchodzić w oczach Zachodu za demokratów, domagamy się przestrzegania ustanowionych praw, demaskując komunistyczną dyktaturę^{21XIII}. Innymi słowy, Konfederacja używa prawa ustanowionego w PRL przeciwko rządzącej monopartii tak, jak w początkach PRL ruch oporu używał broni – PZPR chcąc utrzymać się u władzy musi albo ustępować, albo ustanowione przez siebie prawo łamać i kompromitować się w oczach opinii publicznej. Ma to wpływ na losy PRL. Nie obawiamy się stawiania postulatów, których władze PRL nie będą mogły zrealizować. Paraliż władzy, przed którym przestrzega J. Kuroń, jest spowodowany nie tyle żądaniem opozycji, ile struk-

²¹ Taki charakter miało np. zgłoszenie kandydatów KPN na posłów w tzw. wyborach do Sejmu PRL. W Platformie Wyborczej Rada Polityczna KPN stwierdziła, że występuje „przeciwko systemowi i linii politycznej PZPR. Ponieważ komunistyczne władze nie dopuszczają do prawdziwych wolnych wyborów, KPN symbolicznie zgłasza tylko kilku kandydatów. Reprezentować oni będą przedstawiony niżej program wyborczy KPN, zawierający ograniczone cele, możliwe do realizacji w warunkach PRL a przybliżające Polskę do celu zasadniczego, jakim jest utworzenie niepodległej Rzeczypospolitej”.

turalną niewydolnością systemu. A więc ten paraliż chcemy przyspieszyć. Nie zależy nam na demokratyzacji dyktatury, ale na jej obaleniu. Demokratyzacja systemu totalitarnego nie jest dla nas celem, ale środkiem prowadzącym do odrodzenia demokratycznej i niepodległej Rzeczypospolitej. Szanse naszego działania rosną w miarę, jak niewydolność systemu PRL się pogłębia. Gdyby władze PRL ozdyskały szwobodę działania, wówczas zlikwidują nie tylko KPN, ale również apolityczne ruchy społeczne. Koncepcja działania za pomocą ruchów społecznych, tak, jak to widzi Kuroń, wydaje się prowadzić nie tylko do wątpliwych celów, lecz także być dość ryzykowna. Działania opierające się na lokalnych interesach, reprezentowanych przez małe grupy – ależ to wyśmienita okazja do manipulowania takimi tworam i przez władze! Wystarczy, że gdzieś się trochę ustąpi, komus coś przyzna, dowiezie do sklepów towary z rejonów, gdzie nie ma oporu – i tak można bez końca. Ograniczanie działalności do sfery społecznej oznacza pozostawienie polityki w rękach PZPR²². Jesteśmy jak najgorszej myśli, gdy zastanawiamy się nad „pragmatyzmem” towarzyszy z PZPR. Ma on zdaniem Kuronia, skłonić ich ku demokratyzacji. Demokratyzacja konsekwentnie przeprowadzona oznacza w naszych warunkach koniec rządów PZPR. Komuniści doskonale zdają sobie sprawę, czym grozi złagodzenie cenzury, dopuszczenie Kościoła do środków masowego przekazu i przyzwolenie na „wmontowanie autentycznej reprezentacji grup społecznych”. Nie łudźmy się, „pragmatyzm” w PZPR reprezentują towarzysze usadowieni w pasożytniczym aparacie biurokratycznym. Dlatego będą z przekonaniem głosować na Gierka czy innego aparaczyka ze swego grona – nigdy nie poprą towarzyszy z „Doświadczenia i Przyszłości”^{xiv} (zabawnie naiwna jest ekscytacja RWE każdym dokumentem DiP). Program reform demokratycznych miałby może szansę w szeregach „siły kierowniczej”, gdyby istniały gwarancje, że ta demokracja nie pójdzie „za daleko”. Ale takich gwarancji nikt PZPR nie udzieli. Koniec towarzysza Dubczeka odstrasza, a zamordyzm *à la* towarzysz Ceausescu jest niemożliwy...

Program lewicy laickiej sformułowany w tekstach Kuronia jest nierealny.

²² Na tej podstawie Janusz Zabłocki („Tożsamość i siły narodu”, wyd. *Odnova*, Londyn 1978) odmawia grupom niezależnym miana opozycji. „Mamy więc do czynienia nie z żadną opozycją, ale z typową funkcją grupy nacisku...”, patrz s. 26.

Jego zwolennicy obrażają się, gdy się im mówi, że chcą naprawy PRL²³. Rzetelna analiza tekstów pisanych przez ludzi z kręgu J. Kuronia świadczy, że chcą oni reformować system. Nie oznacza to, abyśmy uważali zwolenników takich planów za agentów Moskwy. Sądzę, że może i powinna istnieć grupa polityczna, która będzie chciała uczynić życie w PRL znośniejszym. Jest to działanie sensowne, mogące liczyć na wsparcie społeczeństwa. My również apelujemy o to poparcie – bo program reformy PRL ma znaczenie również dla Konfederacji i jest ujęty w programie KPN. My nie chcemy tylko na reformie systemu się zatrzymać, lecz iść dalej, ku niepodległości. Wreszcie nie jest sprawą obojętną, czy wolna Polska powstanie na drodze przekształceń, z zastosowaniem środków walki politycznej, czy drogą krwawych przewrotów i zaburzeń. Jak dotąd PZPR raczej zmierza ku temu drugiemu rozwiązaniu.

KPN jest przekonana, że naprawianie PRL jako cel końcowy, jest zajęciem bezpłodnym i będzie zwalczać zwolenników takiego poglądu. Ale w tym, że ktoś chce naprawiać system nie ma nic wstydliwego. Taki pogląd można mieć. W wolnej Polsce będzie miejsce również dla partii komunistycznej, oczywiście, jeżeli znajdą się chętni do należenia do takiej partii. Trzeba jednak jasno powiedzieć, ku jakim celom i jaką drogą się zmierza. Nie można propagować „dialogu”²⁴ z władzą i deklarować ceu: niepodległość. J. Kuroń nawołuje w *Kulturze* do programowego określenia się. Konfederacja to uczyniła. Środowisko lewicy laickiej – milczy. Nie można przecież uznać za program wypowiedzi Kuronia czy Michnika. Staną się one programem wówczas, gdy uzna je za własne formalna grupa. Jak dotąd są to jedynie poglądy, które nikogo do niczego nie

²³ Cytowany już Książczak pisze: „Na łamach wydawanych przez Leszka Moczulskiego *Drogi* i *Gazety Polskiej* pojawiały się niejednokrotnie głosy przeciwstawiające tzw. »niepodległościowość« stanowisku tzw. »naprawiaczy systemu«, pod którą to nazwą rozumiano głównie ludzi związanych z KSS »KOR«. Takie przedstawienie sugeruje, że ci drudzy są co najmniej krypto-agentami Moskwy. Fakt stawiania programu częściowych posunięć, mających szansę stopniowej realizacji i mogących zahamować proces sowietyzacji społeczeństwa, nadać mu podmiotowość i niezależność, nie znalazł uznania »niepodległościowców« wybierających bujanie w obłokach wraz z orłami, niż – często nieefektywne – działanie. KPN jest zwięźceniem takiej postawy”.

²⁴ J. Kuroń używa słowa „dialog” niezbyt precyzyjnie. Dialogiem jest spotkanie dwóch partnerów różniących się poglądami, ale nie pozycją i którzy kierują się dobrą wolą we wspólnym znalezieniu rozwiązania jakiegoś problemu. Gdzież tu mamy dialog z władzami PRL?

zobowiązują, nawet Autorów – mają przecież prawo je zmienić i czynią to. W tym kontekście sytuacja KPN jest jasna. Wskazaliśmy ku jakim celom zmierzamy, ogłosiliśmy program i poniesiemy odpowiedzialność za jego realizację. Zdajemy sobie sprawę, że musimy wygrać...

Deklaracja Ideowa KPN w punkcie 1 stwierdza: „Niepodległa Rzeczpospolita jest jedyną formą, jaką we współczesnym świecie zapewnia należyta egzystencję, możność rozwoju oraz spełnienie narodowych i indywidualnych aspiracji Polaków”. Punkt 4 Deklaracji mówi, że „podstawą powszechnego ustroju demokratycznego są niezbywalne prawa człowieka i obywatela, wzajemna tolerancja oraz poszanowanie praw innych ludzi. Powszechny ustrój demokratyczny wyraża się w sformułowaniu władz państwowych wyłącznie w oparciu o społeczny mandat zaufania oraz w działalności tych władz w nieprzekraczalnych granicach danego mandatu i tak długo, jak długo posiadają zaufanie społeczne”. Dalej określamy się wyraźnie jako zwolennicy budowy państwa, będącego dobrem wspólnym, którego obywatele mają równe prawa i obowiązki „wobec samych siebie, wobec ludzi innych, wobec społeczeństwa i narodu, wobec bratnich narodów, z którymi złączyła nas historia i wspólny byt na tej samej ziemi, wobec Rzeczypospolitej, wobec ludzkości”. Wydaje się, że słowa te brzmią wystarczająco precyzyjnie, aby określić nasz stosunek do jednostki i demokracji. Mimo to słyszymy często zarzut, że mówiąc o niepodległości zapominamy o demokracji. Sugeruje się, że jesteśmy reprezentantami nacjonalizmu w jego skrajnych postaciach (porównanie z ONR – Falangą). A zwolennicy takiego nacjonalizmu (według Kuronia) chcą zbudować państwo totalitarne. Nacjonalizm totalitarny został uznany za najgroźniejszego przeciwnika opozycji demokratycznej, groźniejszego od komunizmu. W sytuacji, gdy nie określa się, co pod tym „totalitarnym nacjonalizmem” rozumiemy – pozostaje wrażenie, że jest nim ugrupowanie zwalczane przez lewicę laicką – a więc KPN. Idąc dalej, można by z tego wysnuć wniosek, że KPN jest nie tylko poza opozycją demokratyczną, ale jest tej opozycji najgorszym wrogiem. Rzekomemu nacjonalizmowi KPN przeciwstawia się argumenty znajdujące się w innym tekście J. Kuronia²⁵.

²⁵ „Zasady ideowe”, wyd. NOWA – wszystkie cytaty z tego wydania.

Autor „Zasad Ideowych”, czerpiąc z tradycji liberalnej, daklaruje, że nadrzędną wartością jest dla niego „dobro, suwerenność i twórczość każdego człowieka”. Jednocześnie stwierdza, iż perspektywicznym celem działania powinna być „suwerenność pluralistycznego społeczeństwa i państwa polskiego”. Problem dobra i suwerenności jednostki uwikłanej w różnego rodzaju wspólnoty, rodzi gąszcz konfliktów, które rozwiązuje przemoc (słowo to, obok suwerenności pojawia się w tekście najczęściej). W tej sytuacji Autor „Zasad Ideowych” musi przyznać, że dobro jednostki powinno niekiedy ustępować przed dobrem wspólnoty, co jest ograniczeniem suwerenności człowieka. Jednak nie może on egzystować poza społeczeństwem. Dlatego Kuroń godzi się na takie ograniczenie. W tym celu powołano państwo, będące złem koniecznym. Państwo – pisze Kuroń – „to taka nadrzędna wobec innych organizacja wspólnoty społecznej, która jest wyposażona w środki i uprawnienia niezbędne do narzucania przemocą wszystkim uczestnikom współpracy jej celów i zasad”. W świetle takiej marksistowskiej definicji państwa staje się zrozumiałym pęd Kuronia do tworzenia ruchów społecznych. Te małe wspólnoty mają po prostu bronić suwerenności jednostek przed uroszczeniami państwa dysponującego przemocą. Mają one uchronić jednostkę przed uroszczeniami polityków, którym się zdaje, że lepiej od innych rozumieją interes wspólnoty. W tym kontekście postulat niepodległości (nie ma go w „Zasadach...”) staje się niezrozumiały. Skoro to niepodległe państwo będzie nadal ograniczać suwerenność jednostek (może być nawet totalitarne), to czyż nie lepiej demokratyzując spróchniały PRL poszerzyć suwerenność jednostek i nie gonić za chimerami?

W tekście Kuronia bardzo często jest mowa o suwerenności. Słowo niepodległość pada tylko przy okazji polemiki z „Memoriałem” Leszka Moczulskiego. Dlaczego tak się dzieje? Czyżby suwerenność i niepodległość były sobie równoważne?

Pozornie oba pojęcia są tym samym. Chodzi o niezależność od innych. W rzeczywistości jest jednak inaczej. Suwerenność ma różne podmioty i różne zakresy. W tym samym państwie mogą być dziedziny, w których obywatel korzysta z pełnej suwerenności będąc jednocześnie w innych – skrzępowanym.

Zajmując się malarstwem abstrakcyjnym – będziemy całkowicie suwerenni. Podejmując działalność polityczną – podlegamy dotkliwym ograniczeniom. Podobnie jest ze wspólnotami. Związki literatów mogą mieć znaczną suwerenność wewnętrzną, ale tracą ją, gdy wchodzi w kontakt z czytelnikami. Naród fiński za całkowitą suwerenność w sprawach wewnętrznych jest jej pozbawiony w polityce zagranicznej. Rumuni wywalczyli znaczny stopień suwerenności zewnętrznej, są jej całkowicie pozbawieni w narzuconym im ustroju państwowym. Suwerenność jest pojęciem, którego zakres bywa rozciągły.

Inaczej jest z niepodległością. Jej podmiotem jest państwo, a zakres obejmuje całokształt życia państwowego, wszelkie jego przejawy. Niepodległe państwo jest rezultatem suwerennej decyzji, ale w przeciwieństwie do suwerenności – jest lub jej nie ma. Nie może być trochę niepodległości. Nie można jej zdobywać po trochu. Zwykle jest to jeden akt, od którego państwo staje się niepodległe (np. 11 listopada 1918 roku).

Suwerenność – jak pisaliśmy wyżej – może występować w warunkach zależności i niewoli. Ludzie mogą być pozbawieni suwerenności również w państwach niepodległych. W przeciwieństwie do krajów zależnych – może to nastąpić jedynie na mocy ich własnej decyzji (np. wprowadzenie stanu wyjątkowego w obliczu agresji z zewnątrz). Niekiedy decyzje ograniczające własną suwerenność idą tak daleko, jak u Rosjan (poparcie udzielone przewrotowi bolszewickiemu), czy Niemców (wybór Hitlera na kanclerza). są to jednak przykłady dowodzące istnienia aberacji w życiu społeczeństwa. Zwykle obywatele potrafią bronić swych praw przed uroszczeniami grup dążących do dyktatury, jeżeli grupy te nie korzystają z pomocy z zewnątrz.

Konkludując, niepodległość jest rezultatem suwerenności narodu i jedyną gwarancją suwerenności jednostek. W kraju pozbawionym niepodległości społeczeństwo nie ma możliwości podejmowania suwerennych decyzji w kwestiach go dotyczących. Może cieszyć się pozorami suwerenności, decydować w sprawach drobnych, lokalnych. Władza realizująca obce dyrektywy, może nawet godzić się na istnienie takich enklaw suwerennych decyzji, byle nie prze-

kraczały one granic, gwarantujących utrzymanie kraju w niewoli (np. „kierownicza rola PZPR” i sojusz z ZSRR). W interesie władzy sprawującej rządy z obcego mandatu – będzie więc reagowanie na wszelkie przejawy suwerennych działań, które mogą prowadzić do ujawnienia woli narodu w kwestiach dotyczących wszystkich jego członków. PZPR utrzymująca się przy władzy bardziej dzięki obecności sowieckich garnizonów na ziemiach polskich – zdaje sobie sprawę, że suwerenne decyzje Polaków mogą jej zagrozić. Jeżeli komuniści mając nawet szanse wygrania wyborów, nie decydują się na przeprowadzenie tej próby – to czynia tak dlatego, by nie uzależnić się od suwerennej decyzji Polaków. Wiedząc, że będąc dziś wybrani, jutro mogą być tak samo pozbawieni władzy. Dlatego uniemożliwiają społeczeństwu wyrażenie woli. Lepszym dla PZPR rozwiązaniem jest determinacja i rozruchy (Poznań 1956, Wybrzeże 1970, Radom – Ursus 1976) niż dobrowolne poddanie się decyzji obywateli, wyrażonej w akcie wyborczym. Dlatego uważamy, że koncepcja ruchów społecznych jest wątpliwą nie tylko dla sprawy niepodległości Polski, ale również dla suwerenności Polaków.

Niepodległe państwo jest również warunkiem podstawowym do dobrowolnego rozstrzygnięcia konfliktów jednostka – wspólnota. Można sądzić, że działacze lewicy laickiej – za Marksem i Leninem traktując państwo jako twór charakteryzujący się przemocą – zapomnieli, że to samo państwo może być dobrem wspólnym obywateli. Obywatele tworząc aparat władzy ustalają zasady współdziałania respektując ich prawa. Na straży tych zasad staje wówczas nie przemoc, ale prawo. Państwo stosuje przemoc z upoważnienia obywateli i w ich interesie wobec tych, którzy chcą naruszyć zasady współdziałania łączące ogół obywateli. Władze PRL stosują przemoc przeciwko prawom obywateli nie dlatego, iż PRL jest państwem, ale dlatego, że jest to państwo ustanowione przez obcych, wbrew woli Polaków. Kiedy porządek prawny jest ustanowiony zgodnie z wolą obywateli, wówczas sędzia, prokurator, policjant stają się stróżami prawa i cieszą się uznaniem społecznym. Jeżeli „stróże prawa” PRL nie cieszą się takim uznaniem, to dzieje się tak dlatego, że służą obcej władzy i swoją działalnością chronią jej bezprawne rządy.

Dobro człowieka nie jest pojęciem abstrakcyjnym i wyizolowanym, jak to przedstawiono na kartach „Zasad Ideowych”. Istnieje hierarchia wartości i dóbr. Człowiek często musi wybierać między tym, co służy jemu i innym. Ojciec rodziny, który porzuca żonę i dzieci dla innej kobiety – postępuje ze swoiście rozumianym dobrem. Kobieta usuwająca ciążę – również postępuje w imię takiego dobra. Jeżeli potępimy takie osoby, czy wówczas ograniczymy ich suwerenność? Mówimy przecież o kimś, że jest egoistą, że kieruje się egositycznym interesem. Czy ludzie, którzy cierpieli niedostatków w Drugiej Rzeczypospolitej mieli odmówić udziału w walce o jej wolność? Tak uważali komuniści, ale dziś pytania takie są retoryczne. Ludzkość dawno na nie odpowiedziała. Okazało się też, że bezkrytyczni obrońcy konsumpcyjnie pojmowanych praw człowieka zapominali często o obowiązkach ciążyących na jednostce wobec wspólnoty. Rezultatem tego był kryzys instytucji parlamentarnych i usadowienie się dyktatur totalitarnych, komunistycznych i faszystowskich w niektórych krajach. Przed wojną Polska uniknęła takiego losu dzięki przewrotowi majowemu w 1926 r. W podobnej sytuacji znalazła się, już po wojnie, Francja. Dzięki generałowi de Gaulle Francuzi uporali się z kryzysem. Z niepokojem obserwujemy dziś rozwój sytuacji we Włoszech, którym może grozić dyktatura komunistyczna. Dlatego tak będziemy bacznie obserwować ruchy społeczne w Polsce. Zbyt często demokrację skazywali na śmierć jej najgłośniejsi obrońcy.

Jawna działalność polityczna w warunkach PRL ma skromne tradycje. Ludzie, programy i działania skrywane przez tyle lat dopiero się ujawniają. Rok 1976 był nie tak dawno. Nie oznacza to jednak, że wszystko co dzieje się w życiu politycznym kraju jest takie młodziutkie. W opozycji działają ludzie od kilkudziesięciu lat walczący z narzuconym Polsce reżimem. Swoją obecnością dowodzą, że opór trwa od 1939 r. Swoją żywotność okazują idee, których rodowód sięga dalej, niż marzec 1968 r., idee, uważane nie tak dawno za przeżytek, anachronizm. Konfederacja łączy zwolenników idei niepodległościowej, przewijającej się przez całe dzieje nowożytnej Polski.

Spory i animozje pojawiające się w łonie opozycji, wbrew pozorom, nie mają charakteru jedynie personalnego. Stoją za nimi zasadnicze kontrowersje

ideowe. To, że nie znajdują one pełnej egzemplifikacji na łamach niezależnych czasopism nie oznacza, że ich nie ma. One są i wszyscy bezpośrednio zainteresowani wiedzą o nich. Jediną drogą pozwalającą uniknąć niejasności w odbiorze społecznym będzie sprecyzowanie celów politycznego działania. Precyzowania odważnego, bez kunktatorstwa, taktycznych uników i grymasów pod publiczność w kraju czy zagranicą. Naród ma prawo wiedzieć, ku czemu zmierzają udzie, podejmujący działalność publiczną, aspirujący do roli reprezentowania interesu narodowego. Wymaga tego zwykła uczciwość – kategoria, której władze PRL nie stosowały. Czas chyba, aby zastosowała ją opozycja. Jest to jedyna droga do polskich serc i sumień.

Romuald Szeremietiew

Droga nr 10 z 1980 (październik 1980), s. 49–60.

PS.

Artykuł pisałem w czerwcu 1980 r. Od tego czasu doszło w Polsce do wielu istotnych zmian. Powstały wolne związki zawodowe, upadło kierownictwo Gierka, proklamowano „odnowę” życia społecznego. Jednocześnie propaganda i policja PRL rozpoczęły wściekły atak na Konfederację Polski Niepodległej^{xv}. Kampanii tej sekundują (mniej lub bardziej wyraźnie) ośrodki niechętne KPN. A więc mimo istotnych zmian treść artykułu jest nadal aktualna.

R. Sz.

(Endnotes)

ⁱ Chodzi o tę część ROPCiO, która w wyniku konfliktu Moczulski-Czuma w 1978 r. opowiedziała się przy Czumie.

ⁱⁱ Edward Lipiński (1888-1986) – ekonomista, socjalista (do 1918 – PPS-lewica, po 1946 – PPS, potem PZPR), działacz państwowy w PRL (w latach 1956–62 wiceprzewodniczący Rady Ekonomicznej przy Prezesie Rady Ministrów), uczestnik opozycji demokratycznej (jeden z 14 sygnatariusz Apelu do społeczeństwa i władz PRL z 22 września 1976, który był aktem założycielskim KOR).

^{III} Ruch Wolnych Demokratów niewielkie liczebnie (kilkanaście osób), ale silne intelektualnie środowisko, które ukształtowało się w ramach ROPCiO. Wywodziło się ze Związku Młodych Demokratów, który wyrósł na fali Października w l. 1956–57 (Karol Głogowski i Adam Pleśnar z Wrocławia oraz Andrzej Kern, Andrzej Ostoja-Owsiany z Łodzi). W 2. połowie 1978 z RWD związali się także Adam Wojciechowski i Marek Skuza z Warszawy oraz Tadeusz Szczudłowski i Stanisław Załuski z Gdańska. Uczestnicy RWD stali na stanowisku, że PRL jest państwem niepodległym, ale nie jest państwem suwerennym. W ramach ROPCiO środowisko RWD popierało Moczulskiego, ale po powstaniu KPN odcięło się od niego. Wyjątkiem był Andrzej Ostoja-Owsiany, który przystąpił do KPN.

^{IV} Marek Skuza (1916) – więzień obozu koncentracyjnego, więzień stalinowski, uczestnik ROPCiO (po rozłamie w 1978 opowiedział się za Leszkiem Moczulskim).

^V Jan Walc, „Drogą podłości do niepodległości”, *Biuletyn Informacyjny KOR* nr 7/33, wrzesień – październik 1979.

^{VI} *Biuletyn Dolnośląski* – wydawnictwo podziemne wychodzące we Wrocławiu w latach 1979-1990. Redakcję tworzyli Henryk Lis, Janusz Łojek (zmarł w listopadzie 1979), Piotr Starzyński i Jan Waszkiewicz. Od grudnia 1979 z *BD* współpracował Kornel Morawiecki – późniejszy wieloletni redaktor naczelny. Pod pseudonimem „Omikron” w *BD* publikował Michał Wodziński.

^{VII} Autorem „Programu 44” jest Leszek Moczulski, ale dokument ten powstał po konsultacji i dyskusjach z wieloma osobami.

^{VIII} Ruch Porozumienia Polskich Socjalistów (RPPS) – grupa utworzona 25 lipca 1979 r. przez uczestników ROPCiO z Krakowa. Byli to: Krzysztof Bzdyl, Krzysztof Gąsiorowski, Stanisław Janik-Palczewski, Romana Kahl-Stachniewicz, Mieczysław Majdzik i Stanisław Tor. RPPS miał być załącznikiem odrodzonej Polskiej Partii Socjalistycznej. Inicjatorem RPPS oraz autorem jej dokumentów programowych był Krzysztof Gąsiorowski. Wszyscy założyciele, jako grupa skonfederowana, 1 września 1979 r. weszli w skład Konfederacji Polski Niepodległej i prowadzili aktywną działalność w ramach tej partii politycznej. Pod szyldem RPPS wymienione wyżej osoby wydały jedynie kilka oświadczeń. W okresie zawieszenia działalności II Obszaru KPN, tj. od listopa-

da 1980 r. do lipca 1981 r. (z uwagi na represje wobec działaczy KPN ze strony władz) *Opinia Krakowska* była wydawana jako pismo RPPS.

^{IX} Związek Narodowy Katolików został utworzony we Wrocławiu 15 sierpnia 1979 r. przez byłych działaczy Stowarzyszenia PAX (usuniętych w 1978 r. za próbę przejścia władzy w PAXie i przekształcenia go w partię polityczną): Tadeusza Jandziszaka (z Wrocławia), Romualda Szeremietiewa (z Leszna) i Macieja Pstrąg-Bieleńskiego (z Poznania). 1 września 1979 ZNK wszedł, jako grupa skonfederowana, w skład KPN.

^X Więcej na ten temat – zob. B. Waligóra, „Romuald Szeremietiew – opozycjonista w PAX”, *Pamięć i Sprawiedliwość* nr 2 (6) z 2004 r., s. 329–339.

^{XI} Siedlecko-Podlaska Grupa Ludowo-Narodowa została założona w Siedlcach w 1977 r. przez Zygmunta Goławskiego seniora oraz Jana Mizikowskiego. Organizowała w Siedlcach spotkania z działaczami opozycji przedsierniowej (m. in. z Wiesławem Chrzanowskim, Aleksandrem Hallem, Leszkiem Moczulskim, Janem Olszewskim, Władysławem Siłą-Nowickim i Wojciechem Ziemińskim). Członkowie grupy kolportowali w Siedlcach i na Podlasiu wydawnictwa niezależne KSS KOR oraz ROPCiO a potem KPN. Prowadzili także własną działalność wydawniczą (ulotki, przedruk „Opinii”). W 1978 r. przeprowadzili w Siedlcach i w okolicach akcję ulotkową, wzywającą do bojkotu wyborów do rad narodowych. Współorganizowali rocznicowe demonstracje patriotyczne w Warszawie (np. 1 września 1979 r.). W 1979 r. grupa weszła w skład Konfederacji Polski Niepodległej a pod Aktem Założycielskim KPN z 1 września 1979 r. widnieją nazwiska lub pseudonimy trzech członków grupy: Ryszarda Piekarta (pod pseudonimem „Ryszard Kossowski”), Romana Kraszewskiego oraz Zygmunta Goławskiego (pod pseudonimem „Zygmunt Marowski”).

^{XII} Komitet Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu został założony 10 lutego 1979 r. przez Wojciecha Ziemińskiego. Utworzyła go część uczestników ROPCiO, którzy w czasie rozłamu w 1978 r. poparli Andrzeja Czumę. Członkami komitetu byli m.in. gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz, Jerzy Brykczyński, Władysław Kaufman-Borowski, Władysław Liniarski, Andrzej Nastuła, Marian Piłka i Edward Staniewski.

^{XIII} W przypisie 21 Romuald Szeremietiew odnosi się do podjętej między

21 a 25 lutego 1980 r. próby zarejestrowania w czterech okręgowych komisjach wyborczych 8 kandydatów KPN w wyborach do Sejmu PRL VIII kadencji. Byli to: Leszek Moczulski i Tadeusz Stański w Warszawie, Roman Kściuczek w Katowicach, Krzysztof Gąsiorowski i Stanisław Tor w Krakowie, Stanisław Franczak, Zdzisław Jamrożek i Janusz Piotrowski w Lublinie.

^{XIV} Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” nieformalny klub dyskusyjny utworzony 1978 z inicjatywy Stefana Bratkowskiego i Bogdana Gotowskiego. W jego pracach uczestniczyli m.in.: Kazimierz Dziewanowski, Jan Górski, Andrzej Krasiński, Jan Malanowski, Klemens Szaniawski, Andrzej Wielowieyski, Andrzej Zakrzewski, Witold Zalewski a także Wojciech Adamiecki, Jan Strzelecki, Kazimierz Długokęcki, Jerzy Zieleński, Jerzy Stembrowicz i Lech Tomaszewski, Jerzy Szacki i Andrzej Stelmachowski. DiP działał do 1982 r. W 1989 r. wielu jego uczestników brało udział w rozmowach Okrągłego Stołu.

^{XV} Od 23 września 1980 Leszek Moczulski przebywał w areszcie. Mimo iż trwał Karnawał Solidarności w ciągu kolejnych miesięcy do aresztów trafiło 6 kolejnych działaczy KPN: Zygmunt Goławski, Tadeusz Stański (obaj w listopadzie 1980 r.), Krzysztof Bzdyl, Tadeusz Jandziszak, Jerzy Sychut (wszyscy w grudniu 1980 r.) oraz Romuald Szeremietiew (w styczniu 1981 r.). Zwolniono ich w czerwcu 1981, ale po kilku tygodniach ponownie aresztowano Moczulskiego, Stańskiego i Szeremietiewa. Wyszli na wolność dopiero latem 1984 r.

KULTURA NN

ROZMOWY Z WIERSZAMI

LENIN ODCZAROWANY

Kreacja jest autokreacją. Prowadząc naszą poetycką, noworomantyczną „akcję historyczną” (a robiliśmy to wcześniej niż została wymyślona jej nazwa), organizując spotkania dyskusyjne wśród studentów i nauczycieli – musieliśmy się do nich przygotowywać. Zaczęliśmy poznawać prawdziwą historię Polski, Rosji i tzw. „demoludów”, prawdziwy przebieg zamienionych w legendy zdarzeń takich jak Rewolucja Październikowa i prawdziwe biografie bohaterów w rodzaju Lenina. Największym wrogiem mitów, w których nas wychowywano okazała się zwykła prawda. (Dlatego władze tak się jej bały – nie tylko wtedy, także teraz, czego dowodzi wieloletnia nagonka na Instytut Pamięci Narodowej). Wraz z wiedzą zmieniały się nasze charaktery. Bo nie jest tak, że prawda to coś neutralnego, bezbarwne tło. Prawda ma moc obligującą, zmusza do konkretnych zachowań, zwłaszcza do ujawniania zdobytych wiadomości – by ludzie nie żyli w kłamstwie, by nie oszukiwali, nawet nieświadomie i nie krzywdzili innych oszustwami. Pisał już o tym Norwid w *Promethidionie* wskazując na praktyczne – w najwyższym tego słowa znaczeniu – obowiązki artystów:

*Bo nie jest światło, by pod korcem stało,
Ani sól ziemi do przypraw kuchennych,
Bo piękno na to jest, by zachwycalo
Do pracy – praca, by się zmartwychwstało.*

Promethidion też miał moc obligującą.

Pod wpływem prawdy rozpadał się na naszych oczach mit bolszewików, których propaganda przedstawiała jako współczesnych rycerzy, ascetów, idealistów walczących o dobro dla najuboższych. Lenin ze szlachetnego marzyciela (którego ideały splugawił Stalin), przepoczwarzał się w chorego z nienawiści, żądnego władzy despotę.

Świadectwem tej przemiany mitu był wiersz o Leninie.

LENIN

pamięci Juliana Kornhausera – poety

Zza grobu ślę wam uśmiech: Mona Liza Wschodu
z kamieniem w oczach i naganem w dłoni
wychodzę z krypty. Kukły martwym krokiem
przez Rosję jak przez cmentarz – znaleźć ciała ofiar
krew zmyć wodą, krzyk zgasić wapnem rozrobionym
każdemu w płuca wepchnąć osinowy kołek
i raz jeszcze podpalić widmo Piotrogradu -
na próżno:
co raz zgasło –
więcej nie zapłonie.

Inny obraz: w akwarel łagodnym półmroku
pochylałam się nad biurkiem niczym Bóg nad ziemią
i z nieludzkim uśmiechem komponuję dzieło
o szczęściu wszystkich...
Zaś na tych wąpiących
czekają białe wyspy pośród białych mórz –
łagry Syberii. Blask polarnych zórz
srebrny jak błysk topora. Bo nie ma wolności
dla jej wrogów!

Woskowa kukła, Mona Lisa Wschodu
z żółtym strzępem uśmiechu pomiędzy zębami

na rewolucję jak na bal zwołałem
wszystkie upiory w snach Rosji wylęte
w pijaków płaczu, w katorżników śpiewie
całą armię upiorów – krwawym karnawałem
w trupich łachmanach, w strzępach mundurów i ciał
na Moskwę!
na Piotrogród!
na Polskę!
na świat!

Rozszałała się w tańcu Matuszka Rassija
zataczała się w walcu pijanym od krwi
i w tym walcu konałem i umarły – wciąż żyłem
zabijałem, wskrzeszałem żywych, martwych i sny...

Woskowa kukła, Mona Lisa Wschodu
z uśmiechem, który robak wymyśla na wargach
nie żywy i nie martwy na dnie krypty szklanej
czekam na wyzwolenie...
Z jarów Piotrogradu
wytaczają się widma sinym korowodem
krzyczą rękami w okna, chichoczą nożami
modlą się krwią i ogniem...

Zbyt wielu przeżyło
w śmierci jak we śnie krwawym, w katowniach obozów
w lodach Sybiru zamarznięci w kamień
do ścian w piwnicach czeka przybici hakami – -
Nie zdołacie ich zabić!
Nadchodzą!
Nadchodzą!

Deklamowałem ten wiersz go na legalnych i nielegalnych spotkaniach, desantach i turniejach poetyckich. Nagród nie zdobywał, ale wywoływał dyskusje

i na tym mi bardziej zależało. Wiersz był przeciw mitowi Lenina, miał też konkretnych adresatów: ogłupiane tym mitem środowisko studenckie i nauczycielskie, także żyjących w kłamstwie literatów, także poetów, którzy nie zawsze odróżniali fałsz od prawdy. Jednemu z nich nawet zadedykowałem ten wiersz. Zaczęę jednak od spraw ważniejszych i poważniejszych.

Cyrk im. Lenina

Najpierw były marzenia rosyjskich wygnańców, którzy cierpiąc nędzę w Szwajcarii myśleli jak wprowadzić lepszy, szczęśliwszy ustrój w Rosji. Potem ich marzenia zostały wcielone w życie przez bohaterów marynarzy z Kronsztadu i przypieczętowane przez szturm na Pałac Zimowy. Październikowa Rewolucja Zaczął się okres reform, socjalizm to oświata plus elektryfikacja. Chłopsztwo dostało nadział ziemi obszarnej więc opowiedziało się po stronie bolszewików. Owszem, dochodziły czasem do nas sygnały na temat bolszewickich zbrodni powtarzaliśmy – bez głębszego zrozumienia – takie słowa jak „Czeka”, Wielki Głód, deportacje. Lecz nasze wątpliwości szybko były rozwiewane przez kłamliwych nauczycieli i propagandzistów. Tak był Czerwony terror, wprowadzono go w majestacie prawa. Lecz był to słuszny odwet za zbrodnie „białych”, konkretnie za zamach na Lenina. Zamach Fanny Kaplan miał miejsce 30 sierpnia 1918 roku, dekret o Czerwonym terrorze wprowadzono 5 września. Wszystko jasne?

Myśleliśmy, że jasne.

W pewnym jednak momencie to łatanie mitu przestało działać. Największym wrogiem okazała się prawda. zaczęliśmy od upomnienia się o Powstanie Styczniowe, lecz pierwszą większą akcją mówienia prawdy przeprowadziliśmy w roku 1967. Nawet dwie akcje. Najpierw, pod pretekstem obchodów 5 rocznicy śmierci Broniewskiego, zorganizowaliśmy spotkania, podczas których opowiadaliśmy prawdziwy życiorys poety – ze szczególnym uwzględnieniem Legionów i Wojny 1920, (przy okazji odczytywaliśmy manifest Nowego Romantyzmu), potem, ze względu na celebrowany w tymże jubileusz 50-lecia Rewolucji Październikowej urządziliśmy kilka prowokacyjnych spotkań. Marzec zahamował naszą poetycko – polityczną ofensywę, paru kolegów wyrzucono z akademika wprost do wojska – więc tym bardziej musieliśmy działać. Za nich i za siebie.

Polem bitwy była kultura: akademik na Kickiego i „Hybrydy”, które po politycznej przerwie szybko wróciły do działalności. Władze zmieniły taktykę i zamiast bić pałkami próbowały ogłupić różnymi imprezami, pogadankami z głośnika puszczano w kółko elaborat Mencwela, pojednawcze ale przecież partyjne pogaduszki Dobrosielskiego, Żółkiewskiego i paru równie obłudnych wychowawców i tyle zachodniej muzyki, że słuchanie radia Luksemburg przestało być atrakcją. Przede wszystkim zaś, po raz któryś z rzędu obiecywano „powrót do norm leninowskich”. (Brzmiało to prawie tak, jak przejęty od studentów czeskich „socjalizm o ludzkim obliczu”). Propaganda docisnęła pedał – już w 1969 zaczęto obchodzić przypadającą na kwiecień 1970 setną rocznicę urodzin Lenina.

W tym miejscu trzeba wspomnieć, że mit Lenina rosyjskiej (ale przecież i nam dała wolność i chłopom ziemię) emitowany był przez wiele przekazników. Oprócz propagandy partyjnej i zetemesowskiej propagandę wspierało finansowo TPPR, a nawet TRZZ – co przekładało się na finansowanie kilku imprez. Od 1955 roku w Warszawie działało Muzeum im. Lenina, które również prowadziło intensywną indoktrynację – a miało po temu środki. Znaleźli się też i wiarygodni, wygadani propagandziści – użyteczni poeci. Otóż w pewnym momencie, nie wiem na jakich zasadach w Muzeum zaczął chałturzyć poeta z „Orientacji”, aktywista PZPR Andrzej Waśkiewicz. A ponieważ można było zarobić – wciągnął do współpracy jeszcze kilku poetów z tej grupy, m. in. Leszina, który był etatowym pracownikiem „Hybryd” i nawet mieszkał w klubie, poza tym Gąsiorowskiego, Zaniewskiego, Markiewicza a także śpiewającego Stachurę. Zrobił się układ naczyń połączonych – poeci dorabiali, Muzeum Lenina zyskało możliwość szerszego oddziaływania na kulturę studencką. Jednym z narzędzi była *Estrada poezji rewolucyjnej im. Broniewskiego*, która przygotowywała wielerotnie powtarzane imprezy dla uczczenia urodzin Lenina, rocznicy powstania Armii Czerwonej, powstania PPR, LWP itp. Były one naprawdę na wysokim poziomie artystycznym i – wstyd przyznać – przyciągały coraz więcej studentów. Organizowano też ogólnopolskie, dobrze płatne konkursy – *U źródeł nowego wieku* (poświecony rzecz jasna Rewolucji) i *Idea Lenina*. Znani literaci i krytycy dorabiali pogadankami i udziałem w pracach jury tych konkursów. Dobrowolski, Lewin, Stern, Matuszewski – to kilka z brzegu na-

zwisk. Same Hybrydy finansowały tylko *Nike Warszawską*, przy organizowaniu Tygodni Poetyckich Stolicy występowały już do władz miasta. Tu dorabiali zawodowi aktorzy scen warszawskich. Środowisko poetów rzeczywiście studenckich, nastawionych jeśli nie antyrządowo, to przekornie, a spotykających się w ramach tzw. Forum Poetów próbowało na kontrze organizować konkurencyjne imprezy- np. o gałązkę bzu, w którym główną nagrodę stanowiła rzeczywiście taka gałązka. Finansowych możliwości nie mieliśmy. Leninowski konkurs szybko upadł – z powodu afer finansowych. Organizatorzy dopisali „na lewo” jako jurorów i prowadzących imprezy kilku kolegów. Kilku jednak nie dopisali, któryś doniósł i zrobił się spory smród. Nim jednak idee Lenina się zaśmiały paru poetów zdążyło na nich zarobić. Stachura dostał nagrodę za wiersz ku czci Rewolucji, Kornhauser za utworek *Moja żona śpi Iljiczu*, w którym ukazywał czytelnikom ludzkie oblicze wodza rewolucji.

Mój wiersz powstał jako poetycka odpowiedź na jego tekst. Stąd dedykacja.

Jak ukraść rewolucję

Wiersz o Leninie przerabiałem kilka razy – zależało mi na tym, by wywoływał dyskusje, to znaczy, by nie dało się go zgasić od razu jako słabej publicystyki. Deklamowałem go z pamięci starannie imitując rytm walca w jego „rosyjsko – tanecznej” części. Nagrody, które za niego otrzymałem stanowiły dla mnie potwierdzenie, że jeśli to jest publicystyka, to dobra, potrzebna i zmuszająca do dyskusji. Na kilku bardziej oficjalnych spotkaniach Lenin celowo był prezentowany jako ostatni. Chodziło zarówno o to, żeby pozostał w pamięci i stanowił zaczepienie do dyskusji, jak i o to, że istniało niebezpieczeństwo, iż jakiś wystraszony organizator po tym właśnie tekście przerwie wieczór. Nie ukrywam, że czasem dyskusji pomagał któryś z kolegów uzgodnionym wcześniej pytaniem, czy to o zamach na Lenina, czy to o rzeczywisty przebieg rewolucji. Bez względu na to od jakiego pytania się zaczynało – i tak dochodziło się do tego samego wniosku: że żyjemy wciąż w świecie fikcji.

Październikowa Rewolucja skłamana była od początku, od nazwy. Ani Październikowa, ani Rewolucja. Według naszego kalendarza wybuchła w listopadzie – i to był wręcz symboliczny początek nowej, komunistycznej kultury – kultury kłamstwa.

Prawdziwa Rewolucja rosyjska zaczęła się i rozstrzygnęła w Piotrogradzie, między 8 a 15 marca a według rosyjskiego kalendarza – między 23 lutego a 2 marca. Przyczyną był głód w mieście, w sklepach zabrakło chleba, nawet mąki; bezpośrednim bodźcem był strajk zakładów Pułłowa. Zakłady stanęły 3 marca, robotnicy domagali się podwyżek. Żądania zostały odrzucone, 36 tysięcy ludzi wyrzucono na bruk. Stali się oni pierwszą armią rewolucji. Następną armią byli robotnicy fabryki Kirowa. Zorganizowane przez nich 8 marca obchody Międzynarodowego Dnia Kobiet wylały się z zakładów na ulice Piotrogradu i przemieniły w antycarską demonstrację. Przedpołudniowa część manifestacji przebiegła względnie pokojowo, po południu, gdy robotnicy chcieli wmaszerować do centrum wojsko zablokowało most Litiejny. Robotnicy przeszli po lodzie, zaczęły się starcia z policją, rozbijanie i szabrowanie sklepów. Los imperium rozstrzygnął się 12 marca (po naszymu) – zdobyto arsenał, broń rozdano manifestantom, uwolniono więźniów. Wojsko odmówiło strzelania do manifestantów i zaczęło przechodzić na ich stronę.

Siłą organizacyjną rozruchów była partia socjalistów – rewolucjonistów, poparli ich kadeci i inne ugrupowania. Do zwycięstwa przyczynili się też kolejarze, którzy uniemożliwili carowi powrót z kwatery w Mohylewie i zablokowali przewóz wojsk wiernych rządowi do stolicy. W Piotrogradzie zaczęły powstawać Rady Delegatów Robotniczych, które po dołączeniu wojska przekształciły się w Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. W rewolucji wzięli udział niżsi rangą bolszewicy, wielu znalazło się w Piotrogradzkiej RDRIŻ – stąd potem hasło „cała władza w ręce rad”.

Lenin i Trocki przebywali w tym czasie... na emigracji! A więc mówienie o nich jako o twórcach Rewolucji to propaganda.

Zasług rewolucyjnych nie mieli, mieli jednak kontrrewolucyjne.

Rewolucja rosyjska zakończyła się 15 marca – abdykacją cara Mikołaja II i przekształceniem wyłonionego przez Dumę Tymczasowego Komitetu – w Rząd Tymczasowy. Na czele stanął książę Georgij Lwow, w lipcu zastąpił go lider partii socjalistów – rewolucjonistów, Aleksander Kiereński. Rewolucja zlikwidowała samodzierżawie, ogłosiła amnestię polityczną, zadekretowała swobody obywatelskie (słowa, druku, zgromadzeń, wyznania), zlikwidowała policję polityczną (ochranę) i cenzurę, przejściowo zniosła karę śmierci.

Jak bolszewikom udało się dojść do władzy, mówiąc prościej: ukraść rewolucję? Jaki błąd popełniły władze demokratyczne?

Rząd Tymczasowy zapowiedział kontynuowanie wojny *do zwycięskiego końca* – i w ten sposób wydał na siebie wyrok!

Od samego początku wojny 1914 Niemcy wspierali ruchy odśrodkowe i opozycyjne w Rosji. Nasyłali szpiegów, wykorzystywali mniejszości. Litwinom obiecywali niepodległość, Żydom – Judeopolonię. Nazywało się to akcją „rewolucjonizacji i insurekcjonizacji”. Rewolucję lutową obserwowano w Berlinie z nadzieją na separatystyczny pokój – deklaracja Rządu Tymczasowego nadzieję tę przekreśliła. Wywiad niemiecki postanowił więc użyć swojej tajnej broni porównywanej familiarnie do iperytu. Genialnie prosty pomysł niemieckiego wywiadu streszczał się w retorycznym pytaniu jednego z generałów: *A czemu nie mielibyśmy przeciw Rosji użyć Lenina – jak trującego gazu?*

I walczący z Rosją Niemcy przewieźli przez swoje terytorium elitę ze Szwajcarii rosyjskich rewolucjonistów.

Kluczową rolę w tej intrydze odegrał niejaki *Parvus*, prywatnie Izrael Łazariewicz Helphand, działacz rosyjskiego i niemieckiego ruchu socjalistycznego tudzież agent niemieckich służb. On też dostarczył kilkakrotnie bolszewikom większe sumy pieniędzy. Lenin nie miał wątpliwości, co do ich pochodzenia, (Krupskiej zapewne tłumaczył, że to wygrane w totolotka). Za udane przeprowadzenie akcji *Parvus* miał zostać nagrodzony 32 – pokojową willą w Berlinie.

Tak więc w kwietniu 1917, ponad miesiąc po rewolucji, Lenin zjawił się w Piotrogradzie. Bolszewicy zaczęli propagować jego *Tezy kwietniowe* obiecujące zakończenie wojny i przekształcenie rewolucji burżuazyjnej w rewolucję socjalistyczną. Miało to się przekładać na nacjonalizację majątków i robotniczą kontrolę nad produkcją. Dzięki niemieckim pieniądzą z początkiem maja 1917 bolszewicy zaczynają tworzyć paramilitarną Gwardię Czerwoną, dzięki niemieckim pieniądzą mogą także wydawać swą *Prawdę* i zasypywać Rosję tysiącami ulotek. Na rewolucję realną się spóźnili, teraz przeprowadzają ją w świecie propagandy.

W połowie czerwca 1917 Rząd Tymczasowy rozpoczyna ofensywę przeciw

Niemcom, ta jednak się nie udaje. Nasilają się dezercje z frontu, uciekinierzy setkami przenikają do Piotrogradu, w stolicy panuje znów chaos i znów zaczyna się głód. Bolszewicy postanawiają uderzyć i wykończyć Rząd Tymczasowy. Jednak dwudniowe rozruchy od 4 do 6 lipca kończą się klęską i kompromitacją. Co gorsza Rząd publikuje dokumenty dowodzące finansowania Lenina przez Niemców i przeprowadza delegalizację zdrazieckiej partii bolszewików. Lenin cudem i z nadludzką prędkością ucieka do Finlandii, Trocki trafia jako szpieg do więzienia.

Wkrótce jednak władza popełnia kolejny błąd: Trocki zostaje wypuszczony. Trocki już wcześniej był socjaldemokratą, lecz do frakcji bolszewików nie należał – teraz do niej wstępuje. Oni są najliczniejsi, najbardziej radykalni i mają forszę, on wnosi w posagu legendę uwolnionego z turmy. Pod nieobecność Lenina, co chwila deklarując swój podziw dla niego, przedstawiając się jako niemal namaszczony przez niego – przechwytuje stopniowo władzę w partii. Jako lider bolszewików przejmuje też przywództwo w Piotrogradzie. 23 września zostaje szefem Piotrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, to ona rządzi ulicą. Ale jest jeszcze wojsko – na szczęście zrewoltowane. Trocki wraz z grupą rozwrzeszczanych popleczników zjawia się na wojskowym wiecu, oświadcza że jest delegatem bolszewików i każe się wybrać na przewodniczącego Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego. Wybór jest przesądzony, agenci Trockiego od kilku dni powtarzają, że Rząd Kiereńskiego to wojna aż do klęski, to oderwanie na całe lata od rodzin, może śmierć; rząd bolszewików natomiast, to pokój, powrót do domu, zapłata zaległego żołdu, dzwoniące medale i nadzieiły ziemi z upaństwowionych majątków. Komitet dyrygowany przez Trockiego wymusza posłuszeństwo na zrewoltowanym garnizonie stołecznym – rewolucje rozstrzygają się w stolicach. Teraz bolszewicy zaczynają wymieniać posterunki wojskowe na gwardyjskie, czyli swoje, kolejno przejmują ważniejsze urzędy i miejsca strategiczne – dworce, komunikację, pocztę, banki. Nie Lenin, tylko właśnie Trocki, był rzeczywistym architektem puczu. O roli Lenina najlepiej świadczy fakt, iż urzędujący w Smolnym „rewolucjoniści” nie potrafili sobie nawet przypomnieć, w którym momencie zjawił się tam Lenin.

Szturm na Pałac Zimowy był malowniczą, choć nieco operetkową pointą tych wydarzeń. Jego przebieg pamiętamy z wyświetlanych w tamtych czasach kronik. Lud wlewa się pod górę schodów do pałacu jak żywioł – lub stado szczurów. Na czele widać marynarzy, słysząc strzały. W tym momencie podziwialiśmy odwagę operatorów...

Niepotrzebnie. Te „historyczne” sceny nie były kręcone na gorąco, były późniejszą inscenizacją Eisensteina. Tłumów w ogóle nie było. Pałac stał nieco na uboczu, szturm odbył się niemal niepostrzeżenie. W mieście było raczej spokojnie: knajpy i kina działały, tramwaje kursowały, balet podobno wystawiał *Jezioro Łabędzie* – stąd potem powiedzonko o „łabędzim śpiewie” rządu Kiereńskiego. Opiewany przez poetów strzał „Aurory” też nie brzmiał tak bohatercko. „Aurora” była zdezelowanym statkiem, do walk się nie nadawała, wystrzeliła ślepekami – co zabrzmiało niemal nieprzyzwoicie. Trochę prawdy było jedynie w opowieści o marynarzach. Zwłaszcza marynarze z Kronsztadtu, bez względu na to, czy pływali, czy nie – słynęli z permanentnej gotowości seksualnej. A zbiegiem okoliczności Pałacu Zimowego bronił Ochotniczy Batalion Kobiecy. I to był ten – wstydliwie pomijany przez historyków – wielokonny motor rewolucji. Podobno w wyniku szturmów zginąć miało 6 osób, popełniono 3 gwałty, albo odwrotnie. Dokumentacja się nie zachowała, nie jest więc pewne, czy wspomniane ofiary to już wszystkie zgwałcone, czy jedynie te, które się na owe gwałty skarżyły. Nie wykluczono hipotezy, iż stroną aktywną były wspomniane ochotniczki. Tak czy inaczej ów wystrzał i parę brutalnych gwałtów to punkt kulminacyjny i symbol bolszewickiego przewrotu.

Nie jedyny.

Po zdobyciu Pałacu Zimowego bolszewicy wykryli piwnice pełne wina. Rozgrabiono dziesiątki tysięcy wiekowych butelek, matrosi raczyli się najlepszymi rocznikami, między innymi Chateau d'Yquem rocznik 1847, ulubionym trunkiem ostatniego z carów. Rozdawano też i sprzedawano za pół darmo tysiące butelek wódki. Marynarze, złodzieje i inni rewolucjoniści ruszyli na Piotrogród rabując domy, zabijając mieszkańców – dla zabawy.

Co bardziej trzeźwi przywódcy rewolucji bojąc się utraty zdobytej świeżo władzy próbowali powstrzymać te orgie. Mianowali komisarza Pałacu Zimowego, który miał przejąć kontrolę nad piwnicami – pierwsze co zrobił, to się

upił. Od tej pory już nigdy nie trzeźwiał. Jednym z jego pomysłów było mianowanie „strażników”, którzy – żeby dobro się nie marnowało, a rewolucja miała korzyść – zaczęli wyprzedaż alkoholu. Innym pomysłem było wypompowywanie wina na ulicę – ruch został zablokowany przez tłumy żłopiające wprost z rynsztoków. Nie udała się także próba przewiezienia alkoholi do Smolnego – może dlatego, że podjęto ją nieopatrnie w dzień. Po stracie pierwszych kilku furmanek i kilku pijanych woźniców przewózkę alkoholu wstrzymano. Rozpoczęto natomiast potajemne rozmowy ze Szwecją – na wyeksportowanie win za morze. Nie zostały sfinalizowane, gdyż większość butelek znikła przed końcem rozmów. Rewolta pijacka okazała się potężniejsza niż sama Rewolucja Październikowa, stanowiła jej ukoronowanie. Tysiące pijaków demolowały miasto, niszczyły domy burżujów i mordowały ich mieszkańców. Ani władze rewolucyjne, ani miejskie służby nie mogły zapanować nad żywiołem. Ten etap rewolucji spowodował najwięcej ofiar, zwłaszcza, że obie strony sięgnęły do broni palnej – kulomiotów nie wyłączając. W więzieniach i aresztach rychło zabrakło miejsca. Na ulicach leżały zmasakrowane, obdarte z ubrań i obuwia trupy. Niewiele pomogło wprowadzenie stanu wojennego. Anarchia musiała się sama wypalić – potrzebowała na to kilku tygodni. Dopiero z końcem roku wyczerpały się zapasy alkoholu i – jak spointował jeden z kronikarzy – w nowym roku 1918 stolica Rosji obudziła się z największym kacem w historii.

25 listopada 1917 miały odbyć się (rozpisane jeszcze przez Rząd Tymczasowy) wybory do Zgromadzenia Ustawodawczego, czyli Konstytuanty. Bolszewicy lojalnie je przeprowadzili i... przegrali. Wygrała partia eserowców – 58 % i 410 mandatów; bolszewicy dostali 25 % i 175 mandatów, przewagę zyskali jednak w obu stolicach, co jest ważne, bo – powtórzmy raz jeszcze – rewolucje odbywają się w stolicach. Konstytuanta zebrała się uroczystie 18 stycznia 1918 w Pałacu Taurydzkim w Piotrogradzie. Pierwszego dnia ośmieliła się krytykować przewrót bolszewików, następnego – została rozgoniona. Zbolszewizowani marynarze mający stanowić jej ochronę weszli na salę, oświadczyli, że są zmęczeni słuchając poselskiego głędzenia i kazali posłom wypierdalać. Posłowie wypierdolili. Demokratyczne odebranie władzy komunistom okazało się niemożliwe – marynarze po raz drugi zdobyli władzę dla bolszewików.

Demonstracje w obronie Konstytuanty również zostały rozgonione. Demokratyczna rewolucja – jak pisał jeden z korespondentów – użyła broni palnej przeciw obrońcom demokratycznie wybranego parlamentu. Na wszelki wypadek Trocki rzucił przeciw manifestantom uzbrojonych strzelców łotewskich, którzy dokonali masakry. I to był prawdziwy początek Czerwonej Rosji.

Bolszewicy po objęciu władzy za najgroźniejszych konkurentów uznali partię księcia Lwowa – konstytucyjnych demokratów. Zdelegalizowali ją i w styczniu 1918 zamordowali jej przywódców Fiodora Kokoszkina i Nikołaja Kiszkina. Były to najgłośniejsze zabójstwa polityczne – nie pierwsze – nie ostatnie. Terror zaczął rozlewać się po Rosji

Mgła zamienia się w krople krwi

W grudniu 1917 powstała Nadzwyczajna Komisja do walki z Kontrrewolucją i Sabotażem. Potem jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać jej oddziały terenowe.

Minister rządu Kiereńskiego, Paweł Miliukow zdołał uciec i jeszcze przewieźć porażające materiały.

Każdy lokalny oddział Czeki miał własną specjalność. W Charkowie upodobano sobie skalpowanie i ściąganie rękawiczek. Parzono dłonie ofiar wrzątkiem, aż pokryta pęcherzami skóra dawała się zdjąć: ofiarom pozostawały obdarte do żywego mięsa, krwawiące dłonie, a torturującym „rękawiczki z ludzkiej skóry”. Czeka w Carycynie przepiłowywała ofiarom kości. W Woroneżu wpychano ludzi nago do nabijanych gwoździami beczek, które potem radośnie toczono, wypalano na czołach pięcioramienną gwiazdę a duchownym wciskano na głowy wieńce z drutu kolczastego. W Armawirze miażdżono czaszki, zaciskając wokół głowy ofiary skórzaną pas z żelaznym sworzniem. W Kijowie przymocowywano do tułowia ofiary klatkę ze szczurami i ją podgrzewano, tak że rozjuszona zwierzęta wgryzały się w jelita, szukając drogi ucieczki.

W Odessie przykuwano ofiary łańcuchami do desek i powoli wsuwano do pieca albo zbiornika z wrzątkiem. Ulubioną zimową torturą było oblewanie wodą nagich ofiar dopóty, dopóki nie zamieniły się one w żywe lodowe posągi. Wielu funkcjonariuszy Czeki preferowało tortury psychologiczne. Jeden z nich kazał prowadzić ofiary rzekomo na egzekucję, po czym strzelano do nich ślepymi nabojami. Inny kazał

grzebać ofiary żywcem albo wkładać do trumny z cudzymi zwłokami. Niektórzy zmuszali do patrzenia, jak się torturuje, gwałci lub zabija bliskie ofiarom osoby.

W Charkowie upodobano sobie „numer z rękawiczką” – parzono dłonie ofiar wrzątkiem, aż pokryta pęcherzami skóra dawała się zdjąć: ofiarom pozostawały obdarte do żywego mięsa, krwawiące dłonie, a torturującym „rękawiczki z ludzkiej skóry”.

Niektóre opisy powtarzały się w kilku wariantach, niektóre mogły być wyolbrzymione, ale chyba nie były zmyślane. Kto potrafiłby wymyśleć opisy takich kaźni? A dzięki rewolucji przywrócona została upiorna dziedzina masowej rozrywki, zapomnianej od czasów średniowiecza: tortury. To był nowy rewolucyjny teatr, czasem cyrk.

W Kijowie zakopywano ludzi w mogiłach z rozkładającymi się ciałami, zakopywano żywcem i po pół godzinie odkopywano. Tłum czekał cierpliwie, zakładano się czy ktoś przeżył. Potem i tak dobijano.

W Jekatierinosławiu odbywały się pokazy dwóch sztuk biblijnych: krzyżowano i dobijano kamieniami. Krzyżowaniem zajmowali się fachowcy z czerezwyczajki, plugawe komentarze wygłaszali przy okazji propagujący marksizm ateści. Do zabawy w kamienowanie dopuszczano także prosty lud.

W Odessie oficerów męczono przywiązując łańcuchami do desek a następnie powoli wsuwano do rozpalonego paleniska, innych opuszczano do kotłów z wrzącą wodą. Te widowiska były na tyle atrakcyjne, że rozważano nawet pomysł biletowania widowni, jednak ze względów propagandowych z opłat się wycofano – mogły część widowni odstraszyć.

Również na Krymie bolszewicy zadbali o szczęście a zwłaszcza o rozrywkę dla ludu. Najczęściej wspomina się o orkiestrach w Eupatorii i wisielcach w Sewastopolu.

Na początku 1918 roku w Eupatorii powstał teatr grozy w duchu Wagnera: gdy czekał przeprowadzali egzekucje – przyganiane w pobliże miejsca kaźni orkiestry grały co bardziej głośnie i bardziej skoczne kawałki. Chodziło o zagłuszenie? A może o dodatkowe poniżenie umierających?

Tej samej zimy, u początków 1918 roku w Sewastopolu przeprowadzano

masowe egzekucje wieszając ludzi na drzewach. Całe ulice. Trupy dla oszczędności pozbawiano wcześniej odzieży. Po jakimś czasie pokrywały się lodem. Wyglądały jak manekiny. I stała się rzecz dziwna: ludzie zamiast kryć się w przerażeniu – masowo wylegli na ulice, spacerowali...

Orkiestry w Eupatorii, wisielcy w Sewastopolu – początki nowej kultury.

To wszystko działo się od 1917 roku do wiosny 1918. Zamach na Lenina zostanie dokonany 30 sierpnia. Fanny Kaplan została zabita 3 września po torturach. Wykonawcą i katem był Paweł Małkow, komunista, marynarz Floty Bałtyckiej, komendant Kremla. Bardziej interesująca od niego wydaje się postać pomocnika. Był nim Demian Biedny, poeta, też komunista. Kiedy czekał skończyli już torturować Fanię Kaplan, a komendant Małkow strzelił jej w tył głowy, poeta Biedny wraz z nim spalił ciało zabitej – prawdopodobnie w beczce po ropie.

To jeszcze nie był terror.

Oficjalnie ogłoszono go dwa dni później. Dekretem 5 września 1918 rząd oficjalnie ogłosił organizowanie konklagrow dla wrogów klasowych i członków białogwardyjskich organizacji.

list Lenina w sprawie terroru. List datowany na 10 sierpnia, więc przed oficjalnym ogłoszeniem terroru, ba, przed zamachem Fanny Kaplan na wodza.

10 sierpnia 1918 roku Lenin pisał *do towarzyszy Kurajewa, Bosza, Minkina i innych z komitetu wykonawczego partii w Penzie*:

Towarzysze! Rewolta w pięciu kułackich ujazdach musi być bezlitośnie stłumiona. Interes całej rewolucji tego się domaga, gdyż wszędzie mamy przed sobą decydujący „bój ostatni” z kułakami. Musimy dać przykład.

1. Musicie powiesić bez niedoróbek, tak, by ludzie widzieli) co najmniej stu kułaków, bogaczy i znanych krwiopiców.

2. Opublikować ich nazwiska.

3. Zabrać całe ich ziarno.

4. Wyznaczyć zakładników, zgodnie z wczorajszym telegramem.

Zróbcie to w taki sposób, by na setki mil wokół ludzie to widzieli, trzęśli się

i mówili sobie: zabijają i będą zabijać tych krwio pijców kulaków. Telegrafujcie, czy otrzymaliście i wykonaliście instrukcje. Wasz Lenin.

PS. Użyjcie do tego najtwardszych ludzi.

Dopisek zrobiony trochę zmienionym charakterem pisma informował: *odnaleziono 680 podobnych rozkazów i zaleceń*. Lenin nie tylko wiedział o zbrodniach – on sam je inspirował. Najpierw był rewolucyjny terror, potem jego uzasadnienie w dekrete, zamach Fanny Kaplan był dobrą okazją, z której skorzystano.

Operacja tambowska

Końcem Rewolucji, to znaczy końcem podboju własnego kraju i zniewolenia własnego narodu była operacja tambowska, przeciwko chłopom. Powstanie chłopskie trwało od 1918 roku, w 1921 Lenin postanowił je zakończyć. Wysłano 45 tysięcy żołdatów pod wodzą Tuchaczewskiego, 5 pociągów pancernych, 18 samolotów i oczywiście artylerię. Ale nie ona była najstraszliwszą bronią. Bolszewicy zastosowali trzy rewolucyjne metody zwalczania wrogów. Po pierwsze – ponieważ wróg chronił się w lasach – podpalano lasy. Drugi rodzaj broni był również konwencjonalny, archaiczny, ale skuteczny: terror. Zachowała się dyrektywa Lenina:

Powiesić, tak żeby lud to widział, w każdym okręgu stu znanych kulaków. Opublikować ich nazwiska. Zabrać wszystkie zapasy zboża.

Trzeci środek był bardziej nowoczesny: gaz. Wypróbowana broń z czasów I wojny. Tuchaczewskiemu przekazano dwa wagony pojemników z chlorem.

Lenin dał rozkaz użycia, Tuchaczewski – bardziej szczegółową dyrektywę:

„W celu oczyszczenia lasów rozkazuję użyć gazów trujących w taki sposób, Aby zniszczyły ukrywających się chłopów”

Armia, truła i wypalała ogniem chłopskie oddziały. Potem przychodzili cześci i dobijali ocalonych. Całe wsie. Potem palili. Całe wsie zniknęły z mapy Rosji.

Skoro padła już wzmianka na temat głodu – to Lenin odkrył jego bojowe zalety. Można powiedzieć, że już w roku 1921 Lenin zaprojektował Wielki Głód na Ukrainie i wielkie zwycięstwo lat 30.

W 1921 roku wybuchł głód na Powołżu, w 1922 osiągnął apogeum. Dzierżyński zwrócił się do Lenina z pismem o pomoc. Oto jaką odpowiedź otrzymał:

...Dla nas przeciwnie, ta właśnie chwila oferuje nam 99 procent szans na rozbić wroga i zapewnienie sobie na wiele dziesięcioleci odpowiedniej pozycji. Teraz i tylko teraz, kiedy na terenach dotkniętych głodem dochodzi do kanibalizmu, a drogi są zasłane setkami, jeśli nie tysiącami trupów, możemy (a więc musimy) kontynuować zdobywanie cerkiewnych kosztowności z najgwałtowniejszą i najbardziej bezlitosną energią, nie cofając się przed niczym... Dzięki temu zapewnimy sobie kapitał wart kilkaset milionów rubli w złocie (pamiętajcie o nieprzebranych skarbach niektórych klasztorów). Bez tego nie będzie można prowadzić prac państwowych.

Na pochwałę bolszewików trzeba dodać, że normę przekroczyli, zagarnęli skarb o wartości przekraczającej dwa miliardy rubli. To była największa kradzież w dziejach ludzkości. Ale nie tylko o kradzież chodziło. Przecież ci chłopci, mimo że zdychali z głodu, przecież bronili i swoich domów i świątyń. I co nakazuje Lenin?

Im większą liczbę przedstawicieli reakcyjnej burżuazji i kleru uda nam się stracić przy tej okazji, tym lepiej.

Trudno te słowa opatrzyć komentarzem. Późniejsi przywódcy ZSRR nie dodali żadnej nowej zbrodni do tych stosowanych przez Lenina. Powtarzali jedynie stare – tyle, że z większym rozmachem. Wielki Głód i operacja polska NKWD to dwa przykłady z lat 30. Lenin już tych czasów nie doczekał, jego metody – tak.

PS.

Skoro padło nazwisko Kornhausera, skoro przytoczyłem już tytuł jego wiersza – wypada przytoczyć resztę:

Moja żona śpi, Iljiczu

*Paryż, 1904 rok, Łunaczarski wita Lenina na dworcu,
malarz Aronson wykonuje portret Sokratesa, szeleści*

*oślepiatych poetów, panie z towarzystwa okazują się
agentkami obcego mocarstwa, o co walczył Lef, Mierkułow
rzeźbi gipsowe popiersie, żydowskie kawały podczas
gry w szachy, Bóg z głową konia wyciera tłuste palce
w fartuch, kwadratowe okienka partii, tu leży cieśla,
towarzyszu, a tam dalej jakiś Serb, dębowy zegar z epoki
fin de siècle, w tym pomieszczeniu kilka rzek jeszcze
bez nazw, może być Leta, ziemia dla chłopów, dla wszystkich,
Kruczonych walczy o żargonowe wyrażenia w rodzaju: bić
w mordę, aby lepiej wyrazić rewolucję, nie je, ściska
dłoń, nie ma czasu, jak to, świeże mogiły robotników,
Vallotton pisze cyrylicą na krzyżu: dureń jest ozdobą życia,
a w nawiasie Gorki, poemat „Lenin” jest ukończony
i Majakowski dzwoni do huty szkła z zapytaniem o termin
wieczoru autorskiego: niestety Włodzimierz Włodzimierzowicz -
odpowiadają – na razie robimy rewolucję, w Paryżu
jest marzec i ciepło, Lenin wychodzi z domu na palcach,
aby nie zbudzić żony przyszłego ministra oświaty.*

Wiersz nie jest prymitywnie wredny, jest wredny jest wredny w sposób wyszukany. zręcznie gra płaszczyznami czasu, stosuje jukstapozycję – nowoczesny, filmowy sposób obrazowania polegający na zestawianiu obrazów. To nadaje tempo, to kojarzy się z awangardą. Nie przypadkiem awangardowi literaci i malarze postawili na bolszewizm. Kornhauser pokazuje w tym wierszu dwie rzeczy jednocześnie: ludzki charakter Lenina, który wychodzi z domu i wkracza w historię na palcach, jako symbol subtelności i zarazem nowoczesność bolszewików – oni też są awangardowymi artystami.

W czasie pisania tego wiersza Kornhauser uchodził za jednego z młodych i strasznie czerwonych poetów, podobnie jak Zagajewski czy Barańczak należał do nurtu, który ex post zostanie nazwany Nową Falą. Wtedy była to fala koniunkturalizmu, potem popłynęła w inną stronę, nowofalowcy znaleźli się bliżej partyjnych rewizjonistów, niż aparatu. Nie znaczy to jednak, że jesteśmy po tej samej stronie barykady.

Wtedy dzieliło mnie wiele, on był uważany za słusznego marksistę, był w redakcji Nowego Wyrazu – ja za nacjonalistę. Potem Kornhauser przeżył ewolucję, zbliżył się do środowiska postkorowskiego. Ale chyba nadal nie jesteśmy po tej samej stronie. Kornhauser dalej uważa się za awangardzistę, który ma prawo gromić ciemnych, antysemickich i zbrodniczych Polaczków. Jeśli wiersz o Leninie ukazywał wzorzec pozytywny – wzorzec negatywny ukazuje *Wiersz o zabiciu doktora Kahane*. Nawiązuje on formą do *Pieśni o zabiciu Andrzeja Tęczyńskiego*, ale niewiele ma wspólnego ani z dawną ani ze współczesną historią. Jest raczej manifestacja poprawności politycznej, jest drobnym przypiskiem do dzieł większych i równie nieuczciwych: jak *Malowany ptak*, *Sąsiedzi*, *Nasza klasa* czy *Ida*. Mimo wieku – dziarsko staje na zbiorce podśpiewując:

*A jacy to źli ludzie mieszczanie kielczanie,
żeby pana swego, Seweryna Kahane,
zabiliście, chłopci, kamieniami, sztachetami! [...]
Bóg Polaków zamknięty w obozie, w baraku
drży, gdy dzielni chłopcy z orzelkami na czapkach
dobijają dziewczynki żydowskie, rurkami, na odlew*

Nie jest pewne, kto organizował napad na tzw. „ubecki dom” w Kielcach, czy chodziło o przykrycie Katynia, o którym zaczynano mówić w Norymberdze, czy o przekonanie Europy, że tylko nienormalnej, antysemicko – andersowsko – katolickiej Polsce potrzebna jest opieka dziarskich komunistów. Nie jest pewne kto zastrzelił doktora Kahane – Polak z KBW, Rosjanin w polskim mundurze czy może Żyd z UB. Kornhauser zresztą nie próbuje niczego wyjaśnić. Opowiada zmyśloną historyjkę by pokazać, że nadal jest postępowy, że oficjalna propaganda może na niego wciąż liczyć.

Dedykacja „Lenina” dla Kornhausera jest nadal aktualna. Niezależnie od swych intencji poeta znowu wpisuje się w walkę zaplanowaną przez Dugina. I nie po naszej stronie.

Pamięci mojego ojca żołnierza niezłomnego

Fragment przygotowywanej do druku książki pt. „Arka” (w 10. numerze Opinii ukazał się fragment tej samej książki pt. „Świt”).

Czas, jak to w jego naturze, umykał niepostrzeżenie. Ledwie minął ostatni poniedziałek kwietnia, a z nim egzaminy „zerówki”, a już zbliżała się godzina piątkowego wyjazdu. Siedząc na tarasie przyglądał się młodej trawie, którą ciepłe dni zdążyły przysposobić do pierwszego strzyżenia. Spojrzał na słonecznie żółtą forsycję. Jeszcze wzrokiem odprowadził ulatującego znad krokusów trzmiela, po czym wstał z ociąganiem i zbierając naczynia zszedł z tarasu do domu.

Stojąca na biurku mini-wieża wyświetlała 15:14. Otworzył szafę. Wyjął wiązane na brzegu dwa podróżne pokrowce, sięgnął po niedużą walizkę i zbiegł po schodach do holu. „Czterdzieści minut. W sam raz by odebrać Dankę i dojechać na zbiórkę” – pomyślał odpalając silnik.

O wpół do szóstej, kolumna ośmiu samochodów nie dojeżdżając do Kiel skręciła na Piachy. Tam pożegnano się z dwupasmówką i ruszono na Leszczyń, skąd do celu dzielił ich ledwie kwadrans drogi. Marek, przyzwyczajony do równych, jak stół widoków Mazowsza, z uczuciem dziecięcej frajdy cisnął gaz drapiąc się na choćby najmniejszy pagórek.

– Pięknie tutaj – rzucił do siedzącej obok Danki.

– Aha – potwierdziła wpatrzona w ciemniejące na horyzoncie lesiste zbocza Gór Świętokrzyskich.

– Jedź równo, bo w końcu wylądujesz Andrzejowi w kufrze – odezwał się nieco niespokojnie Krzysiek.

– Nie ma sprawy, jakby co, to stąd można i na piechotę. Na ślub, na pewno zdążymy – uspokajała go ze śmiechem Agnieszka.

– Dobra, dobra. Łatwo się mówi, a twoją walizę to kto niby miałby tachać? – odpowiedział przytulając ją do siebie ramieniem.

– O właśnie – włączył się Paweł. – Teraz może..., – popatrzył na niego drwiąco i dokończył bardziej zdecydowanym tonem – może wreszcie pojmiesz dlaczego cenię sobie kawalerkę.

– Głupiś, warto choćby i trzy walizy, by bawić się z taką ślicznotką – odparował jeszcze mocniej przyciskając Agnieszkę do siebie.

– Ja głupi? A słyszałeś mądralo, że nie wozi się drzewa do lasu? – roześmiał się z wyższością Paweł.

– Jesteś dorosły, chyba najwyższy czas, by ktoś uświadomił ci w czym rzecz. Mógłbym i ja ci to wyjaśnić, ale trzeba by na osobności... – ironizował Zawieja nie dając za wygraną.

– Panowie, dokończycie później. Chyba dojeżdżamy – poinformował Marek widząc, że pierwsze z aut skręca w polną drogę.

Zaparkowali tworząc kolejny rząd samochodów.

– Ekstra – ocenił Tarecki przypatrując się staremu, może nawet i siedemnastowiecznemu dworzyszczu.

– Wygląda na dobre..., jakieś dobre trzysta lat – ocenił Paweł ze znanstwem właściwym studentowi architektury. – Modrzew. Bele smolne, z rdzenia. Takich olbrzymów dziś nie uświadczysz. Popatrzenie na ten łamany dach polski, ileż wichur musiał przetrzymać. Najprawdziwsze, drewniane gonty..., najprawdziwsze, drewniana poezja! I ta przedsień, miodzio. Zaraz, zaraz. Jest szósta, a słońce będzie zachodzić tam, to oznacza..., oczywiście, jakżeby inaczej, to oznacza, że ganek orientowany na jedenastą!

– Mnie dworki kojarzą się z kolumnadą portyków, a nie przedsionkami. Może to chałupa bogatego kmiecia? – podzielił się wątpliwością Krzysiek.

– Nie, nie. Kolumny zwieńczone attyką to wiek XIX-ty, neoklasyczny import. Dawniej postępowano pragmatycznie. Stare, rodzime rozwiązania musiały odpowiadać miejscowej aurze. Zabudowana przedsień i stromy dach bar-

dziej pasują..., rozumiesz, zdecydowanie bardziej, do naszych słot i śniegu. Tego dworu nie stawiano w Toskanii. Aż korci pobiec do środka. Mogę się założyć, że przez środek idzie sień..., idzie taka z kuchnią, spiżarnią i wyjściem na ogród. Po lewej pewnie świetlica, ciągnąca się do samego końca. Chyba..., chyba że z czasem podzielono ją na jadalnię i bawialnię. Od tyłu powinny być pokoje.

– A po prawej? – zacięła się Danką.

– Sypialnie dziadków i rezydentów, pokój gościnny, a w głębi pomieszczenia czeladne.

– I co na to wszystko twoje fachowe oko Pawełku? – odezwał się nadchodzący Andrzej.

– Bajka – podsumował krótko i dodał – Przyjrzyj się zaciosom na zrębie. Dziś niejeden cieśla i na krajezdzie takich by nie wyciął. Mistrzowskie ręce..., mistrzowskie. Nie dziwota, że nadal stoi. Taką robotę może zmóc tylko ogień. Zadbany przetrzyma..., pewnie przetrzyma i następne trzysta lat.

Drzwi w przedsionku otworzyły się i na progu stanął Wojtek.

– Witajcie. Czym chata bogata, tym rada – zawołał radośnie szerokim gestem zapraszając do środka.

– Moment, zabierzemy stroje.

– Chodźcie, na przebieranki będzie pora jutro. Teraz gość w dom, Bóg w dom.

Weszli do sieni.

– Na lewo? – sprawdzał swoje przypuszczenia Paweł.

– Tak, zapraszam do świetlicy – potwierdził Wojtek otwierając drzwi. – Na wprost jest wejście do kuchni, a w prawo do gościnnych.

Przeszli do środka. Tuż za drzwiami przystanęli. Zdawać by się mogło, że wskazówki zegara przebiegając stuleciami wstecz, przeniosły ich w czasie. Od wejścia do przeciwległej ściany ciągnęło się po powale pięć potężnych belek nośnych. Podpierał je w połowie długości, nie mniej masywny, poprzeczny siestrzan, na którym wyryto po łacinie AD MDCLXXII. Na wprost nich, na obitej rudawo złocistymi szpalerami ścianie, wisiały znaki dawnego męstwa. W centrum, jakby mierząc w niebo prężył się krótki łuk jazdy lekkiej. Pod nim, na herbowej tarczy stróżował w żółtym polu koń z takimże łukiem i trzema strzałami

mi nad grzbietem. Obie te rodowe relikwie, wciąż od pokoleń darzone, zawisły między na krzyż mocowanymi: włócznią i rohatyną. Na prawo od tego ołtarzyka pyszniły się ozdobne karabele, przewieszane ryngrafami z Hetmanką rycerstwa polskiego. Na lewo zaś, dumę cnót orężnych wspominały buzdygany chorążych i srogie pałasze. Przesuwając wzrok całkiem w lewo, na surowym drewnie ściany z trzema oknami zobaczyli stare medaliony, z których uważnie przyglądały się im olejne spojrzenia przodków. Prawą, otynkowaną ścianę ozdobił wyblakłym już malowidłem, które idąc po całej długości sięgało wypiętrzonego aż po strop, narożnego paleniska. U spodu malunku ciągnął się cokół ze wzorem geometrycznym w kolorze ochry. Nad nim, szerokie pasy w ciemnym brązie wydzielaly część środkową, którą pokryto pejzażem i motywami ze scen myśliwskich. Całość wieńczył fryz z rytmicznie powtarzanym ornamentem kwiatnych festonów. Dekorację sali uzupełniał piec z ciemno zielonych kafli stojący pomiędzy głównymi drzwiami a paleniskiem. W powietrzu unosiła się delikatna woń jaśniejących długimi płomieniami brzoźowych polan. Wtórzące im drzenie, wypływających z belek cieni, zdawało się ożywiać sufit a z nim i całą świetlicę.

– Małym chłopcem jeździłem tu zimą na rowerze – odezwał się Wojtek wyrывая ich z magicznego odrętwienia.

– Dlaczego piec stoi przy kominku? – dziwiła się na głos Danka.

– Najpierw postawili komin z paleniskiem, a gdy z czasem pojawiły się bardziej ekonomiczne piece kaflowe, dobudowano taki do starego komina – wyjaśniał Paweł. – Teraz stoją tu..., stoją tak obok siebie i jeden grzeje, a drugi cieszy.

– Cieszy?

– Pomyśl Danusiu o długim, zimowym wieczorze. Trzaskające polana, wołające ogniki, a bracia rycerska przy miodzie o dawnych przewagach prawi – rozmarzył się Marek. – Niejeden, zapatrzone w te płomienie na powrót widział się przy obozowym ognisku. Takie paleniska po dworach, miały nie mniejszą moc przywołania wspomnień niż nasze DVD.

– Święta prawda – potwierdził Wojtek. – Jak dziadziś nam opowiadał, to rżały tam konie i szczekały oręż. Jakże potrafiły one galopować po tych ścianach! Marzę by tu wrócić i kiedyś pokazać je wnukom. One na pewno czekają na nich, tam w głębi – wskazał z chłopcym przejęciem na palenisko.

– Da Bóg, to już niedługo przywieziesz swoich chłopaków i wypuścisz te rumaki – zawyrokował z uśmiechem Andrzej.

– A państwo, co tak przy drzwiach? – odezwał się stary mężczyzna podchodząc bliżej przybyłych. – Wojtuś, ano proś do stołu.

– Stryju pozwól przedstawić moich przyjaciół z Warszawy. To Panny Agnieszka i Danuta, a to drużbowie: Andrzej, Paweł, Krzysztof i Marek – prezentował kolejno. – Reszta drużyny już idzie. Poznajcie mojego dziadka stryjecznego. Doktor Antoni Nadkoński, porucznik Armii Krajowej, nasz starosta weselny.

– Miło mi – powiedziała Danka dygnawszy wdzięcznie. – A herb na ścianie, jaką ma legendę?

– Dawna historia, opowiem przy wieczerzy.

Stanęli przy długim na dwadzieścia osób stole. Na białych, ręcznie haftowanych obrusach rozkładano właśnie dymiące wazy. Gdy Wojtek wprowadził pozostałych przyjaciół, stary doktor poprosił Bartka o modlitwę po czym siedli a on zachęcał gości:

– To nasza słynna, świętokrzyska zalewajka. Po dalekiej drodze warto zacząć od ciepłego. Czym chata bogata, nabierajcie proszę.

– A legenda? – przypomniała się Danka.

– Oczywiście, dziękuję Pannie za zainteresowanie – i rozpoczął zmrużywszy oczy. – Działo się to za słynnych czasów króla Batorego, kiedy to Moskwa Iwana IV-tego w knowaniach z wiedeńskim Maksymilianem najechała Inflanty i zagarnęła niemal cały tamten kraj. Jął tedy Batory ślać po Koronie listy przypowiednie do rotmistrzów, a roku następnego, to jest 1579, ruszyła wielka armia na Połock. Twardzi to byli ludzie, od dziecka zaprawiane charaktery. Wyobraźcie sobie z jakim mazołem te 60 tysięcy, ciągnąc armaty i wozy, musiało torować sobie drogę przez dziewiczą puszcę, co od zawsze porastała brzegi Dźwiny. Ich trud miał wkrótce przynieść słodki owoc zwycięstwa. Zdobyli twierdzą ryglującą szlak z Moskwy do Inflant, co ją był jeszcze Zygmunt August utracił. W takim to czasie nasz pradziad Mikołaj, syn wolnego kmiecia, zaciągnął się na list przypowiedni, a że ojciec, który sam na wojnę z Zygmuntem Starym chadzał, darował go koniem, to i trafił między łzej zbrojnych jeźdźców – stary człowiek zamyślił się na chwilę szukając trafnego

określenia. – Trzeba powiedzieć, że nie był to człowiek znacznej postury. Niższy, o jakie trzy ćwierci głowy od najniższego z towarzyszy. Musiał więc ciężko zapracować na szacunek. Stawał tedy do każdego zadania ochotczo. Wkrótce doceniono celność jego szycia z łuku i pogodną życzliwość dla kompanii, ale nade wszystko zasłynął jako jeździec. Nie było konnej sprawności jakiej nie umiałby podołać. Dość, że powiem iż niewielu próbowało naśladować harce, jakie na grzbietach rumaczycy dokazywał – starosta nabrał tchu, powiódł wzrokiem wkoło, jakby sprawdzając czy jeszcze go kto słucha i znów przymknąwszy oczy ciągnął dalej.

– Poszedł był pradziad z rotą na Suszę, zamek okolic Pskowa. Ciągnęli leśnym duktem, gdy niespodzianie straż przednia natknęła się na podjazd moskali. Zwarli się rąbiąc i kłując zawzięcie i wnet tamtych do ucieczki przymusili. Pędząc im na karkach wypadli na mokre łąki, pośród których wypami krzewiły się dorodne zarośla. Wypadł i Mikołaj z pierwszym szeregiem, a że mały, wiele wypatrzyć nie zdołał. W pełnym galopie wyskoczył na kulbakę. Chyba aniołów rękami wspierany, dokonał tej sztuki, że nie tylko utrzymał się ale i strzał z sajdarka dobywając, jął ślać jedną za drugą w ślad uciekających. Wielkie było u towarzyszy tą sceną zdumienie. Nie mniejsze i u wroga, któremu zdać się mogło iż to śmierć sama galopuje kładąc ich pokotem. W trwodze, skora do przesądów Moskwa rozbiegła się na wszystkie strony, a osamotniona załoga oddała twierdzę bez większego oporu.

Zawiesił głos, znów rozejrzał się wkoło i zaniepokojony spytał:

– W Warszawie zalewajki nie jadają?

– No, ależ skąd. Jak tu łyżką talerz skrobać, gdy takie ciekawości słyszymy – tłumaczył się Darek.

– To proszę nie czekać. Niech jedzą, nim całkiem wystygnie. Dokończę przy rybie.

– Nie, nie... – zaprotestowało kilkanaście głosów.

– Proszę mówić dalej, a my karnie będziemy wiosłować – zadeklarował w imieniu wszystkich Bartek.

Stary doktor jeszcze raz spojrzął na nich, a widząc że sięgają po łyżki wznowił opowieść.

– Rychło wieści o tym wyczynie obiegły wojenny obóz. Na koniec dotarły

i do króla. Ten, ciekaw sprawy a znając przyrodzoną skłonność szlachty do przesady we wszystkim, nakazał śmiałka przed swój majestat prowadzić.

– Powiadają żeście najprzedniejszy jeździec w Rzeczypospolitej – odezwał się Król Jegomość.

– Wielu zacniejszych rycerzów Ich Królewskie Moście w kraj ten przywiodły – skromnie odpowiedział Mikołaj.

– Widzim iże i ogłady u Was dostatek – pochwalił go Batory. – A nie skąpił-byś zacny żołnierzu, przed naszym majestatem onych cudów okazać?

– Jeżeli taka wola Waszej Miłości, jeno trzeba by mi po ojcowego deresza na łąki iść.

– Niech no który z konia zlezie – zarządził król do przybocznych.

Skoczył lekko Mikołaj na poznaniaka, choć w kłębie przerastał go może i o łokieć. Chwilę przed namiotem go prowadzał, a gdy koń pewną rękę już poczuł, zajechał przed wartę, wbił polano na czub rohatyny i jął cyrkle kłusem zataczać. A to na grzbiet wyskakiwał, a to pod brzuch się chował. To znowu wskok młyńcem albo nożyce wyczyniał. Znane to wszystkim były zaprawy więc poza kilku brawami większego uznania nie zebrał. Wtem, zwier ostro spięty na tylnych kopytach się ugina, przednimi w powietrzu macha i w galop się puszcza. Jął tedy pradziad młyńce na kulbace kręcić i na rękach stawać, mimo że rumak już cwałem prawie ziemi nie dotyka. Uleciawszy ze ćwierć wiorsty, na zadzie Mikołaj koniem obraca, a sztuk mnogo dokazując, na powrót zbliża się do króla. Poznaniak już chrapy rozdyma i grzywę na wiatr puszcza, gdy pradziad za łuk chwyta, a ugięty w kolanach stopy do kulbaki klei i raz po razie trzy strzały posyła. Teraz nawet i Król Jegomość gębę rozdziawił, a tym szerszej im dłużej na belty z polana sterczące spogląda. Zeskoczył Mikołaj, konia po strzałce gładzi, a w myślach Bogu Wszechmogącemu dziękuje, że konfuzji jakowejś przy harcach nie doświadczył. Patrzy Batory przez chwil kilka na łokietkowego wojaka i odzywa się w te słowa:

– Mikołaj przy krzcie ci dali, a My zoczywszy iże w naszej przytomności jako ptaszyna nad gniazdem, tako nad koniem lotów dokazałeś, od dziś tobie i potomstwu, co je na pożytki królestwa naszego wywiedziesz, nowe przezwanie dajem – imć Nadkoński. Pieczętować się będziesz znakiem konia i łuku ze strzały. Imć Kanclerzu Zamoyski, gdy na Wawel szczęśliwie wrócim, ukroisz

jaki kawał puszczy, a łąk, a ziemi ornej z naszych królewszczyzn, co między Krakowem a Kielcy najdziesz. Wołą naszą jest by ten rycerz za wojenną zasługę zdobycia zamku na Suszy, w dostatki opływał. A teraz miecz mój paradny z namiotów nieście, a ty Mikołaju przyklęknij.

– Wiwat, wiwat, wiwat Stephanus Rex... – rozeszły się okrzyki szlachty, zawsze radej królewskim nadaniom. – Tak to z Bożej przychylności, do dziś koń z łukiem na stróży naszego rodu pozostaje – zakończył weselny starosta.

– Zdrowie tego domu. Zdrowie zawsze wiernych Ojczyźnie naszej! – wzniosł toast Marek chwytając za wysoki kielich i kierując go ku doktorowi.

– Zdrowie – odpowiedzieli wstając z miejsc.

Gdy siadali, dwie młódki wniosły półmiski z rybą w galarecie.

– Poznajcie drużki, kuzynki mojej Marty. Julia i Barbara. A to moja kompania i czekające w kolejce do ołtarza Warszawianki – prezentował sobie młodych Wojtek.

– Takich gości przedstawiać nie trzeba – zaśmiała się wdzięcznie Baśka. – Jedzcie na zdrowie. Doniesiemy resztę i już siadamy.

– Jak te skarby udało się ocalić? – zapytał Tomek patrząc na wojenną ściągę. – Na dawnych dworach drzewa powyrastały, albo pyszni się dorobiona za komuny hołota.

– Tak, to cud prawdziwy. Przecież nie tylko odbierano majątki, ale niepokornych więziono i mordowano, a ta ziemia niezłomna..., prawdziwie niezłomna. Piastowała i Hubala i Ponurego. Słynny Wykus prawie za oknem – dołączył Paweł.

– Prawda to. Gdy jesienią po lasach zapłoną buki, to zda mi się iż ta czerwień listowia krwią kolegów się karmi. Naród tu szlachetny, prawdziwie polski. Jak Państwo wiecie, nie utrzyma się partyzant gdy wieś nie sprzyja. Prawdziwie piastowała ona swoich żołnierzy. Sprawiedliwiej było by powiedzieć więcej: ci co karabiny noszą to tylko czubek takiej góry lodowej, co nad toń ledwie się wychyla. Taka szpica podziemnego wojska, co to po chałupach zalega. Te utajnione bataliony nie tylko żywią i we wszystko opatrzą, ale i oczami i uszami zbrojnych są. Wie o tym każdy okupant. Srogo, a bardziej by powiedzieć, okrutnie rozprawiali się z nimi i hitlerowcy i komuniści. A nasze gniazdo? No

cóż, Boża Opatrzność. Jeszcze w 39-tym najcenniejsze pamiątki w leśnym bunkrze my chowali. Dom się ostał bo najpierw szwabów, a potem ruskich sztab tu urządzano. Tych, co to za nami tropili. Potem była tu siedziba kółka rolnego. Później dał Bóg iż pozwolono własny dwór odkupić.

– Nic by z tego nie było, gdyby nie chirurgiczna sława stryja. Jak przychodziło sekretarzom partii własne brzuchy kroić, to nie chodzili do partyjnych aktywistów, a gonili po ratunek do Nadkońskiego – uzupełnił Wojtek.

– Nadkońscy to taki szacunek u ludzi mieli, że przy reformie naród nie chciał ani morgi z majątku brać – wtrąciła Julka. – Dopiero Pan Antonii nocą z lasu przyszedł i nakazał: „Macie wziąć na przechowanie, bo kołchoz urządzają i ziemię zmarnują”.

– Późno się robi. Dojemy, co na półmiskach i czas po kwaterach rozwozić – zauważył doktor.

– Jeszcze młoda godzina, dopiero dziewiąta. Może jeszcze coś by Pan opowiedział? Na przykład coś z partyzanckich czasów – zachęcał Krzysiek.

– Będzie jeszcze okazja, a miejscowi gospodarze wstają rankiem. Tu wiejski obyczaj. Życia po nocach na telewizor się nie trwoni. Chłopy zdrowe a i z wieczora robotne – dodał z przewrotnym uśmieszkiem.

– Jaki plan na jutro? – zapytał Paweł sięgając po kolejną kromkę starannie wypieczonego chleba.

– A co inszego kiejby umyczki? – zdziwiła się Julka przypatrując się mu uważnie i jakoś tak mimowolnie, piersi do przodu wypięła.

– Umyczki? Pierwsze słyszę – tym razem zdumiał się Marek.

– Może u was znacie to jako swaćba? – odpowiedział doktor i dodał – Wiele w Polsce weselnych obyczajów i różnie je nazywają, ale wszystkie jednemu służą, mają młodym zdrowie i obfitość zapewnić. Każdy z nich korzeniem do prastarych czasów sięga. Kiedy to jeszcze Chrystusa nie znano. Niektóre gusta i dziś są praktykowane, choć nie pamięta się już co dawniej znaczyły. Choćby takie sypanie ziarna na pannę młodą. Nic innego to nie było, jak ofiara składana bóstwom domowego ognia, by płodność niewieście zjednać. Albo takie przez próg przenoszenie. Niewiasta, co brało się ze słów – nic nie wiedzieć, czyli nie znana tutejszym, nie mogła dotknąć progu. Czemu? Ano, przy bu-

dowie nowego siedliska sypano tam szczyptę prochów po znacznych przodkach, by ich duchy wejścia złym mocom broniły. Tedy nieznaną tym opiekuńczym duchom zamężnicę, przenoszono by ich nie urazić.

– Czy dlatego ręki przez próg się nie podaje? – zapytał Boguś sięgając po plaster wysmażonego łososia.

– Nie inaczej. Dla tej samej przyczyny – potwierdził Pan Antonii. – Weźmy inny przykład. Do dziś po wsiach z bicza na weselu trzaskają, a dawniej po dworach z arkebuzów palono. Czemu? Niejeden myśli, że to na wiwat, a to hałasem złe duchy odpędzano.

– Kto z was wie dlaczego po oczepinach panna młoda przebiera się? – zadała zagadkę Julka.

– Zawsze myślałem, że to dla wygody – szczerze przyznał się Paweł.

– No tak, masz prawo. Panną młodą to ty raczej nie będziesz – wesoło skwitowała jego wyznanie. – To też był zabieg magiczny. Dawniej przebierała się niewiasta po pokładzinach. Chodziło o to, by złe duchy mężatki nie rozpoznały. Czyhają one tylko by urok paskudny na dzieciątko rzucić, którego niechybnie spodziewano się skoro młodych do alkierza odprowadzono.

– U nas, przy przenosinach panna młoda zaraz po wejściu pieca dotyka – dołączyła Baśka.

– Sprawdza czy wygodny na stare lata? – kpił żartobliwie Bartek.

– Ksiądz wie to i się droczy – odpowiedziała rezolutnie i wyjaśniła. – Piec zastąpił dawne palenisko w chacie. To taka inicjacja. Oznacza przyłączenie się do domowego ogniska męża.

– Wiele pięknych u nas obyczajów. Żal iż niejeden chce naśladować hollywoodzkie wzory. Prymitywną tandetę bez żadnej treści. Głupcy, lekką ręką skarby najprawdziwsze odrzucają, których inne narody mogą nam tylko zazdrościć. Pamiętajcie, drzewo od korzenia odcięte niechybnie usycha! – przestrzegł z powagą stary doktor i sięgnął do talerza.

– Ale jak się w tej różnorodności połapać? – głowił się Paweł. – Inaczej na Kurpiach, inaczej na Śląsku..., a jeszcze inaczej gdzie by nie pojechać.

– To proste. Czy chłopskie czy pańskie, czy w górach czy nad morzem to tego samego ludu obyczaje. Inaczej zwane, różne przyspiewki i szczegóły, ale zawsze odnajdziesz ten sam, nasz polski porządek – wyjaśniała Julka. – Naj-

pierw umyczki i dziewiczy wieczór. Potem rozpleciny i błogosławieństwo, po których ślub i weselna biesiada. Następnie przynosiny, pokładziny i oczepiny. Jasne?

– Umyczka, rozpleciny, ślubowanie, wesele, przynosiny i oczepiny – wyliczał Tomek. – Może spamiętam.

– Minie kilka dni, a będziesz pamiętał do końca życia – zaśmiała się Marta.

– Julia, jak takiej tradycji dochować gdy panna z Gdańska a kawaler z Wrocławia? – zastanawiał się Paweł, nie wiedzieć czy kierowany ciekawością, czy chęcią podtrzymania z nią rozmowę.

– Dziś można pojechać na skróty. Nie to żeby coś opuścić – zastrzegła się pośpiesznie. – Większość można włączyć nawet do najkrótszego wesela. Taki jednodniowy scenariusz, ślub i wesele z tradycyjnymi obrzędami. Wierz mi, po tysiąckroć to piękniejsze i fajniejsze niż głupawe zabawy, które cieszą prostaka i zapite towarzystwo.

– Wie co mówi – potwierdził Wojtek. – Zna się na tym, jak mało kto. Tańczy i śpiewa w zespole akademickim. Uważaj, jest tam solistką! – dodał uśmiechając się pod wąsem.

– No to... no to czekam jutra. Dowiem się, co to też są, te wasze umyczki – zaśmiał się Paweł zawadiacko odrzucając czuprynę na bok.

– Wypijmy strzemiennego i w drogę – zakomenderował starosta weselny i uniósł cynowy a w środku złożony kielich z winem, atrybut swojej, weselnej władzy.

Następnego dnia, dobrze przed południem witał stary dwór z dawna nie widzianych gości. Na jaśminową alejkę gęsto przeplecioną bzem, wkroczyło najprawdziwsze wojsko. Dziwny to był autorament. Nie to żeby jakiś obcy, zamorski. Wszystkie stroje i mundury były naszego, polskiego kroju tyle, że wymieszane wskazówkami szalonego zegara. Szło przy szablach pospolite ruszenie w kontuszach, szli lansjerzy Księstwa Warszawskiego i ułani Jazłowieccy. Szary mundur legionisty za wrześnieją piechotą i powstańczą panterką postępował. Widać wojsko zwycięskie to nadchodził, bo gęby roześmiane, a gwar daleki od bitewnego skupienia. Bardziej to zgraja niż orężni stający do ordynku.

Naprzeciw takiej to pstrokaczyny wyszedł, a prawie wybiegł Wojtek. Poprawił kurtkę oficerskiego munduru i rażno zakrzyknął:

– Na moją komendę, baczność!

Stanęli wyprężeni, jak struny. Tyle, że oczy wciąż wesołe.

– W szeregu zbiórka – padł następny rozkaz.

Przeszedł Pan Młody przed frontem swej drużyny. Uważnie przyjrzał się każdemu. Poruszył wąsem. Oczy przymrużył by łzy wzruszenia nie uрониć i zebrawszy się w sobie jednym tchem wyrzucił:

– Nawet o tym nie marzyłem, tyle zachodu, w ogień by za wami iść.

– Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego – wyskandowali chórem, uradowani że skrycie szykowana niespodzianka takie robi na nim wrażenie.

Teraz wybiegli na podwórzec krewni, a za nimi kobiety do posługi najęte.

– Pięknie. Bóg zapłać za tak godną oprawę dla naszego Wojtusia – odezwał się starosta weselny.

– Szczerych ma on w was przyjaciół – wzruszył się ojciec i siedł by ich wszystkich wyściskać.

– Bedom kłopoty – szepnęła Franciszkowa do Zgierskiej.

– Ano, jak dziewczuchy to obaczom, to ze wszyckiem o naszej kawalerce zapomnom – odpowiedziała jej cicho druga z kobiet.

– Jak to na weselisku, niechybnie za łby wodzić się bedom – wzruszyła ramionami trzecia.

– Trza nam co zaradzić, by weseliska nie psowano – zdecydowała pierwsza.

– One, te warszawskie, też skore do bitki. W telewizyi widziołom.

– Ano, naszym scyzorykom nie odstompiom, trza co uradzić – zgodziła się z nią druga. – Malowane to wojsko. Pikno kawalerka.

– A było to pozondne weselisko by kogo nie szkodowano? -pozostała przy swoim trzecia.

– Zachodźcie, zachodźcie Mości Panowie – zapraszał starosta szerokim ruchem ręki, jak przy polonezie wiodąc nią ku domowi.

Dźwięknęły ostrogi. Weszli do środka.

– Mam ja prośbę, chłopcy kochani – zwrócił się do nich pan Antoni. – Jak ruszą na Bodzentyn to zajadą na stary cmentarzyk. Niech i brat mój, świętej pamięci Krzysztof, wojtkowych družbów zobaczy. Zasłużył na to. Krwi w 46-tym nie poskąpił gdy nasz odwrót osłaniał.

– Ma się rozumieć. Chwała bohaterom! – natychmiast odpowiedział Boguś. Do stołu podano omlety na marynowanych kurkach z zapiekany serem.
– Takiego chleba to jeszcze nie jadłem – pochwalił Marek sięgając po pajdę.
– To nasze kobiety w dzieżach miesiły. Specjalnie na takie okazje stary piec rozpalają – wyjaśniał ojciec Wojtka. – Na weselną biesiadę nie tylko ten chleb ale i kołaczki osobiście napiekły.

– Można by spróbować? – niezwłocznie przymówił się Paweł.

– Wytrzymaj – pohamował go Bartek. – Weselne kołaczki rozdać, to przywilej młodej pary. Popróbujesz jutro.

– Pyszny ten omlet. Pieprzny, jak cho..., chorągiew na dachu

– zakończył głupkowato, mitygując się Boguś.

– I mnie cholernie smakuje, od dziecka – z dobrotliwym uśmiechem przykrył jego wpadkę stary doktor i odwrócił uwagę zmieniając temat: – Pan Paweł pytał wczoraj o umyćki. To stara tradycja. Młody jedzie z drużbami by odebrać narzeczoną z rodzinnego domu. Zjemy i pojedą na Bodzentyn, gdzie już Marta z druhnami czeka. Ot i tyle – zakończył by nie rozgadać się zbyt długo.

– No, a potem co? – zapytał Darek, ciekaw na czym dzień zjeździe.

– Potem, co portki nosi zjedzie tu, na pożegnanie kawalera. Zaś narzeczona odprawi wieczór panieński – instruowała matka Wojtka.

– Wszyscy? – odezwał się pytająco Krzysiek.

– U nas, po staropolsku. Kawaler żegna swój stan wieczerzą, w której udział biorą wszyscy mężczyźni. Kawalerka pospołu z żonatymi – wyjaśnił starosta i dodał z nieskrywaną lubością -Oj nie zabraknie słodkich naleweczek.

– A jak kto w czystej wódeczce gustuje? – dopytywał Boguś, nie do końca przekonany o wyższości słodkich alkoholi.

– Tylko słodkie, taki obyczaj. Jedni mówią, że to na pociechę utraty kawalerskiej swobody inni, że to zapowiedź słodczy, jakie na młodego w łóżnicy czekać będą. Jeszcze inni tłumaczą, że to osłoda przed „tobiaszową nocą” – jakoś tak markotnie wypowiedział ostatnie zdanie Wojtek.

– Nie wszystko łąpię – wyznał Krzysiek. – Co to, ta tobaszowa noc?

– Z dawna, dopiero po trzech nocach oczepiny się wyprawia -odpowiedział ojciec Wojtka surowo zaglądając w oczy syna, a widząc że dla gości sprawa nadal nie jest jasna, dodał – Po przenosinach trzy noce czekają młodzi na po-

kładziny. Stąd te wspólne noce, fizycznie niepołączonych jeszcze małżonków za pismem świętym, tobiaszowymi nazwano. Ważna to sprawa, taki post. Jego moc uświęca pierwsze zbliżenie, a w przyszłości chroni ich przed kuszeniem szatana. Pomaga, przysięganą przed ołtarzem, wierność zachować.

– I to się jeszcze praktykuje? – zapytał z niedowierzaniem Krzysiek, kryjąc swoje rozbawienie.

– Nie wiem, jak szeroko ten zbożny obyczaj się dochował – zastanawiał się pan Antoni. – W naszym rodzie, małżeńska przysięga nadal święta sprawa, to i trzem nocom wypada dotrzymać. A jak skromniejsze weselisko, gdzie tylko poprawiny, ledwie jedna tobiaszowa musi starczyć, bo oczepiny z całą resztą już na drugi dzień.

– To mi Pan zadał szpasu – włączył się Boguś nerwowo pocierając policzek. – Chciałoby się tak skromniutko, w jeden dzień to wszystko opędzić... – musiał przerwać bo towarzystwo widząc jego minę buchnęło śmiechem.

– Każdemu pilno, krew nie woda. Dlatego post to najcięższy oręż przed szatanem – wsparł wojtkowego ojca Bartek, łagodnie spoglądając na Krzyska.

– ...z drugiej strony, jak tu bez poprawin? – zastanawiał się dalej Boguś.

– No, to możesz oczepiny już pierwszego dnia zarządzić – podsunął Darek.

– Co ty? Skoro i nasz diakon herbowych popiera to nie ma z tym żartów. Kto by chciał żeby mu się baba puszczała? – zakończył z przekonaniem, a pozostali znów gruchnęli śmiechem.

Posiliwszy się wstali od stołu.

– Pamiętajcie, by was nie poniosło. Coby was nie spotkało, to tylko zabawa – tajemniczo przestrzegła ich mama Wojtka.

Droga na Bodzentyn, miejsce sławne walkami powstania styczniowego, wiodła przez Świętą Katarzynę. Mogli więc w pełni podziwiać wspaniałość okolic, gdzie na falistych polach zieleniły się już ozime zboża. Po prawej stronie ciągnęło się aż po horyzont Łysogórskie pasmo, którego zbocza okrywał bór jodłowy, czasem ustępujący bukom i gołoborzom. Wkrótce droga schowała się w puszczańskich ostępach by przed Kapliczką Żeromskiego wyskoczyć na otwartą przestrzeń. Po minięciu zabudowań Świętej Katarzyny, znów pochło-

nął ich starodrzew; wjechali w lasy Czarnej Wody. Wspinali się teraz na prześmyk w Górach Klonowskich.

– No, może być – odezwał się Darek, nie odlepiając nosa od szyby.

– Nic dziwnego, że przez wieki pcha się do Polski tyle tałatajstwa. Pięknie u nas – potwierdził Boguś.

– Pchają się, bo jeszcze większe skarby pod ziemią. Pamiętacie wykład? – przypomniał Marek.

Zaczęli zjeżdżać ku uprawnym polom. Dodali gazu i kolumna żwawiej skoczyła naprzód.

– Skręć w lewo i przyhamuj. Pokażemy im ruiny zamku i kościół – poprosił Wojtek jadący w pierwszym z samochodów. Wolno przejechali obok ceglanych resztek po biskupim zamczysku, wciąż dumnie sterczących pośród zielonej trawy.

– To tu weźmiecie? – zapytał Paweł przyglądając się gotyckiej architekturze kościoła.

– Aha – przytaknął zamyślony na moment Wojtek. – Jesteśmy na Langiewicza, wal prosto na Opatowską, stamtąd skręcimy w Partyzantów. To tam – wskazał po chwili na niewielki dom. – Parkujemy, zgarniamy Martę i chodu.

Ruszyli ku furtce. Stojący w głębi niewielki ganek, pysznił się strojem zieleni jedlinowych gałęzi i bielą liliowych kielichów.

– Pewny jesteś? Jakby co... to możemy jeszcze wiać – dworował Paweł.

– Słowo się przyrzekło, kobyłka tuż za płotem – sparafrazował porzekadło Marek.

Podchodzili do drzwi, gdy zza obu węgłów, z okrutnym wrzaskiem, wyskoczyła czereda miejsowych chłopaków.

– Na nich... – odbiło się od ścian domostwa zawołanie rozbójniczej zgrai.

Odruchowo odskoczyli kilka kroków wstecz i gotowi na wszystko stężeli w bezruchu.

– „Pamiętajcie, to zabawa...” – przypomniał sobie napomnienie Boguś i rozluźnił zaciśnięte już pięści.

– A wy tu czego? – rzucił ponurym basem, przybrany w czerwoną krakuskę, herszt napastników. – Kraść przyjechali?

– Mówią, że tu najpiękniejsza w waszym mieście, tośmy i zajechali – odezwał się Wojtek.

– Nie dla psa kielbasa, nie dla dziada spyrka – odpowiedział pogardliwie bruchaty wyrostek z okrągłą magierką na głowie.

– Panowie polscy jesteście. Z daleka jedziemy, a co chcemy to zabieramy – hardo oznajmił Rafał, stryjeczny brat Pana Młodego, dziś chorąży, niosący przed drużyną proporzec z herbem Nadkońskich.

– Albo się wykupicie, albo wojna między nami – nie ustępował herszt miejscowych. – Nie dopuścim by nam dziewczkę skradziono.

– Baczcie na słowa, bo my już od postrzyżyn zaprawiani, jak krew toczyć! – ostrzegł Andrzej, pierwszy drużba i groźnie trzasnął szablą, co ochoczo potwierdziła reszta, trzaskając i potrząsając tym, co kto trzymał w reku.

Pochyliły się lance napastników, załopotwały proporce pokryte rodowymi liliami narzeczonej.

– Tedy przegonim was skądeś ta przyszły – wojowniczo zawołał grubas.

– Warto mi za nią krew przelać? – pyta Wojtek drużbów, widząc, że otwarte okna już wypełniły się dziewczęcymi twarzami.

– Bóg świadkiem, warto, my staniemy przy tobie – zawołał Marek, a zauważywszy kątem oka i Danusiową zachętę, nie namyślał się więcej. Podskoczył w przód i ciął lancę herszta z taką zawziętością, że odłupał grot od styliska. Rozgorzała bijatyka, która nie wiedzieć do czego by doprowadziła, gdyby przez ganek nie zaczęły z piskiem wysypywać się druhny. Zamarli w bezruchu woje.

– „*Na nieprzyjaciel ojczyzny krwie oszczędzajcie, a gorące serce nam do stóp podajcie*” – zaśpiewała donośnie czyściutkim altem Julka.

– „*Wianki my tu wiły a nocom płakały, bo na tego chłopca my wyczekiwały*” – zawtórowały jej pozostałe druhny.

– „*Odstąpże bracie panińskiego domu, nie kcem my tu krzywdy, ni tobie ni komu*” – ponownie zabrzmiał głos Julki, któremu z nieskrywanym zachwytem przysłuchiwał się Paweł.

– „*Na zgodę przepijcie, nie patrz krzywo brata, wszyckie was pomieści rodzicieli chata...*” – nie dokończył chór śpiewania, a już wynoszono stoły i poczęstunek.

Groźnie wykrzywione twarze miejscowych złagodniały, a po chwili pojawił się na nich uśmiech.

– „*Kiej cie dziewczka prosi, głupi co odmawia, zabieraj do gaja niechta co kece gada*” – basował herszt.

– „*Niechta co kece gada byle zgodna była, pasie się ogierek, pasie i kobyła*” – odśpiewała mu rubasznie rozbójnicza zgraja. Teraz pierwszy druhna wyjął zza pazuchy dwie butelki wytrawnej nalewki, na dereniu. Na chwilę uniósł je do góry i postawił z impetem na stole. Zasiadli przy półmiskach, przyzywając dymiących białą kielbasa.

– Jak żeście do zgody przyszli, to wam narzeczoną z chaty wywiedziem, ino zaniemogła nieco, tośmy niebożynkę na drogę ogaciły – zapowiedziała Baśka.

Rzeczywiście, ledwie skończyła mówić, a już dwie druhny wyprowadziły Pannę Młodą w pięknym, weselnym stroju z pledem na głowie.

– „*Ino małe kstynke gozołki spróbuje, bo mój kochaneczek w wesółych lubuje*” – zaśpiewała mocno ochrypłym głosem.

– „*Znam ci ja te baby co w workach chowajom, zajze ja do środka co mi ta sprzedajom*” – zaśpiewał Wojtek i gwałtownym ruchem zdarł pled z narzeczonej.

Poderwały się dziewczki z chichotem. Chwyciły starą babę pod pachy i czmychnęły do sieni.

– Hańba to i na nas, że tak podle oszukują tych, co my z nimi do jadła siadli – oznajmił z oburzeniem herszt i dodał – Razem tę chałupę dobędziem.

Powstali by szturmem wziąć pannę młodą, a tu już z okien, na ostrzeżenie chlusta z cebrzyków woda.

– „*Nie damy nie damy bo wianuszek miły, będziemy my u matki słodki czas pędziły*” – rozbiegło się po podwórku dziewczynskie śpiewanie.

– „*Nie sroźcie się siostry bo to jest mój luby, wyjdę ci ja za drzwi dam mu wieczne śluby*” – zaśpiewała tęskno Marta.

Po chwili stanęły wszystkie na zewnątrz, a Wojtek nie mitrząc czasu wyrwał w przód by ją pochwycić. Widać jeszcze nie całkiem pogodziła się narzeczoną z opuszczeniem rodzinnego domu, bo osłaniana przez družki, z piskiem umknęła za drzwi.

– Siadaj. Przepijemy na taką rekuzę – odezwał się Andrzej – i was tu proszę, zjemy co razem przed drogą – zachęcał pozostałych.

Jedząc i pijąc rozgadali się tak, że wkrótce zapomnieli o zaznanym despekcie. Tymczasem pracowite panny, co i rusz litościwie dokładały nowych smakolyków, a za każdym razem, jedna zasłaniała głowę. Zdarzało się, że i wybranka, ciekawa narzeczonego głęboko zaciągała na twarz chustę i podchodziła wraz z innymi. Nie mogło to zmylić rozkochanego serca. Podrywał się kawaler a z nim druźbowie, by wreszcie ją schwycić. Daremny trud. Zręcznie odgradzana druhnami zawsze na czas zdołała uskoczyć i wymknąć się choćby najsprytniejszej obławie. Wśród ogólnej wesołości zbliżał się wieczór. Jeszcze raz rzucili się w pogoń i byłaby i tym razem umknęła im Panna Młoda gdyby nie próg. Gubiąc na nim trzewik musiała na chwilę przykleknąć. Pochwycił ją mocno. W górę uniósł i prawie krzycząc zawołał:

– Zechcesz że ty mnie wreszcie?

– Skoro na mój wianuszek i ojcowski próg nastaje, tedy bierz co twoje – westchnęła, ale bez smutku w głosie, pozostawiając innym rozstrzygnięcie: czy z wyrzutem, czy z ulgą było to powiedziane?

Na te słowa otoczyły ich ciasnym kołem druhnny. Chwyciły się za ręce, odwróciły ku kawalerom i zaczęły recytację:

– *Gdy dziewczeczka to ją czesz, a gdy większa to jej strzeż, jak dorośnie zapłać komu by ją rychło zabrał z domu.*

Zamilkły na chwilę, podzieliły się na dwie grupy, z których jedna zaczęła rytmicznie przyklaskiwać, a druga podrygując złapała się pod boki. Popłynęła rzewna pieśń, którą zwykło się rozpoczynać Panieński Wieczór:

– *„A wierniem ja Panu Bogu służyła, kiedym ja te jabłoneczkę sadziła...”*

Cóż było począć? Z wyraźnym ociąganiem postawił Martę na ziemi. Jeszcze raz przytulił i dał znak Andrzejowi. Nadszedł czas pożegnania i tradycyjnego podarunku.

– No, a co mam z tym zrobić? – szepnął Darek, któremu wciśnięto do ręki kilka ręczników.

– Pomożesz obdarować druhnny – cicho odpowiedział Andrzej.

– Ręczniki? Trochę głupio. No tego, nie nazbyt to dwuznaczne?

– próbował zaprotestować.

– Nie wydziwiał. Wal śmiało – syknął Andrzej kuksańcem wypychając go do przodu, a sam skierował się ku pierwszej druhnie.

Po kwadransie byli już na ulicy. Żegnały ich wirujące w powietrzu szmaragdowe płachty zdobnych ręczników, na których z wielką starannością wyhaftowano oba herby. Brykały więc nad głowami druhen konie Pana Młodego, a w ślad za nimi żwawo płynęły lilie jego wybranki.

– A gdzie Panna Młoda? Nie porwali? – pytał już w drzwiach weselny starosta.

– Ręczniki rozdane – oznajmił tryumfalnie Wojtek.

– To do świetlicy, bo nie wiedzą tam, czy smucić na twojego arbuza, czy gotować do biesiady? – odpowiedział stary doktor ciągnąc ich za sobą.

Najwyraźniej, czekające towarzystwo wołało przyjąć, że nie spotka go odmowa i przy suto zastawionym stole próbowano już słodkich gorzałek i nalewek. Każdy wedle upodobania. Co się dziwić, warto to wyczekiwać w niepewności gdy w misach bigos dymi? Weszli więc pomiędzy dobrze już rozbawionych biesiadników.

– Młody, a jakiej staruchy nie zapakowali ci do bagażnika?

– uszczypliwie podpytywał brat matki, wuj Jan.

– Krew u niego Nadkońskich, porywca. Mógł w gorączce łapać co pierwsze dali i chodu do boru – wsparł go w żarcikach drugi z braci matki, wuj Witold. – Siadaj i mów po prawdzie. Z czym wracasz?

– Dużo tam znacznych gąsek biegało, ale na mnie czekała pierwsza ze wszystkich – odpowiedział nie bez przechwałki.

– Powiadasz najpierwsza gąska. Znaczy to, że najlepiej wykar-miona – dedukował z rechem Jan. – Oj nieboraku, taka to potrafi zadać bobu. Lepiej tobie pomyśleć o tobiaszowym miesiącu! Nabierzesz w tym czasie sił na wiejskim powietrzu. Jakoś tak zmizerniałeś w tej Warszawie

– Nie tak wuju. Jak umykała to widziałem; nóżki u niej, jak u sarenki – bronił swego honoru.

– Takie włochate? – kpił sobie Jan udając zdziwienie. – Pijmy Panowie Bracia, – zawołał wstając i obwieścił wszystkim dokoła – jedno już wiemy, nie będą się im łyse brzdące rodzić!

– Mówią, że nieważne czy łyse czy kędzierzawe, byle do ojca podobne były – zaśmiał się Wojtek.

– I to nieważne. Patrz po ścianach, – wesoło a i obłudnie, niby to pocieszał go starosta – ileż tam portretów wisi. Zrazu baby do jakiego przypasują.

– No to pijmy i za łyse i za włochate, byle dużo ich było – wzniósł toast ojciec Pana Młodego.

Tymczasem w Bodzentynie zabrano się za ubieranie weselnej różgi, która jeszcze w pogańskich czasach była najważniejszym symbolem mających się odbyć godów. Starannie przybierano różnokolorowymi wstążeczkami gałęzie jałowca. Doczepiano orzechy i jabłuszka.

– Nie żal ci? – podpytywała Baśka.

– Coś się traci, coś się zyska – wyręczyła Magdę w odpowiedzi Danka.

– Mnie nie śpieszno – włączyła się Julka. – Dobrze mi tak, jak jest.

– Zobaczmy, co powiesz, jak znajdziesz tego jedyne – uśmiechnęła się Marta.

– Skąd to wiadomo? – zacięła się Danka. – Wielu fajnych chłopaków po świecie chodzi.

– To prawda. Wielu jest fajnych, ale jak się wreszcie trafi ten od miłowania to natychmiast zapomnisz o wszystkich, w których mogłabyś się zakochać – odpowiedziała mama Marty.

– Nie rozumiem – przyznała Danka.

– Bo miłość to nie zakochanie. Nie mówiła ci o tym mama? – odezwała się Baśka.

– Jak to? Miłość jest wtedy gdy zakochasz się z wzajemnością – zdziwiła się Danka.

– Moje dziecko, zakochanie to tylko uczucie. Szybko mija, – zaczęła wyjaśniać pani Zofia, matka Marty – a miłość to najgłębszy związek między dwojgiem ludzi, który idzie i poza grób. Zakochanie to poryw serca. Szaleństwo, w którym świat przestaje na chwilę istnieć i staje się nim jakiś chłopak. Później wszystko wraca do normy. Natomiast miłość jest wieczna. To najgłębsza przyjaźń i bezgraniczne oddanie. Zakochasz się bez wzajemności, przejdzie szybciej niż myślisz. Zdradzi kto miłość, to serce w kawałki pęknie.

– Nie do końca rozumiem.

– Zakochanie może prowadzić do miłości, ale nie musi – cierpliwie tłumaczyła jej dalej pani Zofia. – Miłość może przyjść nawet bez zakochania.

– Teraz to już całkiem się w tym nie łapię – wyznała bezradnie Danka.

– Ja ci to objaśnię – zaoferowała się Julka. – To tak, jak w samochodzie. Zakochanie to rozrusznik, który uruchamia silnik. Gdy akumulator naładowany to motor zaskoczy, czyli rusza miłość. Jak nie, to silnik postęka i ze wszystkiego nieni, to znaczy rozwód.

– Co jest tym akumulatorem? – dociekała dalej, wyraźnie zaciekawiona.

– Akumulator to twoja osobowość – odezwała się Krystyna. – Ładujesz go w dzieciństwie. Patrzysz na rodziców i uczysz się szacunku, przyjaźni, wierności, życzliwości i tysiąca innych. Gdy tego nie widzisz, lepiej zostań starą panną. Unikniesz rozczarowań. Bez tego nie będziesz umiała zbudować miłości.

– Czyli zakochanie przychodzi, a miłość się buduje? – sprawdzała Danka czy dobrze rozumie, o co w tym wszystkim chodzi.

– Oczywiście. Bywa i latami. Tak po prawdzie, to do końca życia uczymy się, jak miłować. Można by powiedzieć, że dostajemy życie właśnie po to aby nauczyć się miłości. Z tego będziemy zdawać egzamin gdy nadejdzie nasz czas – dokończyła poważnie pani Zofia.

Dalszą rozmowę przerwało wniesienie przez Martę ruty. Cicho i smętnie zaśpiewały druhnny – *„Rozsypała Kasieńka drobną rutkę po stole...”*. Zaczęto więc panieńskie wience.

– No, na družbów pora. Pewnie wieniec czeka – zarządził starosta. – My tu jeszcze zabawimy z Panem Młodym, bo wiele mamy mu do tłumaczenia. Wykupią Panowie, to wracajcie.

– A jakby przyszło wam polskiego z wianuszkami tańczyć, to nie śpieszcie się. Znam ja piwniczkę tego domostwa, wytrzyma i długie Wojtkowi tłumaczenie – z zapalem zapewnił ich pan Witold.

Zachęceni wizją kontynuowania zabawy w panieńskim towarzystwie, ruszyli ochoczo. Drogę pokonali w kwadrans.

– Jada, jada – pisała Baśka i zaczęła zgarniać ze stołu resztki rucianych gałązek. Starannie ułożyła strojny wieniec na środku, a na brzegi rozsunała te mniej zdobne, druhnen. Weszła do pokoju družyna. Stanęli przed stołem,

u szczytu którego czekała ich Marta. Po bokach rozstawili się rodzice z druhnami.

– Dar niesiemy. Na wykup wianuszka, skoroś go uchować potrafiła – oznajmił poważnym tonem Andrzej.

– A co niesiecie za ojca i matki starania? – zapytała pierwsza druhna.

– Nagrodę jej czci panińskiej. Nie żałował Pan Młody ni srebra, ni pięknych kamieni. Spójrzcie – zachwalał wyciągając przed siebie koronę. Powoli obrócił ją wkoło. Ujrzeni lilię wyszytą drobnymi perłami na białym atłasie czepca. Ten, herbowy znak panny młodej otoczony był wianuszkiem błękitnych azurów.

Na zewnątrz czepca, ze srebrnej obręczy wyrastały cztery, także srebrne liście winogron.

Pochwyciła Marta swój wianuszek i po stole ku rodzicom tocząc woła:

– Trzymaj ojczyńku sokole, bo mnie za mąż biorą – ale ani ojciec, ani matka, ani żadna z druhen zatrzymać go nie zechciała.

Złapał dopiero wieniec pierwszy družba i na koronę zamienił.

– Skoro mnie już w domu zatrzymać nie chcecie, to choć pobłogosławcie kochanymi rękami – odezwała się klękając panna młoda.

Ledwie rodzice na jej czole znak krzyża świętego uczynili, a już z głośników popłynęły dostojne takty „Pożegnania z ojczyzną”.

– Do wieńcowego – oznajmił ojciec wyciągając rękę, na której Marta swoją dłoń położyła.

Za nimi, pierwszy družba z panią Zofią i kolejne pary korowodem ruszyły. Dumnie, powłóczyłym krokiem, choć ciasno było. Jeszcze echo „polskiego” w kątach pobrzmiwało, a już stół słodkościami napęłniać się zaczął. Paweł, który tylko czekał okazji, przysiadł obok Julki i zagadnął:

– Pięknie tańczysz... pięknie, moje nogi sztywniejsze. Spojrzała na niego z uśmiechem, przełknęła kęs i odezwała się:

– W Warszawie odbębniacie studniówkę i na tym koniec. Krokiem „chodzonego” tańczycie, bo tak łatwiej. Prawdziwy polonez wymaga przedtaktu. Wszystko w nim proste. Jeden krok, dwa trzymania, ukłon, młynek, jeszcze wachlarz i po wszystkim. Jak to pojmiesz, dalej wystarczy czasem zerknąć na pierwszą parę. Hej, uwaga – krzyknęła wstając. – Zrobimy powtórkę przed

jutrzejszym balowaniem. Chłopaki, ustawiać się w rzędzie.

Stała przed nimi i rozpoczęła dyrygowanie.

– Najpierw rytm, „i” – klasnęła w dłonie – „raz, dwa trzy” – przeliczyła równomiernie. – Powtarzamy, „i, raz, dwa, trzy”... Dobrze, teraz krok. Na „i” zgięcie w lewym kolanie i jednocześnie wysuwamy po podłodze prawą stopę. „I, i, jednocześnie!, i...” – przecwiczyla parokrotnie. – Może być. Na „raz”, przenosicie płynnie ciężar na prawą nogę i robicie nią posuwiste stąpienie, takie trochę na łyżwie. Spróbujcie płynnie to połączyć, „i, raz, i raz...”. Na „dwa”, zdecydowany krok na całą stopę, z palców – zaznaczyła po czym zademonstrowała.

– Powtarzamy, „dwa, dwa...” Super, na „trzy”, prawą taki sam, jak na dwa. Kolejny takt oczywiście lewa posuwistym. Teraz wszystkie nutki razem, „i, raz, dwa, trzy, i...”. Mega z was faceci. Przejdźmy do trzymania. Paweł podejdź, proszę. Wyciągnij prawa rękę w przód, lekko zegnij w łokciu. Bardzo dobrze – pochwaliła kładąc lewą dłoń na jego dłoni. – Bardziej ozdobne trzymanie wygląda tak, Paweł wyciągnij lewą rękę w przód – poleciła a sama wysunęła się pół kroku przed niego i położyła swoją lewą dłoń na jego. – Paweł unieś w bok prawą rękę osłaniając moje plecy. Zapamiętacie?

– Ma się rozumieć, zapamiętam – oświadczył pewnym głosem Boguś.

– Teraz młynek. Stajecie bokiem do siebie, twarzami w strony przeciwne, wygląda to tak – zademonstrowała na swoim partnerze. – Chłopaki unieście prawe ręce, w tańcu dziewczyny położą na nie swoje prawe dłonie. Partnerzy mają twarze zwrócone ku sobie. Teraz, krokiem poloneza kreślicie koło wokółłączonych dłoni. Jasne?

– Jasne – odchrząknęli, ale z umiarkowanym przekonaniem.

– Dziewczyny, podejdźcie do nich, niech się sprawdzą – przyjrzała się kolejno wszystkim parom i rzuciła – Może być.

– A wachlarz i ukłon? – upomniął się Paweł.

– Najpierw ukłon. Może on trwać jeden, albo dwa takty. Spróbujmy tak: na „raz” lewą krok w bok, na „dwa” dostawiamy prawą z jednoczesnym skłonem. Na „trzy”, wyprost. „I, raz, dwa, trzy...”. Na koniec wachlarz. Robimy go na cztery takty. Jedyne czego od was oczekujemy to cierpliwie stać w miejscu, reszta należy do nas – zażartowała Julka. – A dokładniej, to przez dwa takty

przeprowadzacie nas po łuku, ze swojej prawej na lewą stronę. Na koniec drugiego taktu, robicie przechwyt. To znaczy, opuszczacie prawą rękę, a wyciągacie lewą. My na niej położymy naszą prawą dłoń i zrobimy obrót w lewo. Trzeci i czwarty takt to powrót do pozycji wyjściowej. Przeprowadzacie nas łukiem w prawo, wyciągacie prawą rękę i to wszystko. Zrozumiano?

– No, tak. Tak jakby – oznajmił markotnie Darek.

– To spójrzcie, jakie to proste – zachęciła wykonując figurę z Pawłem. – Teraz wy. „I, raz dwa, trzy i, raz, dwa...” Włączono muzykę. Z każdą chwilą ich ruchy nabierały pewności siebie. Coraz bardziej płynnie jeden krok przechodził w drugi. Jeszcze nieco przejęci, ale wyraźnie zadowoleni odprowadzili swoje partnerki do stołu.

– Pamiętajcie. Cały urok poloneza to miękka posuwistość pierwszego kroku i zdecydowane stąpnienia dwóch następnych. Takie połączenie delikatności z siłą, czyli to, co lubimy w was najbardziej.

– Jesteś..., jesteś wspaniała – zawołał Paweł po czym, bez namysłu ucałował ją w policzek.

– Najpierw dokończmy jednego wesela – roześmiał się Marek.

– Dobra..., dobra, dobra. Pilnuj swojej Danki – odciął się wyraźnie poruszony i aby przykryć zmieszanie, nadmiernie głośno spytał – A jak to jest z mazurem?

– Oho, to korona naszych tańców narodowych – odezwał się Tomek. – Tylko dla orłów. W XIX wieku podbił całą Europę. Do dziś bywa tam tańczony, choć w uproszczonej formie.

– Zgoda, najtrudniejszy – potwierdził Andrzej.

– I tak i nie – włączyła się Agnieszka. – Na pierwszy rzut mocno skomplikowany, ale gdy poczujesz jego rytm i poznasz kilka układów tanecznych, to parkiet należy do ciebie.

– Nie ma nic bardziej męskiego niż zatańczyć mazura – wtrąciła Baśka. – To galop przytupów i podskoków. My jedynie uzupełniamy wasze harce. Temperament, elegancja i fantazja. Jednym słowem ułański popis.

– Widziałem to w wykonaniu „Mazowsza”, chyba do Moniuszki. Dech za-

piera. Szkoda gadać. Trzeba by mieć niesamowite utancznienie by się na to porywać – zauważył Krzysiek z wyraźną rezygnacją w głosie.

– Bzdura – stanowczo zaprotestował Paweł. – Tamto, to popisy baletu, a tańiec jest dla wszystkich. Pojedziecie z wieńcami, a ja poproszę Julę o lekcję i jutro..., jutro sami zobaczycie -dodał z głębokim przekonaniem.

– Hej, hej. Nie bądź taki cwany, bo ci ktoś na plecy wskoczy – zaśmiał się Boguś. – Odpocznijmy chwilkę i wszyscy się doszkolimy, skoro tu takie nauczycielki.

Dziewczyny spojrzały po sobie porozumiewawczo i zachichotały.

– No to nie będzie jutro nudy na parkiecie. Widać i na Mazowszu ucho-
wało się trochę mężczyzn – skwitowała Baśka kładąc mu na talerzyku porcję sernika z brzoskwiniami.

– Nie martw się Krzysiek – pocieszała Julka. – Pierwsza zasada mazura, to brak sztywnych zasad. Od prawdziwego tancerza wręcz wymaga się impro-
wizacji. Ma zmieniać co podpatrzył u innych i wymyślać swoje. Starczy byś umiał naśladować konia – musiała przerwać, bo rozbawieni drużbowie zaczęli zbiorowym rzeniem wyrażać swoją aprobatę.

– Tak, konia a nie wołu – ciągnęła niezrażona. – Jak opisał to Czerniawski, mazurowy przytup to stukanie kopytem niecierpliwego rumaka. Hołubiec, to spinanie go ostrogami, a żywiołowe kroki to mieszanina cwału, kłusa i stępa.

– To rozumiem, dobrze radzę sobie w siodle, ale z partnerką w mazurze...
– pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Krzysiaczku, my jesteśmy w tym tańcu tylko dekoracją. Moje zmartwie-
nie by za tobą nadążyć – przypomniała uspokajająco Agnieszka.

– No to Panowie rżędem – zakomenderowała Julka. – Nie ociągając się, bo nie zdążycie sił nabrać przed jutrzejszym sprawdzianem. Najpierw nauka bie-
gania mazurem, to podstawa. Patrzcie na moje nogi...

– Chętnie i do końca życia – wyrwał się Paweł.

– Nie przeszkadzaj gamoniowi – strofował go Darek. – My tu ciężko pracuje-
my, no a ty, o pierdołach.

– Właśnie – naigrawał się z Darka Boguś. – Przecież to wesele.

– Na „raz”, krok prawą nogą w przód – przerwała im przekomarzanki Jul-
ka. – O tak, z lekkim naskokiem. Na „dwa”, przechodźcie do przodu lewą.

O tak, krok wydłużony. Na „trzy”, krok prawą w przód. Pamiętajcie, podskok nie w górę lecz płasko do przodu. Najpierw trochę wolniej, „raz, dwa, trzy, raz...”. Teraz szybko, „raz, dwa, trzy...”. Jak na razie, to ujdzie – oceniła przyglądając się ich bieganinie. – Teraz hołubczyk. Wystarczy lekki wyskok i trzaskacie obcasami w powietrzu. Zdolniejsi mogą przed lądowaniem wyrzucić nogi w bok, najlepiej niesymetrycznie. No to w górę, „raz, dwa, trzy”, w górę „raz, dwa, trzy...”. Nieźle. Czas na posuwisty.

– A będzie zwrotny? – próbował błysnąć dowcipem Tomek.

– Julka mówiła, że mamy prawo do improwizacji. Ty zrób odwrotny, a ja kopnę cię w tyłek, takim ekstra hołubczykiem – osadził go Andrzej, co reszta nagrodziła śmiechem.

– Już? No to na „i” lekki wyskok z wyrzuceniem prawej nogi w przód. O tak, trochę do przodu. Na „raz”, przesuwacie ją palcami do przodu. Na „dwa”, unosicie tylną. Na „trzy”, ciało płasko do przodu na prawej nodze, a lewa opiera się o podłogę. „I, raz, dwa, trzy, i...” – podała tempo klaszcząc w dłonie. – Dziewczyny idziemy spać, a oni niech się pogimnastykują. Na jutro będzie, jak w sam raz.

– Dobry pomysł, ale pokażmy im jeszcze błyskawiczkę i na kolano – zaproponowała Baśka.

– Racja, na kolano. W tej figurze prezentują się najlepiej – poparła ją ze śmiechem Danką.

– W porządku. Paweł! – zawołała Julka kiwając ku sobie paluszkami. – Z naskoku przyklęknieś tak po rycersku, na jedno kolano. Podaś mi rękę do góry, a ja krokiem podstawowym obiegnę cię dokoła. Próbuje, „raz, dwa, trzy”. Teraz wszyscy w parach, „raz dwa, trzy, raz...”. Uf, rzeczywiście, miałaś rację. Klękanie idzie im najlepiej. Urodzone wojaki.

– Pozwolisz? Pokażę błyskawiczkę z Markiem – zaoferowała Danką.

– Dobra. Panowie, błyskawiczka to para wirująca wokół osi. Taki szybszy motyl z poloneza. Stajecie bokiem do siebie, w przeciwnie strony. Ujmujecie naszą, lewą dłoń swoją prawą i przyciągacie na wysokość pępka. Lewa ręka za naszymi plecami. Danką i Marek, demonstracja.

Po chwili wirowały już wszystkie pary.

– Panowie. Pamiętajcie. Kłus, galop, hołubiec, przytup..., a zapomniałam. Oczywiście przytup w całym takcie, to znaczy trzykrotny. Zapomnieć o balecie. Lewa ręka zawadiacko skosem do góry. Czego nie potrafisz, nadganiać fantazją. Reszta to nasze zmartwienie. Przy korowodach i kółkach patrzeć na pierwszą parę. Jak się spóźnisz, bez paniki. Łapcie następny takt. Można także wirować trzymając się za ręce przodem do siebie. To dobre, jak się całkiem pogubicie. Takie solo zanim dołączycie do innych. Uwaga, to co powiem na koniec to nie żarty. Mazur, to pełnokrwisty ogier wypuszczony na łąkę bez wędzidła. Szalejemy, co by się nie działo.

Odpowiedziało jej chóralne rzenie.

Niedzielny poranek nappełnił oba domy odświętną krzątanicą. Właściwie prawie wszystkie przygotowania już pokończono, ale nie dające spokoju podniecenie, co i rusz popychało kogoś by jeszcze raz coś tam sprawdzić. To ogólne podniecenie stawało się tym większym im liczniej przybywało krewnych i bliższych znajomi.

Okolo wpół do dziewiątej, ojciec Panny Młodej otworzył bramę i na podwórkę zajechał czterokonny powóz. Natychmiast wyskoczyło z domu kilka druhen. Niosły kolorowe wstążki, naręcza kwiatów i iglaste gałązki. Jedne, nawet na chwilę nie przerywając pracy, zieleniły jodłą brzegi spacerowego lando. Inne, uwiązawszy kolejną wstęgę, cofały się o kilka kroków i ze starannym namysłem przymierzały wzrokiem gdzieżby tu wetknąć kolejny bukiet. Zbliżał się czas Rozplecin.

– Hej Panowie, wychodzić! – zawołała Baśka i bez ceregieli otworzyła drzwi na podwórze.

Do pokoju weszła Marta, za cały strój mając krótkie giezło. Usiadła na krześle z wyrazem twarzy, jaki najpewniej dostępny jest tylko pannie młodej, gdy dom rodzinny ma opuścić. Wyrazem, w którym widać mieszaninę powagi, namysłu i dumy. Dostroili druheny tonacje swych głosów do jej myśli i zaśpiewały:

– „*Panno czas już rozpuścić warkocze rute, czas oblec szaty takiej sprawie przyzwoite...*”.

Podeszła matka, delikatnie warkocz córki ujęła. Jeszcze chwilę popatrzyła,

jakby wszystkie jej dziewczęce lata wspominając i serdecznymi ruchami zaczęła go rozplatać. Z wolna kapały łzy wzruszenia, a z każdą uronioną słożą znikał splot następny. Gdy długi włos swobodnie ramiona już otulił, uniosła Julia w palcach tę gęstwą. Na wpół podwinęła, a pani Zofia białą siateczką otaczając zaczęła fryzurę upinać. Przyniosły panny „francuzkę” karmazynową. Najpierw ubrały ją w spódnicę długą do pół łydki, a drapowaną w dwa boczne skrzydła. Potem staniczek, mocno w talii pasowany, zapięły. Wciągnęły wysokie, safianowe trzewiczki, na kolor sukni farbowane i nałożyły kaftan z rękawami do łokcia, który dawniej jupką nazywano. Uleciała za okno pieśń nowa:

– „*Teraz za mąż idę, więcej tu nie przyjdę...*”

– By ci nigdy córuś chleba nie brakło – wyszeptała matka kładąc pszenną kruszynę pod siateczkę na włosach. – By ci córuś i grosza nie brakło – ułożyła przy niej złotą monetę, a westchnąwszy głęboko, sięgnęła po cukrową laleczkę. – Byś córuś najmiłsza słodkie życie miała – wypowiedział trzecie życzenie kładąc laleczkę obok tamtych.

– Dostojnego imć starostę prowadźcie – zawołała Julka. Wszedł stary doktor z wieńcem, wczoraj wykupionym. Nałożył Pannie Młodej na głowę i wyrzekł sakramentalną formułę:

– Błogosławiony dom, co w Bożej bojaźni żyje.

Po czym w czoło ją ucałował, prawem wieku i starosty władzą. Podbiegły panny, różgę weselną mu wręczają, a on cofnął się by przystęp dać ojcu. Ten, koronę ślubną uniósł i na córuchny głowie ją osadza. Ujęły dziarsko panny Martę pod ręce, jeszcze kontusikiem ją okryły i wolnym krokiem przed dom prowadzą. Zabłysnął śnieżny atlas korony w majowym słońcu. Zajaśniała i perłowa na nim lilia. Zamigotały wesoło skierki w błękitnych kamieniach. Wszystko to jednak niczym wobec blasku w wojt-kowych oczach. Przebiegł szmer podziwu po zapatrzonym w Pannę Młodą orszaku.

Kłękają narzeczeni, o błogosławieństwo proszą. Najpierw rodzice Marty nad młodą parą znak krzyża krucyfiksem kreślą. Potem ojciec Wojtka z rąk stryja krzyż rodowy bierze, co z dawna na odrzwiach świetlicy wisi i z żoną młodym błogosławią.

Wstali. Patrzy Marta promiennie na wąż czarny. Patrzy na śliwkowy żupan grubymi guzami spięty. Patrzy na kontusz, co długie, karbowane cholewy

w części przykrywa. Patrzy i na karabelę odświętną. Dłoń na ręce mu kładzie i za siebie nawet nie spojrzawszy, do powozu rusza. A tak zapatrzeni jedno na drugiego, że gdy ją w landzie sadzał, to jeszcze ani słowa nie zamienili. Przyśiadły obok narzeczonej trzy druheny. Inne do następnych zaprzęgów biegną, a Wojtek z drużyną na koń siadają.

Wysunął się naprzód chorąży. Za nim Pan Młody z pierwszym drużbą się ustawia. Parskają pod resztą drużyny niecierpliwie konie, w sznur przy bokach powozów rozciągnięte. Uniósł starosta różgę weselną i znak do wymarszu daje. Zakołysał się koński zad pod chorążym. Trzasnęli z biczów stangreci. Zastukały o bruk kopyta. Ruszyli, a przed chwilą jeszcze, poważni i skupieni, teraz gwarni i roześmiani.

Zbliżali się do bazyliki św. Stanisława. Przejechali między białymi słupami bramy i stanęli przed wyciosanym z piaskowca ostrołukiem wejścia. Pierwszy, otoczony drużyną i krewnymi wszedł do środka Pan Młody. Teraz wysiadła z powozu Panna Młoda i prowadzona przez ojca, idzie z orszakiem druhen. Buchnęło z chóru dziesiątką męskich gardeł. Zaśpiewali im „Pod Twą Obrońcą...”. Wpatrzona w ołtarz ze złożonego drewna, nie widzi nic prócz Wojtka i błękitu na obrazie, w którego centrum sam Pan Jezus na świat z krzyża spogląda. Nie dziwota, bo i mniej przejętym, za każdym razem to wnętrze dech zapiera. Smukłe i wysokie okna rozświetlają tu przestrzeń, puszczając słoneczne promienie by dać jeszcze większego blasku złoceniom figur, dziesiątkom kolumnienek, attyk, żyrandoli i krat. Nad nimi kolebki sklepień z lunetami, przez które niebo zagląda na gotyckie malowidła. Całość harmonijnie łączona szlachetną proporcją, uwodzi oko renesansową elegancją, którą przywołały ręce najznajmniejszych spośród mistrzów. Dość powiedzieć, że ołtarz ku któremu Marta zmierzała, malowano na polecenie Zygmunta Starego i najpierw w wawelskiej katedrze służył. Zaś najślawniejsze spośród tutejszych arcydzieł, tryptyk „Zaśnięcie Matki Bożej” to dzieło zięcia Wita Stwosza. Komu mało, niech przykłęknie przy krytej polichromią XV wiecznej figurce Matki Bożej z Dzieciątkiem lub jakim obrazem z XV, XVI, czy XVII wieku.

Podał ojciec Panu Młodemu rękę córki i przeszedł w głąb prezbiterium by zasiąść w ciemno szmaragdowej ławie barokowej stalli, a księża przy „soborowym ołtarzyku” znak krzyża czyniąc mszę rozpoczęli.

– Miłość! Tak często pada to słowo, że zdać by się mogło iż wszyscy je rozumiemy – rozpoczął kazanie ksiądz Prałat. – Jeżeli tak, to czym bracie i siostrzo różni się twoje miłowanie od kochania? Czy już przemyślałeś to sobie? Czy już wiesz, do czego wezwał cię Bóg, dając życie? A może zdziwisz się gdy powiem, że prawdziwa miłość zaczyna się od umierania. Tak, nie przesłyszałeś się, właśnie od umierania. Bo trzeba, aby najpierw obumarło „ja”, aby serca nasze mogły narodzić się do miłości. By ukazać nam istotę miłosnej relacji jeden do drugiego, święty Paweł w liście do Koryntian, rozdziela ją na składowe podobnie, jak pryzmat rozdziela światło na barwy. Ukazuje nam iż miłość, to cierpliwość, to dobroć, to wspaniałomyślność, to także pokora i szlachetność, to oddanie i wyrozumiałość, to wreszcie uczciwość. Przypatrz się bracie i siostrzo tym barwom miłości. Czy twoje „ja” zezwoli obdarzyć nimi, tak całkowicie i bezapelacyjnie, drugiego. Czy twoje „ja” nie będzie przypadkiem szukać swego? Unosić się gniewem? Pamiętać krzywd? Czy to „ja” nie stanowi źródła twojej pychy i zazdrości? Zaprawdę, najpierw moje „ja” musi obumrzeć, jak te ziarno co je powierzamy roli by plon wydać mogło. Obfity plon miłości! Nie inaczej Marto i Wojciechu, i wasze „ja” muszą obumrzeć pospołu by narodzić się mogło nowe, wasze sakramentalne „MY”. Już za chwilę będziecie przyrzekać sobie przed majestatem samego Boga. Co usłyszymy? Czy będą to słowa „postanawiam kochać cię aż do śmierci”? Nie najmilsii. Oni nie będą mówić o swoim uczuciu, choćby największym z zakochań. Oni, bracia i siostry, zobowiążą się do czegoś po tysiąckroć potężniejszego. Zobowiążą się do Miłości Wzajemnej! Marto i Wojciechu, waszej przysięgi będzie słuchać i niebo całe. Słuchać z przejęciem, bo oto kolejna para człowiecza potwierdzi, że jest stworzona „na obraz i podobieństwo boże”, że chce iść drogą miłości. Tak, właśnie tak, bo miłować to być „na obraz i podobieństwo Boga” gdyż tajemnicą Trójcy Przenajświętszej jest odwieczne Jej trwanie w miłości. Czymże więc jest owa potężna więź, owo „MY”, w którym naśladujemy Boga samego? Jest ona bezwarunkowym oddaniem siebie jeden drugiemu. Podkreślam, bezwarunkowym i na zawsze. Na zawsze, bo śmierć nie ma władzy nad miłością.... Rozpoczęła się liturgia sakramentu. Wysunął rękę Wojtek, ona na niej dłoń delikatnie kładzie. Wstali od klęcznika. Przejęci, z powagą do ołtarza podchodzą.

– ...Chcemy – oświadczyli zgodnie, a zgromadzony Kościół o ściany Hymnem do Ducha Świętego im uderzył: „O Stworzycielu, Duchu przyjdź...”.

Nadeszła najważniejsza chwila tego dnia, zaślubiny. Teraz młodzi o reszcie swego życia mieli ostatecznie zdecydować. Złączyli ręce, kapłan stułą je owinął, a Wojtek topiąc bez reszty wzrok w jej oczach, wolno i stanowczo powiedział:

– Ja Wojciech, biorę ciebie Marto za żonę i ślubuję ci... Ona zaś, łapczywie przytrzymując to jego spojrzenie, prawie szeptem oznajmiła –... miłość, wierność i uczciwość małżeńską, oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci...

Na znak miłości radośnie nałożyli sobie obrączki. Mogli teraz kapłani do eucharystii przystąpić. Przełączył organista manu-brium na głos mieszany i wielochórem zadęły piszczałki. „Panis angelicus” – Chlebie anielski, szły z rur nuta za nutą. Jeszcze uroczyste błogosławieństwo i znów zahuczały stare organy. Przebiegły po rejestrach i cichnąc wypuściły przed siebie skrzypce. Popłynęło „Ave Maryja”, a delikatnie żeglując między zgromadzeniem wszystkie oczy wilgoci. Obróciła Panna Młoda mężem i wolno przeszli do kapliczki z lipową figurką Piękną Madonny. Czekala ci Ona na nich z dawna, od 1430 roku. Uniosła Marta oburącz koronę w górę, jakby jej finezję Najświętszej Matejki prezentując. Po czym ku Wojtkowi ją przysunęła i razem u stóp Najświętszej Dziewicy ją kładą. Teraz, już tylko z wiankiem na głowie w milczeniu przedłożyła Matce z Dzieciątkiem swego serca modlitwę. Rozpromieniła się na te nieme słowa młodzieńcza postać, która przy małżonków boku stojąc, dziwnie przez nikogo nie była zauważoną, a obróciwszy się ku tabernakulum padła na kolana.

Rozkołysały się dzwony. Wyszła Młoda Para z kościoła, już ją ziarnem sypią, już goście do życzeń stają, a twarze roześmiane weselną muzyką, co ją orkiestra z bryczki rozsyła. Pośród tej wesołości odstał Młodych družba i Marka na bok odciągnął.

– Miałem telefon – odezwał się Andrzej. – Wracam do Warszawy. Przejmujesz moje obowiązki.

– Co się dzieje? – zapytał z niepokojem Marek.

– Alarm w jednostce. Dla mnie koniec wesela – oznajmił poważnym tonem.

– Możesz coś więcej?

– Może to tylko sprawdzian systemu, ale diabli wiedzą. Kumple mówią, że to we wszystkich jednostkach liniowych.

– Jakies nowe wieści ze świata? Mogą i po Wojtka sięgnąć? Od dwóch dni nie zaglądałem do sieci – dopytał nerwowo.

– Chińczycy ponowili żądanie zwrotu od Ruskich swoich terytoriów. Na razie nie zmienili stopnia gotowości. Robi się duszno, ale jest jeszcze czym oddychać. Jeżeli idzie burza, to póki co, za horyzontem – odpowiedział nieco uspokajająco i dodał – Muszę się zwijać. Za godzinę mam autobus do Suchedniowa. Dam ci notes. Jakbyś się pogubił w roli, to tam wszystko opisane.

– Poczekaj. Bierz mój samochód. Oszczędzisz trochę czasu. Chociaż wesele rozpocznieś – zaproponował Marek.

– A wy jak wróćcie?

– Nie martw się, jakoś się poupychamy u innych. Tyle luda, będzie z kim się zabrać.

– Dzięki przyjacielu. Chętnie zostanę. Chciałbym przy pierwszym tańcu ich zobaczyć – klepnął po ramieniu Marka i wyciągnął papierosa. – Pięknie tu. Jeszcze na takiej imprezie nie byłem.

– Wszyscy będziemy mieli co wspominać. Da Bóg, to za parę lat z dziećciakami na wakacje zjedziemy i Wojtek pokaże im te konie, co w palenisku czekają.

– Daj Boże – uśmiechnął się Andrzej, ale jakoś tak, bez wielkiego przekonania.

– Wojtek już wie?

– Powiem mu przed odjazdem. Patrz na nich. Szkoda takie szczęście zakłócać.

Ruszył hałaśliwy korowód w stronę Łysicy. Na czele Robert w siodle, z rodowym, Nadkońskich proporcem. Za nim w landzie Młoda Para i pierwsi drużbowie. Następnie proboszcz, dwaj wikariusze i diakon Bartek jadą. Dalej rodzice, orkiestra, najbliżsi krewni i pozostali drużbowie, oraz dla kogo miejsca starczyło. Reszta gości samochodami kolumnę zamknęła. Przy skocznych taktach „krakowiaka” zajechali przed okazały pensjonat, ukryty między jodłami lesistego zbocza. Przeszli Młodzi do parku nad oczko wodne by

zdjęcia porobić, a w domu weselnym przygotowania do dalszych obrzędów czyniono.

Po trzech kwadransach witano ich u progu chlebem i solą. Wzniósł pierwszy toast starosta weselny. Po staropolsku, wszystkie kieliszki tłuczono by nikt już w nich ust nie zamoczył. Nastął czas na uroczyste przemowy podczas których, jak każe stary obyczaj, pannę młodą w opiekę nowej rodziny się oddaje. Pierwszy głos, należny krewnym mężatki objął Józef, brat Marty, który dnia poprzedniego w umyczkach za herszta występował. Starannie rozwinął rulon i rozpoczął wygłaszać mowę długo układaną. Zaczął od Ludwika Węgierskiego, który założycielowi rodu herb nadał, zaopatrując go w swoje, andegaweńskie lilie.

– ...i tak to rycerzem został Szymon, co z ziemi śląskiej się wywodził. Sześć lilii wam młoda żona w dom po ojcu niesie, a każdy z tu przytomnych wiedzieć winien, że u chrześcijan, z najdawniejszych czasów kwiat lilii jest znakiem cnoty. Sześć ich na tarczy mamy, a każda inną cnotę rycerzom wyznacza i każdej wierności po dziś dom nasz dochował. Pierwsza to honor. Druga, to wierność. Trzecia, to miłość. Za nimi postępują równe im w godności: prawda, wiara i miłosierdzie. Wszystkie one są świętą powinnością rycerskiego stanu. Każda fundamentem, na którym szlachetność i potęgę Rzeczypospolitej wznoszono... – i choć ładnie mówił, to z długości niezmiernej tego gadania, niecierpliwość u słuchaczy dała się w końcu poznać. Tym mniej skrywana, że mówca jeszcze dostojnego wieku nie sięgnął. Starosta weselny widząc ten nastrój, w skupieniu myślą starych ksiąg sięga, a concept znalazłszy cierpliwie czeka.

Nareszcie przychodzi pora na przedstawicieli Młodego. Stary doktor dyskretnie znak ręką daje by rodowcy na miejscu zostali, a sam do przodu sunie i w te słowa rzecze:

– Znamy powszechnie godności i wielkie zasługi tak zacnego domu. Przeto z największą wdzięcznością za dar z córki waszej, nisko się kłaniamy. Powagą swoją świadczę iżę pośród przyjaźni i szacunku żywot swój u nas pędzić będzie, bo ze wszystkim sobie na to zasługuje. Co zaś się herbów tyczy, naszego tu nie wywiedziem, bo gotowa dziczyna z nudów stoły porzucić i do puszczy zawracać, co do trwogi niezmiernej, wielu już ze słuchających przywiodło. To tylko powiem, iż wielce herbowy koń Imć Pana Młodego będzie umiał paść się na lilijach, co je tu słusznie chwalono.

Wybuchnęli weselnicy gromkim aplauzem, a ojciec Magdy łzę śmiechu ścierając starostę obejmuje i woła:

– Jeszcze duch sarmacki nie zagasł. Jeszcze będzie z czego ogień niecić. Wiwat Młodzi, wiwat Starosta.

– Wiwat, wiwat... – rozległy się okrzyki i ruszono do biesiadnej sali.

Stanęli przy stołach, które pierwszym wejrzeniem rajska łąką się zdawały, tyle na nich kwiecień wszelkiego. Tuż nad obrusem, jak długie nogi pająka, wąskie girlandy z majonych kopczyków wystają. Wyżej, licznych kolorów bukiety, piętrami niemal świecom w lichtarzach zrównane. Zmylić to jednak wytrawnego wojska nie zdoła. Już w gęstwie roślin cukrowe wieże dostrzegli, co na marcepanowych skałach wzniesione. Już doświadczone oko sarnią pieczeń z dzikowym kotлетem, tuż za prosięciem i gęsią odkrywa. Biegną bystre spojrzenia... i pozycje bigosów zmierzone, a po chwili... i okopy kielbas naznaczone. Jeszcze jedno wejrzenie... i zapamiętane wszelkich ryb siedliska i pieczonych jagniąt zagrody obok których kapłon leży. Na koniec żołnierz doświadczony rynsztunek przegląda... i uśmiech zadowolenia, bo oręż do bitwy gotowy. Na wprost krzesel z blachy grawerowanej podstawne talerze i mali ich z lewej kompani. Zda się, rycerz z giermkim sygnału czkają. Po bokach, wielość sztuców w karnym ordynku piechoty zalega. Głębiej, szkła, co na różnej długości nodze komendy bacznie wyglądają. Cisza zapadła, więc ksiądz Prałat jedzenie błogosławi, a druźbowie wielki kosz nad ziemię unoszą. Podeszli do nich Młodzi, po plecione w warkocz kołaczę sięgają i pierwsze według rangi roznoszą.

– Pyszne – pochwalił Paweł przed Julką, który musiał ukradkiem sporo w wizytówkach namieszać by przy niej usiąść.

– Słynie z nich piec u Nadkońskich. Kroków nie zapomniłeś?

– Jak się dasz zaprosić..., jak się zgodzisz zatańczyć, to licz mi do ucha, bo gdy ci nogi podepczę..., to do Legii Cudzoziemskiej wymykam – oświadczył wesołkowskim tonem.

– Cicho – położyła palec na ustach i dodała przewrotnie. – Usłysz, z paczki cię wyleją i będzie na mnie, a liczyć się nie da, głośno zagrają.

– To będę się starać ile mogę.

– Tak trzymaj, najlepiej do końca życia – odpowiedziała odrywając kawałek pszennego kołacza.

Wniesiono wazy z rosołem i rozstawiono głębokie talerze. Zgłodniały Paweł już sięgał po dolewkę, gdy Julka przytrzymując mu rękę mówi:

– Nie przejadaj się. Zaraz będziesz skakać.

– Jeżeli z tobą, to i na głodniaka – prawie wykrzyknął radośnie uświadamiając sobie, że to skryta deklaracja wspólnej zabawy.

Wstał od stołu weselny starosta. Wyszedł na środek sali i ręką kuliście zagarnia biesiadników wzywając:

– Do okrągłego!

Poderwał się Pan Młody. Karabelę odpina, na oparcie wiesza i krzesło Marty nieco odsuwa. Podał jej dłoń i ku stryjowi prowadzi. Pan Antoni junacko przed nią głową skinął i pierwszą parę tworzą. Wojtek zaś, stanął przy Julce korowód zamykając. Jeżeli kto z obcych próbowałby duszę Polaka opisać, to nie znajdzie lepszej sposobności niż przy „okrągłym” go podpatrywać. Bo tu wszystko co sarmackie, figury taneczne wyrażą. Skupia się w tym tańcu, jak w diamencie szlifowanym: i szlachetna elegancja i humor i zawadiacka postawa. Bo maluje „okrągły”, niby ręką największego mistrza, odwieczny charakter naszego narodu. Ducha tajemnego, co jak burza niepowstrzymana najpierw statecznymi kroplami siąpi, które z każdą chwilą wiatr coraz bardziej rozpędza, aż gromami zacznie sypać i rwać wichurą najtęższe drzewa. Popłynęły tedy naprzód, dostojne takty poloneza. Bębnią wolnym rytmem pierwsze krople, wystukane krokiem o podłogę. Zakołysał się korowód, ruszają do przodu. „Para w lewo para w prawo”, zataczają dwa koła, by kolumnę z czterech par utworzyć. Łączą uniesione ręce i kolano uginając, w przód suną. A jeszcze most, a jeszcze tunel i wachlarze i nie wiedzieć kiedy, Wojtek Magdę w pierwszej parze wiedzie. Przyspieszył rytm, bo burza już blisko. Już nie kapie, a obertasem leje. Rozsypał się wąż, oberkiem po sali przebiegają, a wiatr porywczy, co i raz do hołubców unosi. Nawalnica tuż tuż, bo przytupami po sali niesie. „Od się do się”, wzmacnia się wichura i do przyklęków o parkiet miota.

Nareszcie trzasnął piorun, zagrzmiało ognistym mazurem. Spadły z tancerzy ostatnie wędzidła. Pobiegli szaleńczo, z wyskoku, po obwodzie koła. Trzy razy nogami o ziemię uderzyli i w dwa rzędy stając ku sobie tańczą. Już salę żywioł rozhułany w posiadanie bierze. Biegną więc panny błyskawiczki łukiem to w lewo, to w prawo i w galop przedskokiem pary ruszają, a co chwila rumak

jaki na kolano przyklęka i panna niczym liść trąbą powietrzną gnany, wkoło go obiega. Jeszcze krzyż i zwodzony i hołubców bez liku. Zastukały obcasy w ostatnim taktie i choć milknie bęben, to serca rozbrykane wciąż mazurem biją.

Tuli Wojtek Magdę. Do góry unosi i echem tańca wkoło kręci. Przytuleni wirują, wracających do stołu nie patrzą. Uniosły się kielichy.

– Gorzko, gorzko.... – przyzywa ochotne towarzystwo. Zamachała w powietrzu Młoda nogami. Głowę pochyła, a Młody po jej usta niecierpliwie, z namiętnością sięga.

– Raz, dwa, trzy,... – zaczęto odliczanie.

Po co? Przecież i tak tego nie słyszą. Wciskają się więc coraz mocniej jedno w drugie. Całują, całują..., choć tchu już dawno brakło. Ogniecie. Mazurem!

– Rozmawiałem z ojcem Przełożonym – odezwał się Bartek stając przy samochodzie. – Na wesele raczej nie wrócisz. Najprawdopodobniej będzie zakaz opuszczania garnizonu warszawskiego.

– Tak i ja myślę. Szkoda. Jakbym trochę posiedział, to może jakiej pannie serce i dla mnie żywiej by zabiło – zaśmiał się Andrzej. – Dobrze że pozwolili Wojtkowi wesele dokończyć. Pięknie tu. Jest za co się bić – zauważył jakby uciekając od poprzedniej myśli.

– Żołnierska rzecz, ale my w tej wojnie nie będziemy krwi przelewać.

– Pewny jesteś wojny? – zapytał sięgając po papierosa.

– Modłę się, żeby było inaczej – westchnął Bartek. – Tyle, że ludzie o własnych siłach już nie wyjdą z tego oblędu.

– Surowa ta Boża pedagogika. Strach myśleć. Dziś wojna to zagłada całych narodów.

– Popatrz na to z innej perspektywy. Te narody czwórkami maszerują do piekła. Trzeba to przerwać. Nie po to Bóg stwarza człowieka by się nim otchłani karmiła.

– Masz rację – przyznał ze smutkiem Andrzej. – Masz rację – powtórzył po chwili zamyślenia. – Wojna straszna bo całe zło wyłazi na wierzch. Te wszystkie potworności, które teraz się dzieją, umykają codziennej uwadze. Trzeba by mieć taką, Bożą wagę, na której mierzy się, co gorsze. To znaczy, waży gdzie

więcej śmierci, bólu i nieszczęścia. Jak się taka waga nieprawości na stronę z napisem pokój przechyli, to pewnie Bóg wojnę dopuści.

– Tak. Dokładnie o to chodzi. W wiadomościach nie informują o corocznej śmierci dziesiątek milionów nienarodzonych. Nie pokazują cierpienia dzieci z rozbijanych rodzin. Można by ułożyć długą listę bólu i podłości, a wszystko w tak zwanych czasach pokoju. Mamy wolną wolę i to my rzucamy ciężary na tą wagę, a szalka coraz cięższa.

– To, że wyjeżdżam może znaczyć, iż już się przechyla. Rok, dwa i to wszystko runie.

– Chyba Andrzejku szybciej niż myślisz – powiedział mu diakon z surową powagą. – Z Bogiem. Czas ruszać – dodał wyciągając na pożegnanie rękę.

Tańce, toasty, jedzenie. Przeszedł dzionek, a wraz z nim i wieczór. Kiedy? Nie wiadomo. Biegły godziny nocne i coraz bardziej oczywistym się stawało iż pierwsza batalia wesela kończy się biesiadników przegraną. Już strudzone widelce w dłoniach markotnieją i raz po razie na stół padają, by do boju więcej nie wstać. Jeszcze tylko szkło, honoru broni, a i te roty z ociąganiem w górę ruszają. Gaśnie waleczność i w największych żarłokach. Bo jak tu wojnę prowadzić, gdy na miejsce pogromionych, wciąż nowe półmiski płyną? By klęsce nie świadczyć, na parkiet umyka pospolite ruszenie. Tam szanśce ostatnie; i świtu dotrzymają. Starosta, że wódz doświadczony, każe mięsa wynosić. Ciastami nakazuje stół zastawiać. Z nowym duchem rycerze wrócili. Ten dżga marcepan, tamten obermusa „rejowym zamachem” kroi.

– „Wiwat Młodzi!” – szturmują tokajem kielichy.

– „Wiwat, wiwat...” – idą im w sukurs słodkie nalewki.

Ciemno jeszcze na dworze, choć horyzont jaśniej. Dał znak starosta, świece druhny żonatym niosą. Znak to nieomylny, że „Przenosin” nadchodzi pora.

– Do świeczkowego! – dał stary doktor komendę.

Przypiął Wojtek karabelę, w pierwszą parę Magdę prowadzi. Kto świecę trzyma, ten do korowodu. Polonezem koło kreślą, a krąg zrywając, „para za parą” ku powozom suną. Zapalono pochodnie, trzasnęły baty. Ruszono, stary dwór Młodej Żony czeka. Przy cukrach i ciastach hulać do rana, kawalerka została.

Już bez muzyki, ale krokiem „chodzonego” idą do świetlicy, którą migotli-

wy ogień paleniska rozjaśnia. Podprowadził Wojtek żonę do kominka. Patrzy Marta w płomienie i dłoń do ciepłego kamienia przyciska, a pan Antonii ze ściany miecz dwuręczny bierze. „Czarnym” go tu nazywają, bo nigdy w paradach nie służył. Ponoć, nim Mikołaja pasowano, już nosił go w bój jego dziadowie. Kto wie? Może i Grunwald widział? Stał doktor przed drzwiami, a wszystkie na oścież otwarte. Dwóch Nadkońskich unieść miecz przed siebie, starca wspomogło. Podeszli Młodzi, a za nimi dwa rzędy świec w rękach trzymane. Wszyscy w skupieniu, izby procesją obchodzą. Na koniec do alkierza, który w kwiatach tonie. Podeszła pani Zofia do Marty i zdjęć suknię pomaga. Kładzie się w białym giele na prześcieradle żona. Teraz ojciec guzy na wojtkowym kontuszu rozpina. Kładzie się w bieliźnie i mąż, coś jakby strapiiony. Przykryli ich lekką kołdrą, a pan Antonii ze wzruszeniem, stare żelazo pośród nich układa. Powoli, starannie, sztych za nogi odsuwa. Czynią znak krzyża rodzice i wychodzi towarzystwo. Dalej nie ich sprawa. Skoczyły ręce do przodu. Nad mieczem się splatają. Tańczy w blasku świecy cień niespokojny, z miłością tulących się dłoni. Wyciągnął Wojtek głowę, chwilę serce bój okrutny toczy. Jeszcze się waha, jeszcze krew w skroniach pulsuje. Spojrzał na krucyfiks i powściągliwie w czoło Martę całuje.

– Dobranoc, dobranoc – dwa zgodne westchnienia na powale się łączą.

Poniedziałkowe słońce zaczęło już w dół nieba wędrować, gdy Marek oczy otworzył i przeciągając się podjął zamiar wstawania. Może wina długiej zabawy, może zdrowego powietrza przyczyna, dość iż zamiar nie łatwo w czyn się przerodził.

– Śpicie? – zapytał patrząc w okno.

– Chyba czas się ruszyć – odpowiedział mu Tomek, ale bez przekonania w głosie.

– Ekstra impreza – zauważył Paweł w miejsce „dzień dobry” i przewrócił się ku nim na drugi bok.

– Wiecie co ze śniadaniem? – zainteresował się Krzysiek podpierając się łokciem na poduszce.

– Było, minęło. Już druga – ziewnął Tomek i powoli siadł na brzegu tapczana.

– No to prysznic i w drogę – powiedział Marek zarzucając ręcznik na ramię.

– Tak przy okazji, poświęć trochę więcej czasu Dance – odezwał się Krzysiek, jakby z zakłopotaniem szukając wstępu do dłuższej rozmowy.

– Skarżyła się? Musi zrozumieć, obowiązki pierwszego drużby

– odpowiedział niefrasobliwie Marek i wyszedł z pokoju.

– Zostaw to – półgłosem skarcił go Tomek. – Najlepiej by Bartek z nim pogadał. Po powrocie – dodał pośpiesznie.

– Delikatna sprawa..., delikatna. Zakochany po uszy. Lepiej zostawić to Bartkowi – poparł go Paweł.

– Głupia smarkuła. Takie mogą zmarnować człowieka. Im dalej, tym większe rozczarowanie. Nie można tego tak zostawić – pozostał przy swoim Krzysiek.

Około piątej sala weselna na powrót zapełniła się towarzystwem. Zjedzono obiad i na stół wjechały przekąski. Schaby, półgęski i pasztety konkurowały o względy z galaretą i kielbasami, a wszystko to pośród morza sałatek. Jeden szczupak „po królewsku” nie znalazł godnego siebie rywala. Zaczęły się poprawiny. Tańcem i toastem czas beztroski płynął, a im więcej go zegar wskazówką odmierzył, tym głośniej przy stołach i ruch większy na parkiecie.

– Idę się przewietrzyć – oznajmił Paweł, któremu najwyraźniej w głowie zaszumiało.

– Dobry pomysł – poderwał się Boguś do asysty. – Mocno się do Julki kleisz – zagadnął gdy wyszli na spacerową alejkę.

– Jeszcze takiej nie spotkałem. Brylant najczystszej wody – rozmarzył się przystając pośród drzew.

– Żywe srebro – przytaknął Boguś zapatrzony w gwiazdy, jakich w Warszawie nie zobaczysz. – Coś mi się widzi, że „przyszła kryska i na Matyska”.

– Dobra, dobra. Lisek chytrusek się znalazł. Już ja swoje widzę..., widzę czyjej spódnicy nie puszczasz – zaśmiał się Paweł chwiejąc się nieco na nogach.

– Pan Bóg hojny. Nie jednym brylantem na świat sygnął – odpowiedział mu z lekka filozoficznie, co nie było jego naturą.

– Hej, Warszawa. Na słówko – zawołał ktoś za ich plecami. Odwrócili się w stronę głosu i na tle przeszklonej ściany pensjonatu ujrzeli pięć sylwetek.

– Jak wesele? – zagadnął niby to z głupia frant jeden z nich i wysunął się do przodu.

– Pięknie się tu bawicie. Pięknie, pełną gębą. Szacunek – odpowiedział życzliwie Paweł.

– To dobrze, że zadowolony. Będzie miał co wspominać, gdy rano na autobus siądzie – powiedział tamten robiąc kolejny krok w ich stronę.

– Przybastuj koleżko – groźnie fuknął Boguś natychmiast orientując się w sytuacji.

– Spoko. Nic nas nie goni. Jeszcze się tymi górami nacieszymy

– beztrószko rzucił Paweł.

– Nie łapiesz? – odezwała się druga z postaci. – Rano waliza i spadać. Jasne?

– A ty co tu masz do gadania? – odparował wyzywającym tonem Paweł najwyraźniej nabierając zrozumienia dla intencji tego spotkania.

– Julka to jego dziewczyna. Pojmujesz chojraczku? – warknął trzeci, palcem wskazując na pierwszego.

– Coś ci się we łbie ubzdurało..., całkiem popieprzyło. Nie widziałem by choć raz się nim interesowała – prawdziwie zdziwił się Paweł.

– Nie twój interes złamasie! – krzyknął pierwszy biorąc szeroki zamach.

Pewnie by Pawła sięgnął, którego adrenalina jeszcze nie całkiem otrzeźwiła, gdyby nie Boguś, który w tył go szarpnął.

– Masz co do niego? To najpierw choć do mnie, on teraz odpoczywa – wycedził przyzywając machając dłońmi ku sobie. Widząc to i pozostali groźnie postąpili do przodu.

– Jak nie rozumiecie, to łomot – oznajmił drugi

„Kto bije pierwszy, ten bije dwa razy”. Strzelił Boguś „z łokcia” w szczękę jednego, „a bykiem” zajechał stojącego obok. I byłby w tył odskoczyć zdążył, gdyby mu na plecach Paweł „nie wyrósł”, który bić się co prawda nie potrafił, ale tchórzliwego serca nie miał. Pierwszy cios przyjął Boguś na gardę wzniesioną odruchem do pochylonej głowy. Pięć drugiego, jak obuch, w potylicę go zdzielił. Zmiękł w nogach i na ziemię runął. Cofa się Paweł, a dwaj ku niemu. Pewnie wściekłość za kompanów teraz na nim by się skupiła, gdyby nie gwizd

z dwóch palców i ciężkich kroków dudnienie. Opuścili zaciśnięte kułaki przed Bartka habitem.

– Starczy na dziś – zarządził głosem nie znoszącym sprzeciwu.

– Obmyć gęby i po łód do kuchni. Jutro na zawodach swoich racji dojdziecie. No już, – warknął z irytacją, widząc gotowość do dalszej walki – rozejm pieczętować.

Z ociąganiem wyciągnięto ręce. Długo w uściskach dłonie trwały, bo jeszcze choćby miażdżeniem palców, o przewagę się starano.

Nadeszła chwila, w której znów zamężnym świece rozdano. Ruszyły powozy by Młodych do dworu odstawić. Spojrzał uważnie pan Antoni w oczy Wojciecha, a ten głową nieznacznie skinął. Kładzie więc miecz starosta, jak poprzednio, między dwoma ciałami.

– Dobranoc, dobranoc – i tej nocy ciężkie westchnienia na powale się łączą.

Trzeci dzień wesela, zgodnie z tradycją, na popisy w męstwie i sprawności był przeznaczony. Po mszy na święto Królowej Polski, drugim śniadaniem zaczęto. Jak to po zabawie, pierwsze przespano.

– Pojedli? – dał znać starosta, że pora odejść od stołu. – To na ławkę Panów prosim. Trzeba nam łozy naciąć i pozorniki rozstawić.

– A jakie będą konkursy? – zapytał Krzysiek.

– Nic szczególnego. To czemu każdy mężczyzna sprostać winien – odpowiedział z przewrotnym uśmieszkiem. – Ot, trochę pchnięć i cięć, dla szeregowca podstawa. Potem z łuku, co kto potrafi, pokaże.

– To szabelką robić będziemy? – ucieszył się Marek.

– Szabelką a i lancą – potwierdził doktor. – Żeby zaś nóżek przed tańcami zbytnio nie trudzić, to na koń siadą sobie Panowie.

– O kurde, odjazd – zachwycił się Boguś.

Po godzinie wszystko było już gotowe.

– Pan Witold pokaże złożenie. Kto nie wprawny, niech bacznie spogląda. Nie chcę ja, by koniowi uszy strzyżono. Cięcie z góry, a pchnięcia „w przód w prawo”. Potem lanca i jak przy szabli, klucie „w przód w prawo”. Uwaga! Tniecie dwie łozy potem gomółę, a pchnięciem atak na obręcz. Ja sobie popatrzę i w kajeciku ponotuję – instruował lekko kpiarskim tonem stary doktor. – No Wituś prowadź deresza.

Ujął pan Witold przy pysku wodze i przed starostą na baczność staje. „Na koń” padła komenda, a on tak dziarsko dosiada, że lat jego pod siedemdziesiąt wcale po nim nie znać. „Szable – w dłoń”. Kawalerzysta szabli dobył, pióro w górę unosi i dłoń do uda opuszczając grzbiet głowni na ramieniu opiera.

„Do boju – szable”. Teraz dłoń przez temblak się przesuwają i na lewej pięści opiera, zaś grzbiet głowni na powrót do ramienia przywarty.

„Galopem z góry, tnij”. Na ten rozkaz jeździec oparł silniej prawą nogę w strzemieniu, prosty tułów lekko pochylił i łydkami konia, jak pestkę w przód wystrzelił. Chwila i dopadł krzyżaka, w który łożę wetknęto. Świsnęła szabla i łoża ucięta. Ręka szybkim młynkiem do złożenia powraca i nowy świst drugi pozorownik dosięga. Półdosiadem jeździec galopuje, a szabla nad głową glinianej gomółki czeka. Nie zawiódł mistrz, ani z miejsca drgnęły ciętej gomółki połowy. Kołem, jak na maneżu, pan Witold obrócił i stępa do starosty wraca.

– No, więc. Dobrze patrzyłeś? – zapytał Darek. – Przed cięciem unosisz pięść z rękojęścią do czoła, tak by pióro do góry w tył patrzyło. Nie spuszczaś z oczów pozorownika, to instynkt ci powie, kiedy szablą zamach zrobić. Pamiętaj, unosisz tułów lekko w lewo skracając i tniesz, jak najszybciej, błyskawicą.

– Niezły ten dziadek – odpowiedział mu Boguś z wyraźną nutą zazdrości. – Najpierw ręka do czoła, potem zamach z lekkim obrotem i walę z góry w dół – demonstrował ruchy. – Czy tak?

– No, może być. Pomachaj trochę, zanim twoja kolej przyjdzie – potwierdził Darek.

– Gdzie się on tego nauczył? Po wojnie rodzony, a czadu daje, jak kawalerzysta – nadal nie mógł wyjść z podziwu Boguś.

– No, tak. W klubach przechowano tradycję. Na przykład, naszą grupę trenuje człowiek, który uczył się u wachmistrza ze szkoły w Grudziądzu. Wkrótce to my będziemy uczyć następnych. Patrz uważnie, zaraz pokaże pchnięcie.

– „Galopem w prawo w przód – kłuj” – podał następną komendę doktor.

Ruszył jeździec na pierścieniu ze słomy pleciony. Łokciec w tył odwiódł, prawą pięść obok policzka zatrzymał, a widząc cel pchnął z impetem, energicznie tułów do przodu wychylając. Raz po razie zgarnął trzy wieńce i wśród oklasków powrócił.

– Musisz się ostro starać. Inaczej po takim kozaku Warszawa da plamę – zauważył Boguś klaszcząc zawzięcie. – Ja to tylko przypilnuję, by z siodła nie fiknąć.

– Spoko. Wodze trzymaj przy karku, na krótko. Prawą nogę mocniej w strzemię i klusem. No, będzie dobrze. Patrz, ze trzydziestu chłopów już w kolejce. Będziesz miał czas solidnie się przyjrzeć, co i jak należy. Poczekaj, nasz mistrz lancę chwytą.

Nie spadł Boguś z konia, choć gomółka na ziemię zleciała. Za to dwa kółka na lancy wiezie i przed Baską dumnie defiluje. Bo myliłby się ten, kto by rywalizację weselną jedynie za płochą zabawę poczytał. Taka to już natura, że gdy młodzi w szranki stają, to wzrok bystrzejszy i krew do głowy uderza. Na pozór niewinne harce, z razu w bój zacięty przechodzą. Zwycięzca może być jeden, a względy u niewiast, najśłodsza nagrodą.

– Męska sprawa – zawołał. – Chyba do rekonstrukcyjnych Darka przystąpię. Zdarzy się jeszcze jakie prawdziwe weselisko, to i ja się pokażę.

– Trenuj solidnie. Nie wiadomo kiedy przyjdzie ci pora – odpowiedziała rozbawiona jego zapalem. – Zsiadaj i chodźmy czegoś się napić. Ochłoniesz nieco przed łukiem.

– E tam, to moja specjalność – odpowiedział z wyraźną przechwałką. – Całą podstawówkę z ferajną nad jeziorkiem indiańskie podchody uskuteczniałem. Chłopak z Czerniakowa jestem. My tam penkać w zwyczaju nie mamy.

– Zobaczymy jutro, jaki z ciebie twardziel, gdy na beczce staniesz.

– Na beczce? Co to znaczy? – zapytał wyraźnie zaintrygowany oddając wodze następemu.

– Słyszałam, że piątka naszych szykuje się was wyzwać. Starosta na pięści zabronił, więc obyczajem młodzieńców kijami prac się będziecie. Jak się nie sprawdzisz, to na polowanie o lasce kuśtykać będziesz – zaśmiała się rozbawiona myślą takiego widoku.

– Jeszcze tak nie było – odpowiedział wyniośle, nieco poruszony jej żarciem.

– Wiem, wiem. Widziałam w telewizji waszą akcję – rzuciła pojednawczo i dodała bardziej zalotnie – Tyle, że tu stawka wyższa... Nasi to lubią i o co się bić mają.

– I my im nie będziemy żałować – powiedział czując, że już w nim adrenalina wzbiera.

Przeszli pod kasztany rosnące za dworem, gdzie na rzędem rozstawionych stołach wyłożono zimny bufet.

– Czym się zajmujesz na co dzień? – zapytała nalewając do szklanek cydru.

– Prądem – uśmiechnął się. – Basiu, jestem elektrykiem. Takim od instalacji w nowych domach. A ty?

– Po wakacjach, idę na politechnikę w Kielcach. Będę studiować transport. Nie ciągnęło cię na uczelnię?

– Nie wszyscy muszą być inżynierami – popatrzył na nią uważnie. – Jestem dobry w tym co robię i lubię to.

– Aha – pokryła lekkie zakłopotanie uśmiechem. – To znaczy, że do końca życia będziesz robić to samo.

– Chirurg do emerytury też na okrągło robi to samo, a wykształconych idiotów naprodukowano już dość.

– Nie rozumiem? – odparła niepewnie, bojąc się, że poruszyła drażliwy temat.

– To przyjrzyj się wyborom – odpowiedział z wyraźną zapalczywością. – Połowa ma wszystko w nosie, a w drugiej połowie też nie mało baranów.

– Boguś, ludzie mają prawo do własnych poglądów. Na tym polega demokracja – próbowała przystopować jego irytację.

– Co ty? Poglądy ma ten, kto cokolwiek kuma. Te głupki za telewizorem powtarzają. Jakby ci to powiedzieć? – udał zamyślenie by wyhamować, bo już mu się cisnęły na język przekleństwa. – Żeby mieć pogląd, czyli własne zdanie, trzeba się kapkę napocić – zaczął ostrożnie. – Łapiesz? Czytasz, grzebiez w internecie, chodzisz na spotkania z mądrzejszymi od siebie. Jednym słowem, trzeba ogarnąć rzeczywistość. Poznać co nią rządzi. Te palanty nie mają żadnych poglądów. Zamiast popracować, żrą papkę z tabloidów i skutek oczywisty. Galareta zamiast mózgowicy. Patrz Basia, jak tu pięknie – powiódł ręką po nieodległych wzgórzach. – Ilu kretynów to odpuszcza Za kilka marnych srebrników? Zgodzisz się by ucapiły naszą ziemię jakieś przybłędy?

– No nie. Jestem patriotką – zaprzeczyła gwałtownie i dumnie uniosła głowę. – O jakich przybłędach mówisz?

– Basiu, pół świata wyciąga łapska po skarby, jakie mamy w tej ziemi. Robią z nas głupoli i gonią z własnego kraju. Zrobią wszystko by zwinąć to, co w ciągu kilku lat może zrobić z nas potęgę.

– Sama prawda – potwierdził stojący obok wuj Witold i dołożywszy borówek do pasztetu kontynuował. – Sowieci wielokrotnie zatrzymywali nasze badania geologiczne i nakazywali niszczenie dokumentacji. Nie bez kozery wpadali w najprawdziwszą panikę.

– Czego się bali? – zapytał niosący talerzyk Rafał.

– Tak zwyczajnie, robili po nogawkach, że Amerykanie mogą zweryfikować Jaltę. Według ostrożnych szacunków, Polska ma największe złoża i to praktycznie wszystkiego – włączył się Marek.

– Nie fantazjujesz kolego? – odezwał się stojący nieopodal cioteczny brat Panny Młodej.

– Rzeczywiście Staszku. Trzeba mieć wiele fantazji ale po to, by wyobrazić sobie czym jest piętnaście zer – odpowiedział mu nieco tajemniczo Wojtek, który właśnie podszedł z Martą do bufetu.

– Jakie piętnaście zer? – zaciękała się pani Zofia.

– Trójeczka z okrągłutkimi, piętnastoma zerami i to w dolarach! W złotych byłoby szesnaście zer – dla zwiększenia efektu pan Witold nie od razu przeszedł do wyjaśnień. – Ta liczba kochanieńka, działa na światową finansjerę, jak magia. Nasze surowce to święty gral geologii, po który ścigają się najmożniejsi. Tak moja droga Pani. Trzysta bilionów dolarów. W nomenklaturze amerykańskiej, trzysta trylionów. Taka to minimalna wartość tego, co kryje się w naszej ziemi; i to bez wliczenia zasobów geotermalnych.

– I coś takiego można by przed nami ukryć? – odezwał się z niedowierzaniem Staszek.

– Najwyraźniej przed tobą tak – rzucił ironicznie Boguś i dodał z przekąsem – Żadna tajemnica. Wysiłłbyś się na klika kliknięć myszką i wiedziałbyś gdzie żyjesz.

– Gdzie są te skarby? – zaciękał się Piotrek zwabiony widokiem rosnącej grupki rozmówców.

– W całej Polsce. Dosłownie w całej – zabrał głos Wojtek. – Naturą ropy i gazu jest siedzieć w skałach porowatych, a te ciągną się od Zatoki Perskiej po

Morze Północne. Tak się składa, że to właśnie u nas jest ich kulminacja. Samej ropy mamy piętnaście razy więcej niż Arabia Saudyjska! Jej wartość to te 300 bilionów dolarów.

– Cholera – stęknął Staszek.

– To dopiero wstęp. Nasze zasoby geotermalne, to niewyczerpalne źródło taniej i czystej energii elektrycznej. Chodzi o to, że siedzimy na tak zwanym szczytu czterech bardzo starych płyt. Ten unikat daje nam możliwość zwiększyć produkcję prądu 150 razy. Wyobrażacie sobie? 150 razy! Możemy zasilać całą Europę. Jakby przeliczyć to na paliwo umowne, wyjdzie minimum 70 razy więcej niż cała ropa i gaz pod dnem Morza Północnego – rozwinął wątek Marek.

– Psia mać, a nam wciska się wiatraki – nie wytrzymał Rafał.

– Proszę Państwa – zabrał ponownie głos pan Witold. – Dopiero co przeżyliśmy „afere łupkową”, a nawet nie piśnięto, że Poznań i Rzeszów stoją na potężnych kawernach gazu ziemnego. Wystarczy nawiercić otworki i Gazprom idzie z torbami. Taka to stawka w tej grze. Robi się z nas kpiny budując gazoport. Za te pieniądze można by uniezależnić się od rosyjskich, czy diabli wiedzą czyich tam jeszcze dostaw.

Ponieważ konkursy jeźdźców dobiegły końca, pod kasztanami zaczęła się gromadzić pozostała część weselnych gości.

– Proszę o uwagę – zawołał Marek. – Nasz starosta ogłosi wyniki turnieju dla szabli i lancy. Warszawa „wróci z tarczą” – szepnął na ucho Dance.

Otoczono doktora gęstym kołem. Ten podparty życzliwymi rękami wdrapał się na stół i przemówił:

– W szabli zwycięzcą ogłaszam pana Dariusza Gibałę z Warszawy – zamilkł by przeczekać oklaski. – W lancy, dziś najlepszym był pan Aleksander Skarżyński z Bodzentyna – znów dał miejsce brawom. – Teraz prosimy Panią Młodą o dekorację wieńcami. Po tych słowach pan Jan przyłożył do ust myśliwską trąbkę i odegrał sygnał Wojska Polskiego, a Marta nałożyła zwycięzcom laur z młodych liści dębu.

– Zarządzam pauzę na przekąski. Potem, zawody strzeleckie. Wieczorem, na biesiadę pięknie prosim – obwieścił pan Antoni i siadł wygodnie w cieniu starego drzewa, przez którego młode liście przesączały się słoneczne plamki.

Uniósł nieco głowę w górę by spojrzeć na biały kwiatostan. Popatrzył, zmrużył oczy, jeszcze raz rozwarł je na moment szeroko i powoli zaczął opuszczać siwiutkie skronie.

– Wojtek, biegnij po koc – szepnęła Marta.

– Mówiłeś, że mamy wszystko? – zagadnął Marka Rafał.

– Dwa tygodnie temu wysłuchaliśmy czterogodzinnego wykładu, a i tak było „po łebkach”. Z największych złóż, mamy wanad, molibden, selen i tytan. Także cynk, ołów, srebro i złoto. Oczywiście jest i żelazo. Nie brak surowców chemicznych, takich jak fosforyty, sól potasowa i siarka. Po prostu, cała tablica Mendelejewa. Mówię o złożach rozpoznanych, jako nadających się do wydobycia – zastrzegł Tarecki.

– Tytan i wanad? – odezwał się zaskoczony Alek. – Przecież na tym stoją wszystkie nowoczesne technologie.

– Owszem i to płytko, tuż pod ziemią. W samej anomalii suwalskiej tytanu jest na jakieś 355 miliardów dolarów. Z metalami ziem rzadkich i żelazem to złożo warte jest ponad bilion.

– Metale ziem rzadkich, czym to się je? – zapytał Staszek.

– Bez nich nie ma nic – odpowiedział Alek i reflektując się dodał – Na przykład taki skand, to stopy metali do rakiet. Lantan to klisze rentgenowskie, a europ wyświetlacze ciekłokrystaliczne. Neodym i erb to lasery. Iterb ogniwa słoneczne. Długa lista. Ale afera. Wszystko to pod naszymi nogami!

– Kolejne wielkie pokłady to pasmo od Krakowa do Katowic. Molibden, wolfram i złoto. Jeden molibden to 15 miliardów zielonych – dorzucił Marek odstawiając szklankę i pobiegł pomóc w przygotowaniach na łące.

– A pod Żąbkowicami nikiel, złoto i platyna. Niklu tam, drobiazg, na 4 miliardy papieru – uzupełnił z satysfakcją Boguś.

– Dodajmy do tego węgiel kamienny – wtrącił Wojtek kończąc wraz Marta delikatne opatulanie doktora..

– Tak, tak. Ma się rozumieć, czarny Śląsk – zlekceważył jego uwagę Staszek.

– Śląsk i owszem, ale Lubelszczyzna to jest dopiero to – odpowiedział ze spokojem Pan Młody.

– Rzeczywiście tam też jest jakaś kopalnia.

– Na dobre, to nawet nie liźnięto pokładów. Ledwie pomacano. Węgla tam

na jakieś 5 bilionów dolarów – cierpliwie wyjaśnił Wojtek i chcąc przytrzymać mu nosa dodał – Jedyne problemy techniczne to zanieczyszczenia.

– Siarka przy dzisiejszych normach na ekologię? Niewiele wart taki szmelc – natychmiast zaopiniował Staszek kręcąc nosem.

– Szybko stawiasz diagnozę, ale na chirurgra nie zagrałbyś miejsca.

– Czemu?

– Chciałbyś, żeby ktoś cię kroił zanim zbada?

– No nie – odpowiedział niepewnie rozglądając się wkoło.

– Jako starszy kuzyn radzę, oducz się pochopnych sądów. Przecież powiedziałem, ten węgiel wart 5 bilionów. A ty, szast prast i wyszedł ci szmelc. Te zanieczyszczenia to złoto i pluton z uranem – roześmiał się Wojtek. – Gdy to odkryto pod koniec lat pięćdziesiątych, Sowici spanikowali i nakazali zniszczyć dokumentację.

– A co ze złotem? – zapytała Basia. – To mocno działa na wyobraźnię.

– Na Dolnym Śląsku zlokalizowano dotąd 350 ton – włączy się Tomek odkładając talerz po szczupaku. – W takim Bytomiu Odrzańskim miedzi i złota na 63 miliardy dolarów. Tylko pomyślcie, 350 ton czekające na wydobywanie. Masz Baśka rację. To rzeczywiście działa na wyobraźnię. Kadafiego rozjechali dla mniejszej sumki.

– Ale jaja. Mamy własną Alaskę! – zachwycił się Rafał. – Do tego wszystkiego, co wymieniacie, dodać gaz łupkowy i świat stoi na baczność.

– Łupki łupkami, a tradycyjnego gazu mamy na 510 miliardów dolców. A co do świata na baczność, to nie rozpędzaj się – odezwał się Krzysiek tonem przestrogi i zaczął wyjaśniać. – W prawdziwym życiu nie jest tak cool, jak myślisz. Są tacy, co bez mrugnięcia okiem zafundowali by nam jazdę, jak kiedyś czerwonoskórzy w Ameryce. Już wygoniono 3 miliony. Następni stoją w kolejce – dodał z nieskrywanym rozdrażnieniem.

– Wyjeżdżają bo tu marne życie. Zero perspektyw – wtrącił Staszek wzruszając ramionami.

– Jaki pierwszorzędny materiał na starego kawalera. Żadna kobita z nim nie zdzierzy – odezwał się pan Witold odwracając ku niemu głowę i prawie wytykając mu widelec w piersi, zaczął go karcić – Dopiero co, Wojtek zachęcał

Stasia do większej roztropności. Popracuj, by rozum umiał wyprzedzić język. Mówimy o setkach bilionów dolarów, po które schylić się starczy. A Staś wali, nie przymierzając, jak jakiś chory w kubeł, o braku perspektyw. W piątek matura z polskiego, a w poniedziałek matematyka. Czy teraz przestali wymagać myślenia?

– Plan jest radykalny, przegonić resztę a starych do rezerwatów, na wymarcie – powrócił do tematu Krzysiek. – No, może zostawią trochę siły roboczej.

– Ok. Mówisz, że wygoniono, a oni sami pryskają. Jak to z tym jest? – odezwał się nieco bardziej spolegliwie Staszek.

– Komuna niby to zdechła 26 lat temu. To powinno znaczyć, że od ćwierć wieku rządzimy się we własnym kraju. Czy tak? – kontynuował w odpowiedzi Krzysiek.

– Logiczny wniosek – skrzywił usta Staszek, nie wyczuwając o co mu idzie.

– Zastanawiałeś się kiedyś, czego potrafili dokonać Polacy w ciągu 20 lat, między Pierwszą a Drugą Wojną Światową? Czy wtedy obrodziło geniuszami? A teraz mamy epokę debili? Nie.

Ktoś ustawia taką grę. Ustawia by nas stąd wykurzyć.

– Dobrze, że to rozumiecie – odezwał się pan Antoni otwierając oczy. – Trzeba wam młodym wielkiej, powtórzę wielkiej, roztropności.

– 300 bilionów w ropie i 6 bilionów za węgiel i metale w złożach gotowych do wydobywania, a co czeka w głębszych odwiertach? Bilion dolarów to takie maleństwo, dla którego gotowi rozpruć wam brzuchy byleby to wyciągnąć – uzupełnił wuj Witold.

– Straszycie mi gości – zaśmiała się upominająco Marta. – Pan Bóg łaskawy, będzie nad nami czuwać. Trochę pogodniej dyskutujcie.

– Nad wami może i tak, a co mam powiedzieć ja, zatwardziały ateista? – odpowiedział żartobliwie Krzysiek, by zgodnie z zaleceniem rozluźnić atmosferę.

– Ateista? Ty jesteś zwyczajnym bezbożnikiem – parsknęła śmiechem Agnieszka podając mu mandarynkę.

– Nie traćmy nadziei. Przyjdzie czas, to uroczyście wyrzeknie się szatana. Pokropimy głowę święconą wodą i z bezbożnika będzie chrześcijanin, jak malowany. Sui tempore. Znaczy, we właściwym czasie – wesoło skomentował jej uwagę Bartek.

– Z diabłem to ja nigdy nie chciałem mieć konszachców – tym razem Zawieja odpowiedział poważniejszym już tonem.

– Wiem. Znamy się dostatecznie długo. Tyle, że to on wytrwale szuka okazji by mieć coś wspólnego z nami. Właśnie po to jest kościół aby nas od niego odgradzić – wyjaśnił mu zdawkowo diakon.

– Zagrozić przed złym? Dziwne ujęcie – zamyślił się Krzysiek.

– Dokładnie tak jest. To Jezus wysłużył nam u Ojca różnorodne łaski i złożył je w swoim kościele. One, jak potężny mur czynią nas nieprzystępnymi dla złego.

– Jak to działa? To znaczy, jak z tego korzystacie? – pytał bardziej przez grzeczność.

– Wyobraź sobie taki dziwny bank, w którym zdeponowano niewyczerpane ilości złota i każdy, kto ma konto, może brać ile chce. Chrzest to konto, a sakramenty to polecenie wypłaty. Tym złotem Krzysiu jest łaska łączności z samym Bogiem. Gdy się tym ubogacisz, to szatan nie ma do ciebie przystępu. Widzisz jakie to proste?

– Co go powstrzymuje? – uważniej popatrzył na Bartka.

– Po prostu świętość.

– „Coś pokręciłeś koleżko” – pomyślał a na głos powiedział -Zaraz, świętym jest się po śmierci. Jak więc to ma działać na żywych?

– Najogólniej mówiąc, z miłości do Boga. Kochasz Agnieszkę. Czy tak?

– Tak samo jest z nami, wierzącymi. W kościele czeka na nas Bóg. Nie jakiś tam metafizyczny, a żywy! Mówię o Najświętszym Sakramencie. Kto kocha, ten tęskni. Całkiem, jak ty do Agnieszki. Adoracja i komunie, oto główne powody.

– Powiedz mi jeszcze, – powiedział Krzysiek przytrzymując Bartka za rękaw – dlaczego chodzicie do spowiedzi? Kościół chrztem odgradził was od złego, to powinniście żyć w świętości.

– Jasne – przytaknął.

– Dzięki Bartek – odpowiedział ruszając za resztą, a w myślach

– O, dwie są bliżej. Podejdźmy do nich. Te dalsze..., te dalsze niech sobie

dziurawią lepsi ode mnie – zdecydował Paweł po chwili namysłu.

– dyskretnie wyszeptła Julka.

– Ano tak.

– Znalazłoby się, a łucznictwo lubię bo to dobrze robi na mój charakter. Tu trzeba skupienia i precyzji, a ja trochę w „gorącej wodzie kąpana”.

– Święta prawda..., święta. Niełatwo za tobą nadążyć – przyznał i zaraz dorzucił – Mnie to absolutnie nie przeszkadza. Może nawet wręcz odwrotnie.

– No, w zasadzie to nie – wydukał skonsternowany. Na widok jego miny, odciągnęła go na bok i poleciała:

– To jest strzała. Patrz, jak ją trzymam. No, ujdzie – oceniła przyglądając się jego dłoni. – Łuk masz na wyprostowanej ręce. Oczywiście stoisz bokiem, tak by przez majdan widzieć cel.

– A ten promień, to co?

– Półeczka? – przerwał jej coraz bardziej zawstydzony.

na zgraniu trzech punktów...

– To wolę karabin, tam wystarczy zgrać muszkę ze szczyrbinką – znów przerwał jej by pochwalić się jakąś „męską wiedzą”.

– Myhy. Niby architekt ma być ze mnie..., architekt a zapominam, że dwa punkty są zawsze zgrane – starał się nadrobić gafę.

– Wiesz, tak po prawdzie to nie szykowałem się do tej konkurencji – próbował wycofać się raczkami po jej instruktarzu.

– Naprawdę muszę? – spróbował jeszcze raz.

– Marek, dwa gwizdki!

– Trzeba kogo wysłać, by mi kreta przyniósł, com mu w ogon celował.

Wybuchło śmiechem towarzystwo, humor pudlarza nagradzając. Dalej, wcale lepiej mu nie poszło.

– Ledwie jedna przy tarczy lądowała – skwitował kwaśno własne starania. – Dobrze, że Tomek naszego honoru godnie bronił.

– Nabijasz się ze mnie?

– U mojej mamy „trochę czasu”..., takie trochę to ze trzy godziny! – stęknął na myśl dłuższego rozstania.

– Takiego czasu nie zapomni się do końca życia – rzucił Marek nakładając piankę do golenia.

- Laski? A widzisz ty jakąś poza tą jedną? – parsknął śmiechem Tomek.
- Uderz w stół, a nożyce się odezwą – skomentował trochę bełkotliwie Krzysiek, bo właśnie wykrzywił usta goląc się przy kąciku wargi.
- To się jeszcze okaże, gdy na becze staniesz – zaśmiał się Marek.
- Kurde, jak za szybko zlecę, to... to zaliczę najprawdziwszy obciach przed Julką – zaniepokoił się Paweł.
- Złap kij mocno, ale miękkim nadgarstkiem, bo gdy ci go wybiją to po tobie – instruował Boguś.
- Może by im honorowe poddanie zaproponować? – zagaił Kuba.
- Tak czy siak, będziemy mieć w plecy – bronił swego Kuba.
- Wymiękasz? – zdziwił się Marcin.
- Głupiś, Kubie jeszcze nikt nie dorównał. Jak mówi, to coś jest
- Wytrzymałbyś trochę i miałbyś go na widelcu. Tamten też już ledwie stał na nogach – syknął Witek.
- „Im grubszy zwierz, tym wyżej bierz”.
- Psy słyszę, a to maj – zwrócił się Darek do pana Witolda. –No, tak. Wydawało mi się, że o tej porze roku to na dzika wolno, ale bez nagonki.
- To teraz można robić co się chce?
- Nie Krzysiu – roześmiał się zakonnik. – Świętym jest Bóg, a każdy kto ma z nim łączność jest zanurzony w tej świętości. Żywi też.
- Zawieja zamyślił się: „Tu coś nie gra. Jeżeli świętość to mur dla diabła, to czemu chrześcijanie stale potrzebują kościoła. Chrzest powinien sprawę załatwić raz na zawsze?” – Skoro tak, to po co biegać do kościoła na okrągło? – zapytał.
- Życ bez niej nie mogę – wyznał skwapliwie. – Szkoda mi każdej chwili z dala od niej.
- Tarcze już ustawione. Panie starosto, czekamy na znak – zawołał nadbiegający Marek.
- Ruszyli gromadnie na łąkę obok dworu.
- Wolna wola. Mur tak długo nas osłania aż sami nie otworzymy jakiejś furtki. Dlatego Jezus rozumiejąc naszą słabość, własną ofiarą zgromadził dla nas te nieprzebrane łaski. Jak mówiłem, dostajemy je w sakramentach. Chrzest zmazuje wszelki grzech, czyli odgradza nas od upadłych stworzeń. Gdy zgrze-

szymy to ten mur się wali. Naprawia to spowiedź. Zaś eucharystia to największa z łask. To fizyczna jedność z żywym Bogiem. Komunia, czyli zjednoczenie. Misterium miłości, każdej miłości Krzysiu. Na pewno to rozumiesz.

– Komunia jest stałym pragnieniem katolika. Zazdroszczą nam jej nawet aniołowie. Na razie poprzestańmy na tym. Będziesz chciał, to pogadamy więcej, na przykład o łaskach, jakie niesie sakrament małżeństwa. Teraz chodźmy. dodał – „narobiłeś mi niezłego mętliku w głowie przyjacielu”.

– Dla was są tamte. Na 30 metrów będą strzelać dziewczyny

– Aha – bąknął zdziwiony. – To ty też wystartujesz?

– Jest coś czego nie potrafisz?

– Fakt, sporo w tobie flegmatyka, ale tak, jak powiedziałaś, „to mi nie przeszkadza a może i odwrotnie” – zrewanżowała się zabawnie marszcząc noseć.

– Miałeś już kiedyś łuk w rękę?

– Wyciągnij prawą dłoń. Zegnij kciuk i mały palec do środka. Osadę strzały bierzesz pomiędzy wskazującą a środkową. Serdeczny pomaga im w napięciu cięciwy. Nie, nie tak. Schyliła się, zerwała kwiat mleczu i włożyła go między swoje palce.

– Majdan? – zapytał bezradnie.

– Niech ci będzie, rękojeść, uchwyt, jak sobie tam wolisz. Cięciwę napinasz aż do twarzy. Przedramię i promień mają być w jednej linii. Trzeba wybrać miejsce, do którego zawsze będziesz przykładać osadę. Najlepiej podbródek.

– Ojejku! Promień to ta część strzały pomiędzy grotem a lotką. Opierasz promień o półeczkę....

– Zobaczysz, to nacięcie w majdanie. Sztuka celowania polega

– Fakt – potwierdziła rozbawiona. – Tyle, że gdy strzelasz na wiwat. Zapomniałeś o celu, też zgrywasz trzy punkty. Przy łuku te trzy punkty to cel, grot i to miejsce na twarzy, w którym zakotwicyłeś strzałę. Jasne.

– Łuk napinasz w trakcie unoszenia. Strzała oczywiście po lewej stronie majdanu. Gdy lewą rękę masz już wyprostowaną, to napinasz cięciwę i kotwiczysz osadę. Kotwiczysz na tym wybranym punkcie twarzy. Teraz napinasz mięśnie pleców, pamiętaj o tym, to bardzo ważne. Wstrzymujesz oddech, celujesz i strzelasz.

– No to już jesteś wyszykowany – oznajmiła groźnie patrząc mu w oczy, po

czym rozluźniła twarz w półuśmiechu i dodała – Jako nowicjusz masz prawo do poznania łuku pięcioma strzałami próbnymi. Reszta tylko jednym.

– Nie musisz – odpowiedziała wzruszając ramionami – ale jeżeli znasz Fre-drę, to „krokodyla daj mi...”. No dobra. Pamiętaj, cięciwę chwytasz na pierwszych stawach palców. Łuk trzymasz lekko rozluźnionymi palcami, to znaczy nie ściskaj go kurczowo. Cięciwę dociągasz do brody. Strzał to ześlizgnięcie się palców z cięciwy gdy łokieć energicznie idzie w tył. Widzisz, jaki marny ze mnie nauczyciel? Zapomniałabym o najprostszym, celując zamykasz lewe oko.

– „Mocium Panie twe wezwanie..”. – sapnął z rezygnacją w zamian kome-tarza.

– Zapraszam na pozycje dwie panie i trzech panów – zawołał Marek. – Za-czynamy dopiero na gwizdek, gdy upewnię się, że tor jest czysty. Dwa gwizdki oznaczają koniec serii. Pod żadnym pozorem nie wolno po nich już strzelać.

Skromny pożytek przyniosły Julki nauki, bo łucznictwo, ta prastara u Sło-wian sztuka, żąda cierpliwej zaprawy. Setki strzał chybionych pošlesz, nim każ-da niezawodnie celu sięgnie. Napiął Paweł cięciwę i choć długo mierzył, grot ledwie pół drogi uleciał. Patrzy z niedowierzaniem, jeszcze raz spogląda i nagle tubalnie woła:

– Co się dzieje? – spojrzał na niego z niepokojem przyjaciół.

– Jak na pierwszy raz jest Okay – pocieszała Julka. – Żadna z cięciwy nie spadała, a i wprawnym to się zdarza.

– Daj spokój. Popatrz na Bogusia. Tak się chełpił łuk biorąc, a żadnej dzie-siutki nie trafił. Ty nie dałeś plamy.

– Na prawdę. Pokazałeś charakter. Z fasonem to uniosłeś. Pora ogarnąć się przed kolacją – dodała zmieniając temat. – Wam to szybko idzie, a my potrze-bujemy trochę czasu.

– Lubimy gdy czekacie – odpowiedziała słodziutkim szeptem i cmoknąw-szy go w policzek odwróciła się na pięcie.

Chwilę stał, jak urzeczony nim zgarnął go przechodzący obok Bartek.

– Nie wypuszczaj z garści tej ptaszynki. Prawdziwa sarmatka – dał przyja-cielską radę.

Długo w noc rozbrzmiewała weselnym gwarem świetlica. Tańczono na ze-

wnątrz, na deskach, pod żeglarskiego płótna namiotem. Już brzaskiem świece rozdano i do alkierza Młodą Parę odprowadzono. Znów spojrział Antoni na Wojtkę, a ten brodą łóżko wskazał. Leżał więc stary miecz między małżonkami.

Nastała środa, a z nią czwarty dzień wesela.

– Wszystko tu na swoim miejscu, jakby nas w inną krainę rzucono – odpowiedział Krzysiek wkładając wtyczkę do kontak-

– Co za laski! Żyć nie umierać – dodał Boguś wycierając głowę.

– Co mu dokuczysz? Co? – obruszył się Paweł.

– Ech, miałem ja szczęście na was trafić – westchnął z sympatią Boguś.

– Właśnie, a co z tą beczką? – Zapytał Paweł.

– Dostaniemy po palcacie. Takim kiju dębowym długości niewielkiej szabli i będziemy się napięprzać. Który pierwszy zleci ten trup – wesoło wyjaśnił Krzysiek.

– Nie panikuj – uspakajał go Marek. – Któryś spaść w końcu musi. Ważne by męstwo pokazać. Sam fakt, że na swoją wleziesz, choćby na drugiej stał największy u nich osilek, to już Julka punkty ci naliczy.

– Cała twardość w tym, by palcata nie puścić, jak po łapie pójdzie. Na pojedynkę kosza nie zakładają – dodał Krzysiek.

Przekąsili, co nieco przy starych kasztanach, bo po kilku dniach obżarstwa głód w mysiej dziurze przycupnął. W tym czasie, u przeciwników trwała wojenna narada.

– Co ty? Trzeba chłystkom dać nauczkę – zaperzył się Witek, który jeszcze czuł na szczęcie nocną przygodę.

– Spuścimy im bańki, to krzywo na nas chłopaki patrzeć będą, niby że takich bohaterskich gości napadamy. Jak sami oberwiemy, to wtopa na całego. Całkiem niezłe z nich zakapiory.

– No, no, nie rozpędzaj się – fuknął obrażony Kuba.

na rzeczy – rzucił Patryk. – Propozycji poddania się nie przyjmą. Przejrzałem jeszcze raz na YouTube marcową aferę, to twardziele. To my musielibyśmy odpuścić. Spojrzeli po sobie pytająco. Po chwili odezwał się Kuba:

– No to starym obyczajem spuścimy bańki tym, co nam rwą dziewczuchy.

Zgodnie z pojedyneków etykietą, próbował mediacji wuj Witold, ale tradycyjnie, i tym razem nic to nie dało. Ustawiono więc dwie beczki, rozlosowano pary.

Chwycił Darek palcat na metr długi. Wskoczył na beczkę i na Marcina wilkiem patrzy. Znak dano i jął ciąć oręż powietrze. Po kilku machnięciach, które obaj sparowali, patrzą na siebie uważniej i szturchnięciami się straszą. Nagle z ugiętych kolan Darek się prostuje i lekki wykrok robiąc, w ramię Marcina wali. Już ma go sztychem zepchnąć, gdy ten kij mu odbija, a sam kucnąwszy pod kolano wyciągniętej nogi sięga. Poderwał Marcin kij w górę i z beczki Darek leci. Podali sobie ręce, a pokonany ze spuszczoną głową odchodzi. Patrzy Kuba na chuderlawego Pawła i głupio mu, że tak los pokierował. Ciosy paruje, jakby od muchy się goni, a żadnym go nie sięga. Zżyma się Paweł biorąc to za lekceważenie i wciąż coś nowego próbuje. Oberwał ze trzy razy po palcach, ale kij wciąż twardo trzyma. Oceniał Kuba, że czas kończyć zabawę i sztychem prostym w pierś kłuje. Odbił Paweł na lewo i w prawo ciągnąc przez ucho go zdzielił. Zachwiał się mocarz, ale na beczce utrzymał. Trzy razy chciał sięgnąć, nic mu nie wyszło. Skupił się, młynkiem kij Pawłowi wytrąca i lekkim pchnięciem na trawę go odsyła.

– Dwa zero – krzyknął Witek z tryumfem i sam już na stanowisko wchodzi.

Długo się nie utrzymał, bo Krzysiek sprawnym grzmotnięciem w bark, sił go pozbawił. Pchnął jakby od niechcenia i Witek kozła fiknął.

Więcej przyszło Bogusiowi się natrudzić. Oberwał kilka razy, sam dłużnym nie zostając. Tępo stukają kije, a beczki tak rozstawione, że gdy na skraj się cofniesz pchnięcie ledwie pierś muska. Zwodzi więc Boguś wprawnego rywala by bliżej go ściągnąć. Udał po zwarcu, że ręka nie wytrzymała i lewą dłoń opuszcza. Machnął Jurek zawzięcie, zwycięzcą się widząc, a Boguś tego czekając, prawie w kucki przysiada i długim sztychem w brzuch przymierzył. Stęknął Jurek tylko i w powietrzu szybuje.

Na koniec Patryk z Markiem się zmierzył. Z początku, honorowo, obaj bardziej fechtunek prowadzą, ale gdy adrenalina ciśnienie podniosła, poszła nad beczkami zawzięta rąbanina. To sztych, to cięcie i coraz rzadziej udana zasłona. Cios za cios, a przy każdym sapanie. Żal patrzeć, obaj już pewnie solidnie obici, a wciąż żaden nie odpuszcza. Jeszcze chwila, i jeden i drugi do tańców wieczorem nie stanie. Gwiżdże w płucach, żebra obolałe. Cofnęli się by tchu nieco złapać. Patrzy przeciągle Patryk na Marka i ciężko dyszy. Po chwili

z wolna kij opuszcza i drżącą z bólu rękę wyciąga. Bardziej spełzają niż z beczki schodzą. Bez słów stanęli, w przyjaznym uścisku. Widownia nagradza szlachetność, długo bijąc im brawa.

– Milcz głupku – warknął Kuba. – Piękniejszego końca nam nie trzeba było.

Podeszła Julka do Pawła, na szyję ręce mu zarzuca i nic nie mówiąc w oczy zagląda. Objął ją czule ramieniem i z innymi ku świetlicy prowadzi. Tam, na trzech rzędach stołów, tęsknie talerze ich wyglądają.

Posiłku nie przeciągano, bo na łące ogary już trop chcą wietrzyć. Złapał Marek, myśliwych zwyczajem, Dankę za kolano, by szczęście mu sprzyjało. Widzi to kpiarz zawzięty, wuj Witold i woła:

– A za kolano, to co znaczy? – zainteresował się Boguś.

– Ano, tradycja jest taka, kuropatwa wymaga kostki, zając kolana, a dzik czy jelen... – roześmiał się rubasznie. – No, chyba rozumiesz? Właśnie dlatego grubego zwierza najczęściej żonaci przynoszą.

Parsknęła wesoło kawalerka, a zarumienione dziewczyny, jakby na znak, w jednej chwili w tył odskakują.

– Po staremu to dobrze ci się wydawało. Tyle, że Trybunał zakwestionował ustawę i od lutego mamy nową – włączył się Tomek.

– Jest przepis o zwierzynie nadmierne szkody rolnikom czyniącej. U nas niedaleko do Parku Narodowego, a tam wszystko mnoży się na potęgę. Ciasno dzikom i na pola po słodką karmę watahami ciągną – wyjaśnił pan Witold.

– Teraz Okręg Łowiecki ma prawo w takich sytuacjach zarządzać odstrzał w formie i ilości stosownej do potrzeb – uzupełnił Tomek.

Jazda na wyznaczone miejsce nie zabrała im nawet pełnego kwadransa. Stał pan Jan po prawej ręce leśniczego Zbędy i dał sygnał „Zbiórka Myśliwych”. Ustawili się w dwóch rzędach, zdjęli czapki, a sygnalista gra „Powitanie”. Przywitał Leśniczy gości, myśliwych i łowisko, wypełniając powinność prowadzących polowanie.

– Strzelać będziemy dziki, które nam nagonią ogary. Mierzymy do odyńców i przelatków – informował Zbęda. – Będzie tylko jeden miot, bo pilno nam wracać do dworu. Pierwszy strzał rezerwowany dla Pana Młodego. Apteczka

jest przy naszym doktorze. Panie Antoni, proszę losować miejsce – powiedział podsuwając mu karty z oznaczeniem numeru na stanowisku. Odegrano „Apel na łowy” i spuszczone dwa psy nawykłe do wspólnej pracy.

Zrazu wzięły górny wiatr i rozpoczęły przekładanie pola.

– Idziemy na skraj kniei po lewej, tam linię ustawimy. Za tymi chaszczami w dali, po prawej dużo błočka, o tej porze zawsze tam wataha się brocha, albo w pobliżu coś buchtuje. Wiatr nam sprzyja – wyjaśniał Leśniczy.

Stanęli myśliwi, a między nimi goście. Wsłuchał się pan Antoni w ogarów granie i szepcze do najbliższych towarzyszy:

– Już podniosły, zaczną ku nam naganiać. Grubo ponad tuzin tego będzie.

Wsłuchuje się z uwagą w psią melodię i leśniczy. Znak daje by linię od lewej skosem flankować. Złamał się szereg w połowie, lekko rozwarty kąt tworząc. Pozostało cierpliwe czekanie.

– Tam, tam, na lewo sarny – rozgorączkował się Paweł.

– Spokojnie, nie ich pora. Okres ochronny. Popatrz sobie przez lornetkę – zaśmiał się Kuba.

– Dyndają koślawym sztychem – rzucił pan Jan widząc w lunecie pierwsze, czarne plamki.

– Co on gada? – szepnął Paweł.

– Zobaczył dziki. Truchtają pod skosem do nas – wyjaśnił mu Patryk.

– By czekać, bo psy machają ogonami, to znaczy, że jeszcze z bliskiego doskoku je obszczekują. Ostrożnie by je który orężem nie obciął.

Rosną sylwetki włochate, rośnie i napięcie.

– Gnuśne te kabany. Nie śpieszno im do gara – zauważył Boguś.

– uprzedził leśniczy bacznie wpatrując się przez lornetkę. Pociągnął odyniec watahę ostro do przodu, najwyraźniej psim gonem już zezłoszczony. Teraz ciemne plamki już i bez szkielec, w oczach szybko rosną.

– Żartów nie ma. Trafiają się szpetne rany, a bywa i życiem który polowanie opłaci – odpowiedział mu Zbędny.

– Za chwilę przyjedzie karawan. Pokot do wsi oprawić zabiorą. Łeb medalisty pewnie na ścianie dworu zawiśnie, a resztę jutro, przy kolacji na rożnach upieczemy. No może nie wszystko. Kilka combrów do peklowania na szynki pójdzie – dokończył wyjaśnień Leśniczy.

Wracali ledwie widoczną pośród traw ścieżką. Z wolna, popołudniowa cisza ustępowała zabim koncertom. Przy samochodach, rechotania i kumkanie dochodziło ich już zewsząd.

– Swój rozum mają, tłuc się nie będą – roześmiał się Patryk.

– „*Gaicek zelony, pienknie psystrojoony...*” – wyszczebiotała pierwsze słowa piosenki. – „*w czerwone wstążeczki,*” -wspomogła ją dyskretnie Julka – „*pszes śliczne dziewecki*” -dokończyła strofę mała panienka.

– W sam raz na Pokładziny – szepnął Krzysiek z szelmowskim uśmieszkiem do Agnieszki.

– Pewna jesteś? A może ten świat nie do przodu, a do tyłu idzie? I to o tyście lat, w barbarzyństwo – zaoponowała Agnieszka.

– O co idzie? – zapytał widząc ich miny podchodzący Marek.

– A właśnie, że nasza. Kto lepiej od nas może to ocenić? – tym razem zaperyła się Agnieszka.

– No, tak. Rzadko zwierza strzelam – wyznał do leśniczego Darek. – Chyba jednak coś i z mojej ręki padło?

– „Co ci, że tak mocno utykasz?” – pytał pierwszy.

– „Nie, nadepnął mi na łapkę!”

– Nie ciągnąć po linii, psy jeszcze ogonami dzwonią – dał polecenie Zbędny.

– Dzik, jak się poderwie to goni na karku złamanie. Wtedy psy już go nie nakierują – odpowiedział mu półszepem pan Antoni. – Dobrze ułożone, najpierw nagonią trochę bliżej.

– Kurde, takie grubasy, a jak zapieprzają – szepnął z uznaniem Boguś.

Trzasnęły składane dubeltówki, szczeknęły zamki w sztucerach. Patrzy leśniczy na wielkiego czarnucha, który przodem sadi. Dojrzał i odynieć łowców, a że linia złamana, a psy z tyłu ujadają, wściekle fuknął i do szarży rusza.

Zmierzył się Wojtek z przyrzutu, czystym strzela. Padł pod ogniem dumny odynieć. Teraz palba po linii idzie. Jeszcze strzał łaski do dwóch postrzałków oddano i z życiem lochy a i warchlaki uchodzą. Zabrzmiały trzy krótkie trąbki sygnały. Podszedł Zbędny do przewodnika. Wzrokiem fajkę i szablę mu mierzy. Kreci głową z uznaniem i ze złomu gałązkę odrywa. Stał Wojtek nad grzbietem ubitego zwierza, a Leśniczy gałązkę w gwizd, na ostatni kęs, wtyka.

Resztę złomu na postrzale kładzie i znów gałązkę, farbą pomazaną, odrywa. Położył ją na kordelasie i lewą ręką wręcza, a prawą Młodemu podaje.

– Darz bór – padają uroczyste słowa. – Prawdziwego medalistę ubiłeś. Królem polowania Wojciecha ogłaszam!

Włożył Pan Młody złom za kapelusz, a Jan sygnął „Zbiórka myśliwych” daje. Ułożyli pokot według wielkości, na prawym boku i w dwuszereg stanęli. Teraz „Zwierzyna na rozkładzie” ku kniei z trąbki płynie. Zdał Leśniczy raport staroście. Gratulacje i trębacz „Darz bór” wygrywa.

– Co teraz będzie z taką górą mięcha?

– Ciepły maj, o tydzień wcześniej zaczęły – zagadnął Kuba.

– Żabi – skrzywił się ze wzgardą Boguś. – Prawdziwa zwierzyna trzaska się, jak należy. Dlatego szacun dla was. To nie żabie moczypupki nakładły nam po plerach.

– „*Jus skowronek nam zawitał, Wojtuś bociek zakle...kotał...*”

– Jest czego pozazdrościć – odpowiedziała z lekkim westchnieniem.

– Każdy ma swój sposób na życie – wzruszyła ramionami Danka nie chcąc się spierać.

– O życie na „kocią łapę” – szyderczo wyjaśniła Danka.

– Gdybym był wierzący... – tu Krzysiek zachnął się i zamilkł, wciąż mając w pamięci rozmowę z Bartkiem. – Tak czy owak, dozgonne ślubowanie sobie jest wyrazem prawdziwej miłości. Póki tego nie zrozumiesz, szkoda z tobą gadać – dodał półszepem, bo już zaczęto na nich wymownie spoglądać.

– Spisał się Pan pierwsza klasa. Naprawdę znakomicie. Gdyby jeszcze ten przelatek, coś go Pan mierzył, był tak uprzejmy jakieś pięć metrów w lewo stanąć! – zatrząsł brzuchem roześmiany Zbędny.

Łypnął groźnie okiem Darek, ale bez złości i słodziutkim głosem odpowiada:

– „Wczoraj polował sam pan Leśniczy” – odpowiedział mu drugi.

– A to się odgryzł fryc jeden – jeszcze jowialniej zarechotał Zbędny.

– Słuchajcie – włączył się Kuba. – Pewien, kielecki adiunkt poszedł z profesorem na polowanie. Patrzy, a starszy kolega leży bez ducha na ziemi. Złapał za komórkę i stuka na pogotowie:

– „Jestem w lesie, mój znajomy chyba nie żyje!” – woła zdenerwowany.

– „Spokojnie, proszę się najpierw upewnić” – odpowiedział operator.

Usłyszał dyżurny w słuchawkach strzał, a po chwili głos adiunkta:

– „Na pewno, co dalej?”

Jeszcze nie przebrzmiała wesołość, a Boguś głos zabiera:

– A ten o czy mówi?

– Uwaga, zaczynają już prychać. Zaraz się od ogarów odsadzą

– Jak ruszył ten kaban, co go Wojtek kropnął, to już za jakim drzewem zacząłem się rozglądać – wyznał wciąż rozemocjonowany Boguś. – W głowie się nie mieści, że takie krótkie nóżki potrafią dać takiego czadu.

– Tusza, dzicyzna, ale nie mięcho – pouczył go pan Antoni. – Myśliwy ma szacunek dla zwierza. Ten szacunek idzie za nami od najdawniejszych czasów, kiedy to zwierzyna „ostatni kęs” brała, byśmy jeść co mieli.

– Pewnie przekrzykują się, który więcej samiec zwabi – odezwał się Marek.

– I nasze siniaki nie od błotniaków – wesoło klepnął go w ramię Jurek.

Pożegnało ich łowisko pomarańczowo zachodzącym słońcem.

Rozwieszone po drzewach lampy łagodnie oświetlały wyniesione do ogrodu stoły. Trochę w oddaleniu, bliżej warzywniaka, leżały zbite do muzycznej hulanki deski. W rogach tego parkietu ustawiono cztery „gaiki”. Pysznie strojne we wstążki, świecidełka i dzwonki. Dawnym obyczajem o zbliżaniu się lata przypominały. Zaś baldachimy nad stołami zawieszone, musiały nieco skromniej, na jedlinię i kwiatach poprzestać.

Wychodzą Młodzi ze dworu, przez drużny i drużbów prowadzeni. Znow karabele przy kontuszach zwieszone. Stoi pod gaikiem mała dziewczynka i z zabawnym przejęciem ludowego stroju fartuszek poprawia. Śmieje się Marta do blondaska, a muzyk, który w orkiestrze na klawiszach grywa, rozciągnął miech harmonii i dziecku tonację podaje.

– ciągnęła odważnie. – *„Jaskółeczki gniazdzka sprzęgły, kurki, gąski się wylęgły”* – dośpiewały drużny.

– Fajne, ale to skansen. Świat poszedł do przodu – wtrąciła się Danka.

– Bredzisz – zaprzeczył Krzysiek niechętnym jej tonem. – Jaki swój sposób? To, co widzisz jest nasze. Reszta to importowane gówno.

– Nie twoja sprawa skarbie. Nie powinnaś ich pouczać.

– Ale to oni wygłaszają staroświeckie morały – próbowała sprostować. –

Chyba to nie ich specjalność? – dodała z ironią. Zamiast odpowiedzi jeszcze raz wzruszyła ramionami i przytuliła się do Marka.

Obdarował Wojtek małą solistkę łakociami, a starosta do „okrągłego” wszystkich prosi. Skrzypnęły deski pod pierwszymi parami. Ciasno, wszystkim miejsca braknie, więc Pan Młody na trawę korowód polonezem prowadzi. Tam „młynki”, „przejścia dla par” i „labirynty”, po czym węzem na parkiet wkraczają, a muzyka natychmiast tempo zmienia. Jęczą deski pod obertasa przebiegiem. Ledwie ostatnia para hołubcem przy najdalszym gajku strzeliła, a już przy pierwszym, tancerze na powrót wbiegają. Zadudniło po dechach mazurem, mało co, na wióry ich nie mieli. Cichnie muzyka, tace z szampanem niosą.

– Gorzko, gorzko... – rozkrzyczały się gardła czkając wzniesionych kielichów.

Całuje Wojtek siarczyście i Marta dłużną nie pozostaje. O wyczekiwana chwilo, minęły nareszcie trzy „tobiasza noce”. Idą zasiąść do stołów. Długo nie zabawili, bo ostry rytm dyskoteki ich woła. Wiszą szable przy krzesłach. Gną się i wirują na deskach kontusze. Kto żyw, obcasem tupie, a rękami w powietrzu macha. Ten i ów napić się czego wybiega, ale jeszcze szybciej wraca. Taka już magia swawolnego czasu, polskiej zabawy. Wreszcie brakło tchu i najmocniejszym. Pora przy daniu gorącym, nowy dech łapać. Poszła zjeść i orkiestra, niewdzięcznie przy keyboardzie pianistę zostawia. Pośród spokojnych melodii śmiechem buchają stoły. Żarty, wesołe docinki, bywa i przechwałki, a wszędzie życzliwa uprzejmość, ta korona polskiej biesiady.

– A ja, gdyśmy wracali, słyszałem rozmowę dwóch zajęcy:

– „Biedaku, postrzelił ze śrutu?”

– Nie bywam na polowaniach, ale słyszałem, jak to stara ferajna kumpla do lasu zabrała. Wyskoczył na miedzę zając, już się ten kumpel z flinty zmierza, a oni we wrzask:

– „Nie nie to Kazio, my nigdy do niego nie strzelamy!” Czekaj, czeka, aż tu byk łaką posuwa. Łapie za strzelbę, a oni:

– „Nie nie to Leopold, my nigdy do niego nie strzelamy”. Przebiegły w ten sposób ze dwie godziny, aż tu nagle, taki „wojtkowy”, o wielkich kłach dzik wyskakuje. Pomny ich wrzasków fuzji nie podnosi, a kaban w patykach znika.

– „Czemuś nie walił? Taka sztuka!” – krzyczą z pretensją.

– „Myślałem, że to znów wasz znajomek”.

– „Tak, tak, to Bonifacy. My zawsze do niego strzelamy!” Aż zatupał ze śmiechu Leśniczy. Wstaje i kielich unosi:

– Zdrowie Państwa Młodych. Niech Nadkońskim celnie dziś łuk strzela.

– Wiwat Młodzi, wiwat... – podchwyciło wesele.

Zagrała muzyka. Pustawo przy stołach, tłoczno na parkiecie. Tańczą, popijają. Nikt nocnego chłodu nie czuje. Minęła pierwsza godzina piątego dnia wesela. Podeszedł starosta do mikrofonu, żonatych do „poduszkowego poloneza” sprasza. Zapłonęły świece. Krokiem dumnego rytmu, „polskim” do dworu ruszono.

Nie spogląda pan Antoni w oczy Wojtka. Zrazu do ściany podchodzi i „Czarnego” zawiesić nad łóżem podaje. Znakiem krzyża świętego rodzice błogosławią. Zamknął drzwi starosta i uśmiecha się doktor stary. Myślą daleką do własnego ślubu wraca. Co za drzwiami? Nikt nie opowie, bo żadnego z gości tam nie było. Ogólnie jednak wiadomo, że Stwórca tak świat urządził iż dwie dusze w jednym ciele przebywać potrafią.

Ciepłe słońce, majowej zieleni przyjaciel, nie odmówiło i dziś swojej asysty. Leniwie płynął więc dzień między stołem a spacerami. Najwięcej dało się słyszeć wspomnień i rodzinnych nowinek, bo dalszych gości dopiero wczesnym wieczorem czekano. Na prośbę „Warszawy” tarcze ustawiono i bez konkursowych emocji mógł Paweł rękę i oko wprawiać.

– No, mocniej barki – instruował Darek. – O tak, lepiej. No, teraz powoli mierzysz..., wytrzymaj..., rękę cofając strzałę z palców wypuść. Widzisz? Całkiem blisko.

Podeszła Julka, do pleców łucznikowi przyłgnęła. Lewą rękę na jego kładzie, a patrząc przez ramię, prawą mu ustawia. Spocił się z wrażenia Paweł. Specjalnie, jak najbardziej pudłuje, by dać powód na dalsze nim kierowanie.

– Julka, za drzewo. Biedak zaraz zemdleje – roześmiał się Krzysiek na widok jego wypieków.

– Co przeszkadzasz? Idź na grzyby. Chyba Agnieszka cię woła

– próbował go przegonić Boguś, który przy swoim łuku się mocował.

– Ma rację – odezwał się Kuba. – Gdybym takim go miał na beczce, to i sztych byłby zbędny. Sam by się zwałił.

- Widzę, że ci po Pawłowym praniu, już uszy do życia wróciły
- parsknęła Baśka.
- A wróciły. Jak tu nie słyszeć nowych kumpli gadania? – odparł, dobrotliwie omijając zaczepkę.
- To się do nich zapisz – rezerwowanie podchwyciła Julka. – Masz tu mir. Duży byłby z ciebie pożytek.
- A Kielce, to do której strony przypisane? – zapytała Julka.
- A co myślisz, że okazję marnuję? Jeszcze wczoraj, co i jak ugadaliśmy.
- Przyjmij i mnie – pośpieszyła z deklaracją Baśka.
- Po waszej stronie gór, Rafała naznaczyliśmy – poinformował ją Kuba.
- To oddzielny rewir. Tam Patryk będzie szefować – wyjaśnił Paweł.
- Rzeczywiście, czasu nie marnujecie – włączył się wuj Witold, który przyszedł popatrzeć na młodych. – Dobrze, bo coraz goręcej po świecie. Trzeba wam sprawnie się organizować. Jak pomyślicie o kole byłej młodzieży, znaczy emerytach, to i ja się zaciągnę.
- Nie lepiej płótno rozciągnąć, gdy burza odejdzie. Jeszcze linki nam porzywa – zauważył Boguś.

– „*Nie płacz dziewczyno! – Twoja matenka woła*” – zaśpiewała Zofia.

– „*Oj warkoczku, warkoczyku! Oj drobnom cię splatała...*” Wysunęła się naprzód matka chrzestna i biały czepek, złotą nicią haftowany, żonie pana Antoniego podaje. Ledwie stara matrona, czepek Młodej nałożyła, a Marta już nim o ziemię praska. Trzy razy pani Józefina na głowę kłaść jej zmuszona. Poddawała się wreszcie Marta, a małżeńskie pary ze świecami polonezem ją obchodzą. Zaśpiewali wszyscy, a że ich ponad trzy setki było, poniósł wiatr słowa pewnie i nad samą Łysicę:

– Daj Boże – jeszcze raz westchnęła i nie chcąc dalej się smucić, zawołała wesoło – No chłopaki, to u którego następnym razem tańczymy? – zakomenderował Marek.

FEDERACYJNA REKONSTRUKCJA

„No Future! Historia Krakowskiej FMW” pióra Macieja Gawlikowskiego i Mirosława Lewandowskiego to książka warta polecenia nie tylko ludziom parającym się historią najnowszą Polski ale każdemu kto chce wiedzieć coś więcej o rzeczywistości końca lat 80-tych.

Tak o książce i nie tylko pisał prof. Sławomir Centkiewicz

Móc skreślić kilka słów wstępu do takiej książki to przyjemność, a jednocześnie wielki zaszczyt. *No Future! Historia krakowskiej FMW* to w jakiejś mierze również fragment mojej historii, bo, choć byłem nieistotnym działaczem trójmiejskiej Federacji, to począwszy od 1989 r. – u boku „szefa” Mariusza Romana – zacząłem bywać w Krakowie. Poznałem wówczas ludzi, którzy na kartach *No Future!* tak często się pojawiają... Wojciecha Polaczka, Włodzimierza Pietrusa, Marka Dykę i tego, który stał się z tego grona dla mnie najważniejszy (choć związany bardziej z krakowskim NZS-em) na kolejne lata: nieżyjącego już „Pułkownika” Roberta Bodnara. To były manifestacje, protesty pod konsulatem sowieckim i Leninem w Nowej Hucie, spotkania w jakichś mieszkaniach, z których najlepiej zapamiętałem to Bodnarowe przy ulicy Francesco Nullo. Robert z głową pełną pomysłów przy maszynie do pisania, jego żona i córeczki... Kolejne idee, oświadczenia, protesty, kontakty, dyskusje o historii i straceńcze w istocie pomysły... Walenie głową w mur okrągłostołowej Polski i dojmujące poczucie klęski idei Polski Niepodległej! Wiara w sens dotychczasowej walki przywracały wydarzenia z przełomu 1989 i 1990 r., kiedy

w całej Polsce działacze KPN i FMW okupowali siedziby wojewódzkie PZPR, domagając się zabezpieczenia komunistycznych archiwów i nacjonalizacji zrabowanego przez bolszewików majątku. Jeden z „naszych” w rządzie Tadeusza Mazowieckiego – minister Aleksander Hall domagał się wówczas szybkiej interwencji „służb porządkowych”, które rzeczywiście usuwały z budynków niepokorną młodzież. Takim rozwiązaniom patronował Lech Wałęsa, który podczas spotkania z funkcjonariuszami WUSW w Gdańsku w lutym 1990 r. pochwalił nie tylko akcje milicji, ale również kontynuację działań operacyjnych wobec środowisk kontestujących okrągły stół. Dopytywany przez milicjantów i esbeków w sprawie działaczy FMW Wałęsa powiedział: *Polska jest wszystkich, nie damy zniszczyć jej i nie damy, żeby prawo było łamane. Jeśli będzie łamane, jestem gotów wziąć pas w rękę i w dupę włożyć.*

Potem był już lokal przy Alei Słowackiego i całonocne spotkania do rana, dyskusje, alkohol i pytanie, co mamy dalej robić i jaką formułę działania przyjąć? Tam też, podczas jednego ze spotkań w gronie ludzi FMW, Solidarności Walczącej, Konfederacji Polski Niepodległej i Polskiej Partii Niepodległościowej, poznałem ministra rządu na uchodźstwie Walerego Horoszewskiego, który przekazał nam najsmutniejszą wówczas wiadomość: prezydent Ryszard Kaczorowski przekaze insygnia władzy legalnej po wyborach prezydenckich, legitymując tym samym układ okrągłostołowy w Polsce przeciwny wolnym wyborom do parlamentu. To był dla nas – legalistów – poważny cios, bo w czerwcu 1989 r. „Hubal” (Mariusz Roman) pisał na łamach federacyjnej „Antymanityki”: *Obecnym Prezydentem RP jest Kazimierz Sabbat, a premierem Edward Szczepanik. Władza ta pełni swe funkcje w oparciu o Konstytucję Kwietniową z 1935 r. Natomiast obecne władze w kraju nie możemy traktować za nasze, gdyż obsadzone i utworzone zostały przez Moskwę, która zostawiła tu swoich agentów sprawujących uzurpatorskie rządy utrzymujące m.in. kilkusettyśięcną armię sowiecką jako gwaranta reprezentowanych obcych interesów.* Jeszcze w kwietniu 1990 r. Rada Krajowa FMW wydała w Krakowie oświadczenie utrzymane w podobnym duchu: *Naród polski staje przed historyczną szansą odzyskania Niepodległości. Narzucony nam przez Sowietów ustrój komunistyczny rozkłada się w zawrotnym tempie. Imperium sowieckie znajduje się w największym od chwili powstania kryzysie. Tymczasem obecne władze w Polsce opierając swój system*

rządzenia o kontrakt z Magdalenki, w dalszym ciągu zachowują swój wasalny stosunek wobec zniewalającego nas mocarstwa. Powyższy układ cieszy się coraz mniejszym poparciem społecznym, wyrażającym się w szukaniu alternatywnego, niepodległościowego programu. Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom społecznym, wzywamy autentyczny ruch niepodległościowy do połączenia sił w celu stworzenia Bloku Niepodległościowego, którego wysiłki powinny zmierzać do wyeliminowania koncepcji ugodowych. Dlatego domagamy się – rozpisania czteroprzymiotnikowych wyborów na urząd Prezydenta oraz wolnych, proporcjonalnych wyborów do Parlamentu i samorządów lokalnych. Jako symbol władzy suwerennej uznajemy rząd Rzeczypospolitej Polskiej na emigracji z Prezydentem Kaczorowskim, której to władzy należy umożliwić powrót do kraju w celu przekazania insygniów demokratycznie wybranej reprezentacji narodu.

Mimo wszystko krakowiaczy – jak pamiętam – nie tracili optymizmu. Robert Bodnar pocieszał wszystkich, mówiąc, że wkrótce się wszystko odmieni. Zazdrościłem im tego, zwłaszcza Wojtkowi Polackowi, który w swoich charakterystycznych wysokich butach z wciągniętymi do nich nogawkami spodni, jakby się niczym nie przejmował. Byłem zbyt depresyjny i niemądry, by to wszystko pojąć. Miałem wrażenie, że z dawnych idei został mi tylko Marsz Szlakiem I Kompanii Kadrowej Józefa Piłsudskiego z Krakowa do Kielc, którego ideowy klimat oddawały słowa piosenki ułożonej na nutę *Pieśni Konfederatów Barskich* (podczas marszu z 1989 r.):

Nigdy z komuną nie będziem w aliansach

Nigdy głosować na nią nie będziemy

Bo u Kornela my na ordynansach

Słudzy ekstremy.

Ale No Future! to nie tylko sentymentalna podróż do czasów młodości. Dla mnie, jako historyka, to przede wszystkim opowieść prawdziwa, nienapisana przez „lakierników” historii, jakich nam dzisiaj nie brakuje przy okazji opisywania herosów z podziemia, którzy dysponowali taką siłą i pomysłem, że zaczęli nawet operacyjnie penetrować i inwigilować bezpiekę. Zresztą za to rzetelne historyczne zacięcie cenię najbardziej Macieja Gawlikowskiego i Mirosława Lewandowskiego. Już w *Gazie na ulicach* pokazali oni, że nie tylko nie lakierują przeszłości, ale również nie boją się konfrontować pamięci świadków

z archiwaliami, które potrafią prawidłowo analizować i odczytywać. Nie boją się też przeszłości i informacji ukrytych w esbeckich archiwach, stąd też niczym układając puzzle, rekonstruuja konkretne wydarzenia, podając personalia współpracowników SB. Ale może najważniejsze w ich postawie i pisarstwie jest to, że piszą swoje książki, nie oglądając się na stypendia, granty i naukowe projekty tych, którzy powinni je przecież pisać – historyków Instytutu Pamięci Narodowej.

Niestety, inne „zagłębia” FMW nie mają tyle szczęścia, co Kraków, więc długo nie powstaną tam jeszcze monografie Federacji. Cieszymy się więc z tego, co mamy, polecając wszystkim lekturę *No Future!*

Sławomir Cenckiewicz

Gdańsk, 21 lipca 2014 roku

(„No Future! Historia Krakowskiej FMW”, s. 7-9)

MACIEJ GAWLIKOWSKI
MIROSŁAW LEWANDOWSKI

NO FUTURE!

HISTORIA KRAKOWSKIEJ FMW



STOWARZYSZENIE
FEDERACJI MŁODZIEŻY WALSZACET

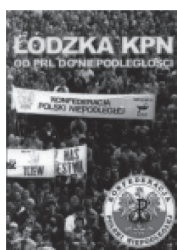
POZYCJE
WYDANE PRZEZ WYDAWNICTWO POLSKIE IHOO
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO NN IM. ANDRZEJA OSTOJA OWSIANEGO:



JAK Z PIERWSZEJ BRYGADY
Biografia Andrzeja Ostoję - Owsianego
autorstwa Łukasza Perzyny



POETA NA URZĘDZIE
Biografia Tomasza Merty
autorstwa Łukasza Perzyny i Beaty Mikluszki



ŁÓDZKA KPN. OD PRL DO NIEPODLEGŁOŚCI
Historia łódzkiej KPN
autorstwa Karola Chylaka i Marka Michalika



SKRZYPEK. JEDEN Z POKOLENIA NIEPOKORNYCH
Biografia polityczna Sławomira Skrzypka
autorstwa Sebastiana Reńcy

Szczegóły na stronie www.ihoo.pl